



MACLEAN ALISTAIR
Złota wyspa

ALISTAIR MACLEAN

Alistair MacLean

Nieżyjący autor szkocki niezwykle popularnych powieści przygodowych i wojennych, które weszły już do kanonu literatury tego gatunku. Urodził się w 1923 roku; w wieku osiemnastu lat wstąpił do Marynarki Królewskiej; ponad dwa lata służył na pokładzie krążownika. Po wojnie, po ukończeniu z wyróżnieniem Glasgow University, pracował jako nauczyciel w gimnazjum dla chłopców.

Powieść wojenna „H.M.S. Ulisses” (1955) ukazująca bardzo realistycznie przejścia załogi krążownika uczestniczącego w konwoju przewożącym broń i wyposażenie do radzieckiego Murmańska przyniosła pisarzowi uznanie krytyków, niezależność finansową oraz popularność w Wielkiej Brytanii. Druga książka „Działa Nawarony” (1957) uczyniła z MacLeana autora światowej sławy; doczekała się też nie mniej sławnej ekranizacji z aktorami tej miary co Gregory Peck i David Niven.

W następnych latach MacLean wyspecjalizował się w pisaniu książek przygodowych i thrillerów, stając się szybko najchętniej czytany autorem tego gatunku na świecie. Jego utwory przetłumaczono na kilkadziesiąt języków, a wiele z wydanych przez niego dwudziestu ośmiu powieści zostało sfilmowanych. Oprócz „Dział Nawarony” do najgłośniejszych ekranizacji należały „Tylko dla orłów” z Richardem Burtonem i Clintem Eastwoodem, „Komandosi z Nawarony” z Harrisonem Fordem, „Stacja arktyczna Zebra” z Rockiem Hudsonem, „Czterdzieści osiem godzin” z Anthonym Hopkinsem, „Przełącz Złamanego Serca” z Charlesem Bronsonem.

Przez kilkanaście lat MacLean mieszkał w jugosłowiańskim Dubrowniku. Tam powstały jego późniejsze, słabsze powieści, m.in. „Partyzanci” (1982), „San Andreas” (1984) i ostatnia, „Santorini” (1986).

Pisarz zmarł w Szwajcarii na atak serca w lutym 1987 roku.

Simon Gandolfi

Pisarz angielski, wnuk znanego historyka i filozofa Fredericka Scotta Olivera. Urodził się w Londynie, ale dzieciństwo spędził w Afryce Południowej. W 1991 roku, na zlecenie spadkobierców MacLeana, wydawnictwo Chapmans powierzyło mu zadanie dokończenia nie wydanej wcześniej powieści „Złota Dziewczyna” (tytuł pochodzi od nazwy jachtu, którym w młodości pływał MacLean). Książka ukazała się rok później; spod pióra Gandolfiego wyszły następnie „Złota sieć” (1993), „Złota zemsta” (1994) i „Złota wyspa” (1995) stanowiące kontynuację serii.

Autor mieszka w Worcester z żoną i dwójką dzieci.

Alistair MacLean & Sam Llewellyn

HURAGAN Z NAWARONY

Alistair MacLean & Alastair MacNeill

RENDEZ-VOUS

Cykl UNACO

POCIĄG ŚMIERCI STRAŻ NOCNA CZERWONY ALARM CZAS ZABÓJCÓW

ŚMIERTELNA PUŁAPKA

ŁAM ACZ KODÓW

Alastair MacNeill

DIABELSKIE WROTA

Alistair MacLean & Simon Gandolfi Cykl ZŁOTA DZIEWCZYNA

ZŁOTA DZIEWCZYNA ZŁOTA SIEĆ ZŁOTA ZEMSTA ZŁOTA WYSPA

Przełożył GRZEGORZ WOŹNIAK

Tytuł oryginału: WHITE SANDS (Fourth in Alistair MacLean's Golden Girl Series)

Copyright © Simon Gandolfi 1995 First published in 1995 by Chapmans

Publishers

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo ALBATROS 1993

Copyright © for the Polish translation by Grzegorz Woźniak 1995

Książka wydana przy współpracy Wydawnictwa PRIMA

Projekt graficzny serii: Adam Olchowik

Redakcja: Joanna Krumholz

Redakcja techniczna: Janusz Festur

ISBN 83-904774-1-6

Wydawnictwo ALBATROS Adres dla korespondencji: skr. poczt. 55, 02-792

Warszawa 78

Warszawa 1995. Wydanie I

Objętość 17 ark. wyd., 19 ark. druk.

Skład: Zakład Poligraficzny „Kolond”

Druk: Drukarnia Wojskowa w Łodzi

Prolog

Zmarły chłopiec leżał na aluminiowym stole w kostnicy Szpitala im. Księżniczki Małgorzaty w Nassau. Znaleźli go rybacy, których zaalarmowały mewy. Nie wyglądał ciekawie. Starszy patolog jeszcze go nawet nie dotknął.

–Na oko, przeleżał w wodzie co najmniej dwadzieścia cztery

godziny – mruknął.

–A co z Kolumbijczykiem? – spytał komendant Królewskiej Policji Bahamskiej.

–Pogrzeb odbędzie się rano. Zajmują się tym faceci z „Dobrego Pasterza” Marii Duncan – odparł doktor Jack. – Z Montrose – dodał, by nie było wątpliwości, że chodzi o najbardziej prestiżowy dom pogrzebowy w całym Nassau. – Cmentarz Old Trail. Za wszystko płaci jankes z DEA.

–O'Brien?

–Nie, ten tłusty, Anderson. Całkiem przyjemny facet.

Komendant nic nie odpowiedział. Był wysoki, dwa metry z kawałkiem, a przy tym chudy jak tyka, nic więc dziwnego, że wszędzie na Bahamach nazywano go „Skelley”. Gładko wygolona czaszka połyskiwała w świetle jarzeniówki, przez co czarna skóra wyglądała jak wypolerowana. Oczy miał głęboko osadzone i właściwie widać było jedynie dwa ciemne oczodoły, co w sumie tylko potwierdzało przydomek – Kostuch. Stał nad martwym ciałem chłopca od dobrych dwudziestu minut, ale nie patrzył na zwłoki, ta śmierć miała jak bat ponaglić jego myśli, próbował bowiem dopasować do siebie poszczególne fragmenty zagadki. Był zły, bardzo, ale ostatecznie zdecydował, że trzeba wejść w układ z O'Brienem – rezydentem DEA, czyli amerykańskiej Agencji

do Zwalczania Narkotyków. Najpierw z O'Brienem, a później z Trentem.

Pieniądze z handlu narkotykami skorumpowały wszystkich i wszystko na Bahamach. Skelley ufał jednak niskiemu, krąglemu jak antałek patalogowi, ufał mniej więcej na tyle, na ile w ogóle ufał ludziom.

–Wolałbym – powiedział – aby uważano, że to był zwykły przypadek, że chłopak po prostu utonął. – W jego angielszczyźnie pobrzmiwała miękka bahamska wymowa. – Oblóżcie go lodem. Po zmroku przyprowadzę kogoś, kto na niego rzuci okiem.

Skelley nie mieścił się w żadnym normalnym aucie. W sprawach służbowych jeździł piętnastoletnią londyńską taksówką, którą po skończeniu szkoły policyjnej w Hendon sprowadził sobie z Anglii. Poza służbą używał amerykańskiego dżipa, jeszcze z czasów II wojny światowej, oczywiście bez plandeki. Łysą czaszkę osłaniał chustą w barwach amerykańskiej flagi. Wkładał znoszone, bawełniane portki do pół łydki i również bawełniany podkoszulek, który wprawdzie miał odpowiednią długość, ale w ramionach był co najmniej o dziesięć numerów za obszerny. Na stopy wsuwał espadryle na sznurku z wyciętymi palcami.

Skręcił z głównej drogi, kierując dżipa piaszczystym traktem ku skrawkowi plaży, tak kamienistej, że nie docierali tu turyści. W cieniu podwójnego rzędu palm kokosowych kryło się z pół tuzina rybackich chatynek. Tyleż dzieciaków grało między drzewami w krykieta, odbijając wystruganymi własnoręcznie z drewna palantami mocno zużytą piłkę, znacznie chyba starszą niżli zawodnicy. Dwóch niemłodych mężczyzn zabawiało się dominem. Obnosili kilkudniowy zarost z obojętnością równą tej, z jaką potraktowali pojawienie się przedstawiciela prawa.

Na samym skraju plaży wznosiła się ni to chata, ni szałas pod strzechą z palmowych liści, ale z otwartym wnętrzem – niekoncesjonowana knajpa z zimnym piwem, chłodzonym w przenośnej lodówce wykładanej ołowiem, i z rybą pieczoną na ruszcie zainstalowanym w starej beczce po oleju. Właściciel z dala rozpoznał dżipa i spieszenie ruszył do lodówki po świeżą butelkę.

Skelley powiedział mu, żeby się nie trudził.

Dwieście metrów od brzegu, tuż przed linią raf zaznaczoną grzywaczami, stała na kotwicy Złota Dziewczyna – katamaran z ożaglowaniem typu siup, wykonany z prasowanej na zimno

sklejki okrętowej. Angielska firma SailCraft zbudowała go według projektu MacAlpine-Downeya jako oceaniczny jacht regatowy. Odbita w lustrze wody biel dwóch smukłych kadłubów wyglądała z daleka jak para szykujących się do skoku jaguarów.

Właściciel nazywał się Patrick Mahoney – takie imię i nazwisko nosił od czasu chrztu. Przez osiemnaście lat służył w brytyjskiej MI, w sekcji zajmującej się terroryzmem. Stał się specjalistą od przenikania do różnych tajnych organizacji i likwidowania tych wrogów legalnej władzy, których ta uznawała za zbyt niebezpiecznych, aby przemykać oczy na ich działania. Nie tak dawno jego oficer prowadzący wypożyczył go „kuzynom” z Langley do zrobienia czegoś stanowczo zakazanego przez Kongres. Chodziło

o – jak powiadają Amerykanie – „mokrą robotę”, mokrą od krwi. Obecnie nazywał się Trent i takie nazwisko widniało we wszystkich potrzebnych papierach. Pełnił funkcję kierownika przedstawicielstwa japońskiej agencji specjalizującej się w ściganiu oszustw ubezpieczeniowych.

Pracodawca Trenta – Tanaka Kazuko – był kiedyś szefem detektywów w komendzie policji w Kioto. Zrezygnował ze służby, bo nie mógł się pogodzić z naciskami polityków ochraniających zaprzyjaźnionych przestępców. Przez siedem lat pobierał prywatne lekcje angielskiego i dopiero po podróży do Anglii przekonał się, że nauczyciel wpoił mu zamiast standardowej angielszczyzny prowincjonalny akcent rodem z Liverpoolu. Żeby więc nie stracić twarzy, zaczął pozować na fana Beatlesów. Nauczył się na pamięć wszystkich ich piosenek. Mieszkanie w Kioto i biuro wypełnił pamiątkami po słynnej czwórce z Liverpoolu, a gdy założył własną firmę, nazwał ją The Abbey Road Investigative Unit, też na cześć Beatlesów. Tak naprawdę lubił Bacha, klasyczne hinduskie ragi i wszystko co najnowsze we współczesnym jazzie.

Na pytanie, dlaczego zatrudnił Trenta, odpowiadał, że po pierwsze Brytyjczycy mało kosztują, a po wtóre, że nigdzie nie znalazłby podobnego wariata, który nie waha się nadstawiać własnej piersi na kule. Trent był raczej typem samotnika i rzadko zjawiał się w biurze przy Shirley Street. W tej sytuacji biurem zawiadywała faktycznie Lois, starsza siostra Skelleya, oficjalnie sekretarka Trenta.

Trent siedział w kokpicie Złotej Dziewczyny, ale Skelley zbyt dobrze znał Angliorlandczyka, żeby zawołać z brzegu. Wszedł do wody jak stał i kraulem pokonał dwieście metrów dzielących go od katamarana.

Podpłynął od strony rufy, gdzie zwiisał trap z galwanizowanych rur aluminiowych. Przytrzymał się poręczy i przetaił oczy.

Za mieszkanie z werandą wielkości kokpitu Złotej Dziewczyny każdy kamienicznik w Nowym Jorku mógłby zażądać podwójnego czynszu. Trent siedział przy stole pełnym książek i papierzysk. Znał biegle siedem języków, a teraz uczył się japońskiego.

Gęsta broda ukrywała rysy twarzy i trudno było ocenić jego wiek. W istocie dobiegał czterdziestki. Na uszach miał słuchawki walkmana, na głowie panamę, na grzbiecie narzucił luźną białawą bluzę z bawełny. Bawełniane spodnie do pół łydki przewiązał w pasie kawałkiem sznurka. Szyję otaczała obróżka z koralu, na niej, ukryty pod włosami na karku, zwiisał nóż. Trent z odległości dziewięciu metrów trafił nożem w środek karty. Skelley przyglądał się kiedyś, jak trenuje. Trent nie chybił ani razu.

Policjant wspiał się na pokład. Usiadł w kokpicie na podłodze, podciągając tykowane nogi, przez co kolana znalazły się na wysokości uszu właściciela.

–Lois powiedziała, że jesteś tutaj. W biurze wszystko w porządku.

–Zjeżdżaj – odparł Trent.

Skelley wzruszył tylko ramionami. Jego podobieństwo do czarnego żurawia z rycin w czytankach dla dzieci było teraz oczywiste.

–Trzeba, żebyś rzucił okiem na chłopca w kostnicy.

Trent milczał, tylko lekki skurcz dłoni świadczył, że słyszy.

Podniósł oczy znad podręcznika gramatyki japońskiej. Nic, jakby wtopił się w siebie – pomyślał Skelley. Spodziewał się tego, więc z ogromną niechęcią wybierał się na Złotą Dziewczynę.

–Na całych Bahamach nie ma nikogo z twoim doświadczeniem – rzekł.

Trent wpatrywał się w horyzont, ale nie znalazł tam żadnej pomocy.

–Jestem tylko agentem ubezpieczeniowym – powiedział nie patrząc na Skelleya.

–Przepraszam – mruknął Skelley. – Nie próbuję cię w nic wmanipulować – zapewnił solennie, gdy Trent wreszcie na niego spojrział. Było to jawne kłamstwo. Skelley poruszył się niespokojnie, wyciągnął nogi przed siebie. – Proszę cię tylko, żebyś rzucił okiem na ciało.

–Rzucił okiem? – Trent zdjął słuchawki i zamknął książkę.

–No, popatrzyl.

–I nic więcej?

Skelley nic nie odpowiedział. Trent patrzył na fregatę szybującą wysoko nad rafą.

–Żle?

–Chyba tak, jeśli się nie mylę – odparł Skelley.

Skelley zaparkował dżipa na górnym parkingu szpitala. Poprowadził Trenta najpierw rampą w dół, a potem przez dziedziniec ku kostnicy. Po obu stronach wejścia wały się żółte worki ze śmieciami, które wysypywały się na całe podwórko. Wpuścił ich doktor Jack. Wcześniej dał strażnikowi dziesięć dolarów, żeby kupił mu

pizzę w restauracji u Nancy i zaniósł do domu. Na widok Trenta westchnął wymownie.

–No jasne, jeden z tych.

–Niech pan lepiej poczeka z wnioskami – uciał Skelley ruszając za doktorem do chłodni. Trent poszedł za nimi. Wcale nie chciał tu jechać. Widział już zbyt dużo śmierci. Chłód i odór formaliny też nie były mu obce.

–Znaleźli go na rafie – ostrzegł Skelley. Trent stężał, gdy patolog zaczął odsuwać gumową płachtę skrywającą zwłoki. Ciało wyglądało znacznie gorzej, niż oczekiwał. – Chciałem, żebyś zobaczył, zanim doktor Jack zabierze się do roboty. Ocenia, że minęły jakieś dwadzieścia cztery godziny.

Żeby zacząć myśleć, Trent musiał zapomnieć o tym koszmarnym widoku. Stracił jednak wprawę. Odwrócił się do wyjścia. Odór worków ze szpitalnymi odpadami przyprawił go o mdłości, gdy wyszedł na podwórko.

–Drzwi zostawię otwarte. Nie musisz się śpieszyć! – zawołał Skelley.

Trent skręcił za róg w stronę Shirley Street, a potem jeszcze raz w prawo w Collins Avenue. Liczył w myślach idąc zadrzewioną ulicą, która oddziela śródmieście Nassau od reszty stolicy Wysp Bahama. Przeszedł pełne dwa kwartały, nim uświadomił sobie, że cały czas trzyma się cienia drzew. To coś więcej niż nawyk, niegdyś wręcz druga natura. Chciało mu się przekląć Skelleya, że próbuje go znowu w coś wciągać, ale zbyt go lubił, a poza tym Skelley nigdy nic nie kombinował.

Gdyby chłopak utonął na pełnym morzu, rekiny i inne żarłacze zaraz by się nim zajęły, a to znaczy, że utopił się przy brzegu albo na rafie. Sądząc z ran na skórze, fale musiały rzucać ciałem o rafę.

Dziwne jednak, że kości są całe, Trent zauważyłby, gdyby było inaczej. Nieświadom, gdzie idzie, znalazł się przy szpitalu.

Był już gotów i panował nad sobą, gdy otwierał drzwi do kostnicy. Chciał zakończyć sprawę tak szybko, jak się da. Kiwnął głową w stronę obu Bahamczyków i podszedł od razu do stołu.

Za życia chłopak był nieźle zbudowany i umięśniony. Ślady blizn na prawym nadgarstku i pod prawym okiem świadczyły, że nie dawał sobie dmuchać w kaszę. Po śmierci robił wrażenie drobnego i bardzo delikatnego.

–Odwróć go, jeśli pan chce – przerwał ciszę patolog.

Plecy chłopak też miał poharatane, jednak trochę inaczej niż przód. Wystarczyły drobne różnice, żeby Trent wyobraził sobie winowajcę.

Trzynastoletni Jacket Bride nadśluchiwał, jak matka pomrukuje przez sen. Łóżko było nierówne, zbite z byle jakich desek, więc wierciła się i przewracała całą noc. Spała przy tym głęboko, pochrapując za każdym razem, gdy przekręcała się na drugi bok.

Na skarpie za domem zahuczała sowa. Jacket zadrżał. Dom stał na stumetrowej działce w głębi łądu za osadą Green Creek na wyspie South Andros na Bahamach. Składał się z jednej, niewielkiej izby, wzniesiono go na palach, objając ściany starymi deskami, takimi samymi, z jakich zbito łóżko. Jacket sypiał na pryczy za zasłoną z paru worków po ryżu. Nad stołem wisiała naftowa lampa, obok stały trzy proste krzesła, pod ścianą kuchenny kredens, a do drzwi przybito oblażące z polewy lustro, całe w plamach. Kuchni nie było. Matka gotowała na ogniu pod palmą na okolonym nędznym parkanem podwórku. Nieliczne naczynia kuchenne wisiały na gwoździach wbitych w drzewo. W kącie pod płotem tryskało źródło.

Jacket z matką mieszkali sami. Chłopiec miał ledwie pięć lat, gdy ojciec odszedł. Przez dwa lata, w świętek piątek, Jacket donaszał starą bawełnianą marynarkę ojca, aż wreszcie łachman rozpadł się na strzępy. Został po nim tylko przydomek, bo marynarka, wiadomo, to właśnie „jacket”.

Od chwili gdy zaczęły chodzić słuchy, że ojciec zaciągnął się do wojska w Ameryce, Jacket nie przepuścił żadnego wojennego filmu w telewizorze u Jacka w barze. Potem wplatał własne fantazje o ojcu w filmową akcję. W Jacketowych „filmach” ojciec na ogół występował na drugim planie. Był na przykład pułkownikiem w oddziałach specjalnych albo pilotem wysyłanym w tajnej misji

na tyły nieprzyjaciela. Tej zaś nocy Jacket wcielał się właśnie w nieustraszonego kuriera z ważnymi informacjami dla francuskiej Resistance w czasie II wojny światowej.

Minęła już północ, gdy Jacket uznał, że matka zasnęła na dobre. Znów zahukała sowa – to sygnał od czujki z Resistance. Jacket nadśluchiwał – a teraz niemiecki patrol stuka buciorami o kamienną nawierzchnię wąskiej uliczki, w takt bicia jego serca. Za parę chwil zmieniań szyk, rozsypią się wachlarzem i zaczną sprawdzać dom po domu, szukając ukrytego nadajnika. Jego, Jacketa, zadanie polegało na tym, aby zbiec z nadajnikiem na Bleak Cay.

Bał się, gdy cichaczem wysuwał się przez okno i skradał piaszczystą ścieżką przez wieś. Noc pełna była wrogów. Kryli się w cieniach palm. Na czarnych uniformach oficerów połyskiwały błyskawice SS. Na stalowych hełmach i lufach karabinów tańczyły krople nocnej rosy.

Tuzin łodzi kołysał się na falach parę metrów od brzegu. Dunmy – przyjaciel Jacketa – zawsze cumował swoją Jezebel nieco dalej od reszty, żeby nikt nie słyszał, kiedy Jacket wyrusza na wyprawę.

Była to typowa wyspiarska krypa. Długa na pięć metrów z kawałkiem, smołowana, z sosnowych dwuipółcentymetrowych desek na burtach i czterocentymetrowych na dnie. Wzdłużnice denne ułożono na przekładkę. Maszt z litego sosnowego drewna i bom owinięty w żagiel i omotany linkami takielunku spoczywały przy burcie. W

żelaznej obejmie tkwiła duża lampa gazowa, butlę z butanem umieszczono w specjalnym wycięciu w ławce rufowej. W środku były jeszcze dwie pary wiosł i ciężki bosak. Całość musiała ważyć najmarniej ćwierć tony.

Jacket był raczej drobny jak na swój wiek. Zwrócony w stronę dziobu wiosłował stojąc i całym ciałem napierał na wiosła. Przy najsłabszej nawet bryzie w żaglu mógłby pokonać stosunkowo łatwo te cztery mile do Bleak Cay. Było jednak bezwietrznie i przyjął to z zadowoleniem, bo tylko przy gładkiej wodzie mógł na dnie wypatrzeć homary.

Pół mili dalej Charity Johnstón wynurzyła się na powierzchnię. Rzuciła sprzęt na deskę windsurfingową, którą przerobiła na platformę do nurkowania. Z wykształcenia była zoologiem, specjalistką od morskiej fauny. Badła właśnie populacje odosobnionej rafy. Od sześciu miesięcy nurkowała dwa razy w tygodniu, dniem i nocą, na tej właśnie rafie. Przepisy PADI wykluczają podwodne wyprawy w pojedynkę, ale Charity nie miała zbytniego poszanowania

dla reguł, poza tymi, które sama ustanowiła dla swojej klasy w szkole w Green Creek. Nie lubiła zwłaszcza przepisów i zasad rodem z USA, a PADI była przecież amerykańską organizacją.

Wzięła kurs na południe i wtedy to zauważyła na horyzoncie sylwetkę łodzi. Gdy dotarła do brzegu i zaciągnęła deskę pod palmy, łódź już dawno zniknęła z zasięgu jej wzroku.

Zastanowiła się, czy to Jacket stał przy wiosłach. Wiele razy ostrzegała chłopca przed samotnymi wyprawami nocą, ale Jacket, jak i ona, lubił chodzić własnymi drogami. Nawet chciała podejść parę kroków i sprawdzić, czy Jezebel stoi na swoim miejscu, uznała jednak, że nie będzie szpiegować, a poza tym musiała jeszcze zapisać swoje obserwacje z rafy, a rano czekała szkoła.

Od roku już kierowała szkółką w Green Creek, znała na wylot wady i zalety wszystkich dzieciaków z osady, a spostrzegawczość pozwalała jej dokładnie określić, co które z nich zdołało w dorosłym życiu. W klasie starała się nie okazywać uczuć, ale Jacketa wyraźnie lubiła. On jeden ze wszystkich dzieci uczył się i czytał bez przymusu, z przyjemnością. Miał wrodzoną inteligencję i ogromną wyobraźnię, może nawet zbyt ogromną. Był także uparty i odważny i dzięki temu dawał sobie radę z osiedlowymi osiłkami. Właśnie dlatego, że nie brakowało mu odwagi, wybrał się nocą na wielkie homary.

–Zabiją nas. – Steve nigdy nie bał się tak jak teraz. Nawet jako dziecko. Strach wbijał się między nogi jak nóż. Żołądek skurczył się i kwaśny smak zgagi przyprawił go o mdłości. Marzył, żeby po prostu zastrzelić Boba. Wpakować mu kulę w bebechy i patrzeć, jak wykrwawia się na śmierć leżąc na dnie łodzi.

Łódź była spora, dziesięciometrowa, z kabiną, dwiema kojami, toaletą, prysznicem ze słodką wodą i kuchenką, przymała co prawda, gdyby trzeba było ugotować coś poważniejszego. Między pokładem dziobowym a rufowym, w kokpicie wykładanym gąbką zainstalowano trzy wyścigowe fotele jak w regatowych motorówkach oceanicznych. Za nimi, w przedziale silnikowym pod pokładem rufowym, kryło się 800 koni mechanicznych – ośmiocylindrowy, widlasty mercruiser. Przy pięciu

tysiącach obrotów śruba rozpędzała łódź do sześćdziesięciu węzłów, o piętnaście więcej, niż robiły najszybsze kutry bahamskiej straży wybrzeża.

Steve z Bobem spędzili całe popołudnie w hangarze, maskując biały kadłub czarną taśmą, by lepiej wtapiał się w mrok. Zdemontowali także wieżyczkę radaru za stanowiskiem sternika, jak również chromowane relingi i kosz dziobowy, żeby nic nie pętało się na radarach straży.

Mieli szczęście przynajmniej do pogody. Wieczorna bryza ustała i morze się wygładziło. Połyskiwało w świetle półksiężyca jak wielka plama oleju. Powietrze było wilgotne, gorące, gęste od soli i jodu. Z daleka, na płycznach, mrugały światła: dwie boje z lewej wyznaczały kraniec Grand Bahama Bank – Wielkiej Ławicy Bahamskiej, światło Lobos Cay połyskiwało w połowie przesmyku między wyspami Bahama a Kubą, po prawej – na zachodzie –

mieli Big Cay i Ram Cay, a na północ – wyspę South Andros. Niewidoczna w ciemnościach Bleak Cay leżała na wprost, w odległości ledwie trzech mil. Świetlna boja wyznaczająca północny cypel wyspy zapalała się co cztery sekundy, potęgując w Stevie uczucie bezsiły. Steve był nowojorczykiem. Nienawidził morza, chyba że było to kąpielisko na Long Island, a prom na Stratton Island był jedyną jednostką pływającą, której potrafił zaufać.

Co innego Bob. Bob był marynarzem, miał opinię znakomitego mechanika i właśnie od godziny grzebał w silniku, Steve zaś mógł tylko cholerować, przeklinać silnik, Boba i w ogóle tych skurwysynów, którzy go w to wplątali.

Przede wszystkim braci de Fonterra, Xaviera i Jose – Kolumbijczyków. Poznał ich kiedyś w prywatnym liceum w Connecticut, gdzie dostał się wygrywając stypendium. Później zrobił magisterium z ekonomii na uniwersytecie nowojorskim. I właśnie wtedy, kiedy zaczynał obiecującą karierę bankowca na Wall Street, znów spotkał braci de Fonterra. Kilka razy zjadł z nimi lunch w restauracji Terry'ego na Czterdziestej Siódmej Ulicy, spędzili razem parę wieczorów w mieście, ale nigdy nie zaprosili go na weekend do siebie. Widać nie zasługiwał. Od czasu do czasu prał dla nich drobne kwoty, ot, ze dwadzieścia, czasami pięćdziesiąt kawałków, mało ważne sprawy, na tyle nieistotne, że nawet nie zadbał o zatarcie śladów.

–Dajcie spokój – protestował, gdy wiceprezes kazał mu przyjść do gabinetu, gdzie czekał już ktoś z Departamentu Skarbu, żeby go przesłuchać. – Znam ich ze szkoły. Xavier studiował w Oxfordzie. Ich stary jest wybitnym sędzią. Hoduje konie. Nie byle jakie, na litość boską.

Agent, szary człowieczek w szarym ubraniu powiedział tylko:

–Pasofinos. – Nie miał żadnych papierów, żadnych dokumentów, wszystko brał z głowy.

–Tak, to racja – musiał przyznać Steve.

Nie wylali go z banku, to znaczy nie od razu. Nie chcieli, by ktokolwiek podejrzewał, że chodzi o poważną sprawę. Przenieśli go tylko do działu obligacji, jakby chodziło o zupełnie zwyczajny ruch wewnątrzbiurowy, ale sześć miesięcy później zwolnili go razem z trzema innymi facetami pod pretekstem planowanej niby

od dawna reorganizacji.

Stracił pół roku szukając posady. Gdy zgłaszał się na rozmowy wstępne, traktowano go uprzejmie, więc nie chciał uwierzyć, że

jednak znalazł się na czarnej liście. Na koniec zwrócił się do kuzyna, który prowadził dział powierniczy w niewielkim banku w Filadelfii. Nigdy nie utrzymywali bliskich kontaktów, ale też nie można powiedzieć, że byli do siebie wrogo nastawieni. Kuzyn nie potrafił ukryć prawdziwych myśli. Zmieszany kręcił nerwowo wiecznym piórem – granatowym watermanem, a jakże – siedząc za biurkiem z nieodłącznym urzędniczym kompletem do pisania. Mruczał coś o kłopotach, bo klimat ekonomiczny nie jest najlepszy, aż wreszcie wykrztusił z siebie prawdę.

–Posłuchaj, Steve, powinieneś chyba spróbować czegoś innego, rozumiesz mnie? Coś na własny rachunek i jeśli mógłbym ci w tym pomóc... – Zadowolony z siebie skurczybyk. Klub uniwersytecki – oczywiście, żona blondynka ustawiona towarzysko, dwójka dzieci, spory dom, w kolonialnym stylu jak należy, z kolumnami, jak należy, BMW 301i, porządnie docierany przez trzydzieści tysięcy kilometrów, dwuletnie volvo station wagon, traktorek do strzyżenia trawnika. Steve miał ochotę go zamordować.

Co właściwie ma robić? Na razie powinien znaleźć tańsze mieszkanie i dokładnie wszystko przemyśleć. Tak więc trzeba będzie sprzedać apartament w Nowym Jorku. Jeśli będzie działał pośpiesznie, straci. Zwrócił się więc do pewnej agentki handlu nieruchomościami, z którą kilka lat temu chodził przez parę miesięcy, a sam wyjechał do Dominikany. Wynajął kawalerkę blisko plaży, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od stolicy, w Boca Chica. Ranki poświęcał na naukę hiszpańskiego, a popołudnia na opalanie, nocami zaś, gdy wszystkie kobiety z całego miasta wylęgały na ulice, jak nietoperz wychodził na łowy. Krążył autem wraz z pewnym Niemcem, którego właśnie poznał, dawali znaki dziewczynom, oceniali je jak owce przeznaczone na ubój. Ta stara, ta za brzydka – oceniali bez skrępowania – co którejś kazali siadać do wozu. Cały ten przeklęty kraj był jednym wielkim burdelem. Oczywiście były w stolicy pewne rodziny, które należały do innego świata, ale wejście do tych kręgów było równie trudne jak włamanie do Fort Knox, ale cała reszta – to zwyczajne kurwy. Dziesięć dolarów za szybki numerek na tylnym siedzeniu. Piętnaście za parę godzin w motelu z pornosem na monitorze, podczas gdy panienska robiła, co jej się kazało. Tak minęły dwa miesiące. Znow nabrał pewności siebie, a apartament w Nowym Jorku poszedł w obce ręce.

Spotkał kilku Kolumbijczyków, którzy przyjechali tu na wakacje. Zapewnienia, że jest zaprzyjaźniony z de Fonterrami, zrobiły na nich piorunujące wrażenie. Nowi przyjaciele opowiadali cuda o wielkich domach Fonterrów, o koniach i hacjendach większych niż cała ta przeklęta Dominikana. Ale kimże właściwie są ci cali Fonterrowie? Latynoskimi kutasami, co złamali mu życie, więc pieprzyć ich. Byli mu jednak coś winni. Steve nie miał zaufania do American Airlines. Zbyt dużą wagę przywiązywano tam do bezpieczeństwa, a podejrzewał, że jego nazwisko może widnieć na jakiejś czarnej liście, co zaalarmuje facetów z DEA, którzy mogą mieć dostęp do spisu pasażerów American Airlines, więc do Bogoty poleciał czarterem za

trzysta dolarów, włączając w to tygodniowy pobyt w hotelu. Stamtąd właśnie zadzwonił do braci de Fonterra, a ci zaraz przysłali limuzynę z kierowcą, miłym starszym facetem o oszronionych skroniach, w starannie odprasowanym garniturze i stosownej czapce mundurowej na głowie. Był bardzo uważający, ale nie pozwolił sobie na żadne pogaduszki.

Steve spodziewał się, że trafi do domu Fonterrów albo do apartamentu w mieście, że z pół tuzina służby wniesie obiad na srebrnej zastawie. Tymczasem samochód zatrzymał się na rogu, w eleganckiej co prawda dzielnicy, i do środka wślizgnął się starszy z braci – Xavier. Najpierw zakręcił szybę oddzielającą miejsca pasażerskie od kierowcy, a potem nastawił głośno radio.

Xavier miał blisko metr osiemdziesiąt wzrostu, był szczupły, wysportowany, świeżo od fryzjera. Ubrany był we flanelowe spodnie marengo z mankietem, tweedową marynarkę z pojedynczym rozcięciem i jedwabną chusteczką od Paisleya w kieszonce, bladoniebieską koszulę w oxfordzkim stylu, bez śladu sztucznego tworzywa, i ciężkie, złote spinki bez żadnego ornamentu. Krawat też oczywiście od Paisleya, mokasyny wypucowane na glanc, że można było się przejrzeć. Krótko mówiąc, prezentował się wytwornie jak brytyjski arystokrata, ale tak bogato, że niewielu brytyjskich arystokratów mogłoby sobie na to pozwolić, zwłaszcza teraz, gdy złodzieje i niekompetentne działania Lloyd'a na rynku ubezpieczeń obrobili ich do nitki. Taki styl trudno jest podrobić, a Xavier wyglądał dokładnie tak jak należy. Tak też się zachowywał, manifestując lekkie zmieszanie związane z różnicą pozycji społecznej.

Najpierw starannie podciągnął spodnie na kolanach, żeby się nie gniotły, a potem przystąpił do rzeczy.

–Nie będę udawał – powiedział – że cieszę się na twój widok, Steve. Sprawileś nam sporo nieprzyjemności. Steve starał się nie okazywać gniewu.

–Ale szmal z narkotyków był wasz – powiedział tylko.

–Narkotyki, kokaina? Wasze, Amerykanów, pojęcie o świecie wynika z waszej przyrodzonej chciwości. Ameryka Łacińska, Bliski Wschód, Daleki Wschód, narkotyki, ropa naftowa i bezbolesne szlaki do duchowego oświecenia.

Steve chciał przerwać, zaprotestować, ale Xavier nie dopuścił go do głosu.

–Chcesz czegoś ode mnie, więc lepiej milcz. Niewielu z was, jankesów, ma poczucie historii. My zaś – de Fonterrowie – mieszkamy od trzystu lat na tej samej ziemi. Myślimy w kategoriach pokoleń. Owszem, niektórzy z nas starali się zrobić coś dla społeczeństwa, ale nie jesteśmy ani głupcami, ani al truistami. Przy trudnościach, jakie przeżywa nasz kraj, i biorąc pod uwagę niepewną atmosferę polityczną, postępujemy racjonalnie, starając się rokrocznie ukryć część naszych dochodów. Skorzystaliśmy z twoich usług, ponieważ chodziliśmy razem do szkoły. Ty jednak byłeś nieostrożny i dlatego wywalono

cię z roboty, skutkiem czego zaczęli nas obwąchiwać faceci z waszej ambasady, mnie zaś samemu na lotnisku Kennedy'ego urządzono rewizję osobistą. Musiałem się rozebrać i w ogóle było to bardzo nieprzyjemne... – Znalazł jakąś nitkę na spodniach z szarej flaneli, zdjął ją ostrożnie i odłożył do czystej jak łza popielniczki. Potem znów zwrócił się do Steve'a: – Dam ci numer telefonu do pewnego człowieka, który zarządzał naszymi plantacjami kawy w pobliżu Medellin, zanim jeszcze wasze pieniądze z handlu narkotykami skorumpowały Kolumbię. Ma opinię kryształowo uczciwego i – o ile się orientuję – potrzebuje trochę kapitału. Jeśli wydawało ci się, Steve, że pierzesz dla nas forszę z narkotyków, to pewnie znajdziesz z nim wspólny język. Czy zadzwonisz do niego, czy nie, to już twoja sprawa.

Pochylił się do przodu, zastukał w szybę, dając znak kierowcy. Ten przyhamował przy krawężniku.

–I jeszcze jedno, Steve. Nie dzwoń do mnie więcej. Nigdy...

Steve przeszedł co najmniej kilometr, nim złapał taksówkę.

Przez całą drogę myślał o dniu, kiedy wyrówna rachunki. Zabije skurwysyna.

Wolno, wolniutko. I będzie śmiał mu się w twarz. Ale z numeru telefonu skorzystał.

Spotkanie odbyło się w przydrożnej kafejce obok stacji benzynowej Texaco, trzydzieści kilometrów za miastem. Steve wynajął skromnego forda. Kręta droga wiodła przez góry. Najpierw biegła między nędznymi chatami, które jak pojemniki na śmiecie przycupnęły na zboczach. Później nędzę Trzeciego Świata przesłoniły drzewa. Kłopot był tylko z ciężarówkami, pędziły jakby nie miały hamulców, a kierowcy nie mogli się zdecydować, która strona szosy należy do nich.

Polecono mu czekać przy stoliku pod rozłożystym drzewem, które ocieniało gliniany taras przed kafejką. Podjechała ubłocona półciężarówka Mitsubishi, z podwójną kabiną pasażerską. Siedziało w niej czterech Kolumbijczyków. Mieli na sobie sprane, mundurowe spodnie khaki, bawełniane koszule z kieszeniami zapiętymi na guziki, ubłocone buty. Trzech z nich trzymało dubeltówki kalibru 12 – ot, wieśniacy-Metysi wracający z polowania.

Na pozór nie działo się nic niezwykłego, ale kierowca nie wyłączył silnika i nie wysiadł z wozu, otworzył tylko drzwi dla przewiewu i cały czas czujnie obserwował drogę. Drugi z trójki zaszedł na stację, sprawdzając co i jak, a potem stanął pod ścianą, by mieć oko na ewentualnych klientów. Trzeci zamówił kawę po drodze do toalety. Ostatni wysiadł szef.

Miał ze czterdzieści pięć lat, twarz mocną, pooraną jak spękany beton zmarszczkami i posturę zapaśnika, któremu brzuch zaczyna wylewać się znad paska. Nogą odsunął krzesło od stolika i dał znak kelnerce, żeby podała kawę.

–Rozumiem, senior, że dysponuje pan pewną kwotą, którą chciałby pan pomnożyć.

–Przydałoby się – potwierdził Steve.

–I że nie ma pan doświadczenia...

–No, cóż...

–I że w przeszłości był pan dość nieostrożny... – Kolumbijczyk wzruszył ramionami. – Niech to będzie nauką, senor, żeby w przyszłości postępować bardziej rozważnie.

Przesunął się nieznacznie na krzesło, gdy pod stację podjechał czarny lincoln. Za kierownicą siedziała kobieta, na oko pięćdziesięcioletnia.

Spostrzegła uzbrojonego człowieka pod ścianą i zmieniła zamiar. Zrezygnowała z tankowania i wolno zawróciła, kierując się do Bogoty. Niska kelnerka, Indianka z obwisłym biustem, przyniosła kawę w malutkiej filiżance z niebieską kreską mniej więcej w jednej trzeciej wysokości licząc od krawędzi naczyńka. Szeff powoli obracał filiżankę palcem na spodeczku, aż ustawił ją w żądanym położeniu. Najpierw sprawdził aromat, a następnie upił łyżek. Kawa widać nie spełniła oczekiwań znawcy, bo wypluł zawartość na ziemię, dokładnie między swoje stopy. Odstawił starannie filiżankę na spodeczek. Wszystko to robił powoli, metodycznie, jak to chłop.

Steve pomyślał, co by to było, gdyby Metys musiał przejść przez ulicę w Nowym Jorku.

Nie odrywając wzroku od szosy, szef zaczął mówić:

–Będzie panu potrzebny dom na Bahamach, senor. Spokojne miejsce na jednej z mniej zatłoczonych wysp. Także szybka łódź, malowana na białą, łatwa do zamaskowania. Jest pan młody, więc będzie pan musiał gdzieś pracować, bo inaczej ludzie zaczną coś podejrzewać.

Miał więc być pośrednikiem, ale też i ogniwem, na którym urywa się ślad. Będzie podejmował towar. Oni zaś będą go pilnie obserwować przez czterdzieści osiem godzin przed zapowiedzianą dostawą. W zamian będą inwestować po pięćdziesiąt tysięcy jego własnych papierów w każdy transport, z gwarantowanym zyskiem tysiąca procent.

Południowy upał i wilgoć wywoływały senność. Kolumbijczyk mówił monotonnym głosem, wypranym z emocji. Formułował dokładne i szczegółowe instrukcje. Steve przymknął na chwilę powieki. Kolumbijczyk syknął jak żmija i chwycił go za rękę.

–Mówimy o poważnych interesach, senor, wolałbym, żeby pan na mnie patrzył. – Jego wzrok niczego nie wyrażał. Uśmiechał się łagodnie. – I żadnych pomyłek, senor – dodał, stukając Steve'a lekko w skroń. – Skończył pan przecież szkoły. Niech pan pamięta, trzeba cały czas myśleć. Cały czas – powtórzył, kiwając głową, jakby sam siebie w czymś upewniał. – Tylko o to pana proszę, żeby pan myślał i był wobec mnie uczciwy, senor. Niech pan się zastanowi i powie, czy to jest możliwe. – Nagle wbił długi paznokieć w nadgarstek Steve'a. – Rozumie pan? –Jasne – burknął Steve. Oto jeszcze jeden nienawistny facet. Ale oczywiście zgodził się, a teraz cała ta przeklęta sprawa

zaczęła się rypać. Opanował go taki lęk, że wychylił się za burtę i wymiotował.
Potem zaklął i łupnął pięścią w pokład z laminatu.

–Hej, uspokój się – ostrzegł Bob nie podnosząc głowy. –

Nocą dźwięk niesie się po wodzie.

–I co z tego?,

–Jeśli nie będziemy na Bleak Cay razem z samolotem, poderżną
nam nasze pieprzone gardła.

Vincente bał się tego, czego się podjął. Nie, nie chodziło o to, czy starczy mu umiejętności, był przecież profesjonalistą. Bał się natomiast, że w tym locie straci duszę. Miał dwadzieścia osiem lat, był szczupły, przystojny, z grzywą kręconych włosów, równie czarnych jak oczy. Należał do jednej z tych rodzin, które w Kolumbii nazywają „Chini” – w ich żyłach nie ma kropli indiańskiej krwi. Chini to wielcy posiadacze ziemscy, jak de Fonterrowie, Casasnuevowie czy Vallerowie, którzy osiadali w Kolumbii jeszcze w siedemnastym wieku. Do Chini należą także wielkie rody bankierskie – Cabrerowie i Tur del Montesowie. Są jeszcze inni, tacy jak właśnie rodzina Vincente'a, którzy przybywali do Kolumbii w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, dumni ze swojej pozycji. Z nich to wywodzą się wybitni przedstawiciele wolnych zawodów: lekarze, inżynierowie, audytorzy. Vincente był pilotem wodnopławca. Utalentowanym lotnikiem.

Od trzech lat pracował pośrednio dla Stanów Zjednoczonych. Rozpylał defolianty nad plantacjami krzewów koki. Latał własnym samolotem. Za lotniska służyły mu górskie jeziora położone trzy tysiące i więcej metrów nad poziomem morza. Występowały tam nagle szkwały, które bez żadnego ostrzeżenia zaczynały wiać od gór, przez co każdy start i każde lądowanie groziły katastrofą.

Równie niebezpieczne było samo rozpylanie defoliantów. Plantacje kryły się na niewielkich polanach wśród dżungli. Vincente musiał latać tuż nad szczytami drzew, aby środek chemiczny rozkładał się właściwie. Samolotem rzucało, gdy wpadał w dziury powietrzne albo przeciwnie – trafiał na komin, gdzie powietrze pędziło do góry. DEA korzystało najpierw ze swoich pilotów i własnych, wielkich śmigłowców, ale było to i kosztowne, i niebezpieczne, więc wynajęto miejscowy personel. Jeśli bowiem zginie jakiś Kolumbijczyk, to nikogo w Stanach to nie poruszy, gdyby zaś zginął obywatel USA, to podniósłby się wrzask i cała operacja znalazłaby się pod znakiem zapytania.

Narzeczona Vincente'a z trudem wytrzymywała stały niepokój o jego życie i pewnie dlatego odmawiała ustalenia daty ślubu. A w ogóle to nie podobało jej się, że Vincente pracuje dla DEA. Nie życzyła sobie, aby zadawał się z jankesami w jakikolwiek sposób.

Skończyła historię na uniwersytecie Cartagena i, jak to młoda studentka, miała wielce rozbudzoną świadomość społeczną. Godzinami mogła cytować wszystkie zbrodnie, jakich Stany Zjednoczone dopuściły się względem sąsiadów w Ameryce Łacińskiej – od spustoszenia i zaboru Nowego Meksyku i południowej części Teksasu, po poparcie, jakie Waszyngton okazał Brytyjczykom w wojnie o Falklandy, przy czym, w tym ostatnim przypadku, używała zawsze hiszpańskiej nazwy wysp – Malwiny. Małżeństwo ze służą zbrodniarzy raczej więc wykluczała.

–Płacą ci połowę tego co swoim, bo uważają cię za gorszego – mówiła. – Powinieneś się wstydić, mój drogi.

Osiłkowaty Metys, który go kiedyś zaczepił, doskonale znał jej stanowisko. Do spotkania doszło w przydrożnej kafejce obok pensjonatu, w którym Vincente pomieszkiwał w czasie jednej z tur rozpylania. Zachodzące słońce malowało złotem

bielone ściany i blaszane dachy wioski przycupniętej na górskim zboczu. Metys siedział przy sąsiednim stoliku, plecami do ściany. Był w średnim wieku, wyglądał na rolnika. Świadczyły o tym wielkie, spracowane na brunatnej ziemi dłonie. Brunatne jak ziemia było też jego odzienie. Mówił cicho, z indiańskim spokojem, monotonnie, tak że zrazu Vincente uznał, że Metys przemawia do siebie.

–Oto pilot, który lata z górskich jezior. Dla jankesów. Młody, ale zna się na rzeczy. Tak przynajmniej powiadają. Nawet jankesi podziwiają jego umiejętności. Są jednak ludzie, którzy mają go za zdrajcę. Czy to prawda? – mówił to z troską i smutkiem, jak nauczyciel, który pochyla się nad krnąbrnym uczniem, ale też ze spokojem filozofa.

–Ludzie z wiosek skarżą się – ciągnął tym samym tonem – że ów pilot zatruwa ziemię i odbiera im zarobek. Mówią, że od chemikaliów chorują dzieci, te zaś, co przychodzą ledwie na świat, mają dziwne kształty. Powiadają, że krowy tracą mleko, że liście opadają z drzew, a drzewa usychają. Tak mówią – kiwał głową, jakby potakiwał, wysunął dolną wargę, przez co na twarzy pojawił się wyraz zdziwienia, i ciągnął dalej swoją litanie.

–Nawet jego najbliżsi tak powiadają... Mówią też, że jest właścicielem samolotu. To prawda, ale też część należy do banku. Nie jest to jednak aż tak wielka część, aby musiał nadal służyć Amerykanom z północy. Prawdą jest też, że dał słowo w banku, że zostanie przy Amerykanach, aż spłaci dług. Mówią, że martwi się, że bank mógłby zabrać dom rodziców. Są ludzie, którzy szanują go właśnie za to, że troska się o rodziców. Powiadają, że ktoś wpływowym mógłby porozmawiać z bankiem, żeby pilot nie musiał się troskać – i znów kiwnął głową.

–Jeszcze inni mówią, że byłoby najlepiej, gdyby młody lotnik po prostu spłacił dług w banku, bo tylko wtedy nie będzie musiał się martwić. Powiadają też, że można by użyć samolotu w innych celach, w taki sposób, żeby służył jego rodakom, a nie tyranom. Powiadają nawet, że wystarczy jeden lot, aby spłacić wszystko, co trzeba. I nie byłby to niebezpieczny lot, przynajmniej dla kogoś tak doświadczonego jak on... Wcale nie chodzi o lot do Stanów Zjednoczonych, co zawsze jest niebezpieczne, ale na jedną z wysp, zaraz za Kubą...

Tak jak na górskich jeziorach o nadejściu szkwału ostrzegało go kołysanie drzew i podnoszące się fale, tak teraz o niebezpieczeństwie ostrzegał go wzniesiony ku górze palec Metysa. Obejrzał się. Zobaczył młodego człowieka, wieśniaka pewnie, który stał pod latarnią na pobliskim skrzyżowaniu. Ktoś jakby drzemał wsparty o kabinę terenowego mitsubishi po drugiej stronie drogi.

Czuł wzrastające napięcie, a Metys nie przerywał swego gładzenia:

–Mówią, że samolot jest ubezpieczony. Gdyby coś się stało, bank odzyska swoje pieniądze, ale nie wiadomo, czy i jemu coś

wyplacą, aby mógł kupić nową maszynę. Nie wiadomo też, czy na tę nową dostałby ubezpieczenie.

Zza rogu wyjechał czerwony kabriolet Camaro. Z głośnika pobrzmiwała głośna salsa. Za kierownicą siedział młody człowiek, znajomy Vincente'a ze szkoły lotniczej. Mieszkał w Bogocie

i nie było powodu, żeby raptem, o zachodzie słońca, zjawiał się w tym zapadłym kącie. Zauważył Vincente'a, machnął przyjaźnie ręką i pomknął dalej, omijając wiekową ciężarówkę pełną worków ze świeżymi ziarnami kawy.

–Zabawki – mruknął Metys, gdy czerwony kabriolet zniknął za rogiem. – Mężczyźni powinni dbać o ważniejsze sprawy: ziemię, dom, dobrą szkołę dla dzieci...

Vincente nie wierzył w przypadkowe zbiegi okoliczności. Wiele już razy zwracano się do niego z podobnymi sugestiami. Czynili to na ogół ludzie z jego własnego kręgu, zawsze z uśmiechem i niby żartem, dając mu wybór, czy sprawę ma potraktować właśnie jak żart, czy poważnie. Teraz było inaczej, groźbę i kuszącą propozycję ubrano w monotony, ale systematyczny wykład.

Indianin w kolorowym poncho i przepoconym kapeluszu słomkowym pędził drogą stadko jucznych osłów. Zwierzęta stuknęły kopytami o bruk. Za Indianinem podążał skundlony owczarek z wywieszonym ozorem.

Mucha przysiadła na krawędzi filiżanki, z której Metys popijał kawę. Indianin westchnął ciężko, wsunął pięciopesetowy banknot pod spodeczek, odsunął krzesło i wstał ociężale jak sterany człowiek, przeciągnął się i ciężkim krokiem ruszył przez ulicę do półciężarówki Mitsubishi. Od stolika obok też się ktoś podniósł i poszedł śladem Metysa. Razem było ich czterech solidnie zbudowanych mężczyzn.

Vincente też zapłacił i skierował się do szopy na tyłach pensjonatu, gdzie trzymał swego starego dżipa. Jezioro leżało około dwudziestu kilometrów za miasteczkiem. Ubity trakt, który wiódł wąwozem w górę, wyglądał jak zaorany. Kiedy dojechał do bazy, zaraz podszedł do niego jeden z Amerykanów.

–Głupia sprawa, tak mi przykro, Vinc, ale ktoś podpalił tę twoją cholerną maszynę.

Ruszyli razem nad jezioro. Vincente zdążył się opanować, zanim dotarli do bazy DEA. Był to niewielki obóz, wszystkiego sześć prefabrykowanych baraków wzniesionych na polanach nad brzegiem jeziora. Zaczęło mżyć. Deszcz niósł woń butwiejących liści i mieszał ją z pachnącym świeżością, chłodnym powietrzem z gór. Krople deszczu spływały z drzew, bębniły o dwie przyczepy kempingowe Airstream, w których agenci DEA zainstalowali swoje biuro, i wypełniały jeziorkami załamania plandeki okrywającej beczki z paliwem po jednej stronie obozu i pojemniki z defoliantem, okolone żelaznym parkanem malowanym minią – po drugiej stronie bazy.

Na jeziorze, sto metrów od brzegu, resztki dwóch pływaków wodnopłatu przebijały przez zasłonę mżawki. Tylko one i czerwona boja kotwiczna.

Dwudziestu paru Kolumbijczyków i dwóch Amerykanów stało nad wodą w

deszczu, wyglądali jak żałobnicy na pogrzebie. Vincente przysiadł na skraju plaży i patrzył na gonitwę dwóch mew. Wiatr wzburzał czarną powierzchnię jeziora, świszcząc w koronach drzew, osłaniających przeciwległe zbocze, i pędził ołowiane chmury nad szczytem.

Po chwili został sam. Resztki pływaków wyglądały na falach jak para harczących delfinów. Nie chciał obwiniać rodaków o to, co się stało. Łatwiej było nie pamiętać o Metysie i jego groźbach. Myślał raczej o zdradzieckiej truciznie – defoliantcie – którą deszcz zmywa z drzew, niesie strumykami do potoków, a potokami do rzek. To samo amerykańskie wojska zrobiły w Wietnamie. Oszuści, cyganie – zostawiają za sobą śmietnik, a sami idą dalej.

Od strony baraku, który służył za biuro, rozległy się kroki. Starszy z Amerykanów, wielki mężczyzna o nalanej, czerwonej twarzy, tłustawy, łatwo się pocił. Miał jakieś imię, dwa nawet, ale wszyscy wołali nań Anderson. Spędził wiele lat w buszu, na odludziu, i nie pamiętał już, gdzie jest dom. Miłości poszukiwał w tanich burdelach. Był prostym człowiekiem, mówił krótko, Vincente nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek widział go z książką w ręku. Nienawidził papierków, ale jednak wystukał na maszynie pismo do kompanii ubezpieczeniowej. Usiadł obok, na piasku, podciągnął stopy, wsparł brzuch na udach. Deszcz rozmywał krople potu na jego twarzy.

Nad jeziorem przemknął szary dzięcioł. Z daleka dobiegło ujadanie psa.

–Przykro mi, Vin – powiedział podając Vincente'owi kopertę.

–No cóż, nie podobają im się defolianty – wzruszył ramionami Vincente.

–Właśnie. – Anderson podniósł kamyk, rzucił z rozmachem do wody.

Przez chwilę obaj mężczyźni patrzyli na rozchodzące się koncentrycznie kręgi. Gdy pierwszy z nich rozlał się falą na brzegu, Amerykanin mruknął, jakby dumny z wyczynu, choć może nie.

–Kurwa – rzekł po chwili – tak to już bywa.

Mieli niewiele ze sobą wspólnego, ale Vincente polubił Andersona.

Lubił go za lojalność, bo rzeczywiście był lojalny wobec ludzi, z którymi przyszło mu pracować, może nawet zbyt lojalny, a to wcale nie odbijało się korzystnie na jego karierze. Tak to często bywa z Amerykanami za granicą.

Vincente wrócił do pensjonatu. Spakował rzeczy i poszedł zatelefonować do banku i kompanii ubezpieczeniowej. Nie miał siły ani chęci jechać do Bogoty, a co dopiero stawać przed obliczem rodziców, a zwłaszcza narzeczonej. Usiadł po prostu na tarasie od ulicy i czekał. Wiedział, na co czeka. Była piąta, gdy terenowym mitsubishi zajechał jeden z czterech Metysów. Zaparkował po drugiej stronie ulicy.

Pół godziny później służbowym pikapem Cherokee zajechał Anderson. Wskoczył spieszenie z wozu, złapał Vincente'a za rękę.

–O rany, Vin – zaczął. – Bałem się, że już ciebie nie zastanę.

Dostałem właśnie sygnał przez radio od jednego z naszych w Miami.

Pytał się, czy mam kogoś, kto reflektowałby na wodnopławiec Beaver. Urząd celny wystawia go właśnie na licytację. Podobno

maszyna jest w znakomitym stanie.

Anderson cieszył się jak dziecko na kinderbalu. Krzesło zaskrzypiało, gdy ciężko rozsiadał się obok lotnika.

–O Boże! – jęknął. – Marzę o piwie. Bebechy mi wykręca na tych górskich drogach. Bien fria, senorita! – zawołał, żeby podano dwie butelki miejscowego castello. – Powiedziałem mu, że może licytować do dwudziestu kafli – powiedział jakby zawstydzony – bo tyle mam oszczędności w banku. Spłacisz, kiedy dostaniesz szmal z ubezpieczenia i w ogóle wyprostujesz swoje sprawy. – Miał już wszystko rozpisane na skrawku papieru. Nie lubił wyrazów wdzięczności. Zawsze go to krępowało, więc dokończył piwo paroma wielkimi łykami i podniósł się z miejsca. – Muszę już lecieć. Uważaj na siebie.

Vincente wiedział, że Anderson nie należy do spisku, i świadomość tego sprawiła mu przykrość, ale też nie miał do nikogo pretensji. Po prostu kwoty, które wchodziły w grę, były zbyt duże. Począł, aż cherokee zniknie za rogim, i przeszedł przez ulicę. Zabębnił palcami w szoferkę mitsubishi.

Minął miesiąc i oto ma zacząć spłacać dług.

De havilland beaver był wspaniałą maszyną, a noc też była wspaniała. Pogoda bezwietrzna, znakomita widoczność na całych Karaibach. Wylatując z Kolumbii wziął kurs prosto na Port-au-Prince

na Haiti, potem wzdłuż południowego brzegu Kuby skręcił na zachód, zostawił z boku amerykańską bazę wojskową Guantanamo, przemknął ponad szczytami Sierra Maestre, skręcił na północ, obniżył lot i nad przesmyk oddzielający Kubę od wysp Bahama wyszedł na niskim pułapie, niespełna dwudziestu metrów. Przed sobą miał świetlną boję Bleak Cay. Lada moment komitet powitalny da sygnał latarką, gdzie powinien wodować.

Była to już dziewiętnasta wyprawa Jacketa na Bleak Cay w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Jeszcze jedna sprzyjająca noc i zbiera tyle, ile trzeba, żeby kupić mamie prezent na urodziny. Nie dostawała prezentów, od kiedy ojciec Jacketa uciekł do Stanów, a przynajmniej Jacket niczego takiego nie pamiętał.

Wydmy zasłaniały widok na boję wyznaczającą kraniec cypla Bleak Cay, ale widać było poświatę. Boję zakotwiczono w miejscu, gdzie kończyła się rafa, i podczas odpływu wynurzała się na powierzchnię oceanu. Gdy wiał wiatr, rafę omywały fale i homary kryły się w jej zakamarkach. W spokojne noce wylaziły z nor i ruszały na żer na lagunę. Podczas odpływu w lagunie zostawało ledwie trzy metry wody i w świetle lampy gazowej widać było całe dno i oczywiście raki. Bywało, że wiedzione jakimś instynktem, maszerowały gęsiego, jeden za drugim w tym samym kierunku i kiedyś, taką właśnie nocą, Jacket złapał trzydzieści sztuk w ciągu zaledwie godziny, same półtorafuntowe. Dummy zawiózł zdobycz na sprzedaż do Szmaragdowych Palm – eleganckiego kurortu niedaleko miasta Congo Town.

Jacket pchał wiosła rytmicznie, krótko, tak jak uczył go Dummy. Po półtorej godzinie dotarł do rafy. Jedyne przesmyk, który wiódł przez koralowce na lagunę, był kręty i płytki. Łódź z dwoma dorosłymi wiosłarzami w ogóle by się tu nie zmieściła. Jacket znał drogę na pamięć. Zaraz po drugiej stronie rafy, na lagunie, skręcił na południe, płynął wzdłuż koralowca, aż do miejsca, gdzie rafa wznosiła się ukosem nad powierzchnię wody niby wielkie schody zwrócone ku wyspie.

Pozwolił, żeby łódź zdryfowała kilka metrów, nim rzucił za burtę spory kamień na linie, który pełnił funkcję kotwicy. Woda była ciemna i odpychająca, ale potwory kryjące się w odmęcie żyły tylko w jego wyobraźni. Opowiadał o nich Dummy'emu, odgrywał całe sceny, gdy ze starcem wybierali się na ryby. Stary tylko popiskiwał wtedy cienkim głosem, nie potrafiąc się wysłowić inaczej.

Na ostatnie Boże Narodzenie Dummy zmajstrował Jacketowi dziesięciofuntowy ołowiany ciężarek z uchwytem. Jacket uniósł go teraz na burtę. Odmierzył z sześć metrów lekkiej linki. Napluł na szybkę maski i splukał ją wodą zza burty, żeby nie potniała pod wodą. Maską była stara, guma sparciała i do wnętrza sączyła się woda, ale mama zaczęłaby coś podejrzewać, gdyby sprawił sobie nową.

Wytarł ręce o spodnie, odkręcił zawór na zbiorniku z gazem i przystawił zapalniczkę do lampy. Wokół zrobiło się jasno. Snop światła padł na rafę i rozświetlił piasek na dnie. Oblany światłem skorupiak zamarł w miejscu.

Jacket naciągnął na dłoń starą skarpetkę, dla bezpieczeństwa zawinał ją podwójnie, nasunął maskę na oczy, uniósł ołowiany ciężarek i wskoczył do wody, pozwalając, by ołów pociągnął go na dno. Chwycił skorupiak tuż za szczypcami, upuścił ciężarek i wypłynął na powierzchnię. Homar wylądował w skrzynce na ryby pod środkową ławką. Jacket podniósł ciężarek na linie i znów umieścił go na burcie.

W zasięgu lampy nie było innych raków, więc nieco uniósł kotwiczny kamień, pozwalając, żeby łódź zdryfowała z prądem. Mniej więcej pięćdziesiąt metrów od rafy dostrzegł cały orszak skorupiaków, ze czterdzieści, a może pięćdziesiąt, szły jak w procesji, jeden za drugim. Nigdy nie widział tylu wielkich homarów naraz. Z

podniecenia aż się zakrztusił. Z daleka dobiegł warkot awionetki.

Steve też usłyszał warkot silnika dobiegający od południa.

–Na litość boską, zrób coś – ponaglił Boba.

–Robię – warknął Bob w odpowiedzi – remontuję silnik.

Mówiłem, żeby poczekać, nie śpieszyć się, aż wszystko sprawdzę.

Uprzedzałem cię, że zawory są przepracowane. Mogliśmy kupić coś innego.

Bob był rówieśnikiem Steve'a, ale wyglądał znacznie potężniej.

Poznali się pewnej niedzieli na Long Island, gdy w należącym do Steve'a jaguarze z rozkładanym dachem nawalił gaźnik i gdy właśnie rzuciła go dziewczyna. Nikt ze współmieszkańców domku na plaży palcem nie ruszył w sprawie dziewczyny, ale powiedziano mu, że w pobliżu na przystani jest pewien facet, Bob, który zna się na silnikach i w ogóle jest w porządku. Miły człowiek, zawsze chętny do pomocy.

Wszyscy uważali, że Bob to przyzwoity facet, akuratywny, taki, co to sprawdzi każdą śrubkę. I właśnie dlatego kierownik przystani wyrzucił go, bo przy tempie pracy Boba stawka za robociznę sięgała sum, których nie zaakceptowałyby żaden klient.

Od tego czasu Bob żył z fuch. Nadal chętnie wszystkim pomagał, co w sumie było dlań źródłem nieustannych kłopotów. Kiedyś pewien dziany facet, którego szofer właśnie zachorował, zatrudnił w jego zastępstwie Boba. Chodziło o prostą sprawę: należało pojechać mercedesem na lotnisko Kennedy'ego w Nowym Jorku po gościa z Niemiec.

–To ważna dla mnie sprawa, Bob – uprzedzał właściciel mercedesa. – Ubierz się przyzwoicie i bądź na lotnisku półtorej godziny wcześniej.

Bob wyruszył w stosownym czasie, a jakże, ale po drodze postanowił pomóc pewnej starszej damie, której ford odmówił posłuszeństwa. Baba nie miała pieniędzy, żeby wezwać pogotowie techniczne, więc Bob, jak to on, sam zaczął grzebać pod maską. Zajęło mu to trzy godziny. W efekcie zjawił się na lotnisku spóźniony o dobrą godzinę, umorusany jak nieboskie stworzenie. Tapicerka wytwornego mercedesa też wyglądała niekoniecznie. Taki właśnie był Bob. I jeszcze jedno – palił trawkę.

Właśnie przez tę trawkę Steve postanowił go podejść. Potrzebny był mu fachman, co znał się na łodziach i silnikach. Ktoś, kto pali maryskę, a przy tym zna się na łodziach i silnikach, był naturalnym kandydatem do interesu. A teraz Steve stał w kokpicie i oburącz ścisnął mocno reling, bo inaczej dałby facetowi po mordzie.

–Ten pieprzony samolot już nadlatuje. Co, u kurwy nędzy, mamy zrobić?

–Daj mu sygnał latarką albo co – poradził Bob – żeby wiedział, że zaraz będziemy na miejscu. Jeszcze tylko założę głowicę, dopasuję resztę i już. Małe pół godziny.

O małej półgodzinie Boba można było opowiadać legendy.

–A co pilot miałby przez ten czas robić, zataczać kręgi? –

spytał Steve, ale poszedł na dziób, żeby skierować reflektor w stronę południa.

Jeśli nie zobaczy światła nawigacyjnych, będzie wiedział, że to właśnie ten samolot,

o który chodzi.

–Laguna jest gładka jak stół – zapewniał Metys Vincente'a. – Od boi do raf jest czterysta metrów. Nasz człowiek zapali światło na rafie dokładnie naprzeciwko boi. Nocami wieje tam bryza z północy, więc światło oznaczać będzie początek strefy wodowania. Trzeba zejść jak najniżej i siadać zaraz za światłem, im bliżej rafy, tym będziesz miał więcej miejsca.

Wciągnęli go szantażem w to wszystko właśnie dlatego, że był dobrym pilotem. Już on im pokaże jakim. Pchnął lekko stery i położył maszynę w skręt. Na północy błysnął silny reflektor, zapewne straż wybrzeża, ale przecież mówiono mu, że wejście na lagunę jest za płytkie dla kutrów straży, więc nie ma się co przejmować, a to co będzie się działo potem, kiedy już przekaże ładunek, to nie jego sprawa.

Vincente skorygował kurs, tak aby lampa i boja znalazły się na jednej linii, i zszedł na siedemdziesiąt metrów. Miał na oczach nocne gogle. Zmrużył nieco powieki, chroniąc wzrok przed blaskiem lampy. Wiedział, że maszyna przejdzie parę centymetrów nad lampą i łodzią, w której czeka komitet powitalny, i uśmiechnął się do siebie na myśl, że pewnie padną plackiem na dno łódki, bojąc się śmigła. Zesrają się ze strachu i dobrze im tak.

Steve włączył reflektor. Usłyszał, że samolot zawraca. Wyraźnie zmienił się ton silnika.

–Siada – stwierdził Bob.

Dostawało mu się więcej przekleństw w ciągu roku niż innym przez całe życie, jednak nie psuło mu to wcale nastroju. Przypuszczalnie dlatego powiadano, że Bob to miły facet.

–Pilotowi dali pewnie wszystkie namiary. Jest księżyc, noc jasna, więc da sobie radę – mruknął.

Widzieli z daleka błyski boi na cyplu Bleak Cay, nie mogli jednak widzieć zasłoniętej rafą latarni Jacketa.

Takiego połowu Jacket jeszcze nie miał. Wrzucając homary do skrzynki obliczał, ile to będzie dolarów i jaki kupi prezent. Od ponad roku o tym marzył. Teraz, gdy marzenie miało się ziścić, odczuł dziwną pustkę, jakby spełnienie pragnień miało go rozczarować.

Bleak Cay jawiła się w świetle księżyca jak czarna plama. Lampa komitetu powitalnego gorzała jasno pośrodku rafy. Vin-

=brak str 34-35

Jacket wynurzał się właśnie na powierzchnię, kiedy wielki latający potwór zasłonił księżyc. Wrażenie było tak wielkie, że nie opanował pęcherza. Bezwiednie zaczął się modlić. I oto rozległ się huk i trzask łamiącego się metalu – wielki potwór uderzył w rafa.

Zawisł na chwilę na koralowcu. Usterzony ogon na mgnienie przysłonił światło boi na Bleak Cay i zaczął zsuwać się w otchłań. Jacket kurczowo trzymał się burty, dygotał, całe jego drobne ciało drżało z przerażenia. Trwało to chwilę, chwilę długą jak wieczność. Poczłł wstyd. W samolocie musiał być co najmniej jeden człowiek. Jacket wymacał stopą pętlę na linie kotwicznej i wspiął się na łódkę. Pośpiech był teraz najważniejszy, ale chłopak był ostrożny i rozważny. Starannie zwił linę podnosząc kotwicę.

Naparł całym ciałem na wiosła. Najważniejsze to rozruszać ciężką łódkę, potem pójdzie już łatwiej. Liczył w myślach uderzenia, chcąc w ten sposób uspokoić rozdygotane nerwy. Tego zwyczaju nabrał przez wszystkie lata samotności po odejściu ojca. Z doświadczenia wiedział, bo ze dwa razy miał wywrotkę pod żaglami, że pod odwróconym dnem zostaje warstwa powietrza, liczył więc na taką powietrzną poduszkę w kabine zatopionej maszyny. Może wystarczy, żeby uratował się i pilot, i pasażerowie. Niepokoił się tylko, widząc, jak z wraku gęsto płyną srebrzyste bąble powietrza. Śpieszył się i przez nieuwagę otarł burtą o koralowiec.

Skierował łódkę na drugą stronę zanurzonej maszyny, aby padał na nią snop światła z gazowej lampy. To był najgorszy moment. Powietrze ciągle dobywało się z wraku, kil łodzi z chrzęstem

ocierał się o metal. Ale udało się. Był na miejscu, wyrzucił za burtę kotwiczny kamień.

Wziął łom, który Dummy trzymał wśród narzędzi, i ześlizgnął się do wody. W pośpiechu zapomniał o masce i szkło pokryła cienka warstwa pary. Zdjął więc maskę i przemył ją. Samolot leżał przewrócony brzuchem do góry. Pływaki rozdarły od uderzenia o skałę, podwozie odpadło. Jedno skrzydło złamane, drugie sterczało ku górze jak wielka płetwa. Silnik odpadł od kadłuba. Śmigło strzaskane.

Jacket zanurkował. Złapał za kraniec skrzydła i zaczął zsuwać się w dół. Woda w kabine sięgała połowy jej wysokości, resztę wypełniało powietrze. W środku był tylko pilot. Zwił głową w dół na uprząży, po ramiona w wodzie. Jacket pociągnął za klamkę, ale ciśnienie wody było zbyt duże i drzwi ani drgnęły. Ze wszystkich sił starał się zachować spokój. Wyłamał łomem boczne okienko. Woda wtargnęła do środka. Brakowało mu już powietrza, więc nie mógł czekać, aż ciśnienie się wyrówna. Palilo go w płucach.

Pomknął na powierzchnię. Nabrał wielki haust powietrza i znów zanurkował. Tym razem udało mu się otworzyć okno. Wcisnął głowę i ramiona do wnętrza i sięgnął do uprząży, by uwolnić pilota. Zrazu majstrował bez skutku, nie wiedząc, jak funkcjonują zapięcia. Po chwili udało się. Pilot zanurzył się głębiej w wodę. Serce Jacketa waliło jak młot, płuca pękały z wysiłku, łzy przysłaniały widok. Chwycił pilota za ramiona i pociągnął z całej siły. Chciał mu unieść głowę nad wodę, tam, gdzie pod sklepieniem

kabiny zatrzymała się warstwa powietrza. Nie dał jednak rady.

Znów pomknął na powierzchnię. Przez chwilę odpoczywał, ciężko dysząc. Musiał przewietrzyć płuca, ale też musiał znów zanurkować. Ogarnął go wstyd, że nie pomyślał wcześniej, że przecież może skorzystać z poduszki powietrznej w kabynie. Uniósł maskę, usuwając wodę, która przeniknęła przez nieszczelności, i znów zszedł na dno trzymając się skrzydła. Łomem otworzył okno z drugiej strony kabiny. Bał się, że jak już wpłynie do kabiny, to znajdzie się w pułapce, ale zmusił się do działania. Chwycił pilota pod ramiona i uniósł go nad wodę. Głowa lotnika bezwładnie opadła na piersi, z rany na czole nie spływała krew. Oczy miał otwarte, ale wzrok pusty, bez życia.

Jacket chciał go uderzyć, zaklinał i błagał w myślach, aby wrócił do życia. To nie było sprawiedliwe! Łkał trzymając pilota

w ramionach, a głowa lotnika kiwała się bezwolnie na boki, jak łeb kurczaka, któremu właśnie skręcono kark.

Nie wiedział już, czy to ktoś obcy, czy ojciec. W podnieczonej wyobraźni pilot i ojciec stali się jednym. Jacket wylał całe morze łez z żalu i poczucia winy, gdy wyobrażał sobie śmierć ojca. Myślał zaś czasami, że ojciec nie żyje. Tak było lepiej, gdyby bowiem żył, oznaczałoby to, że po prostu nie kocha syna albo nie tak kocha, jak Jacket by chciał.

Nie mógł więc porzucić pilota.

Ułożył go na boku, obracał bezwładne ciało tak, aby głowę i ramiona skierować ku drzwiom. Z niewiedzy albo przypadkiem Jacket otworzył zawór żółtej kamizelki ratunkowej. Powietrze z sykiem wypełniło podkowę. Przerażony chłopak puścił ciało i pomknął na powierzchnię.

Stracił sporo czasu, próbując przerzucić ciało lotnika przez burtę do łodzi. Nie dał rady. Zrezygnował więc i doholował pilota na brzeg. Z wysiłkiem wyciągnął go na piasek, daleko poza zasięg przyływu. Przykucnął nad ciałem, nie mając pojęcia, co robić dalej. A coś trzeba było zrobić.

Wślizgnął się do wody i popłynął do wraku samolotu. Zanurkował do kabiny. Pod warstwą powietrza unosiła się na wodzie mała skórzana saszetka, taką samą mormońscy misjonarze przytracząją sobie do rowerów. Za siedzeniem pilota stały dwa rzędy metalowych pojemników. Jacket zajął się najpierw saszetką. Zabrał ją z kabiny i wrzucił do łodzi.

Odpoczywał chwilę przy burcie. Gazowa lampa paliła się z sykiem, który z bliska był głośniejszy niż uderzenia fal o rafę. Z położenia księżyca zorientował się, że od katastrofy minęło pół godziny. Powinien wracać do domu, zanim matka się obudzi.

W metalowych pojemnikach było pewnie coś cennego. Należały do pilota, do jego rodziny, żony i syna. Jacket pomyślał o matce. Wstydziła się nędzy i dlatego nigdy nikogo nie zapraszała do chaty.

Zanurkował i uwolnił pudełka z przytrzymujących je sznurów. Wszystkie były jednakowe: kwadratowe, trzydzieści na trzydzieści centymetrów, wysokie na czterdzieści pięć. Wieka zabezpieczono mocną taśmą samoprzylepną. Uniósł jedno i spróbował dopłynąć z nim do łodzi. Pojemnik był jednak za ciężki. Zostawił go.

Wyłynął na powierzchnię, odwiązał linkę od ołowianego ciężarka i znów zanurkował. Oplótł metalowe pudło dwukrotnie linką, zamocował węzłem, którego nauczył się od Dummy'ego – podwójną wyblinką, jak powiedział mu kiedyś pewien Anglik, żeglarz z jachtu.

Razem było dwadzieścia pojemników i minęło kolejne pół godziny, nim Jacket załadował je do łodzi. Gdy wszystko już było gotowe, zgasił lampę gazową. Z dodatkowym ładunkiem nie zdołałby przepłynąć przez płyciznę nad rafą, powiosłował więc ku brzegowi i wyładował je na plaży. Metal jak lustro odbijał światło, w świetle dnia ktoś mógłby odkryć skarb.

Jacket był wyczerpany, a miał przed sobą jeszcze cztery mile wiosłowania i coraz mniej czasu. Usiłował nie patrzeć na pilota, ale na próżno. Powłókł się plażą, szukając dobrej kryjówki dla ładunku.

Bleak Cay to martwa piaszczysta wysepka, łacha w istocie, długa na mniej więcej kilometr, szeroka na sto metrów. Tu i ówdzie przez piach prześwieca koralowe podłoże. Miejscami, gdzie piasku jest więcej, pienia się kępy nędznych traw. Najłatwiej byłoby ukryć pojemniki w morzu. Chciał już to zrobić, ale zdał sobie sprawę, że każdy, kto wpłynąłby na lagunę, dostrzegłby je na morskim dnie. Na koniec natrafił na zagłębienie ze śladami ogniska, które musieli rozpaść wycieczkowicze szukający odludzia. Odgarnął popiół na stronę i gołymi rękami zaczął drążyć jamę, potem przyniósł pierwszy z pojemników.

Od momentu, kiedy samolot usiadł na lagunie, Steve nie opuszczał kokpitu, stał pochylony ku burcie, jakby przez to był bliżej Bleak Cay i mógł skierować pilota, gdzie trzeba. Pół godziny temu zaczęła wiać bryza i na płyciźnie Great Bahama Bank podniosła się fala. Dla jachtu z kilem czy dla katamarana nie miałoby to większego znaczenia, nawet by nie drgnęły, ale płaskodenna motorówka bez balastu i stępki zaczęła tańczyć na falach, chwilami przechylając się nawet o dwadzieścia stopni. Nadpływająca od południa fala unosiła w dostojnym rytmie najpierw dziób, potem rufę i mknęła dalej na północ.

Od trzech godzin Steve czuł skurcz w żołądku. Tuż przed wyruszeniem na nocną wyprawę zjedli z Bobem po sporej porcji smażonej ryby z frytkami i teraz przy każdym przechyle jedzenie podchodziło mu do gardła. Trzymał się relingu, zgrzytał zębami, przeklinał to Boba, to pilota, głównie jednak pilota.

–Zabiję skurwysyna, niech tylko spróbuje odlecieć, a ukręcę mu łeb!

Najsłabszy dźwięk dochodzący z morza wróżył niebezpieczeństwo.

Oczy mu łzawiły od wypatrywania w ciemności, w skroniach łupało.

–Gotowe – oznajmił Bob, wynurzając się z komory silnikowej.

Gdy ruszali wieczorem, skończywszy oklejanie kadłuba czarną taśmą, Bob miał na sobie ciemny, bawełniany podkoszulek. Zdjął go, gdy zabrał się do naprawy maszyny, i użył jako szmaty. Otarł nim ręce ze smaru, kończąc robotę. Każdy na jego miejscu spróbowałby zapalić silnik na próbę, ale nie on. Bob był zdania, że jeśli mechanik nie jest pewien efektu swojej pracy, to powinien zmienić zawód. Uśmiechał się teraz w świetle księżycado Steve'a. Taki już był. Nie obchodziło go, że Kolumbijczycy mogą ich zabić, był zadowolony z dobrej roboty, którą wykonał.

Steve stłumił nienawiść. Łódź przechyliła się mocno na prawo, dziób uniósł się ku górze, a po chwili zapadł na lewą stronę. Wraz z uniesionym półpokładem dziobowym ku górze pomknęła ryba, frytki i olej, na którym je usmażono. Łódź zadrżała pod uderzeniem fali. Dziób opadł, gdy fala przeszła ku rufie. Steve zwymiotował.

Metalowe pojemniki były ciężkie, ważyły co najmniej po piętnaście funtów i trudno było je nieść. Nie dawały się złapać, na śliskim metalu dłonie nie znajdowały oparcia. Każde pudło to sto dwadzieścia dwa kroki od brzegu, gdzie je złożył, do zagłębienia. Potykał się w ciemności o kamienie, cały czas mówiąc sobie, że tak trzeba, że musi, że da radę i że wszystko będzie dobrze. Co to znaczy „dobrze”, tego nie wiedział, wiedział jednak, że dzieje się coś ważnego, ważniejszego nawet niż prezent dla mamy, i że dotyczy to pilota.

Starał się nie patrzeć na niego, ale cały czas czuł jego obecność, jakby ten czekał tylko, aż Jacket upora się wreszcie z ładunkiem, aby spokojnie odejść. Pilot był wysoki, ciemnoskóry, a przede wszystkim odważny, bo tylko ktoś bardzo śmiały wylądowałby jak on w ciemności, pośród wrogów. Ale zanim wystartuje, pudła trzeba ukryć. Sam nie mógł ich przenieść, złamał przecież nogę. Nic też nie mówił ani o pojemnikach, ani o bólu. Zawsze taki był, cichy, milczący, nigdy o nic nie prosił.

–W porządku, tato, dam radę – zapewniał Jacket, nie patrząc na pilota. Nie patrzył, bo nie chciał widzieć jego łez.

Z daleka, z drugiej strony Cay, dobiegł dźwięk uruchamianego silnika. Najpierw jakby stłumiony, nierówny, a później ciszę rozdarł jednostajny warkot motoru pracującego pełną mocą. Tysiące jachtów, żaglowych i motorowych, przemierzało wody wokół wysp Bahama, a Jacket miał czuły słuch. Był niemal pewien, że słyszy potężny hałas ośmiocylindrowego silnika widlastego, takiego jak na najszybszych motorówkach.

Steve przepłukał usta wodą z butelki, splunął, przetarł wargi. Windę kotwiczną uruchamiało się przyciskiem po prawej stronie koła sterowego. Gdy podnieśli kotwicę, Bob poszedł na dziób i stał tam na szeroko rozstawionych nogach. Ręcznie wyciągnął trzy metry łańcucha i kotwicę i złożył je, jak należy, w forpiku.

Przygotowując się do wyprawy zdjęli chromowany reling i Bob nie miał się czego przytrzymać. Powrót do kokpitu zajął mu więc trochę czasu. Szedł ostrożnie, by nie stracić równowagi. Ponaglanie nie miało sensu, było zabiegiem równie bezskutecznym, jak próba wywołania ciąży u boksera wagi ciężkiej, Steve zatem się nie odzywał. Mieli być na miejscu o pierwszej w nocy. Dokładnie dwie godziny temu. O tyle byli spóźnieni.

Przekładnia zachrobotła. Bob przesunął manetkę gazu. Woda za rufą zaczęła się pienić. Krople iskrzyły w świetle księżyca. Popychana potężną śrubą łódź jakby przysiadła, rufa zagłębiła się w wodzie, dziób uniósł się ku górze jak psiak gotujący się do skoku.

Bob z uwagą słuchał narastającego warkotu silnika. Zadowolony z efektu jeszcze dalej przesunął manetkę gazu. Śruba silniej pchnęła łódź do przodu. Dziób przez chwilę mierzył w niebo, po czym opadł, gdy motorówka weszła w ślizg, pędząc szerokim łukiem ku północnemu cyplowi Bleak Cay.

Steve wślizgnął się pod pokład, do kabiny. Dobył ruggera kaliber 45 magnum, potężną sztukę, z której spokojnie można by położyć nosorożca. Nie wiedział, czy będzie to potrzebne, czy nie, ale nie zamierzał ryzykować.

Jacket widział załawionymi od wysiłku oczami spieniony kilwater – to kuter patrolowy okrążał wysepkę, a w nim skośnoocy, okrutni, choć niewielcy wzrostem wrogowie w tropikalnych mundurach khaki, w śmiesznych, spiczastych czapkach na głowach. Dwóch z nich zajęło stanowiska przy ciężkich

karabinach maszynowych na burtach. Na pokładzie rufowym uzbrajano bomby głębinowe i szykowano działo. Bosman stał przy sterze, a kapitan obserwował plażę przez lornetę.

Jack zamarł z ostatnim pojemnikiem w rękach, ale ojciec uspokoił go cichym głosem: – Bez paniki, synku. Nie mogą cię widzieć. Ale lepiej będzie ukryć łódź. Przystaw ją dalej od miejsca, gdzie złożyłeś amunicję.

–Gównu widać w tych ciemnościach – warknął Steve.

Bob zmniejszył obroty, gdy zaczęli okrążać cypel. Białe grzywacze wskazywały linię koralowych raf. Nad czarną gładzią laguny wylaniała się Bleak Cay, ciemniejąca w nocy jak wielka, mroczna meduza. Gdzieś tam musiał być samolot. Kto wie, może pomalowano go na czarno, tak jak on z Bobem przysposobili motorówkę na tę wyprawę. Wolałby włączyć szperacza na dziobie, ale polecenia były wyraźne, żadnych świateł, gdy samolot wylądjuje.

–Ten kretyn usiadł pewnie po przeciwnej stronie od boi.

Bob milczał.

Bob wychował się na wsi. Wyrastał pod ręką ojca, farmera, który bez przerwy coś mu nakazywał. Bob starał się robić wszystko naraz, skutkiem czego ojciec ciągle

wytykał mu, że niczego nie załatwia do końca. Więc później, w dorosłym życiu, zawsze koncentrował się na jednej czynności i działał wedle własnego rytmu, to znaczy niespiesznie. Było mu z tym dobrze, choć i tak wszyscy mieli mu coś za złe.

A teraz skupił się na prowadzeniu łodzi. W ślizgu reagowała na najmniejszy ruch sterem i sztuką było utrzymać prosty kurs. Kierowali się na południe, prosto na boję.

Bob nie znał się na samolotach, ale wiedział wystarczająco dużo o morzu i nawigacji, aby wyobrazić sobie, co musiał odczuwać pilot, który przeleciał szmat drogi i zastał lądowisko nie oznaczone. Gdyby to on, Bob, siedział za sterami awionetki, okrążyłby teren i spróbował usiąść od strony boi. Dałoby mu to więcej miejsca i wodnopłatawiec wyhamowałby przed rafami.

Skoro dotarł aż tu, to przynajmniej musiał rozróżniać, gdzie jest północ, a gdzie południe – myślał Bob. – Niewykluczone, że położył się na plaży i drzemie.

W świetle księżycy dostrzegł jakiś niewyraźny cień na falach, tam gdzie rafa zamykała lagunę. Rzucił kotwicę, na moment zwiększył obroty silnika, aby mocno wbiła się w dno, wyłączył maszynę i spuścił na wodę niewielki ponton.

Nieprzyjacielski kuter patrolowy był już blisko, najwyżej sto pięćdziesiąt metrów, kiedy Jacket usłyszał szcęk łańcucha i plusk wody, i syk luzowanej liny – znak, że rzucono kotwicę. Jeszcze jedno metalowe pudło i będzie po wszystkim. Bolały go już ramiona, ręce odmawiały posłuszeństwa. – Zaraz wysadzą desant – uprzedził szeptem ojciec.

Właśnie. Ścigali ojca i zależało im na pojemnikach. Musieli je dostać, przecież były to ładunki wybuchowe, za pomocą których oddział Zielonych Beretów miał wysadzić tamę. Do wykonania tego zadania wybrano właśnie ojca, bo ojciec był najlepszy, najlepszy ze wszystkich. Teraz zaś wszystko zależało od Jacketa. Miał pełną jasność, jaka spoczywa na nim odpowiedzialność, gdy niósł ostatni ciężar do kryjówki. Wiedział już dokładnie, co ma zrobić.

Położył pudło wśród innych i oburącz zaczął zagrzebywać wszystko piaskiem. Stał pochylony w rozkroku i jak pies sypał go garściami między nogami, za siebie. Plusk wioseł ostrzegł go, że desant się zbliża. Przepłynęli nad rafą i teraz podążali laguną w stronę boi. Mówili po angielsku, a więc był wśród nich zdrajca.

Gdy okrążali Bleak Cay, Steve był już zupełnie spokojny, a teraz znów ogarniała go panika. Klęczał na dziobie pneumatycznej łódki, Bob zajął się wiosłami. Boja połyskiwała światłem. Dotarli do południowego cypla Cay. Ani śladu samolotu.

–Gdzie on jest, do kurwy nędzy? Zabiję skurczybyka – denerwował się Steve.

Bob wiosłem zawrócił ponton i pchnął z powrotem. Domyślał się już wszystkiego, ale Steve mówił, że pilot jest pierwsza klasa, prawdziwy zawodowiec, więc Bob nie pojmował, dlaczego podszedł do wodowania od północy. Maszyna leciała z szybkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Bob zastanawiał się więc, czy pilot zdążył jeszcze zobaczyć rafę, nim samolot roztrzaskał się o korale.

Steve przeklinał na dziobie. Bob nie lubił broni i wolałby, żeby

kumpel schował ruggera. Tymczasem odpiął z pasa latarkę i stuknął nią Steve'a w plecy.

–Weź się rozejrzyj! Tylko nie świeć pod wodą, bo ktoś zobaczy.

Jacket przykłął na piasku. Wpatrywał się w świetlisty krąg na wodach laguny. Światło niebezpiecznie zbliżało się do samolotu. Gdy tamci zobaczą, że w maszynie nie ma metalowych pojemników, zaczną go ścigać. Tymczasem narzucił na pudła z piętnaście centymetrów piasku. – Lepiej upewnij się, czy to wystarczy – podpowiedział ojciec. Jacket sprawdził i rzeczywiście, w paru miejscach można było wyczuć, że coś jest pod piaskiem. – Właśnie, a przecież ważysz mniej niż dorosły mężczyzna – zauważył ojciec. Jacket przełknął łyżę, kucnął i znów zaczął zgarniać piach z wydmy.

Gdy znaleźli wrak, Steve w pierwszej chwili poczuł ulgę, że pilot nie żyje, więc nie naskarży Kolumbijczykom, że z Bobem spieprzyli sprawę. Wydawało mu się, że widzi krwawe plamy na wodzie. Pilot pewnie zginął od ran odniesionych w katastrofie.

–Zejdź na dół i zobacz, co i jak – rzekł do Boba.

Bob nakładał już maskę. Doskonale pływał i był za głupi, żeby odczuwać lęk. Zanurkował. Długo nie wychodził na powierzchnię. Przynajmniej Steve'owi wydawało się, że mija wieczność. Wreszcie wynurzył się, przytrzymał pontonu i przecząco pokręcił głową.

–Co u diabła ma to znaczyć? – spytał Steve ze złością.

–Samolot jest pusty.

Steve nie uwierzył. Sam wskoczył do wody, wyrwał maskę i latarkę z rąk Boba.

–Trzymaj się skrzydła – poradził Bob.

Zadanie nie było łatwe, a zewsząd czyhały rekiny i w ogóle wszystkie morskie potwory. Chwycił drzwi kabiny pilota, wsunął głowę do środka. Omiótł snopem światła fotele i uprząż. Odbił się mocno nogami i pomknął w górę. Chwycił ponton, przerzucił się do środka.

–Załatwił nas skurwysyn! – Dyszał z wściekłości.

Bob nie był tego tak pewien, ale widząc wściekłość współnika, na wszelki wypadek trzymał język za zębami. Steve tymczasem próbował odtworzyć fakty. Maszyna uderzyła w rafę, wskazuje na to rozmiar zniszczeń. Zapewne wypadek, także ciąg dalszy nie był zamierzony. Pilot rozwalił maszynę z ładunkiem kokainy za milion dolarów. Wydostał się z wraku, zaczął pływać czekając na pomoc i pewnie wtedy pomyślał sobie: O rany, przecież jestem bogaty. Miał zapewne pneumatyczną tratwę ratunkową i za jej pomocą zabrał ładunek. Ale bez silnika nie odpłynął daleko, a zresztą nie ryzykowałby wyprawy za dnia, mając przy sobie pół tony kokainy.

–Schował się gdzieś na Cay. Muszą być ślady – rzekł Steve unosząc ruggera. – Niech się tylko ruszy. Zabiję skurwysyna.

Jacket doskonale wiedział, co powinien zrobić. Było to tak, jakby oglądał film i jednocześnie brał w nim udział. Trzymał nóż w pogotowiu, gdy biegł plażą do miejsca, gdzie nieprzyjacielski patrol zostawił pneumatyczną łódkę. Przedziurawił ją z obu stron i pędem ruszył do swojej łodzi. Nie było już czasu na zacieranie śladów. Pchnął łódkę na głębszą wodę z dala od skały, wziął cumę, przewiązał się w pasie. Dalej, tam, gdzie fale rozbijały się o rafę, szum wody zagłuszył uderzenia wiosł. Ale najpierw trzeba było tam dotrzeć. Płynął więc żabką, nie unosząc ramion nad powierzchnię, aby nie wzburzać wody i nie zwracać uwagi nieprzyjaciela. Był w połowie drogi do rafy, gdy usłyszał krzyk.

Jacket – drobny chłopak, sierota bez ojca, który by go bronił, często padał ofiarą silniejszych od siebie rówieśników, szkolnych osiłków. Nauczył się więc kryć wśród wydm przed prześladowcami. Na świeżo usypany piasek nasunął z powrotem węgle popiół wygasłego ogniska, tu i tam rozsypał garść wyschniętej trawy, portkami zatarał ślady stóp wiodące od plaży. Nieprzyjacielski oddział był już blisko, Jacket puścił się kłusem na drugą stronę wysepki.

Pilot leżał na plecach, oczy miał zamknięte, głowę nienaturalnie przekrzywioną. Głęboka rana na czole bieląca na krańcach.

–Ktoś go musiał wydobyć – zauważył Bob.

–Artysta złodziej... – Steve kopnął ciało i zaczął skrupulatnie badać grunt dookoła. Na miękkim piasku, nieco w głąb wyspy licząc od miejsca, gdzie leżały zwłoki, znalazł ślady stóp Jacketa.

–Idziemy – rzucił do Boba i ruszył tropem przez wydmy na drugą stronę wyspy i dalej wzdłuż brzegu. Ślady odbijały się wyraźnie na mokrym piasku. Steve nie wierzył własnym oczom.

Trzymał ruggera w pogotowiu, palec na cynglu.

–Kurwa mać – mruknął – to jakiś przeklęty bachor. Idź w drugą stronę – polecił Bobowi, a sam pośpieszył na poszukiwania łódki, bo przecież przeklęty bachor musiał się tu jakoś dostać. Jeśli nie znajdą łodzi, to znaczy, że dzieciak jest jeszcze gdzieś na lagunie albo płynie tam, skąd przybył. Najbliższa osada nazywała się Green Creek. Szesnaście kilometrów dalej leżało miasteczko Congo Town.

Dziób łodzi zostawił na mokrym piasku głęboki ślad w kształcie litery V, obok zaś widniały jeszcze głębsze ślady stóp dzieciaka, który z wysiłkiem spychał łódź na wodę. Ślady były świeże. Osłaniając dłońmi wzrok od poświaty księżyca, co srebrzył się nisko nad horyzontem, Steve przepatrywał lagunę. Widział tylko bladą linię przyboju nad rafami, to wszystko.

Gdy jeszcze pracował w banku w Nowym Jorku, przebiegał co wieczór kilka kilometrów w Central Parku, w weekendy pedałowal na rowerze. Nadal miał niezłą kondycję fizyczną, bez wysiłku biegł do Boba. Nie tracił z oczu śladów stóp dzieciaka. Były znacznie płytsze, niż jego własne, i gęściejsze. Jeden jego krok równał się dwu krokom dziecka. Policja dysponuje odpowiednimi wzorami matematycznymi, wedle których na podstawie śladów można obliczyć wzrost i wagę

tego, kto je zostawił. Steve nie znał się na tym, domyślał się jednak, że ślady zostawiło jakieś dziecko, nastolatek pewnie, albo może karzeł.

Bob na klęczkach, z głupawym uśmiechem pokazał Steve'owi pocięty ponton.

–No, no – powiedział nie bez pewnego podziwu. – Dzieciak, ale zna się na rzeczy.

Steve'a ścisnęło w dołku. Patrzył przed siebie, na falę przyboju. Musiał się zastanowić.

–Łódź ukrył w mroku pod skałą. Po śladach sądząc, była to płaskodenka, raczej ciężka...

–Miejscowa, takie tu budują – ocenił Bob.

Fragmenty zagadki zaczęły układać się w logiczną całość.

Chłopak – myślał Steve – musiał dobrze znać okolicę, wysepkę i lagunę, bo inaczej nie przepłynąłby przez rafę. Musi więc

mieszkać gdzieś niedaleko. Najpewniej na Green Creek. Jest raczej drobny i jest typem samotnika, ale śmiały, z jajami, skoro odważył się na nocną wyprawę w pojedynkę. Czymś musiał się powodować, miał jakiś cel. Pewnie nie chodziło o ryby, bo te łowiłby po drugiej stronie rafy, gdzie są lepsze łowiska. Homary! No jasne.

Łapał homary, a przypadkiem znalazł skarb – ładunek kokainy.

–Sprawdziliśmy rafę – powiedział Steve – i wiemy, że ciężka łódź z ładunkiem nie przeszłaby przez płyciznę, co oznacza, że koka jest gdzieś tutaj.

–Zakopana w piachu – dokończył Bob.

–Być może. Dzieciak miał sporo czasu. – Steve się rozejrzał.

Wyobrażał sobie, jak może wyglądać osada Green Creek: ze trzydzieści zbitych z desek chat wzdłuż wiejskiej drogi, za nimi kilka szałasów, pośrodku osiedla jedyny murowaniec – dwuizbowy posterunek policji z masztem i flagą państwową od frontu, obok blaszany kościółek, nie, kaplica raczej, na przykład Adwentystów Dnia Siódmego, i szkółka z izbą dla nauczycielki na zapleczu oraz – oczywiście – wiejski sklepik z mydłem, powidłem i paliwem sprzedawanym wprost z beczki po wygórowanych cenach, aby właściciel mógł się bogacić, ot i cała Green Creek. W czymś takim nietrudno będzie odnaleźć smarkacza, co nocami wyprawia się na homary.

Steve zastanawiał się tylko, czy chłopak przypadkiem nie puści farby. Jedno było pewne – sam czy z kimś dzieciak musi wrócić na Bleak Cay. Wystarczy więc poczekać.

–Bob, trzeba ukryć motorówkę, zanim zacznie świtać. Pokręć się trochę wokół Cay, może znajdziesz bachora. Jeśli nie, to wracaj do domu, odlep taśmę, zamontuj relingi i cały osprzęt, zrób porządek z łódką. Wróc po mnie w nocy.

–A co będzie, jeśli zadzwoni Kolumbijczyk?

Steve nie chciał o tym myśleć. Najpierw trzeba odzyskać kokainę.

–Chyba nic, to rozsądny człowiek.

–Obyś miał rację – skwitował Bob. Jako człowiek praktyczny zabrał na nocną wyprawę kilka kanapek i coś do picia z myślą o pilocie. – Masz. W dzień będzie tu gorąco – uprzedził – nie wypij wszystkiego od razu. Znajdź sobie jakieś ocienione miejsce.

Steve patrzył, jak wielki mężczyzna bez wahania wchodzi do wody. Jego zaś sama myśl, że miałby przepłynąć rafę, napawała przerażeniem.

Wspierając się na pętli na cumie, Jacket próbował wspiąć się na łódkę. Zmęczone ramiona odmówiły posłuszeństwa i spadł do wody. Wystraszył się, że plusk zwróci uwagę nieprzyjaciela, który nadśluchiwał pilnie z patrolówki. Przełknął łzy, raz jeszcze wymacał nogą pętlę na cumie i znów próbował uchwycić burtę. Palce ześlizgnęły się po mokrych deskach. Wisiał na linie, dygocąc z wysiłku i lęku. Słona woda szczypała pod powiekami. Prąd spychał łódź z powrotem na wyspę.

–Święty Boże, proszę... – szepnął, żeby Bóg usłyszał. – No, synu, dasz radę – zachęcił ojciec.

Wierchem dłoni Jacket przetarł twarz i znów wsunął stopę w pętlę. Podniósł się, chwycił burtę jedną ręką, wsparł się drugą i zawisł tak, na wpół w wodzie, nie mając siły na kolejny krok. – Odpocznij – poradził ojciec – poczekaj, aż nadejdzie fala.

Nadeszła. Gdy pchnęła dziób w górę, Jacket prawie puścił chwyt. Przeszła dalej pod rufę. Rufa uniosła się, a dziób pograżył się w dół. – Teraz – ponaglił ojciec.

Jacket zebrał resztkę sił. Napiął ramiona, wyprostował nogę w pętli, wciągnął się na burtę. Drzazgi z desek raniły skórę, gdy próbował przerzucić nogę. Udało się. Zahaczył o coś piętą, jeszcze trochę wysiłku i przetoczył się do środka ciężko dysząc. Nadeszła kolejna fala. – Wstawaj, synku – kazał ojciec.

Jacket z wysiłkiem podniósł się na kolana, wysunął wiosła. Pociągnął krótko lewym, żeby ustawić łódź na kursie, potem nacisnął mocniej, żeby wprawić ją w ruch. Pchał całym ciałem. Pochylał się i prostował w poczwórnym rytmie: unieść wiosła, cofnąć, zanurzyć i ciągnąć.

Gdy wpływał na lagunę przesmykiem przez rafy, sprzyjała mu fala, teraz, gdy będzie płynął w przeciwnym kierunku, przyjdzie mu walczyć o każdy metr kanału, każdy zakręt na wąskim przesmyku. Najpierw trzeba skierować łódź prosto ku linii przyboju, nakierować na wejście do kanału, walcząc z wartkim prądem. Nie jest to daleko, pięćdziesiąt metrów co najwyżej, ale manewr jest groźny. Jeśli nie utrzyma kursu, fala z raf uderzy w burtę i zepchnie łódź na ostre jak brzytwa koralowce, jemu zaś zabraknie siły, aby temu przeciwdziałać. Następna fala przewróci uwięzioną łódź, strzaska burtę, a jego samego wysadzi z łodzi, jak z procy. Owszem, może zdoła wyjść z tego cało, jeśli będzie widział, co i jak. Na wszelki wypadek przygotował maskę do nurkowania, powiesił ją na szyi. Bez maski i możliwości widzenia pod wodą rozbije się na koralowcu.

Bob płynął uparcie w stronę rafy. Nie bał się koralowca. Po prostu trzeba się przedrzeć i tyle, tak samo z Kolumbijczykami. Trzeba się postarać i już.

Nie myślał o tym, że przy dziennym świetle byłoby mu łatwiej. Nie zastanawiał się, że przypadła mu w udziale niebezpieczniejsza część zadania. Steve miał pieniądze i kontakty, i to on ustawił cały interes. Jego zaś, Boba, wynajął ze względu na

znajomość łodzi, silników i morskie doświadczenie. Pieniądze były spore, większe, niż Bob zarabiał przez cały rok, wystarczy na kupno własnej łodzi, o czym zawsze marzył i czego pragnął najbardziej na świecie. Suma, jakkolwiek duża, nie zmieniała jednak istoty sprawy czy jego własnej postawy – był facetem wynajętym.

Wpatrywał się w falę przyboju, próbując znaleźć jakiś przesmyk lub przejście przez rafy. W ciemności nie było to łatwe. Groziło mu, że znajdzie się na płyciźnie, a nadbiegająca fala zwali się nań całym ciężarem, przygniatając do ostrych koralowców. Posuwał się ostrożnie, powoli, przytrzymując się dłońmi w rękawicach koralowców, metr po metrze, napręzał grzbiet, by nie dać się fali. Uważnie badał dno, czy nie ma jeżowców ani innych groźnych dla pływaka stworów zamieszkujących rafę. Dwa razy musiał zawracać, gdy wybrana droga kończyła się ślepo, ale uparcie parł do przodu i wreszcie znalazł się po drugiej stronie rafy. Przyśpieszył płynąc w stronę, gdzie zakotwiczyli motorówkę.

Pierwszy krąg wokół Cay zatoczył ciasno, sto metrów od linii raf. Zredukował obroty do siedmiuset, płynął wolno, robiąc najwyżej pięć węzłów. Silnik był doskonale wyciszony. Słyszał tylko szum spalin w rurze wydechowej. Nie zapalał oczywiście świateł. Obliczał, że przed świtem zdąży okrążyć wysepkę ze trzy razy. Potem musi wracać do bazy. Dzieciak nie mógł być daleko. Gdyby mógł tylko zapalić szperacza, pewnie zaraz by go namierzył. W mroku, gdy księżyc już zaszedł, sprawa była trudniejsza, ale niczego nie należy przesądzać. Wpatrywał się pilnie w ciemność.

Jacket usłyszał cichy szum układu wydechowego potężnego silnika. Przeprowadzenie przez przesmyk między rafami wyczerpała go do cna. Leżał na dnie łódki. Na otwartym morzu nie ma żadnego schronienia. – Pamiętaj, o tym, co ci dała natura – szepnął tata.

Jacket rozwiązał żagiel i po cichu rozłożył go na dnie łódki. Zdjął spodnie, złachane od zacierania śladów na plaży, ale wciąż

jaśniejsze niż kolor jego skóry. Położył się na żaglu. Słyszał, jak w skrzynce pod ławką i w siatce kotłują się homary, słyszał plusk fali uderzającej o burtę i szum spalin. Motorówka była blisko, płynęła niespiesznie. Jacket usłyszał nawet syk wody ciętej ostrym dziobem. Nieprzyjaciel był naprawdę blisko, pięćdziesiąt kroków, nie więcej. •

Czarny rycerz siedział bez ruchu na karym rumaku w cieniu drzew na skraju boru. Poniżej, doliną, płynęła rzeka. Biały baron na czele setki okrutników zbliżał się do brodu. Czarny rycerz nie żywił lęku. Nadejdzie dzień, kiedy zaatakuje wroga, ale jeszcze nie dziś. Dziś nie miał szans. Słyszał rżenie koni, szcęk żelaza i szum rzecznych fal na porohach, za przeprową. – Spokojnie, mały, spokojnie – uspokajał rumaka, który zwietrzył niebezpieczeństwo.

Za godzinę zacznie świtać. Motorówka zatoczyła trzy kręgi i Jacket usłyszał, jak odpływa na północ. Ukląkł, postawił maszt i rozwinął żagiel. Dopiero wtedy zobaczył aktówkę pod siedzeniem. Nie pamiętał, że sam wrzucił ją do łodzi jeszcze na lagunie. W pierwszym odruchu chciał ją wyrzucić za burtę, ale należała przecież do pilota.

Zaczynała wiać poranna bryza. W powietrzu niosła się woń głębin od Tongue of the Ocean, świeższa i chłodniejsza niż zapach Great Bahama Bank – Wielkiej Ławicy Bahamskiej, ale też nie tak bogatej.

Matka zawsze budziła się przed świtem, właśnie wtedy, kiedy zaczynała wiać bryza. Ubierała się i ruszała na drugą stronę południowego cypla wyspy do domu Amerykanów, u których sprzątała. Starła się o pracę w hotelu w Congo, ale miała jakąś sprawę z kierownikiem. Gdy wróciła wtedy do domu, oczy miała spuchnięte – znak, że płakała, a nie zdarzało się to często, nawet wtedy, gdy tata zniknął.

–Musisz dostarczyć te papiery – rzekł ojciec. Czarna aktówka ledwie rysowała się w mroku. W środku były plany. Szykując wiosła Jacket myślał o generale. Generał czekał całą noc na powrót samolotu, który wysłał na zaplecze wroga. Tata poległ w czasie wykonywania tej misji. Teraz wszystko zależało od Jacketa. Nie może zawieść.

Bryza nadeszła od morza niezauważenie i cicho, jak jaszczurka.

Liznęła najpierw skraj żagla, następny powiew zmarszczył płótno, a trzeci wypełnił gęstą tkaninę, cofnął się i znów wybrzuszył żagiel. Jacket zręcznie osaczył wiatr żaglem. Słaby zrazu powiew nabrał siły. Dziób jął szybciej ciąć wodę. Jacket wyostrzył nieco wiosłem i znów odpadł, nie chcąc wypuścić wiatru z żagla. Od dziobu dobiegł wyraźniejszy szum fal. Łódź przechyliła się. Jacket przesunął się na nawietrzną, zbalastował. Czuł bryzę na plecach. Łódź wyprostowała się i pomknęła do przodu.

Jacketa nie było. Sprawdziwszy pryczę, matka zasunęła zasłonę i szybkim krokiem ruszyła do drzwi. Budził się dzień. Wiała lekka bryza. Wiedziała, że Jacket wyprawia się nocami na ryby.

Zrazu martwiła się myśląc o jego samotnych zmaganiach z żywiołem. Później jednak uznała, że im szybciej nauczy się stać na własnych nogach, tym lepiej. Nie miał przecież ojca. Nigdy się nie zdradziła z wiedzą o tych nocnych wyprawach. Zastanawiała się tylko, co robi z pieniędzmi. Może za bardzo zamykał się w świecie marzeń i fantazji? W barze ciągle oglądał wojenne filmy, zwłaszcza od czasu, gdy rozeszły się pogłoski, że ojciec zaciągnął się do wojska w Stanach Zjednoczonych. Inni znów gadali, że trafił do więzienia, co byłoby bardziej do niego pasujące. Nieudacznik, zawsze próbował wokół roztaczać legendy o sobie.

Westchnęła ciężko, wsunęła sandały, szykowała się do wyjścia. Te dziewięć kilometrów, które miała do przejścia, męczyły ją coraz bardziej. Dziewięć w jedną stronę, świątek, piątek – bez wyjątku. Pan Winterton co prawda nie wymagał, aby przychodziła codziennie, w istocie nie było też takiej potrzeby. Bała się jednak o pracę. Nie miała innej i nie chciała dawać Wintertonowi żadnego pretekstu do zwolnienia. Pracowała u niego od siedmiu lat, nigdy jednak nie poprosiła o podwyżkę i jak ognia unikała wszelkich plotek.

Pan Winterton pysznił się, że dom jest tak zadbany, że bez żadnego uprzedzenia, w każdej chwili, może dać klucze przyjaciółom, wiedząc, że wszystko jest w porządku. Teraz też mieszkało tam dwóch gości. Dziwne tylko, że jakby osobno. Ten mniejszy – pan Steve – przebywał tam już od dwóch miesięcy. Przy jakiejś okazji powiedział jej, że pracuje nad książką na temat

inwestycji gotówkowych. Jego kolega – pan Bob – zjawił się stosunkowo niedawno. Przyplłynął szybką motorówką. Mieli zamiar zostać jeszcze półtora miesiąca.

Pogrzebała w torebce, znalazła ogryzek ołówka i starą kartkę z zakupami. Na pustej stronie nagryzmoła drukowanymi literami: NIE SPUŹNIJ SIĘ DO SZKOŁY.

Rybacy wypływali na poranny połów, gdy Jacket dobijał do Green Creek. Dummy zwykle z pierwszym brzaskiem był już na nogach, teraz też Jacket już z daleka widział przygarbioną sylwetkę w wielkim kapeluszu. Dummy machał rękami na powitanie. Zamiast jak zazwyczaj przywiązać łódź do boi, Jacket popłynął prosto na brzeg. Dummy wyszedł mu naprzeciw brodząc w wodzie, uśmiechnął się z uznaniem, widząc plon nocnej wyprawy i, jak to on, dobywał z gardła piskliwe dźwięki.

Przekroczył już sześćdziesiątkę. Pod szerokim rondem kapelusza w kolorze czerwieni, który kiedyś dostał od pewnej młodej Amerykanki będącej tu na wakacjach, kłębiła się siwa czupryna. Kapelusz był stary, wypłowiały, ale ciągle jeszcze nadawał się do użytku. Tak samo Dummy. Czekoladowe rysy starca jakby skamieniały w nieustannym uśmiechu. W półrozwartych ustach żółciły się trzy siekacze, reszta gdzieś się zapodziała. Beczkowaty tors wspierał się na krzywych nogach o stopach z rozczapierzonymi palcami – efekt wieloletnich reperacji rybackich sieci, kiedy to przytrzymuje się je palcami stóp przy łataniu dziur.

Jacket niemal wpadł w ramiona starca. Ścisnął go w pól, tuląc głowę do jego piersi. Stali tak po kolana w wodzie, a Jacket jeszcze bardziej niż kiedykolwiek żałował, że starzec jest głuchy i niemy. Z nadejściem dnia świat nocnych fantazji odpłynął gdzieś daleko. Jacket marzył, żeby móc Dummy'emu opowiedzieć o wszystkim, jakby to miało mu pozwolić zrzucić przygniatający ciężar odpowiedzialności i rozstrzygnąć, czy postąpił dobrze czy źle. Powinien chyba pójść na posterunek, zameldować o pilocie i o metalowych pojemnikach?

Ale przecież w poniedziałek są urodziny mamy. Jacket już dawno postanowił, że przeprawi się do miasta, do Nassau, żeby kupić prezent. Jeśli pójdzie na posterunek, to pewnie mu na to nie pozwolą. Miejscowy konstabl był wyjątkowym półgłówkiem i służbistą. Starsi przedrzeźniali go, że trzyma się przepisów nawet wtedy, gdy idzie z żoną do łóżka.

Pomyślał o pannie Charity – nauczycielce. Wystarczy poczekać, aż panna Charity zacznie lekcje i wtedy niepostrzeżenie podrzucić aktówkę i kartkę z opisem, co i jak, do jej mieszkania. Ona przekaże wszystko policji, podczas gdy on, Jacket, będzie już w drodze do Nassau. Tak, ale najpierw trzeba zostawić wiadomość mamie, żeby wiedziała, gdzie się wybiera, i żeby się nie martwiła.

Pokazał Dummy'emu gestami, że musi iść do domu, przebrać się, potem wskazał ręką w kierunku Congo, a patykiem narysował na piasku tamtejszy hotel.

Dummy uśmiechnął się na znak, że rozumie, gdy zaś Jacket wyciągnął aktówkę z łodzi, zmarszczył pytająco brwi. Gestami dopytywał się, co to jest i gdzie Jacket to znalazł. Jacket nie chciał go obrazić, ale wolał nie wciągać starca w całą sprawę. Obrócił się na pięcie i pokłusował w stronę domu.

Wybiegał już prawie z zagajnika oddzielającego plażę od drogi, gdy natknął się na Vica. Vic to był ktoś! Ze dwa lata starszy od Jacketa, wysoki, barczysty, przez trzy kolejne lata wygrywał w międzywyspiarskim turnieju bokserskim. Złapał Jacketa za ramię i obrócił ku sobie.

Jacket chciał się wyrwać i uciec, ale Vic chwycił go za ucho, przewrócił na ziemię i wcisnął głowę w piasek, żeby tennie mógł zawołać o pomoc. Złapał walizkę, przytrzymując chłopaka kolanem przy ziemi.

–A co to jest? – zażądał wyjaśnień, szarpiąc Jacketa za ucho i unosząc mu lekko głowę, żeby mógł wykrztusić odpowiedź.

Jacket nie próbował jeszcze otwierać aktówki. Miała solidne mosiężne zamki. Próbował się wyrwać swemu prześladowcy, ale Vic znów przycisnął mu twarz do ziemi.

–Skąd to masz?

–Znalazłem – wyszeptał Jacket. Postanowił, że nie zdradzi pilota, ale ból ucha był nie do zniesienia, gdy Vic pociągnął jeszcze mocniej. Jacket był zmęczony, wyczerpany po trudach nocnej wyprawy. Usiłował jeszcze powstrzymać łzy.

–Bleak Cay – usłyszał własny głos. Ogarnął go wstyd, gdy z twarzą w piachu wyjąkał opowieść, jak to samolot rozbił się na

rafie. I wtedy usłyszał gniewne popiskiwanie. To Dummy wypadł zza drzew wymachując kijem.

Vic uciekł, unosząc ze sobą aktówkę.

Ciągle jeszcze wznosząc gniewne piski, Dummy postawił Jacketa na nogi i przygarnął do siebie. Jacket wiedział, że Vic zemści

się na staruszkach. Zawsze tak było. Vic i jego banda z ukrycia obrzucali Dummy'ego kamieniami albo zachodzili od tyłu podstawiając mu nogi. Jacket miał poczucie winy. Wszystko się popsuło. Nigdy jeszcze nie był w Nassau. Nie wiedział, kiedy i w jakich godzinach otwierają sklepy i gdzie szukać tego, co trzeba. Nie wiedział nawet, czy w hotelu w Congo zapłacą mu od ręki za homary. Wszystko, co zarobił do tej pory, leżało u kierownika. Głupi był myśląc, że wszystko pójdzie jak z płatka.

Stary pocieszał go, jak potrafił. Popiskując wskazał najpierw ręką w stronę chaty Jacketa, potem na łódź i wreszcie machnął dłonią w stronę Congo. Potem pchnął delikatnie chłopca, znów zapiszczał, zaśmiał się gardłowo i kiwnął głową tak energicznie, że czerwony kapelusz zachwiał się na siwej czuprynie.

Żar płynął z nieba na Bleak Cay. Słońce rozlało się ogniem po zbieleńszym od żaru nieboskłonie. Gorąco jak w rozpalonym piecu. Bob uprzedzał, żeby trzymać się w cieniu, ale na całej przeklętej wyspie nie było ani śladu drzewa. Steve próbował ochłodzić się w morzu, ale było jeszcze gorzej. Słońce niemiłosiernie paliło odkryte ramiona i twarz. Zaciągnął zwłoki pilota za wydmy. Zasiadł obok i zdarł koszulę z trupa. Owinął nią głowę. Niewiele to pomogło. Steve zaczął się bać, lęk narastał, aż ogarnęła go panika. Zawsze bał się bólu. Wyobrażał sobie, co będzie, gdy wpadnie w ręce Kolumbijczyków. Miał nadzieję, że uda się odszukać ładunek, zanim się zjawią.

Poszukiwania zaczął od miejsca, gdzie Jacket ukrył łódź. Stąd posuwał się w głąb wysepki, macając teren kijem – trzydzieści kroków w lewo i prawo od wytyczonej linii. Tak doszedł na drugą stronę Cay. Tam wyznaczył nową linię, tuż powyżej miejsca, dokąd sięgał przyływ. Odliczył pięćdziesiąt kroków na południe i znów zaczął skrupulatnie badać wytyczony pas. Sprawdził tak może jedną czwartą powierzchni wyspy, zanim żar wycisnął zeń resztkę sił.

Był pewien, że kokaina jest na wyspie. Nie było innej możliwości. Zerknął spod rozpostartej koszuli. Żar odbijał się od rozpalonego piasku jak od zwierciadła i boleśnie godził w twarz. Zasłonił się w panice. Zaskrzeczała mewa. Steve usłyszał bicie skrzydeł o trawy rosnące na wydmie, gdy ptaszysko siadło przy zwłokach. Po chwili nadleciała następna mewa i następna... Ptasię szpony orały warstwę skamieniałego po porannej rosie piasku.

Bojąc się, że ptasię zbiegowisko może zwrócić czyjąś uwagę, Steve przekleństwami i garścią piasku usiłował spłoszyć mewy. Nie wychylał się jednak z osłony. Mewy odpowiedziały gniewnym wrzaskiem.

Paliła go twarz, piekły ramiona. Zazdrośnie pomyślał, że Bob drzemie sobie teraz spokojnie w domu, a przecież cała ta przeklęta sytuacja to właśnie jego wina. Wszystko przez niego, przez te trzy godziny grzebania w silniku i przez tego bachora też.

Dzieciak mógł już komuś w Green Creek powiedzieć o rozbitym samolocie. Możliwe, że wiadomość już się rozeszła. Steve odchylił nieco koszulę i zerknął na morze. W zasięgu wzroku była tylko jedna łódka, i to co najmniej milę od wyspy. Dwumasztowy, biały jacht. Żagle wisiały jak pranie na podwórku. Nad kokpitem załoga rozpięła ochronny daszek z płótna. Steve wyobraził sobie, jak to pasażerowie siedzą w cieniu i popijają Cuba Libre – koktajl z rumu i coli w wysokich szklankach. Niech ich szlag trafi. Steve życzył im, żeby dostali udaru.

Sam tymczasem poparzył kolana i łokcie, gdy pełził przez wydmy, aby sprawdzić sytuację po drugiej stronie Cay. Pod rozpalonym niebem morze wyglądało jak karbowane lustro, przecięte pośrodku białą linią kilwateru, nakreśloną przez motorówkę pędzącą w stronę cypla na Andros. Pojedyncza łódź wiosłowa zdawała się płynąć w powietrzu po drugiej stronie rafy. Przeklęty bachor, Boże, co on z nim robi, gdy tylko dostanie go w ręce.

Mewa zaśmiała się szyderczo. Steve obrócił się. Kilkanaście ciemnogłowych ptaszysk z białawym konturem na krańcach skrzydeł krążyło nad zwłokami pilota. To jakby sam wymachiwał flagą, żeby zwrócić uwagę na wyspę. Koszula zsunęła mu się z głowy, gdy cisnął kamieniem, aby rozproszyć podniebną gromadę. Słońce uderzyło go prosto w twarz. Skórę miał spieczoną na wiór. Przeklinał słońce, mewy, Boba i dziecko.

Bezsilna wściekłość wyciskała mu z oczu łzy, gdy rakiem wracał przez wydmy do miejsca, gdzie leżał pilot. Ciało zaczęło puchnąć, roztaczając odór gorszy niż jatki na targu w Dominikanie. Steve musiał przepłoszyć mewy, a był tak cholernie zmęczony. Ból nabrzmiwał i nie ustawał. Dotknął palcami twarzy. Wyczuł pęcherze na policzkach i na czole, suche i spękane. Woda w butelce, którą zostawił Bob, parzyła ukropem i paliła spękane wargi, jak najmocniejszy kwas. Nawykł do wielkomijskiego gwaru w Nowym Jorku. Cisza i samotność działały mu na nerwy. Klął, złorzeczył, przeklinał i skamlał na zmianę.

–Sypiesz się, stary. Weź się w garść – mówił to do siebie, a dla pilota też nie miał żadnych względów: – Głupi kretyn. – Ale to nie pilot był winien. To ten murzyński bachor. Zabiję go – przyrzekł solennie.

Tymczasem trzeba było przepędzić mewy. Wiadomo, boją się żywych, więc Steve położył się obok pilota. Mając koszulę na głowie nie widział zwłok, a przynajmniej nie był sam. Cuchnący odór przestał po chwili dokuczać.

–Bez względu, ile ci zapłacili, dostałeś za mało – pożałował pilota.

Kolumbijczycy byli już pewnie w samolocie do Nassau.

–Boję się tego zwalistego Metysa, szefa znaczy, rozumiesz?

Sram ze strachu na jego widok – zwierzył się Steve pilotowi. –

To taki typ, co uśmiecha się uprzejmie i wyłamuje ci rękę, zapewniając, że osobiście nie ma nic przeciwko tobie. Jezus Maria, w co ja się wplątałem? Ten przeklęty bachor...

Gdy się obudził, prawą ręką obejmował zwłoki pilota. Zerwał się z miejsca i

cofając się na czworakach, zwymiotował ze wstydu i obrzydzenia. Miał rozpaloną twarz i ramiona, a chłodna bryza wiejąca od morza omiatała ciało jak mróz. Dygotał z zimna wyęzając wzrok. W zapadającym mroku widać było białą linię przyboju nad rafą, tam gdzie kończyła się laguna. Spojrzał na zegarek. Dziewięta. Spał sześć godzin.

Bob zaczeka zapewne do pierwszej w nocy, nim zaryzykuje wyprawę. Steve wypił połowę zawartości butelki. Została mu jeszcze jedna kanapka, ale żołądek buntował się na samą myśl o jedzeniu. Wziął kij i podreptał na plażę, tam, gdzie za dnia przerwał poszukiwania. Raptem usłyszał chrzęst łodzi ocierającej się o rafę.

Przycupnął za kępą trawy. Zaskrzypiały wiosła w drewnianych dulkach. Z daleka zaiskrzyły krople wzburzonej wiosłem wody. Łódź wyraźnie zmierzała w stronę plaży, nieco w prawo od jego kryjówki. Przeczłogał się w bok nie spuszczać intruza z oczu. Nerwy miał napięte jak struny w elektrycznej gitarze. Wszystko jawiło mu się jak przez szkło powiększające. Gwiazdy jaśniały niczym latarnie uliczne, morskie zielsko wyrzucone na plażę cuchnęło jak krzewy cierniowe, nawet wyschnięta trawa roztaczała woń, która kojarzyła mu się ze smrodem nowojorskiej plaży.

Dziób zaskrzypiał, gdy rozpędzona łódź wychynęła na piasek.

Steve przylgnął do ziemi. Na tle ciemniejszego nieba zobaczył chłopca, który wyskoczył do wody i ciągnął łódź w głąb plaży.

Chłopak wyglądał na zręcznego i szybkiego, a Steve był zdrętwiały po całym dniu na rozpalonej łasze. Nie czuł ciężaru ruggera szykując się do skoku. Zerwał się na nogi, postąpił dwa kroki i na odlew uderzył kolbą jak maczugą. Trafił w ramię i chłopak zaczął się zwijać. Drugi cios dosięgnął głowy. Chłopak jęknął i zwałił się bez życia na piasek. Jeśli rzeczywiście go zabił, to wszystko na nic, trzeba będzie szukać od początku. W panice sięgnął do gardła ofiary, żeby wyczuć puls, a jednocześnie przeklinał, że się ruszyła.

Chłopiec był znacznie większy, niż się spodziewał. Krew sączyła się z rozbitej skroni, ramię miał chyba złamane od ciosu, ale puls – silny. Steve podarł koszulę pilota, spętał chłopakowi ręce i nogi. Wypił resztkę z butelki, napełnił ją morską wodą, skropił chłopcu czoło i oczy.

Dokładnie rok temu był na wakacjach w Aspen, modnym kurorcie górskim w Kolorado. Całą grupą wybrali się na górę Aspen na cały dzień. Zarabiał wtedy sto trzydzieści osiem tysięcy rocznie i za parę dni miał dostać premię, też co najmniej sześciocyfrową. Zamienił właśnie jaguara na modniejsze porsche 911. Uporał się nawet z liśćmi w ogródku na tarasie – dostał jakieś takie zielone świństwo od znajomego, dzięki czemu liście przestały opadać. Badanie krwi dawało wynik negatywny. Miał dwie stałe panienki, ale jak trafiła mu się jakaś inna okazja w czasie weekendu, to też nie przepuszczał. Od roku uprawiał tylko bezpieczny seks. Nie miał wrogów, choć oczywiście ten i ów miał mu czego zazdrościć. Czasami martwił się, że może zbyt lekko podchodzi do wszystkiego i przez to nie robi kariery. No i właśnie wtedy ci przekłęci bracia de Fonterra spierdolili mu całe życie. Wszyscy zaczęli go traktować jak ostatnie gówno. Ale on im pokaże, wszystkim pokaże, a najpierw temu pieprzonemu bachorowi. Wiedział, co ma zrobić. Przemyślał to.

Chłopak jęknął. Próbował wstać, ale bólramienia był zbyt silny, aż zszarzała mu ciemna twarz. Steve wyjął scyzoryk, z namysłem wybrał mniejsze ostrze.

Bob rzucił kotwicę tuż po pierwszej w nocy i pontonem przeprawił się na brzeg. Steve czekał na plaży. Twarz i ramiona miał w pęcherzach, wargi popękane od spiekoty, ale zacierał ręce

z zadowoleniem. Bob od razu to zauważył. Znał ten typ ludzi. Podobnie zachowywał się właściciel przystani, u którego kiedyś pracował, gdy udało mu się wygrać coś na giełdzie czy też poderwać rurę, do której przewracał oczami od miesiąca. Na pierwszy rzut oka Steve wyglądał tak, jakby dostał delirium.

I wtedy Bob zobaczył leżącego na piasku chłopaka.

Nie wierzył, nie chciał uwierzyć własnym oczom. Wmawiał w siebie, że to tylko złudzenie wywołane blaskiem księżyca. To nie był jednak miraż. Bob padł na kolana przy chłopcu. Czuł się tak jak kiedyś, gdy w szkolnych jeszcze czasach został pobity przez silniejszego od siebie chłopaka, który na koniec skopał go po brzuchu.

Gdy jeszcze mieszkał na farmie, sporo polował. Umiał czytać ślady. Stopy chłopaka były zbyt duże w porównaniu ze śladami, jakie widział poprzedniej nocy. Spojrzał na Steve'a. Ten ciągle jeszcze z zadowoleniem zacierał ręce.

–Jesteś zwierzę, Steve, obrzydliwe zwierzę...

Chciał wstać, ale Steve przytrzymał go ruggingiem. Wylot lufy wyglądał z tej odległości jak wjazd do metra w Nowym Jorku.

–Nigdy mnie tak nie nazywaj – mówił ostro Steve. – Z nas dwóch to ja jestem szefem i lepiej, żebyś o tym pamiętał. Masz robić to, co ci każę, i jeszcze jedno wbij sobie do tego swojego głupiego łba... – gestem pokazał chłopca. – Też siedzisz w tym po same uszy. Jeśli mnie złapią, to ciebie też, więc lepiej zachowuj się rozsądnie.

Boba coś ruszyło w środku.

–To nawet nie jest ten chłopak – powiedział.

–Taak – uśmiechnął się krzywo Steve – ale powiedział mi, kogo szukać: małego starej Ma Bride, Jacketa. A tego to lepiej wrzucmy na rafy.

Wyszli z kostnicy, doktor odprowadził ich do bramy. Skelley z Trentem wsiedli do starego dżipa komendanta. W drodze na plażę nie zamienili słowa. Ta sama grupka starców siedziała nad dominem, być może rozgrywali jeszcze tę samą partię. W chacie nad brzegiem – nielegalnej knajpie – na ruszcie żarzyły się węgle. Skelley kupił dwa piwa i zamówił dwie ryby.

–Tylko świeże – upomniał właściciela.

Trent zerwał gałązkę oleandra, usiadł na zwałonej palmie nad brzegiem, skąd roztaczał się widok na Złotą Dziewczynę. Skelley przyniósł piwo.

–Skimp upiecze nam rybę.

Trent nie czuł apetytu i nie myślał o jedzeniu.

–Chłopaka załatwiono czymś w rodzaju małego noża. Rany wyłącznie z przodu, co pewnie ma jakieś znaczenie, ale jeszcze nie wiem, jakie. Jeśli sprawa ma trafić do sądu, trzeba się postarać o dokładne zdjęcia ciała z przodu i z tyłu i o wiarygodnego biegłego. – Obracał w palcach gałązkę oleandra. Cienka kora łuszczyła się, Trent starannie oczyścił jedną warstewkę. Zajęcie pomagało w myśleniu.

–Były dwa ciała – rzekł Skelley. Wziął patyk z rąk Trenta

i narysował na piasku najpierw romb, następnie krąg. Linia kropek oznaczała koralowce na lagunie. – To wysepka Bleak

Cay – wyjaśnił – leży cztery mile od osady Green Creek na

South Andros. W poniedziałek w nocy na lagunie lądował wodnopłatowiec z Kolumbii. Rozbił się o rafę. Pilot zginął na miejscu,

skręcił kark. Maszyna zatonała. W czwartek rano pewien rybak zauważył jedną gromadę mew nad rafą i drugą nad samą wyspą.

Ponieważ z wioski zniknął tymczasem jeden z dzieciaków, więc rybak

zainteresował się rafą, podpłynął, no i znalazł ciało. Odkrył także zwłoki pilota, które ktoś zaciągnął między wydmy na wysepce. Pilot nie miał koszuli. Zawodowo zajmował się rozpylaniem defoliantów. Pracował na kontrakcie dla DEA, co tylko komplikuje sprawę.

–O'Brien? – upewnił się Trent. Znał rezydenta DEA.

Skelley twierdząco skinął głową.

–Dziś rano przyleciał z Bogoty tamtejszy szef operacji DEA, przełożony pilota. Przysięga, że lotnik nie miał nic wspólnego z podziemiem. Właśnie on opłaca koszty pogrzebu z własnej kieszeni. – Skelley chciał oddać patyk Trentowi. Trent jakby nie

dostrzegł gestu, więc policjant wbił kijek w ziemię, a koniec wsparł o udo Trenta.

Od rafy biegły fale, rozlewając się leniwie na plaży. Drogą pędził samochód.

–Kretyn, popisuje się – skomentował Skelley. Podniósł kamyk

i bawił się nim przez chwilę. Z chaszczy dobiegł skrzek

sowy-płomykówki. – Chłopca zamordowano.

Trent starał się o tym nie myśleć. Nie chciał wyobrazić sobie śmierci chłopca. Zbyt dobrze znał się na tych sprawach. Gdy wszystkie szczegóły ułożą się w jedną całość, wrócą koszmary, które nękały go pod koniec służby w Military Intelligence. Lepiej skupić się na rozbitym samolocie, bo to bezpieczniejszy obraz, nie tak przerażający. Przypominało to przeglądanie zawodowej biografii zapisanej w komputerze. Na monitorze można wyświetlić dane, tabele i obrazy, jak na przykład te, kiedy zabierano go z zapadłych lądowisk w dżungli lub z pustyni albo gdy łódź podwodna „zdejmowała” go z plaży. Wolał myśleć o ewakuacji, bo to oznaczało zawsze zakończenie zadania. Początki zwykle były o wiele nieprzyjemniejsze. A w ogóle, to nie chciał już niczego zaczynać.

–Mówiłeś mi, że chodzi ci tylko o to, abym obejrzał ciało, Skelley.

–Ale wiesz, jak to jest w życiu. Jesteś specjalistą i jesteś mi potrzebny.

–Złota Dziewczyna to mój prywatny dom. Powinieneś był przyjść do biura.

–Nigdy tam nie bywasz – odparł cicho Skelley. – Proszę cię o pomoc, bo nie mam innego wyjścia. Green Creek to wioska, w której wszyscy wszystkich znają, a wobec obcych milczą jak trapiści. Prawo – to jeden policjant, który całe dni łowi tylko ryby i nie chce nic widzieć, o niczym słyszeć, żeby nikomu się nie narazić. Boi się, że gdyby co, to miejscowi przestaną z nim wieczorami grywać w domino. Jeśli wyślę tam detektywa, to zaraz go namierzą. Nie zdąży wysiąść z samolotu czy motorówki, a już wszyscy wszystko będą wiedzieli inabiorą wody w usta... W każdym razie idzie o narkotyki, Trent, komu więc mam zaufać? – spytał gorzko Skelley. – Mam tego wszystkiego dość – dodał nie kryjąc rozczarowania. – Na Saint John – jednej z Wysp Dziewiczych, tych amerykańskich, nie brytyjskich – trafia się posada szefa ochrony w nowym hotelu. Szukają kogoś z zewnątrz, chętnie z brytyjskim akcentem, bo to przydaje klasy. Pensja jest niezła, mieszkanie służbowe całkiem przyzwoite, płacą za ubezpieczenie zdrowotne, dają samochód i w ogóle...

Saint John ma wszystkiego pięćdziesiąt dwa kilometry kwadratowe.

–I gdzie będziesz jeździł tym autem?

–Poważnie mówię. Jeśli na moim podwórku można bezkarnie torturować i mordować dzieci, to ja przepraszam, wyjeżdżam.

Będziesz mógł mnie odwiedzać. Dam ci zniżkę na przystani.

Trent nie znosił przystani, co się zaś tyczyło posady ochroniarza, to dla policjanta z krwi i kości przejście do firmy ochroniarskiej równa się wykastrowaniu.

Wziął patyk do ręki. Wskazał na linię raf.

–Po której stronie rozbił się samolot?

–Południowej, pięćdziesiąt metrów do rafy. Na południowym krańcu laguny jest boja świetlna.

Trent nakreślił linię między rafami a boją.

–Okolo czterystu metrów długości. Samolot to de Havilland

Beaver.

–Załóżmy, że mordercy, kimkolwiek był, zależało na informacji.

Taki młody chłopak puściłby farbę w ciągu paru minut, powiedziałby wszystko, co wie, mamy więc do czynienia albo z facetem, co stracił wszelkie hamulce, albo z sadystą, który po prostu to lubi. Pewnie jednak z tym pierwszym – ocenił Trent, przywołując w pamięci obraz zmaltretowanego ciała: rany tylko z przodu, kości nie naruszone. – Był to ktoś przerażony, a zarazem tak do ostateczności rozwścieczony, że przestał się kontrolować.

–Znaczy morderca?

Trent kiwnął tylko głową. Miał wystarczająco dużo doświadczenia i wyobraźni, by wiedzieć, jak to było. Morderca i chłopiec. Wzrastające napięcie i wreszcie ostatni cios.

–Niech doktor Jack ustali bezpośrednią przyczynę śmierci – dorzucił. Obraz tego, co stało się nocą, tkwił w myślach jak cierń. Trent zadrżał. – Jeśli się nie mylę, to morderca rychło znów da znać o sobie. Musimy się więc pośpieszyć. Dobrze byłoby wiedzieć coś więcej o samym pilocie. Jak się nazywa ten facet z DEA?

Anderson? Popłynę wieczorem na miejsce, ale przedtem chciałbym z nim pogadać.

Zapowiadała się długa i ciężka noc. Trzeba zebrać siły.

–Lepiej coś zjedzmy – powiedział jeszcze.

Minęła właśnie jedenasta wieczorem. Ruch o tej porze był już niewielki. Skelley postawił dżipa na parkingu dla pracowników przy hotelu na Rajskiej Wyspie. Kiwnął głową w stronę ochroniarza i z Trentem weszli do środka służbowym wejściem. Anderson miał pokój na trzecim piętrze. Minęła dłuższa chwila, nim otworzył drzwi.

–Dzwoni do O'Briena – domyślił się Skelley.

Na piżamę w różowe paski, którą mógł sobie sprawić tylko stary kawaler, Anderson narzucił płaszcz kąpielowy. Wpuścił ich wreszcie do środka. Sunął po podłodze nie unosząc stóp, żeby nie pogubić zdeptanych przy piętach filcowych kapci.

Dwa fotele, proste krzesło przy biurku i podwójne łóżko stanowiły całe umeblowanie pokoju, w którym panował niewypowiedziany bałagan. Łóżko co prawda przykryte było kocem, ale Anderson nie zadał sobie trudu, żeby poprawić pościel. Rozpakował walizki bez ładunku i składu, rozrzucając swoje rzeczy po całym pokoju. Brązowy garnitur, biała koszula i czarny, żałobny krawat wisiały na drzwiach do łazienki. Trentowi przyszło do głowy, że ubierając się Anderson i tak nie znajdzie spinek albo guzików. Telewizor był nastawiony na wiadomości CNN, ale dźwięk wyłączony. Na nocnym stoliku stała otwarta butelka jacka danielsa, obok – nie dopita szklanka, w której bryłki lodu dawno już się rozpląnęły. Anderson albo zasnął, albo pijał niezwykle wolno.

–Panie Anderson – zaczął Skelley – przedstawiam panu mojego przyjaciela, Trenta, którego znają w pańskiej agencji, bo

czasami wam pomaga. Interesuje go osoba pilota.

–Rozumiem, siadajcie. – Miał nalaną czerwoną twarz, trudno więc było powiedzieć, czy się zarumienił. Kręcił się po pokoju, przekładał jakieś rzeczy, drapał się w głowę jak uczeń nagle

wywołany do tablicy. – Jestem tu tylko przejazdem – powiedział wreszcie – powinniście raczej zwrócić się do O'Briena – rezydenta agencji na Bahamach.

–Znam O'Briena, pracowałem z nim – wtrącił Trent. Czuł instynktowną sympatię do Amerykanina. Znał ten typ ludzi, o których powiada się „fajne, stare chłopiska”. Miał z nimi do czynienia, gdy oficer prowadzący „wypożyczył” go „kuzynom” z CIA. Można na nich polegać. Jeśli powiedzą, że cię wyciągną z szamba, to wyciągną. Staną na głowie, zaryzykują życie, a słowa dotrzymają, choćby przełożeni zabięli w Waszyngtonie i różne komisje wydawały najsurowsze zakazy. – Zadzwoił pan po O'Briena – ni to zapytał, ni stwierdził.

–Będzie tu za piętnaście minut – odparł Anderson wzruszając ramionami. – Vincente był moim przyjacielem – dodał jakby chciał się usprawiedliwić. – Zginął. Być może jedno z drugim ma coś wspólnego. Chciałbym wam pomóc, ale kazano mi trzymać język za zębami.

Skelley podszedł do okna. Milczał przez dłuższą chwilę. Patrzył na park i na plażę. Trent widział tężejące pod koszulą mięśnie policjanta. Był wyraźnie zdenerwowany.

–Jesteśmy na Bahamach, panie Anderson – powiedział w końcu.

–O'Brien będzie tu lada chwila – wtrącił Trent widząc, co się dzieje. – Można tu chyba zamówić coś do pokoju. Zadzwońmy po piwo, Skelley. – Anderson sięgnął niezręcznie po aparat z drugiej strony łóżka. Telefon spadł ze stolika z wielkim hukiem. Anderson zaklął. Wstał z miejsca. Podreptał do nocnego stolika. Podniósł słuchawkę. Wykręcił numer hotelowego baru, zamówił cztery piwa. Odłożył słuchawkę. Popatrzył na Skelleya, który cały czas stał przy oknie. Widać było, że Amerykanin walczy ze sobą.

–Tkwę w tym gównie po uszy i ta cała sprawa może mnie drogo kosztować, komendancie – wyrzucił z siebie. – Ale bez względu na wszystko jestem po waszej stronie. O'Brien będzie tu za parę minut. Szanuję wasze prawa i rozumiem wasze racje. Od lat już nie mieszkam w Stanach. W istocie nie bardzo tam pasuję. – Spojrzał na Trenta, jakby szukał wsparcia. – Rozumie mnie pan? – Wzruszył ramionami, siadając ciężko na łóżku. Nalana twarz poczerwieniała mu jeszcze bardziej. – Niech pan posłucha – dodał, jakby wstydząc się swojej własnej szczerości – lubiłem tego chłopaka i to ja wyłożyłem szmal na pieprzony

samolot, w którym się rozbił. Kto wie, może to wszystko moja wina.

Skelley przestał patrzeć przez okno. Odwrócił się do Andersona. Stojąc sięgał niemal sufitu. Światło lampy odbijało się od błyszczącej skóry na ogolonej czaszce policjanta. Na tle mrocznego okna wydawał się jeszcze chudszy niż zwykle, a napięcie sprawiało, że w jego rysach było coś złowieszczego. Wyglądał jak wąż szykujący się do ataku albo jak mściwy kościotrup z filmu grozy. Po chwili jednak nastrój się zmienił, napięcie ustąpiło. Skelley uśmiechnął się nieznacznie do grubego Amerykanina.

–Jest pan przyzwoitym człowiekiem, panie Anderson – powiedział cicho. – Dziękuję. Wypiję z panem, gdy tylko przyniosą, co trzeba.

Na obliczu Andersona nie widać jednak było ulgi. Przeciwnie, zszarzał, skulił się w sobie jak bity pies.

–Jest gorzej, niż mogłoby się wydawać – powiedział ponuro. – Najpierw podpalono maszynę Vincente'a. Zaraz potem zadzwonił ktoś z oddziału agencji w Miami, że właśnie trafia się okazja, bo mają wystawić na aukcji awionetkę de Havilland Beaver – Anderson wzruszył bezradnie ramionami. – Co tu dużo mówić, sami wiecie, jak to jest. Agencja robi w portki ze strachu, bo sprawa grozi skandalem jak stąd do Waszyngtonu, i oczywiście natychmiast zakazano udzielania wszelkich informacji.

–Polityka... – mruknął Skelley.

–Tego nigdy nie umiałem – westchnął Anderson.

O'Brien był niski, krępy i jak na mężczyznę dobrze po pięćdziesiątce, silnie umięśniony. Rysy miał mocne, acz bez szczególnego wyrazu, starawy garnitur z tropiku w niebieskie paski i wypłowiałą błękitną koszulę, jedno i drugie sprane ponad miarę. Buty były za ciężkie do tego klimatu, ale starannie wyczyszczone, z podkówkami na obcasach i blaszkami na zelówkach na nosach. Nosił zegarek w kopercie z jasnego metalu, dość wytartą obrączkę i nie rozstawał się z teczką tego typu, co to urzędnicy, którzy nie zrobili większej kariery i dobiegają już emerytury, zawsze mają ze sobą, niby na ważne papiery, a w istocie tylko po to, żeby chować w niej drugie śniadanie. Krótko mówiąc, sprawiał wrażenie akwizytora jakiejś mało ważnej firmy handlującej chemikaliami albo obrabiarkami na zupełnie nieatrakcyjnym rynku karaibskim.

Chyba że ktoś zwróciłby uwagę na jego spojrzenie. Jasnoblękitne oczy spoglądały uważnie i czujnie, bardzo czujnie.

Nie okazał zdziwienia na widok Trenta, skinął głową w stronę Skelleya, otworzył aktówkę, położył ją na biurku, przestawił krzesło, by mieć za plecami ścianę. Spojrzał wyczekująco na Andersona, który wiercił się niespokojnie.

–Powiedziałem im, że wyłożyłem pieniądze na samolot.

–Ach tak?! – O'Brien nawet się nie poruszył, przeniósł tylko wzrok na Skelleya. – Powinien mnie pan zawiadomić o wypadku – powiedział po prostu, bez pretensji i przygany, rzeczowo,

jakby wyjaśniał swoje stanowisko.

Skelley starał się panować nad sobą, a przychodziło mu to raczej z trudem.

–Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa dokonanego na chłopcu, panie O'Brien – powiedział.

–Fakty?

–Torturowano go – wtrącił Trent.

O'Brien kiwnął głową, nie tyle potwierdzając informację, ile kwitując własne myśli. Mówił bez cienia akcentu, jak każdy, kto dawno opuścił rodzinne strony i przez całe niemal życie obracał się za granicą, starając się dostosować do otoczenia. Ważył słowa i dobierał je starannie.

–Panie komendancie – zwrócił się do Skelleya – ja też kiedyś korzystałem z usług Trenta, obaj więc wiemy, z kim mamy do czynienia. Zanim zabrnjemy dalej, powinniśmy sobie wyjaśnić jego rolę; czy występuje tu oficjalnie, czy został zaangażowany przez władze Bahamów? Nie ma się o co obrażać – to ostatnie zdanie zaadresował do Trenta. – Sprawa dotyczy agencji i, jak sam wiesz, nikt mi nie podziękuje, jeśli okaże się, że wtykasz w to palce.

–To, co pan nazywa „sprawą agencji”, panie O'Brien, to z naszego punktu widzenia jest wyjątkowo okrutnym morderstwem – przerwał Skelley. – Owszem, bywało, że działaliśmy

razem w przeszłości, gdy przyświecał nam wspólny cel. Teraz jest jednak inaczej. Pana interesuje jeden tylko aspekt sprawy – narkotyki i jaki to może mieć skutek w Stanach Zjednoczonych.

Mnie zaś obchodzi fakt, że młody człowiek – Bahamczyk – panie O'Brien, padł ofiarą tortur i morderstwa. Jest to więc moja sprawa, mój kraj i nie pozwolę, aby pan w cokolwiek ingerował. –

Uważnie obserwował reakcję rezydenta DEA. Liczył na

zrozumienie, ale niczego takiego nie wyczytał w oczach agenta. – Przykro mi – westchnął – ale muszę przyznać, że nie mam do was zaufania. Nie mówię, że do pana osobiście, ale do agencji. Są wśród was czarne owce, no, zgniłe jabłka, jeśli pan woli. Myślę, że pan Anderson zgodziłby się ze mną, gdyby go szczerze zapytać, a ten samolot na Bleak Cay tylko to potwierdza. Gdybym to ja tak się zaczął szarogęścić w Stanach, jak pan tutaj, dostałbym po łapach. Oczywiście – ciągnął Skelley – może pan interweniować wyżej – w końcu obaj dobrze wiemy, ile mamy tutaj nielegalnych fortun – ale to byłaby krótkowzroczna polityka. Straciłby pan moją przyjaźń, panie O'Brien, i nie byłoby mowy o współpracy w przyszłości.

–Przynajmniej niczego pan nie ukrywa – odparł O'Brien z niewyraźnym uśmiechem. – Ale sprawy wcale nie są takie proste. Pomożemy panu, o ile to możliwe, ale uprzedzam, że są pewne rzeczy, do których nie możemy pana dopuścić.

–Nie żądam pomocy – odparł Skelley zerkając na Trenta, jakby szukał potwierdzenia.

Świadoma prowokacja, manipulowane odpowiedzi, jednym słowem, teatr, pomyślał Trent. We dwójkę z Andersonem stanowili zbyt małą widownię, więc nie o nich tu chodziło. Z całą pewnością O'Brien miał w teczce magnetofon i wszystko nagrywał.

Skelley tymczasem znów zwrócił się wyraźnie do O'Briena.

–Tylko my czterej, jak tu siedzimy, wiemy, że chłopiec nie utopił się, ale został zamordowany. Nikt też poza nami nie wie, że poprosiłem pana Trenta, żeby zechciał zainteresować się sprawą. Byłbym bardzo niezadowolony, panie O'Brien, gdybym się dowiedział, że któraś z tych informacji przedostała się na zewnątrz, a zwłaszcza gdyby znalazła się w meldunku, pańskim lub pana Andersona, do agencji. Chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli i żeby nie było żadnych nieudomówień. Żadnych. Mordercy będą odpowiadać zgodnie z prawem obowiązującym w tym kraju, co oznacza, że zostaną powieszani. Jeśli okaże się, że są obywatelami Stanów Zjednoczonych i wasz prezydent wystąpi o ułaskawienie, złożę rezygnację.

O'Brien spojrzał na Skelleya z wyraźnym smutkiem.

–Tak nie może być, tu chodzi o coś zupełnie innego. Nieważne, kto za tym stoi, jest jednak oczywiste, że mamy do czynienia ze spiskiem, którego celem jest przemyt narkotyków do USA. Sprawa należy więc do nas. Polecono mi dostarczyć winnych do sądu federalnego w Miami. Być może to kosztowne rozwiązanie, ale tak właśnie zamierzam postąpić.

Cała ta scena kojarzyła się Trentowi z walką psów. Te też na początku obwąchują się, prężą, starają się znaleźć słaby punkt przeciwnika, przestraszyć go, osłabić psychologicznie, zyskać trochę terenu, zapewnić sobie przewagę. Z tym wszakże, że ta tutaj gra była o wiele bardziej niebezpieczna. Skelley, czarnoskóry, wysoki. O'Brien niski, krępy, biały. Razem byli jak chart i bulterier. Trent uśmiechnął się na to porównanie.

Tymczasem wszystko było amerykańskie, hotel, meble, nawet powietrze, którym oddychali, zostało schłodzone w amerykańskim urządzeniu. Skelleyowi zrobiło się duszno. Próbował otworzyć okno, ale nie poradził sobie z amerykańskimi zawiasami i zamkami. Odwrócił się gwałtownie, jakby pchnięty potężną sprężyną. Trent miał wrażenie, że zaraz nastąpi eksplozja. Skelley jednakże panował nad sobą. Oparł się o parapet i odezwał cichym głosem:

–Wam, Amerykanom, wydaje się, że winę za narkotyki ponosi Ameryka Łacińska, a także my – mieszkańcy Karaibów.

Wiadomo jednak, a przynajmniej wiemy o tym my – pan, panie O'Brien, i ja – że to fikcja, dogodna legenda polityki Stanów Zjednoczonych. Pański kraj głosi chwałę moralnego imperatywu gospodarki rynkowej. Tymczasem wasz wielki rynek kontroluje gospodarkę sąsiadów. To wasze bogactwo jest źródłem całego

bałaganu. Mógłbym jeszcze mówić o braku dyscypliny w waszym społeczeństwie, panie O'Brien, i zapewne przyznałby mi pan rację. Ale zostawmy to. Ważniejsze jest to, z czym mamy teraz do czynienia, a więc z morderstwem niemal na pewno związanym z narkotykami.

Skelley przerwał, zawahał się na chwilę, zapewne miał świadomość, że O'Brien wszystko nagrywa. Choć może tylko zbierał siły do ostatecznej ofensywy, skupiał się, jak trójskoczek na rozbiegu.

–Mam dla pana wiele szacunku jako dla człowieka, panie O'Brien – zaczął spokojnie. – Szanuję wielu pańskich rodaków. Nie mam jednak szacunku dla sił, które rządzą w pańskim kraju. Żadnego szacunku, panie O'Brien. Nigdy panu tego nie mówiłem, ale zwyczajnie mam dość, dość waszych brudów, dość podłości, która prowadzi do śmierci dzieciaka, za którego ja odpowiadam. Mam dość! Rozumie pan? Jesteśmy niewielkim i ubogim krajem, nasi obywatele ulegają normalnym ludzkim słabościom. Pański rząd za pomocą układów o handlu – na przykład – i o pomocy kontroluje naszą politykę. Wasze banki kontrolują nasze instytucje finansowe. Wasze gangi kupczą naszymi prawami. Taktyka kija i marchewki, panie O'Brien. Ale w tym przypadku nie życzę sobie waszej marchewki. Nie będę osłem. I pan, i ja korzystaliśmy już z usług Trenta. Obaj znamy jego szczególne kwalifikacje. Zamierzam dać mu wolną rękę. Będzie więc działał tak, jak sam uzna to za stosowne. Chcę także, aby pan dobrze to sobie zapamiętał, że nie życzę sobie, aby odwiedzał pan Andros i Bleak Cay, zanim Trent zakończy śledztwo.

Trent pilnie obserwował rezydenta DEA. O'Brien jakby nagle opadł z sił.

–Popelniasz błąd, Skelley – rzekł cicho.

–Żadnego „Skelley”, panie O'Brien. Do czasu zamknięcia sprawy jestem dla pana komendantem Królewskiej Policji Bahamskiej. Zamierzam przesłuchać pana Andersona, ale bez pańskiego udziału. Niech więc pan zostawi nas samych. Albo pan wyjdzie, albo wyprowadzę pana siłą, i to głównym wejściem, co wywoła skandal, a tego chyba pan sobie nie życzy, prawda?

O'Brien spojrzał na Andersona, który siedział skulony na łożku.

–Łącznik z Miami?

Anderson kiwnął tylko twierdząco głową.

O'Brien westchnął. Wstał, odstawił krzesło na miejsce, wziął teczkę, ruszył do drzwi. Niewielki wzrostem, korpulentny człowieczek, ale potężny, potężny także siłą swojej agencji.

–Powinien pan był skorzystać z tej posady na Wyspach Dziewiczych, póki jeszcze jest wolna, panie komendancie. Wybrał pan niebezpieczne pole walki. Tylko proszę tych słów nie traktować osobiście – rzucił na odchodnym.

–I tak kończy się moja kariera – mruknął Anderson, gdy

O'Brien zamknął za sobą drzwi,

Siedział na łóżku, ręce wcisnął między kolana. Skelley wypytał go o okoliczności podpalenia pierwszego samolotu Vincente'a i o szczegóły kupna de havillanda beavera.

– Czy Vincente był zdolnym pilotem? – spytał Trent.

Na pytania Skelleya Anderson odpowiadał suchym, beznamiętnym głosem. Ożywił się, gdy rozmowa zeszła na temat Kolumbijczyka.

– Wielu z nas – Amerykanów pracujących za granicą – uważa siebie za coś lepszego. Prawda zaś jest taka, że Vincente był chyba najlepszym pilotem, jakiego spotkałem w życiu. Był artystą w swoim fachu, a jednocześnie działał rozsądnie i z rozwagą, co rzadko idzie w parze. Wystarczyło popatrzeć, jak startuje. Zwracał uwagę na wszystko, umiał przewidzieć nadejście szkwału, zanim ktokolwiek zorientował się, o co chodzi. Latał z niezwykłą precyzją. Opylał te przekłete plantacje z takiego pułapu, że srałem ze strachu, a przy tym nie omijał ani metra pola. Był dumny ze swoich umiejętności, ale nie popisywał się, nie była to taka męska pycha czy coś podobnego, nie krył jednak satysfakcji i lubił pokazać, co jest wart. – Anderson zawiesił głos szukając właściwego słowa. – Może nawet nie tyle pokazać, bo nie chciał niczego udowadniać. Chciał po prostu, żeby go szanowano. – Spojrzał na Skelleya. – Właśnie – powtórzył – szanowano.

Miał narzeczoną w Bogocie, która ciosała mu kołki na głowie za to, że pracuje dla nas, dla jankesów, dla gringo, jak powiadają o nas Latynosi...

Opuścił wzrok patrząc na własne dłonie: tępe palce robotnika, blizny i paznokcie, którym nie pomoże żaden manikiur. Wzruszył ponuro ramionami.

– Nie czytam zbyt wiele. Mój hiszpański jest dość prymitywny, rozumie pan? Nie studiowałem języka w szkołach. Uczyłem się w dżungli, bo od piętnastu lat włóczę się po zapadłych zakątkach. A ona? Narzeczone Vincente'a, studiowała w Kartagenie, uczyła się takich różnych pojęć i słów, których normalny człowiek w ogóle nie rozumie. Uważała mnie za przygłupa – spojrzał na ciemne okno, jakby był to ekran filmowy. Wpatrywał się w mrok pilnie jak dziecko, które czeka na rozpoczęcie filmu. – Może dlatego właśnie – ciągnął po chwili – wyłożyłem pieniądze na samolot. Chciałem udowodnić, że mi zależy – skrzywił się z zakłopotaniem. – Pewnie pomyśleliście, że jestem pedał i że napaliłem się na tego chłopaka. Nic z tych rzeczy. Znam Amerykę Łacińską, spędziłem tam wiele lat, wiem, że nie bardzo nas tam lubią i mają po temu powody. Chciałem więc po prostu zrobić coś dobrego.

Jadąc na Bahamy Anderson wstąpił do rodziców Vincente'a.

–...żeby im powiedzieć, że pokryję koszty ich przelotu na pogrzeb. Ale była tam ta jego narzeczona. Powiedziała, żebym się odpieprzył. „Dinero” – powiedziała to takim tonem, jakby to było przekleństwo. „Wy, gringos, tylko o tym myślicie...”

Anderson nie skarżył się, nie wylewał żalów. Chciał tylko, aby Skelley i Trent zrozumieli wszystko do końca.

–Nie mam rodziny – mówił. – Spędziłem w dżungli piętnaście lat. Przedtem byłem w Afganistanie. W takich miejscach wydaje się niewiele, więc miałem trochę oszczędności, a bank na Kajmanach, gdzie je ulokowałem, wie, jak mnożyć pieniądze. Nie znaczy to wcale, że jestem jakimś tam Rothschildem czy Morganem.

Przerwał, jakby zagłębił się w siebie, jakby na oknie-ekranie oglądał film, film z życia Vincente'a. Opuścił Vincente'a w tym sensie, że nie potrafił przewidzieć wszystkiego do końca.

–Mają ogromną władzę – mówił o ludziach z kartelu narkotyków. – Na jedno ich słowo bank zamyka konto, zawiesza hipotekę, ubezpieczenie wycofuje polisę. O tym nie pomyślałem. Podpalenie samolotu to był prapoczątek. A druga sprawa, że nie chciał mi nic zawdzięczać. Gdyby chciał współpracować z handlarzami narkotyków, transportować dla nich towar, mógł to robić już dawno temu. Ale on nie był taki. Tego właśnie nie rozumieją u nas, w Stanach, bo z tego, co czytają w gazetach i widzą w telewizorze, wydaje im się, że wszyscy Kolumbijczycy, nic tylko szmuglują narkotyki na Florydę, że w całej Kolumbii nie ma lekarzy, buchalterów, urzędników, słowem zwykłych ludzi, pracujących normalnie, jak w Ameryce. Pod tym względem jesteśmy głupi. Niewielu w sumie Amerykanów jeździ za granicę, a jeśli już, to głównie młodzi z plecakami, a ci – wiadomo – i trawka, i coś mocniejszego, i to oni kształtują opinię. Tymczasem większość Kolumbijczyków nie wpuściłaby takich typów do domu, właśnie... – Odwrócił się od okna. – Jak przejdę na emeryturę, to zamieszkać właśnie w Kolumbii, w prawdziwej indiańskiej „finca”, w wiosce. Umiem z nimi rozmawiać. – Wstał. Poprawił czarny krawat, który wisiał na garniturze, na drzwiach do łazienki. – Wygląda na to, że zostanę tu przynajmniej przez weekend czekając, co postanowi agencja. – Podniósł z podłogi czarne skarpetki, położył je na biurku. Po chwili zmienił zdanie, zabrał skarpetki z biurka i położył na walizce. – Jeśli mógłbym się do czegoś przydać, to dzwońcie po mnie...

Trent chciał zbadać rozbitą maszynę.

Przed świtem nie będzie wiatru. Trent zyskał tę pewność, obserwując niebo nad palmami, gdy jechali dżipem. Liście na palmach

tkwiły nieruchomo, księżyc przysłała wilgotna mgiełka. Miał na Złotej

Dziewczynie sześciometrowy ponton-motorówkę typu Zodiak z pięćdziesięciokonnym silnikiem przyczepnym Yamaha. Wyspa Bleak Cay leży sto dwadzieścia mil na południowy wschód od New Providence, spory dystans jak na tego typu łódź, ale też nie było innej możliwości, jeśli chciał obejrzeć rozbity samolot o świcie, bez zwracania czyjejkolwiek uwagi. A katamaranem zajmie się Skelley. Żeglowali przecież razem niejeden raz.

Morze leniwie pieściło rafę. Za pół godziny słońce wzejdzie nad horyzont, tymczasem powietrze było chłodne, przejrzyste, szmaragdowa laguna – gładka jak jedwab.

Rozłożywszy szeroko ręce i nogi, Trent trwał bez ruchu na powierzchni wody. Na pasie do nurkowania miał sześć funtów ołowiu, na oczach maskę, w ustach rurkę do oddychania, a na nogach długie płetwy profesjonalnego nurka. Tuż pod nim stadko miedzianych ryb kryło się w cieniu rozbitej awionetki. Piaszczyste dno laguny wyglądało jak pomarszczone. Pod samolotem mignął w wodzie bladawy podłużny kształt, obok zaś obłok drobnego piasku zdradził żerowisko flądry.

Trent podciągnął nogi, tak że kolanami niemal dotykał maski, następnie wyprostował je energicznie, wyrzucając nad powierzchnię wody. Ciężar ciała i ołowiany balast pociągnęły go w dół wzdłuż sterzącego skrzydła awionetki. Przełknął kilkakrotnie, aby wyrównać ciśnienie w uszach. Wpłynął do kabiny samolotu. Drzwi po jednej i drugiej stronie oraz boczne okna były otwarte. Uprząż zwisiała z fotela pilota. Trent skrupulatnie policzył końcówki białych, rozplatających się linek wiszących na ściankach kabiny.

Wycofał się niespiesznie z kabiny, unikając gwałtownych ruchów. Machnął płetwami, schodząc trochę głębiej przy burcie samolotu. Jedną ręką trzymał się obramowania drzwi, drugą niezmiernie powoli, centymetr po centymetrze, sięgał pod skraj przewróconego samolotu, gdzie kołysał się bladawy, upstrzony kropkami kształt. Chwycił mocno. Homar zatrzepotał szczypcami, chcąc się wyzwolić z uścisku.

Bezsukutecznie.

Trent wynurzył się, podpłynął do łodzi, wrzucił zdobycz do środka. Obrócił się i zaczął płynąć prosto, wzdłuż jakby linii łączącej boję i sterzące nad powierzchnią rafy. Para tropikalnych, bajecznie ubarwionych ryb przylgnęła przy koralowcu, w miejscu, gdzie od uderzenia pływaków wodnoplątowca powstała głęboka jama. Miał nadzieję, że znajdzie na dnie ślad kotwicy. Niczego jednak nie dostrzegł. Od katastrofy minęło pięć dni i pływy wygładziły piasek na dnie laguny. Wrócił więc do łodzi. Odpiął pas z ołowianym balastem, wrzucił do środka, podciągnął się na rękach i przetoczył przez krągłą burtę pontonu.

Usiadł i przez chwilę obserwował wydmy z kępami nędznych traw na Bleak Cay. Homar drapał szczypcami o lakierowane deski, którymi wzmocniono dno dmuchanej łodzi. Słońce pęczniało nad horyzontem, malując złotem lagunę. Trent myślał o nieszczęsnym chłopcu. Na tle wspaniałości budzącego się dnia jego śmierć jawiła się jeszcze okrutniej. Morderca osacza pewnie kolejną ofiarę, którą zapewne będzie jakiś inny chłopiec. Trzeba go zatrzymać, a zmarnowali już jeden dzień. Trzeba uspokoić myśli i jasno zanalizować sytuację.

Oddychał głęboko, licząc w myślach do stu, potem nacisnął starter silnika i skierował łódkę ku rafom. Przepluwając nad koralowcami musiał przechylać przyczepny silnik na pawęży, aby uchronić śrubę od uderzenia o płytkie w tym miejscu i skaliste dno. Po drugiej stronie raf przyśpieszył obroty, wprowadzając łódź

w ślizg. Potem zwolnił manetkę gazu słuchając, jak wysokie tony silnika stopniowo przechodzą w basowy pomruk.

Wyspa Andros mierzy dwieście dwadzieścia cztery kilometry długości, od północnego krańca do południowego cypla, i około sześćdziesięciu czterech szerokości. Równolegle do jej wschodniego brzegu biegnie rafa koralowa – druga co do wielkości na półkuli północnej, ustępuje tylko rafie Yucatan-Belize. Po jej zewnętrznej stronie, w odległości ledwie dwustu, trzystu metrów od brzegu wyspy, zaczyna się głębia zwana Tongue of the Ocean – oceaniczny rów o gładkich, prostopadłych ścianach.

Słońce oblewało ogniem cały wschodni horyzont, podkreślając ostre kontury raf. Przed dziobem zodiaka roztaczała się płycizna, którą wschód malował złotem. Od zachodu horyzont zamykała

linia brzegu, którą znaczył połyskujący w słońcu piasek, kępy mangrowców, dalej znów złociły się plaże upstrzone kępami palm, potem znów mangrowce, a przed nimi, tam, gdzie odpływ odsłaniał morskie dno, połyskiwał wilgotny piasek. Dalej zaś tropikalną panoramę przecinała linia pierzastych sosen.

Cichy pomruk yamaha nie zdradzał, jaka moc kryje się we wnętrzu. Tymczasem nawet przy niepełnych obrotach silnik rozpędzał lekką łódź na spokojnej wodzie do trzydziestu węzłów. Rybacy rozpoczęli już poranny połów. Trent łukiem omijał rozstawione sieci. Dalej, na otwartym morzu, wielka motorówka CrisCraft o białym kadłubie, który na tle wschodzącego słońca rysował się czernią, wyglądała jak unosząca się na wodzie mewa wypatrująca ryb.

Bliżej brzegu Trent dostrzegł kuter pełen turystów, próbujących sił w morskim wędkowaniu. Od strony Kemps Bay wypłynęła motorówka z amatorami podwodnych przygód. Dwie inne łodzie do nurkowania stały już na kotwicy na rafie w pobliżu Congo Town.

Gdy Trent okrążył Driggs Hill, z przesmyku Southern Bight wyłonił się wycieczkowy jacht typu Hatteras. Na mostku stał bahamski szyper w nieskazitelnie białym uniformie. Przy fotelach wędkarzy na rufie połyskiwały w pojemnikach puszki schłodzonego piwa. Dwóch amerykańskich turystów-wędkarzy w baseballowych czapkach sprawdzało wędziska i żyłki. Pozdrowili Trenta machnięciem ręki, gdy przepływał obok.

Mijał teraz wejście do cieśniny Middle Bight, która oddziela South od North Andros. W cieniu mangrowców stał na kotwicy kuter – ongiś statek wielorybiczny, dziś wycieczkowiec dla amatorów morskich połowów. Szyper – barczysty Bahamczyk – uczył właśnie białoskórego turystę-chudeusza, jak zakładać przynętę. Nieco dalej na morzu biała jak balon spinaker Złotej Dziewczyny. Poranna bryza już dogasała. Trzeba ręki mistrza sztuki żeglarskiej, aby resztką wiatru wypełnić wielki żagiel z lekkiego terylenu. Skelley znalazł się na rzeczy i Trent z uznaniem wzniosł do góry kciuk, okrążając katamaran. Podszedł do jachtu od strony rufy.

Skelley rzucił cumę. Trent podciągnął zodiaka do jachtu. Przeskoczył do kokpitu, przeszedł na dziób, zwolnił fał spinakera, ściągnął z ręcznie płótno, które opadło

prosto do schowka w lewym kadłubie katamarana. Wrócił następnie do łódki, przymocował

talię, co zwiisała ze szlupbelki na katamaranie, do yamaha i odkręcił śruby mocujące silnik. Skelley podciągnął talię, przenosząc ciężki motor na Złotą Dziewczynę i opuszczając go zręcznie w jarzmo na rufie. Trent podłączył przewody paliwowe do zbiornika na katamaranie, kable do akumulatora i nacisnął starter. Pod silnikiem Złota Dziewczyna mogła rozwijać piętnaście węzłów na spokojnej wodzie, zostawiając za rufą potrójną linię kilwateru: dwie linie ciągnęły się za dwoma smukłymi kadłubami katamarana, trzecią rysowała pracowita śruba yamaha.

Żeglując pod spinakerem Skelley nie mógł korzystać z samosteru. Wielki jak balon żagiel wymaga ciągłej uwagi, więc przez noc nie zachodził do kabiny i nie miał jeszcze niczego w ustach. Trent zszedł do kambuza urządzonego w prawym kadłubie katamarana. Napełnił garnek morską wodą, wrzucił homara, postawił na ogniu. Przygotował świeże ziarna kawy do palenia, obrał ząbek czosnku. Na patelni rozpuścił trochę masła, dodał posiekany czosnek, wrzucił plastry ugotowanego tymczasem homara oraz cztery lekko ubite jajka. Całość smażył na chiński sposób przez trzy minuty, ciągle mieszając. Gotowe danie ułożył na dwóch talerzach i ruszył do kokpitu. Obok, idąc kursem od południa, przepływała właśnie dziesięciometrowa szybka motorówka.

Bob zmniejszył obroty, aby – stosując się do żeglarskiej etykiety – nie wzbudzać za dużej fali, gdy przepływał obok wielkiego, białego katamarana, który szedł pod silnikami na południe. Brodaty żeglarz w kokpicie miał ręce zajęte talerzami, uniósł je w górę na znak podziękowania za uprzejmość. Bob odpowiedział machnięciem ręki.

Przed wyjściem z domu dał Steve'owi tabletkę nasenną i uprzedził panią Bride, aby go nie budziła.

Kolumbijczycy Steve'a byli ludźmi nader ostrożnymi i pomyśleli o wszystkim. Polecili, aby po odebraniu przesyłki na Bleak Cay odczekać czterdzieści osiem godzin, a po upływie tego czasu udać się motorówką do Congo. Biały kostium kąpielowy przywiązany do kosza dziobowego miał sygnalizować, że wszystko poszło dobrze, czarny – że są kłopoty.

Instrukcja była bardzo szczegółowa. W Congo należy zacumować motorówkę na przystani przy hotelu Chickcharnie, zejść na

taras i zamówić piwo. Następnie trzeba popłynąć dalej, za Moxey Town, aż do Behring Point, stamtąd przesmykiem Northern Bight przepłynąć na zachodni brzeg wysp Andros, rzucić kotwicę przy wysepce Yellow Cay, odczekać pół godziny, po czym należy przepłynąć na wschodnią stronę Andros drogą przez Middle Bight i wrócić do domu, do Green Creek.

W południe, gdy żar leje się z nieba, nie ma nadziei na dobry połów, więc kilka ledwie łodzi kręciło się w cieniu mangrowców. Bob nie mógł wiedzieć, na której z nich czuwa kolumbijski łącznik i baczy, czy za motorówką nie płynie ogon, czy nie śledzono jej, gdy przepływała krętymi przesmykami rozdzielającymi Andros. Na płyciźnie motorówka wzbijała z dna chmury mułu i rozproszyła gromadę morskich ptaków żerujących na ławicach ostryg.

Stojąc na kotwicy nie opodał Yellow Cay, Bob rozłożył na rufie motorówki piankowy materac i przez lornetkę obserwował brzeg. Jeszcze w Nowym Jorku, przed odlotem do Fort Lauderdale na Florydzie, zaszedł do antykwariatu i kupił sobie album ptaków Indii Zachodnich. Nie był zapaleńcem, który starannie klasyfikuje wszystko, co zaobserwuje, ale lubił podpatrywać ptaki i czasami sprawdzał w albumie gatunki i rodzaje latającej fauny. Właśnie – obserwować przyrodę, łowić ryby, no i oczywiście grzebać w silnikach, to jego recepta na dobre życie. Tymczasem stał się współwinnym zabójstwa chłopca. Nie miał pojęcia, co powinien teraz uczynić.

Jeśli nie liczyć mandatów za nieprzepisowe parkowanie, co na ogół wiązało się z jakąś doraźną naprawą auta na drodze, Bob nie miał do czynienia z wymiarem prawa.

Owszem palił trawkę, ale nie traktował tego w kategoriach wykroczenia przeciwko prawu, a zresztą pilnował się i nigdy nie palił w tych stanach, w których za marihuanę groziła surowa kara. A teraz morderstwo! Koszmar jak we wspomnieniach z dzieciństwa. Opiekował się kiedyś gołębiem ze złamanym skrzydłem i miał zamiar wypuścić ptaka, ale nie zdążył. Gołąb padł ofiarą kota. Innym razem ojciec zaszlachtował ulubioną prosię. Pies wpadł we wnyki. Spanielka zdechła na raka. No i matka. Bob odebrał wiele bolesnych lekcji i wiedział, czym grozi emocjonalne zaangażowanie.

Starał się unikać myśli o matce. Umierała długo. Ogromnie cierpiała. Bywały dni, kiedy myślał, żeby wziąć poduszkę, przyłożyć

jej do twarzy i skrócić mękę. Rak, jak u spanielki. Nowotwór płuc. A przecież nie paliła. Być może chorobę wywołały środki owadobójcze, których używali w gospodarstwie. A może zwyczajnie nie miała szczęścia?

Mieć szczęście to właściwie cała filozofia Boba. Szczęście to coś, co rządzi ludzkim życiem. Szczęście albo pech. I nic nie można uczynić dla innych prócz jednego: samemu robić najlepiej to, co się robi. Jeśli coś nie wyjdzie, coś się stanie, to nie z twojej winy, bo ty, bracie, robiłeś, co mogłeś i najlepiej, jak potrafiłeś. A teraz? Teraz to było tak, jakby zjeżdżał autem z jakiejś góry bez hamulców ani kierownicy czy nawet silnika. Góra tymczasem stawała się coraz bardziej stroma. Katastrofa nastąpi, gdy zjawią się Kolumbijczycy. Steve wystraszył Boba do imentu.

Steve nie miał niczego w ustach, jeśli nie liczyć kanapki na Bleak Cay i filiżanki bulionu, który zrobiła mu pani Bride – matka Jacketa. Na samą myśl o jedzeniu czuł mdłości. Leżał na łóżku w sypialni domu Wintertona i mrużył oczy przed promieniami słońca silnymi jak reflektory, przedzierającymi się przez szczeliny w drewnianych żaluzjach.

Kiedyś, gdy jeszcze homoseksualizm traktowano jako występki, a nie naturalny wyraz skłonności seksualnych, w domu Wintertona na Fire Island – wyspie pod Nowym Jorkiem – zjawiała się policja. Właściciel, człowiek wielce wrażliwy, przeżył w związku z tym głęboki szok. Aby uniknąć w przyszłości podobnych incydentów i zapewnić sobie absolutną dyskrecję w czasie wakacji, kupił działkę na South Andros, w zapadłym zakątku wyspy, gdzie nie było dróg. Przy domu była niewielka, prywatna oczywiście, plaża, na której pan Winterton i jego goście mogli sobie robić, co im się

żywnie podobało, bez obawy, że ktoś może podejrzec. Było to dawno, zanim jeszcze przemyt narkotyków zmienił gospodarkę Bahamów. Służbę najmowano wtedy za trzydzieści tylko dolarów tygodniowo i ludzie byli wdzięczni.

Dom zaprojektował młody, bardzo przystojny architekt, zwolennik stylu Bauhaus. Z architektami tak już jest, że bardziej interesuje ich wznoszenie pomników na chwałę własnego talentu niżli budowa domu dla klienta. Willa Wintertona przypominała

z daleka gigantyczne schody. Na parterze, czyli jakby na pierwszym stopniu schodów, znajdował się hangar z urządzeniem do slipowania łodzi, warsztat oraz maszynownia – dźwiękoszczelne pomieszczenie, w którym zainstalowano generator prądu o mocy jedenastu KV napędzany silnikiem Diesla. Na drugiej kondygnacji były cztery sypialnie, każda z oddzielną łazienką. Kolejne piętro to olbrzymi salon z paradnymi schodami wiodącymi na następny poziom, gdzie znajdowały się prywatne apartamenty gospodarza: sypialnia, garderoba, biblioteka i oczywiście łazienka pełna mosiądzów i marmurów, wspanialsza niż najwytworniejszy apartament „prezydencki” w dziewiętnastowiecznym burdelu w Chicago obsługującym nowobogackich.

Dom znakomicie prezentował się na zdjęciach, dlatego też trafił na łamy popularnego miesięcznika „House Garden”, który specjalizował się w problemach architektury wnętrz i krajobrazu, a także poświęcono mu artykuł w fachowym „Architectural Revue” – przeglądzie architektonicznym, z czego pan Winterton był ogromnie rad, publikacje te stanowiły bowiem wspaniałą zachętę dla młodych ludzi, których zapraszał na zimowe wakacje. Z zapalem kolekcjonował kiczowate przedmioty sztuki, eksponował je następnie na tle – na przykład – dobrego malarstwa abstrakcyjnego czy nowoczesnych mebli, co wywoływało szokujące wrażenie. Najbardziej zaś był dumny z łóżka, które znalazł kiedyś w Nassau. Było rzeczywiście kwintesencją kiczu – zrobiono je z polerowanego mosiądzu, lustrzane wezglowie ozdobiono dodatkowo wielkim, karminowym sercem z aksamitu.

Steve leżał wsparty na poduszkach. Mimo ostrzeżeń zamieszczanych w czasopismach dla turystów i uwag przewodników wycieczek oraz instruktorów nurkowania wielu wczasowiczów spieka się na raka. Oparzenia słoneczne to niemal plaga na Bahamach, o czym mogą zaświadczyć wszyscy miejscowi lekarze i pielęgniarki mający rzeczywiście wielkie doświadczenie w leczeniu takich przypadków. Steve miał na twarzy i ramionach opatrunki z cienkiej gazy nasyczonej maścią przeciwko oparzeniom. Przywiózł je Bob ze szpitala w Oakley Town. Specjalnie po nie wyprawił się motorówką rankiem poprzedniego dnia.

Po tabletkach nasennej Steve spał całkiem dobrze. Bał się tylko, że lada chwila znów mogą zacząć się bóle. Leżał na wielkim łóżku i nadśluchiwał, co robi w salonie pani Bride – matka

Jacketa. Specjalnie, aby nigdy nie zaskoczyć pana Wintertona w takich różnych momentach, kiedy wskazana jest dyskrecja, pani Bride nauczyła się głośno stąpać, łatwo więc można było ją zlokalizować. Poprzedniego dnia Steve był półprzytomny i Bob zabronił jej wchodzić do sypialni, ale teraz Steve'owi chciało się pić. •

Na nocnym stoliku stał dzbanek z sokiem z limon oraz szklanka ze słomką – wszystko w zasięgu ręki, ale gdyby Steve chciał się sam obsłużyć, musiałby naturalnie zmienić pozycję, przekręcić się na bok i w ogóle. Spojrzał z troską na ramiona. Pod cienką gazą widać było wielkie pęcherze na spieczonej skórze. Przypomniawszy sobie chłopca na Bleak Island, zdjął go strach i z żalu łzy napłynęły mu do oczu. Nie, nie żałował chłopca, uważał się nad sobą.

A w ogóle to wszystko było niesprawiedliwe. Gdyby tylko zjawił się ktoś, kto byłby w mocy wszystko odwrócić, sprawić, żeby było tak jak ongiś, zanim jeszcze w jego życie wdarli się bracia de Fonterra! Obudziłby się w swoim mieszkaniu na Manhattanie, wypił szklankę świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego, narzucił szlafrok i wyszedł na taras, aby podać kwiatki w skrzynkach i obciąć zwiędłe liście. Potem wziąłby prysznic, włożył świeżą, pachnącą koszulę prosto z chińskiej pralni i nowy garnitur, wsiadł do taksówki i po drodze do banku przejrzałby tytuły w „The Wall Street Journal”. W biurze sprawdziłby najpierw bieżące notowania na monitorze, załatwił pocztę, sięgnął po telefon, poszedł na lunch do restauracji Denny'ego i w ogóle...

Przymknął powieki i oddał się wspomnieniom spokojnego solidnego życia, poczucia bezpieczeństwa i sukcesu, przynależności do klasy uprzywilejowanych, czego świadectwem była „platynowa” karta kredytowa American Express z nieograniczonym kredytem gotówkowym oraz członkostwo w Klubie Admiralskim American Airways, które zwalnia od stania w kolejkach na lotniskach. Wszystko to skończyło się jak sen złoty i Steve nie był w stanie tego znieść. Poczował, jak ogarnia go gniew i złość, totalna, rozpalająca nerwy do białości. Nie miał nic innego do roboty, więc poddał się jej całkowicie. Nurzał się we własnej złości, czuł, jak wściekłość wypełnia wszystkie komórki udręczonego ciała, ogarnia najpierw ręce i nogi, rozlewa się gorącą falą, dociera do mózgu, rozpala i pulsuje własną energią. Chuj im wszystkim w dupę, skurwysynom. Ale jeszcze nic straconego. O, jeszcze nie!

Nacisnął dzwonek i nasłuchiwał kroków pani Bride śpieszącej na górę. Gdy zapukała do drzwi sypialni, spieczonymi ustami wybełkotał, żeby weszła.

Mama Jacketa miała trzydzieści kilka lat, była niską, silną, bardzo ciemną Murzynką. Pod spraną, bezkształtną już, bawełnianą sukienką skrywała jędrne, sterczące piersi, szczupłą talię i krągłe pośladki. Rysy miała przedwcześnie postarzałe od nędzy, ciągłych zmartwień i ciężkiej pracy, naturę i charakter – podobne do Steve'a. Była lękliwa, zgorzkniała, zła i mściwa, ukrywała to jednak przed swoim chlebodawcą, jego gośćmi i lokatorami za maską bezmyślności, przez co wszyscy mieli ją za głupią, a przy tym łagodną oślicę, jak chichocząc określał ją pan Winterton wobec swoich przyjaciół i znajomych.

–I jest szalenie oddana – dodawał – nie macie pojęcia, jak bardzo. W świętek i piątek, codziennie przez siedem dni w tygodniu maszeruje przez góry, żeby podać u mnie kwiaty. Nawet gdy dom jest pusty i nikogo nie ma. I co wieczór modli się za mnie...

To była prawda.

Pani Bride wierzyła w Słowo – w to, co zapisane jest w Piśmie świętym. Nie miał przy tym żadnego znaczenia fakt, że Słowo najpierw przełożono z hebrajskiego na grekę, z greki na łacinę, z łaciny na osiemnastowieczną angielszczyznę, z której na koniec sporządzono uproszczoną wersję Pisma wedle współczesnych kanonów językowych, i że każda kolejna wersja odzwierciedlała uprzedzenia twórców przekładu, przez co coraz bardziej odbiegała od oryginału, który i tak zaginął. Jej ocena pana Wintertona i jego przyjaciół była prosta i jednoznaczna: napawali ją obrzydzeniem. Byli przeklęci i na pewno będą się smażyć w piekle.

Z drugiej jednak strony, pani Bride wielce ceniła sobie swoją posadę, więc co wieczór, przed pójściem spać, błagała Najwyższego, żeby oszczędził pana Wintertona, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas, i nie objawiał swego gniewu.

Na początku Steve jej się nawet podobał. Był ujmujący, a ponadto przez pierwszy miesiąc prawie że nie wychodził z biblioteki pana Wintertona, gdzie wystukiwał na laptopie rozprawkę o anomaliiach rynku dewizowego. Gdy jednak zjawiał się pan Bob, który

przypląnął pewnego dnia motorówką, pan Steve odpuścił sobie pracę. Zaczął z Bobem wyprawiać się na całe dni na ryby albo zwyczajnie pędzili tu i tam, krążyli wokół wyspy, pływali do Nassau i z powrotem, jak wszyscy bogaci cudzoziemcy. A tak przecież nie należy, bo życie to poważna sprawa i trzeba je traktować poważnie. Nie zmieniła zdania o Stevie nawet wtedy, gdy podarował jej rybę.

Uważała go teraz za głupca i wcale mu nie współczuła, bo tylko głupi mógłby się tak spiec na słońcu jak on. Niczego oczywiście po sobie nie okazywała, napełniając szklankę sokiem z dzbanka i podając mu płyn. Skoro jest taki głupi, to trzeba wycisnąć zeń, ile tylko się da. Ani pan Winterton, ani ludzie ze wsi, ani nawet Jacket, nie mieli pojęcia, że oprócz nędznej pensji, z której nic nie zostawało, miała jeszcze coś – puszkę, do której odkładała wszystkie dary i napiwki, i którą skrzętnie skrywała w niedostępnych zakamarkach w chacie.

Z jej zawartości czerpała poczucie siły, w miarę jak przekonywała się, ile tego jest i jaką to ma wartość. O tym ostatnim dowiadywała się pośrednio, przy pomocy Jacketa. Zabierała go ze sobą do domu pana Wintertona w czasie weekendów lub wtedy, gdy nie było lekcji w szkole, i kazała pytać gości, ile kosztują różne rzeczy, które mieli ze sobą.

Podobne pytania w ustach osoby dorosłej brzmiałyby co najmniej nietaktownie, jeśli nie obcesowo. Co innego, gdy pytającym jest dziecko. Cudzoziemcy napuszczali się dumnie, opowiadali o tym, jacy to są bogaci, a w efekcie dawali większe napiwki. Nie bez znaczenia było to, że Jacket był chłopcem. Ale starała się go pilnować. Przyłapała go kiedyś, gdy na oczach pana Wintertona zaczął skakać i huśtać się na wielkim łożku na górze. Nie zareagowała ani jednym słowem, ale w drodze do domu sprawiła mu solidne lanie, że popamiętał.

Wystarczy jeszcze pięć lat, to zaoszczędzi i nauczy się tyle, że będzie mogła otworzyć lombard w Congo Town i wtedy wszyscy, co się z niej naigrawali i szydzili, znajdą się w jej mocy, będą zabiegać o względy i pomoc. I to było jej największym pragnieniem.

Steve mruknął podziękowanie biorąc szklankę z rąk pani Bride. Gestem poprosił o fiolkę penabolu, połknął dwie tabletki.

Następnie zwał się z łoża i poczłapał do wytwornej łazienki Wintertona. Kucnął w wannie w kształcie wielkiej muszli i przemył gąbką skórę w miejscach nie osłoniętych gazą. Wytarł się ostrożnie, stanął przed wielkim lustrem nad marmurową umywalką i nakremował spieczone wargi.

Bob popłynął motorówką przez Middle Bight na drugą stronę wyspy, żeby dać znać komu należy, że nie podjęli dostawy. Miał też wstąpić do Nassau i sprawdzić, czy nie nadszedł fax. Metys uprzedzał, żeby odczekać czterdzieści osiem godzin, zanim podejmą jakąkolwiek próbę kontaktu. Steve zastanawiał się, czy Kolumbijczyk jest już w drodze, czy może już przyleciał na Bahamy, i wtedy wyobraźnia podpowiedziała mu, co można zrobić z jego, Steve'a, poparzonym obliczem i ramionami. Zadrżał spoglądając w lustro, z którego wyzierały zapadnięte oczy, poranione wargi i przesycona żółtym świństwem gaza. W czasach szkolnych celował w symulowaniu przeróżnych chorób. Wielkie łóżko kusilo. Może Kolumbijczycy okażą trochę litości, pożałują go jak matka, gdy nie chciało mu się iść do szkoły, ale przecież Metys nie był matką. Tymczasem Steve stracił już cały dzień i nie miał innego wyjścia, jak wziąć się do roboty. Po pierwsze, trzeba dobrać się do tego, jak mu tam, Jacketa. Nie do pomyślenia, żeby takie małe, czarne gówno stało mu na drodze. Zezłościł się jeszcze bardziej na myśl, że w istocie ma do czynienia ze smarkaczem. A jego matka jest przecież tu, w domu, piętro niżej, krótko mówiąc – pod ręką. Czas najwyższy zająć się nią. Włożył bawełniane spodnie, wziął obszerną koszulę z długimi rękawami i zszedł do salonu.

–Naprawdę jest pani wspaniała – powiedział, gdy pani Bride zaczęła zmieniać mu opatrunki.

Liczył, że przynajmniej uśmiechnie się w odpowiedzi. Nic z tego. Jeszcze nie widział tak niekomunikatywnej suki. Jedyna jej zaleta, że potrafi delikatnie nałożyć opatrunek – pomyślał, gdy pani Bride sięgała do lodówki po świeżą gazę.

–Jacket to szczęściarz, że ma taką matkę – dodał. Pod maścią skóra warg już nie była tak obolała, udało mu się więc uśmiechnąć przymilnie. – Dawno go nie widziałem.

Pani Bride skupiła całą uwagę na bandażach, starała się nie urazić chorego, ale wkraść się w jego łaski, w wiadomym sobie celu. Czekala tylko na okazję, żeby wszystko wypadło naturalnie,

i oto nadarzyła się taka właśnie sposobność. Nie przegapiła jej.

–Jacket jest w Nassau, proszę pana – odparła na początek. Steve był wyraźnie zaskoczony.

–Właśnie – ciągnęła. – To dobre dziecko, panie Steve.

Łowi homary i zbiera pieniądze na prezent urodzinowy dla mnie. Szszsz – nakazała milczenie, gdy próbował przerwać. –

Niech pan się nie kręci, póki nie skończę z bandażami. – Delikatnym ruchem przechyliła głowę Steve'a do tyłu i nałożyła gazę na jego policzki. – Właśnie, panie Steve, Jacket pojechał do

Nassau, bo tu u nas, na Andros, sam szajs – kiwnęła głową, jakby potwierdzając własne myśli. – Wraca w poniedziałek, na moje urodziny.

Za cztery dni! Steve najchętniej by ją zamordował. Zrobił jednak coś innego. Poszedł do biblioteki Wintertona i włożył do koperty sto dolarów. Miał już wyjść, gdy usłyszał motorówkę. Nikt nigdy nie nazwał go skąpcem. Wrócił do biblioteki. W portfelu miał same setki. Jako szef musi być hojny, nie wolno mu tracić twarzy. Dwie setki od niego, jedna od Boba. Napisał jeszcze na obu kopertach, że to dla pani Bride, i położył je na stole w jadalni. Dopiero wtedy wyszedł na spotkanie Boba.

Bob wysiadał z łodzi z miną, która mówiła, że wolałby być zupełnie gdzie indziej. Wszystko jedno gdzie, byle nie tu.

–Wstałeś – zauważył, patrząc na Steve'a zmęczonym wzrokiem.

–Wstałem – odparł Steve. Nie życzył sobie żadnych uwag ze strony Boba. – Jest coś nowego? – spytał biorąc gazety, które przywiózł Bob: „The Nassau Guardian” i „The Tribune”.

W obu informację o wypadku na Bleak Cay drukowano na pierwszej stronie. Żadna nie podawała nazwiska zmarłego tragicznie pilota. „The Nassau Guardian” zamieściła natomiast zdjęcie chłopca i zrelacjonowała przypuszczenia policji: że najpewniej był świadkiem katastrofy samolotu, popłynął łódką i gdy zaczął wyciągać to i owo z wody, łódź wywróciła się na rafie. „The Tribune” wspomniała o jego zwycięstwach na ringu, ale także kłopotach w szkole. Steve odetchnął z ulgą.

–Wuj Pete przylatuje – poinformował Bob, wręczając Steve'owi kartkę faxu. – Pisz, że będzie cię oczekiwał u swojej siostry.

Pete to Kolumbijczyk. Dom siostry to żądanie spotkania.

–O kurwa – mruknął Steve. – Ten przeklęty bachor jest akurat w Nassau.

Gówniarz pojechał na zakupy, niech go szlag trafi. Kupuje prezent urodzinowy dla mamuśki.

Zaczął się gorączkowo zastanawiać. Musiał pogodzić się z faktem, że nie da się odnaleźć chłopca przed spotkaniem z Latynosami. Wszystko przez Boba, przez to, że stracił tyle godzin grzebiąc w silniku. Nie można mu ufać, a w ogóle to już nie jest potrzebny. Wyobraźnia podpowiadała nowy scenariusz. Największe niebezpieczeństwo groziło ze strony Metysa. Przeszedł go dreszcz, gdy przypomniał sobie spotkanie na stacji benzynowej Texaco, kiedy to Kolumbijczyk wbił mu pazury w skórę na przegubie. Skurwysyn. Steve przyrzekł sobie solennie, że jeszcze się odegra na tym przeklętym wieśniaku.

Metys wylądował w międzynarodowym porcie lotniczym w Nassau rankiem tego dnia, na czele trzyosobowej delegacji handlowej legitymującej się paszportami kolumbijskimi, jego dokumenty opiewały na nazwisko Frederica Pereza. Miał na sobie dość przyzwoity garnitur z gabardyny i solidne buty, które zdradzały wiejskie pochodzenie właściciela, ale przy tym dawały świadectwo pewnej zamożności. Czarny krawat i czarny guzik w klapie podkreślały, że właściciel jest człowiekiem godnym szacunku i tak właśnie trzeba się doń odnosić. Dźwigał nieco już znoszoną aktówkę firmy Samsonite, a w niej papiery i oferty Spółdzielni Producentów Warzyw

z San Cristobal. Pierwszy z towarzyszących mu delegatów, mężczyzna dobrze po pięćdziesiątce, miał równie mocną sylwetkę i poważną twarz. Drugi był znacznie młodszy, nie miał jeszcze trzydziestki, był chorobliwie wręcz szczupły, a jego rysy zdradzały hiszpańskie pochodzenie. Miał wysokie czoło zwiastujące przedwczesną łysinę, nosił okulary w drucianej oprawie, znoszony, ale starannie odprasowany garnitur i takąż koszulę, co pozwalało przypuszczać, że jest urzędnikiem, zapewne buchalterem.

Na trzech przybyszów oczekiwał przedstawiciel Bahamskiego Stowarzyszenia Hotelarzy. Prezentacji dopełnił najmłodszy z delegatów przedstawiając senora Pereza oraz señora Roiga. Sam zaś przedstawił się jako Jesus Antonio Valverde, cały czas zacierając

nerwowo ręce. Mówił po amerykańsku lekko sepleniąc, na użytek swoich towarzyszy tłumaczył sprawnie i szczegółowo treść rozmowy na hiszpański, gdy pokonywali autem dziewiętnastokilometrową trasę z lotniska do miasta, a rozmawiano o obłożeniu miejsc hotelowych w tym sezonie. Na resztę dnia zaplanowano dwa spotkania. Pierwsze w jednej z dużych firm zajmujących się zaopatrzeniem hoteli na wyspach, drugie z zarządcami czterech hoteli.

Trent przymocował do steru gumowe ściągacze, dzięki czemu Złota Dziewczyna sama trzymała kurs, a on ze Skelleyem mogli zająć się śniadaniem. Skelley wcisnął swoją wysoką, czarnoskórą postać w kątek kokpitu, Trent usiadł naprzeciwko, mając oko na to, co dzieje się przed dziobami katamarana. Milczeli. Skelley wyczuwał gniew Trenta, Trent zajmował się własnymi myślami. Od chwili gdy zbadał wrak samolotu, układał różne możliwe wersje przebiegu wydarzeń, dopasowywał do siebie fakty, jak zwykł to robić w przeszłości, gdy walczył z terrorystami i uprzedzał ich ataki.

Ograniczał się do suchych danych, pomijał drastyczne szczegóły, jak poodrywane kończyny czy plamy krwi, bo tylko w ten sposób mógł zachować jasność umysłu.

Wrócił do kambuza, zmełł upalone ziarna i zanim kawa zaczęła parować w imbryku, zmył talerze.

Zajął miejsce przy sterze, dodał obrotów w silniku. Uporządkował już myśli i zerkając na Skelleya zaczął mówić:

–Po pierwsze, była to raczej poważna operacja i spory ładunek, można to wywnioskować z wielkości linek, których użyto do zabezpieczenia towaru w kabinie. Raczej kokaina niż marihuana. Około dwudziestu kartonów czy podobnych pojemników; ułożone razem zajmowały około metra. Odbiorcy mieli zapalić światło na rafie, na skraju laguny. Pilot był dobrze wyszkolony i doskonale znał swoją maszynę. Gdyby nie było światła, wodowałby od strony boi, a to oznacza, że na lagunie było jakieś światło, ale nie w tym miejscu, co trzeba, powiedzmy, jakieś pięćdziesiąt do stu metrów na północ. Sprawdziłem dno, czy nie ma śladów po kotwicy, ale pływy wyrównały piasek. Można oczywiście zakładać, że katastrofa została świadomie sprowokowana przez przyjmujących ładunek albo przez kogoś, kto chciał zrabować towar. To się zdarza, dość często nawet, ale taka wersja nie wyjaśnia śmierci chłopca. Sądzę raczej, że przyjmujący ładunek spóźnili się, światło zaś paliło się na jakiejś przypadkowej łódce rybackiej. Zbieg okoliczności, ale trudno go wykluczyć. Bywały takie przypadki, a tutaj zgadzałyby się wszystkie szczegóły.

Skelley kiwnął głową. Sam mógł sobie przypomnieć kilkanaście co najmniej przypadków, kiedy to okazywało się, że w samochodzie z zapalonymi światłami, które miały być sygnałem dla dostawców, migdała się jakaś para, a odbiorcy przesyłki czekali zupełnie gdzie indziej.

–Ci, co mieli odebrać ładunek, musieli dysponować łodzią o minimalnym zanurzeniu, bo inaczej nie przepłynęliby nad rafą. Mógł to być ponton z silnikiem albo coś podobnego – ciągnął Trent. – Rybak usłyszał, że przyplływają, i ukrył się na Cay. Sądzę, że transport ładunku z wraku na jednostkę bazową trochę potrwał. Zawracali pontonem ze dwa, może trzy razy. Wyładowywali kokainę, uzupełniali paliwo. Niewykluczone, że zabrakło im czasu przed świtem i całość, albo część ładunku, schowali na Cay. Rybak obserwował ich z ukrycia i później, gdy tamci odплыli, przeniósł i ukrył towar w innym miejscu. Gdy sprawcy wrócili następnej nocy, nie znaleźli

koki, ale natrafili na chłopca. To jedna wersja. Druga jest taka, że rybak próbował wyciągnąć i uratować pilota. Gdy zaś stwierdził, że pilot nie żyje, postanowił zabrać kokę. Jeśli to ktoś miejscowy, to oczywiście posługiwał się zwykłą łódką wiosłową. Musiał być dość lekki, bo inaczej nie przedostałby się przez rafę...

–Chłopak – dokończył Skelley.

–Niemal na pewno – Trent wzruszył ramionami. – Ale ktokolwiek to był, to i tak nie zdołałby przepłynąć przez rafę z ładunkiem, a to znów prowadzi do wniosku, że koka wciąż jest na wyspie. Odbiorcy znajdują wrak, ale stwierdzają, że koki nie ma. Dalej rozumują podobnie jak my. Szukają koki, ale jej nie znajdują, więc czekają, aż wróci rybak...

Do tego miejsca wszystko pasowało do siebie, jak dwa razy dwa jest cztery. Teraz jednak trzeba było wyjaśnić śmierć chłopca, a to już nie było proste. Trent obserwował morze, wypatrywał

ciemniejszych plam na powierzchni, oznaczających rafy. Wiała chłodnawa bryza. Milę dalej, po drugiej stronie raf, wiała mocniej, a przynajmniej wystarczająco, by jakiś siup złapał dość wiatru w żagle. Złota Dziewczyna szła równo jak po szynach. Piętnaście węzłów... Będą na miejscu wcześniej niż za cztery godziny. I co potem? Znów ogarnął go widoczny niemal gniew. Przełknął kilka razy ślinę i swoim zwyczajem zaczął wolno liczyć. Nie mógł jednak pozbyć się myśli o tym, co działo się w pokoju Andersona, w hotelu. O'Brien i Skelley odgrywający komedię – atak i parada, parada i atak – przed magnetofonem ukrytym w aktówce agenta. Trzeba o tym zapomnieć, bo teraz liczy się tylko chłopiec, nie ten martwy, ale ten, którego morderca ma na oku – kolejna ofiara.

–Zabójca spóźnił się na umówione spotkanie – rzekł z cicha. –

Na niego więc spada wina za śmierć pilota i on odpowiada za utratę co najmniej części ładunku. Wie, że szefowie będą wściekli, boi się, wpada w panikę. Zjawia się chłopiec. Starczy pogrozić mu nożem, żeby powiedział, gdzie ukrył ładunek. Morderca zabija go, ale musi zrobić to szybko, bo chce jak najszybciej dostać się do przesyłki. Więc chyba wyglądało to inaczej. To nie mógł być ten chłopak, o którego nam chodziło. Zapewne jakiś jego kolega.

Zabity chłopiec był dość silny, szybki w nogach, więc morderca najpierw go związał. Chłopiec musiał coś wiedzieć, bo skąd by zjawił się na wyspie? Coś, ale nie wszystko. Morderca, którego ogarniała panika, ze złości i strachu nie panował nad sobą, stracił samokontrolę. Trent wyobrażał sobie, co morderca mógł wtedy odczuwać. Wściekał się, że jest w pułapce, a niewiedza chłopca tylko nasilała złość. Jednego jednak powinien był dowiedzieć się na samym początku, a mianowicie, dlaczego chłopiec tak naprawdę nic nie wie. To ustalił zapewne w paru pierwszych chwilach. Dlaczego więc nie zabił i nie opuścił wyspy od razu? Być może nie miał

łodzi. Czekał, aż przyplynie. Być może czekał cały dzień.

–Było ich co najmniej dwóch, odpowiedzialnych za tę część operacji – rzekł Trent głośno. – Jeden z nich odpłynął łodzią, aby odwrócić uwagę, drugi został na Cay. Nie było mu łatwo.

Upał, żar i samotność dały mu się we znaki. Wtedy wpadł w panikę, ale teraz pewnie szuka drugiego chłopca. Kto wie, może go

już znalazł? – Spojrzał uważnie na Skelleya. – Nie ma czasu na

zabawy, Skelley. Do radia! Trzeba nam stu ludzi na Bleak Cay. Jeśli znajdzie się koka, chłopcu nic nie będzie grozić. Powinieneś być to zrobić wczoraj, zamiast urządzić ten teatr w kostnicy i w hotelu.

–Nie byłem pewien – rzekł Skelley. Siedział na podłodze

z nogami pod brodą, Chudy, łysy, mrużył oczy w słońcu. –

Daleko mi do ciebie, Trent. Ty rzucisz okiem na zwłoki, zbadasz teren i już wiesz, co i jak. Tak robiłeś w służbie antyterrorystycznej i robiłeś to dobrze, bo inaczej już dawno by cię nie

było. Ja zaś wiedziałem tylko tyle, że prawdopodobnie doszło do morderstwa, że rozbił się samolot i że chodzi o przemyt narkotyków.

Trent przyjrzał się policjantowi. Jeśli go zwymyśla, to nic nie wskóra. Szanował

Skelleya i lubił go, nawet bardzo. Nie miał zbyt wielu przyjaciół i nie chciał stracić tej przyjaźni. Ale jest sprawa chłopca... Groźba nad nim wisząca żarła Trenta jak rak.

–Opowiedz mi o reszcie – rzekł.

–Jakiej reszcie? – Skelley udawał, że nie rozumie, o co chodzi, ale był zbyt uczciwy na takie zagrania.

–Nie wygłupiaj się. A O'Brien?

–Znacznie wyżej. – Skelley wyprostował nogi i oparł się o ścianę kokpitu, jakby chciał zrzucić z ramion przygniatający go ciężar. Nie udało się. Pochylił się do przodu, złożył ręce i zaczął pilnie oglądać paznokcie. – Tak jak mówił Anderson, DEA leje w majtki ze strachu. W Stanach Zjednoczonych zaczyna się mówić, że należy na nowo przemyśleć cały problem walki z narkotykami.

Argumentuje się, że cała sprawa kosztuje za drogo i nic nie daje. Mówi się więc o nowej ustawie, która wykluczy element nagradzania. – Skelley wzruszył ramionami. Nie patrzył na Trenta. – Sam rozumiesz, jak to jest. Skandal w DEA daje broń w ręce zwolenników nowej koncepcji. A tymczasem wielu ludziom zależy, żeby było, jak jest. Chodzi o kariery, posady, a w grę wchodzi także nie byle jakie zamówienia rządowe na samoloty zwiadowcze, okręty, systemy radarowe. Zimna wojna się skończyła, ale producenci broni nie chcieliby tracić jeszcze jednego rynku, są więc naciski ze wszystkich stron, żeby wyciszyć sprawę.

–Bez względu na chłopca...

–A co dla nich znaczy jakiś czarny chłopak z Bahamów... –
w głosie Skelleya brzmiała głęboka gorycz. – Kim on
jest w porównaniu z jakąś szyczą w Waszyngtonie? – Zajrzał głęboko w oczy
Trenta. – Chcę dostać tego mordercę.

Chcę, żebyś go dostał! Ileż to razy słyszał podobne słowa od swojego
prowadzącego i nie ukrywano, o co naprawdę chodzi. A teraz Skelley, ten sam
Skelley, który, gdy spotkali się po raz drugi, powiedział: „powinienem być wyrzucić
cię z kraju, jak tylko zobaczyłem twoje akta”.

Trent pracował wtedy dla O'Briena. Chodziło o złapanie w pułapkę pewnego
admirala kubańskiego, który po uszy tkwił w handlu heroiną. Pamiętał wyraźnie minę
Skelleya, gdy ten bez ogródek mówił: „Nie powinienem być pozwolić, aby O'Brien
uruchamiał na naszym terenie operację, w której biorą udział tacy jak ty”. „Czyli
morderca” – dokończył wtedy Trent. Nie dziwił się. Taka opinia dawno już do niego
przyłgnęła i nie sposób było z nią walczyć, być może dlatego, że taki uprawiał zawód,
trudny pod każdym względem, w którym ciągle brakowało ludzi, a wskaźnik
śmiertelności utrzymywał się niezmiennie na wysokim poziomie.

Skorygował kurs na sterze, kierując katamaran na Mars Bay. Spojrzał twardo na
Skelleya. Żeby nie było niedopowiedzeń.

–Jeśli chcesz, żebym coś dla ciebie zrobił, panie komendancie,
to powiedz to wyraźnie, dokładnie, bez ogródek i eufemizmów.
Tych słyszałem wiele i wszystkie znam. Trudno je potem sprać.

–Nie o to chodzi – odparł Skelley.

Stara śpiewka, zawsze tak było. W ten sposób ci, co są u władzy i wydają
rozkazy, rozgrzeszają się z grzechów swoich podwładnych. Trent nie da się nabrać.

–A o co? Na co pan komendant liczy, czego oczekuje
ode mnie?

Skelley zeszywniał ze złości.

–Chodzi o to, żeby im pokazać – wyrzucił z siebie.

Nie patrzył na Trenta. Patrzył na morze. Pokazać! Im! Nie miał na myśli zabójców,
ale ludzi w Waszyngtonie. Białych i możnych. Prezydenta, bankierów, polityków.
Bahamskie kompleksy rasowe – pomyślał Trent.

–Na litość boską, Skelley, nie powinieneś tego tak traktować.

Jesteśmy przecież przyjaciółmi i co? Ma być biel i czerń, Czarny
i Biały, i całe to gówno, że są rzecz jasna różnice i że jeden
z drugim nigdy nie znajdą wspólnego języka.

–Ty do końca tego nie zrozumiesz.

Epitet gorszy niż „morderca do wynajęcia” – pomyślał Trent.

–Chcę ich złapać. Chcę ich widzieć na szubienicy – Skelley
spojrzał na Trenta. – Sam wiesz, że stanie się inaczej.

–Zbyt już długo ścigasz ludzi – powiedział Trent.

Utrzymanie spokoju, oto na czym polega istota zawodu policjanta. Prawdziwy
policjant z natury rzeczy potrzebuje przestępców, bo od tego, czy rozwiąże zagadkę
morderstwa, zależy jego awans i w ogóle kariera.

–Lepiej pomyśl, jak uratować chłopca. Oto w tym wszystkim chodzi i o tym powinieneś myśleć – wyrzucił z siebie Trent gniewnie. – Jeśli jeszcze żyje. Przynajmniej dla mnie to jest najważniejsze. Nie robię kariery, głównie mnie obchodzi Waszyngton. Jeśli tobie chodzi o co innego, to lepiej daj sobie spokój. Być może nie będzie cię to gryzło do końca życia, choć wcale ci tego nie życzę.

Skelley wysunął nogi z kokpitu i przeszedł na czworakach na przód katamarana. Usiadł na nylonowej siatce zawieszanej między kadłubami, tam gdzie kończyła się średniówka z kajutą i kokpitem.

Od strony rafy płynęła łódź z piętnastoma chyba turystami – amatorami nurkowania o twarzach wysmarowanych ochronnym kremem. Właśnie skończyli podwodną wyprawę. Byli szczęśliwi, zadowoleni, podnieceni. Popijali piwo i colę, pomachali puszkami do dwóch mężczyzn na katamaranie. Bahamczycy z załogi rozpoznali Skelleya i okazali więcej szacunku. Złota Dziewczyna zakołysała się na fali wznieconej przez łódź. Najpierw w górę podniosły się dzioby obu kadłubów, później rufy. Śruba yamaha wynurzyła się na chwilę z wody, silnik nie napotykając oporu zwiększał na wyższych obrotach.

–Przykro mi – rzekł cicho Skelley. – Przykro – powtórzył głośniej. Wrócił do kokpitu, zebrał kubki, dolał kawy z imbryka.

–Dzięki – rzekł Trent.

Skelley usiadł na tekowym półpokładzie rufowym.

–Masz rację. Nie trzeba się nimi przejmować, bo wtedy to oni wygrywają – szepnął po chwili ni to do siebie, ni do Trenta. – Żyję dość długo na tym świecie, więc wiem i mam doświadczenie. – Spojrzał na cypel osłaniający Green Creek. – Od czego zaczynamy?

–Pogadamy z nauczycielką – rzucił Trent. – Najpierw trzeba dowiedzieć się jak najwięcej o zmarłym chłopcu, o jego kolegach, obyczajach. Gdy rzucę kotwicę w Green Creek, będzie już po zajęciach w szkole.

Wszyscy w wiosce nazywali ją panną Charity, niektórzy zaś uważali za najmądrzejszą. Rzeczywiście była inna niż wszyscy. Panna, bezdzietna, bez nikogo, kto mógłby uchodzić za mniej lub bardziej stałego partnera. Na uniwersytecie na Jamajce studiowała biologię morza, niejako przy okazji wyrobiła sobie bardzo radykalne poglądy polityczne.

Posady na Bahamach – jest ich zresztą niewiele – zależą od znajomości i wpływów. Nie miała ani jednych, ani drugich. Ojciec pracował jako skromny urzędnik w kancelarii pewnego białego Bahamczyka, któremu był bardzo oddany, a to jakby nie zgadzało się z jej poglądami politycznymi. Przez parę pierwszych lat pracowała jako instruktorka nurkowania. Samo nurkowanie, owszem, bardzo jej się podobało, ale złościły ją łakome spojrzenia klientów i obrzydły ciągle ich próby zaciągnięcia jej do łóżka. Koledzy instruktorzy też nie zachowywali się lepiej, ale przynajmniej byli

swoi – czarni. Ale mapy i tablice obrazujące ryby, wszystko to, czego używali ucząc nurkowania – pochodziło oczywiście ze Stanów.

Od trzech lat pracowała nad własną książką, taką, w której ryby i skorupiaki nosić będą wyłącznie łacińskie oraz miejscowe, bahamskie, a nie amerykańskie nazwy. Zamierzała także zastosować własną klasyfikację ryb: wedle środowiska, a nie rzędów i gatunków, ułatwi to życie amatorom nurkowania, jeśli zechcą sprawdzić, co widzieli na rafie. Jednocześnie pisała także pracę magisterską o koralowcach. O posadę w szkole w Green Creek nikt poza nią nie zabiegał. Jej zaś praca w szkole pozwalała na podmorskie badania i fotografowanie.

W weekendy wypływała zwykle z Dummy na rafę lub na głębiny. Dummy wiedział, na czym jej zależy, a co ważniejsze – nie zwracał głowy. Czasami zabierał się z nimi Jacket. Był wyjątkowo pilnym uczniem, więc dziwiło ją, że od dwóch dni nie pokazywał się w szkole. Znikł też Dummy.

Vic, znakomity pływak, utopił się na rafie przy Bleak Cay. Tam też rozbił się samolot, którego pilot zginął. Miejscowy policjant nic co prawda nie mówił, ale wszyscy we wsi sądzili, że chodzi o narkotyki. Vic pewnie usłyszał nadlatujący samolot i następnej nocy popłynął zobaczyć, co i jak. Był zadziorny, często wpadał w kłopoty. Twardziel.

Panna Charity nie wiedziała, czy istnieje związek między wydarzeniami na Bleak Cay a nieobecnością Jacketa i zniknięciem Dummy'ego. Po prostu zaniepokoiła ją śmierć Vica i nie chciała tego tak zostawić. Postanowiła porozmawiać z panią Bride, matką Jacketa.

Pani Bride codziennie chodziła szmat drogi przez góry sprzątać dom tego amerykańskiego homoseksualisty, wracała dopiero po południu. Była typem samotniczki i niechętnie widziała u siebie gości. Panna Charity postanowiła więc, że wyjdzie jej naprzeciw i spotka, niby przypadkiem, gdy będzie wracać od Wintertona.

Od północy zaczęła wiać bryza. Trent wciągnął grota i genuę. Jeśli chodzi o rozmiar, to genua jest niemal taka jak spinaker, tylko mniej wybrzuszona, można więc nią żeglować kursem na wiatr. Gdy Trent zrobił zwrot wokół cypla, kierując Żółtą Dziewczynę ku Green Creek, od niewielkiej plaży odbiła właśnie duża, dziesięciometrowa motorówka, wyposażona w potężny silnik przyczepny. Ta sama, z którą mijali się rano i pół godziny temu, kiedy pędziła na południe. Tym razem na pokładzie motorówki było dwóch mężczyzn. Jeden w koszuli z długimi rękawami, w kapeluszu z szerokimi skrzydłami, drugi w czarnym podkoszulku. Ten ostatni podniósł rękę na powitanie. Trent też go pozdrowił machnięciem ręki.

– Niezła chata – rzekł Skelley, kiwając głową w stronę wielkiego domu, który ogromnymi uskokami wznosił się na krańcu plaży. – Właścicielem jest niejaki Winterton, prawnik obsługujący wielkie korporacje. Zbudował to jakiś czas temu i na początku przyjeżdżał tu ze cztery, pięć razy w roku. Teraz bywa znacznie rzadziej. Dwa tygodnie w zimie, w okolicach Bożego Narodzenia, tydzień na Wielkanoc. Poza tym dom stoi pusty, czasami tylko korzystają z niego jego znajomi. – Skelley wzruszył ramionami. –

Marnuje się, a Winterton nie ma dzieci...

Jak na gust Trenta dom był stanowczo za duży.

–A jak wygląda w środku?

–Zaprojektowano go jako letnią rezydencję. Sporo obrazów,

wielkich, ale nic nie przedstawiają. – Skelley pokazał ciemniejącą, poszarpaną linię raf koralowych, czterysta metrów przed plażą Green Creek. – Najlepiej podejść od południa – doradził.

Za rafą, jak za falochronem, stało na kotwicy piętnaście, może dwadzieścia rybackich łódek malowanych na czarno i na szaro. Trochę dalej złociła się plaża, a za podwójnym sznurem palm kokosowych rozciągała się wioska. Nad koronami drzew widać było pokrytą blachą wieżę kościółka. Na zboczu za wsią rosły sosny, górą krążyło kilka wron. Para fregat czyhała na darmowy posiłek. Bliżej brzegu, przywiązana do żelaznego drąga wbitego w piasek, w śmieciach Trzeciego Świata, co to biorą się z opakowań towarów przysyłanych przez bogaty Pierwszy Świat, tarzała się wielka, czarna maciora.

Chyba połowa mieszkańców wsi wyległa na plażę przyglądając się, jak Złota Dziewczyna okrąża rafę. Tych, co mieli nadzieję, że cudzoziemski, wielki jacht wpadnie na rafę, czekało rozczarowanie. Z podniesionymi mieczami katamaran miał ledwie sześćdziesiąt pięć centymetrów zanurzenia. Skelley poszedł na dziób, zrzucił genuę. Gdy minęli już rafę i odpłynęli od niej jakieś sto metrów, Trent dał sygnał i Skelley zrzucił kotwicę. Wybrał linę, żeby łapy mocno chwyciły grunt, a następnie wypuścił co najmniej siedemdziesiąt metrów cumy. Dopiero wtedy Trent zrobił zwrot, stawiając jacht pod wiatr i zrzucił grota.

Przenieśli yamahę na zodiaka, Skelley wyprawił się na brzeg. Trent nałożył maskę i płetwy i ciągnąc za sobą na lince niewielką, białą boję, popłynął w miejsce, gdzie rzucili kotwicę. Leżała na głębokości około trzech metrów. Trent zanurkował, przeciągnął linę przez ucho, pod łapami kotwicy. Będzie można ją wyciągnąć, gdyby pod działaniem pływów znalazła się pod rafą. Wrócił do katamarana. Ze schowka na rufie wyjął trzydziestofuntowy, ołowiany ciężarek, prosiaka, jak nazywają go żeglarze. Przełożył linę kotwiczną przez odpowiednie ucho w prosiaku i zabezpieczając specjalną linką, zawiesił mniej więcej w połowie cumy kotwicznej. Taki prosiak działa jak amortyzator – gdy zaczyna wiać silniejszy wiatr, prosiak osłabia napięcie na cumie, bez niego łódź zaczęłaby ciągnąć kotwicę.

Następnie zajął się żaglami. Najpierw rozłożył na pokładzie genuę, a potem starannie zwinął w ciasny rulon, związał reflinkami i ułożył w worku, żeby w razie potrzeby łatwo można ją było

wyjąć. Spinakera też ułożył w worku. Worki na żagle oznaczone były wielkimi numerami malowanymi czarną farbą z fluorescencyjnymi konturami. Oprócz spinakera i genui do kompletu należały jeszcze trzy foki: zwykły, o zmniejszonej powierzchni i fok sztormowy, najmniejszy. Wszystkie starannie złożone, obwiązane reflinkami. Średniego foka Trent przyszekłował do sztagu i przypiął raksami – był gotów do natychmiastowego podniesienia w razie konieczności. Na koniec sklarował cały ruchomy takielunek, ułożył wszystko na miejscach, żeby niczego nie pomylić,

gdyby mieli odbijać w ciemnościach.

Paru miejscowych ciekawskich podpłynęło łodzią, chcąc obejrzeć katamaran z bliska. Trent rzucił im po puszcze piwa i wdał się w rozmowę, jak żeglarz z żeglarzami. Mieszkańcy popisywali się znajomością okolicznych akwenów i lokalnych warunków pogodowych i chętnie dzielili się swoją wiedzą o rozkładach wiatrów. Cypel osłaniał plażę, wzgórza sprawiały, że nadchodzące od południa szkwały odbijały się od lądu i uderzały z drugiej strony. Na dowód wieśniacy pokazywali palmy pochylone wyraźnie w jednym kierunku. Rafa działała jak falochron, więc od strony morza nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo, ale ze szkwałami od lądu trzeba było się liczyć. Trent przygotował drugą kotwicę z dziesięcioma metrami łańcucha, do którego z kolei przymocowana była nylonowa lina. Załadował ją do łodzi i wydał linę. Jego nowi znajomi wywieźli kotwicę mniej więcej pięćdziesiąt metrów w stronę lądu, ukosem od miejsca, gdzie Skelley rzucił pierwszą kotwicę. Gdyby wiatr wzmógł się nagle, Złotej Dziewczynie nic nie zagrozi na dwóch kotwicach.

Dwóch wieśniaków nie odmówiło kolejnych piw. Rozsiedli się w kokpicie. Silni, lśniący od potu, ciemnoskórzy, obnażeni do pasa, skorzy do uśmiechu, ot, zwyczajni Bahamczycy. Mówili miękkim akcentem, charakterystycznym dla wyspy Andros, różnym od akcentu z sąsiedniej wyspy New Providence, na której znajduje się stolica – Nassau. Trent otworzył schowek na prawej burcie, pokazał im sprzęt do nurkowania i mały, ale stosunkowo silny kompresor.

Oni z kolei odpowiedzieli, gdzie są najatrakcyjniejsze miejsca do nurkowania, ostrzegli przed zdradzieckimi prądami na skraju głębiny Tongue of the Ocean – przepaści, jak to określali. Jeden z nich wskazał na Bleak Cay.

–W zeszłą środę w nocy rozbił się tam samolot. Pewnie czytał pan w gazecie. Chłopak utopił się na rafie. Całe ciało miał w ranach. Był tu taki jeden, niby z gazety, pytał ludzi, węszył, ale już go nie ma.

–A ja to nie przepadam za takimi – powiedział Trent – miastowymi. – Obaj wieśniacy kiwnęli zgodnie głowami. – Połowię ryb, ponurkuje, trochę pożegluję. – Celowo nie zaprosił żadnego z nowych przyjaciół na wspólną wyprawę. Byłoby to przedwczesne i mogłoby ich tylko odstręczyć.

Wieśniacy wsiedli niebawem do swojej łódki i odpłynęli na brzeg.

Przez pierwsze półtora kilometra droga z Green Creek do domu Wintertona biegnie równolegle do piaszczystego brzegu. Palmy ocieniają ścieżkę, jest więc stosunkowo chłodno. Dalej jednak, tam gdzie zaczyna się zbocze i gdzie od lat na brzegu gromadził się muł i tworzyło trzęsawisko, a w miejsce palm wyrosły mangrowce, właśnie tam trakt odchodzi od plaży, biegnie w górę, zboczem wzniesienia, rzadko porośłym wypalonymi w słońcu krzewami. Popołudniowy żar oblewał szczyt wzgórza, droga była pylista, a w okolicznych chaszczach szalały dokuczliwe, czarne muszki. Tam właśnie panna Charity spotkała panią Bride.

Pani Bride schowała swoje trzysta dolarów do puszek. Dzień był niezwykle udany. Nie martwiła się nieobecnością Jacketa. Zawsze chodził sam, własnymi drogami, ale jest rozsądny i nie da sobie dmuchać w kaszę. Ciekawa była, oczywiście, jaki to prezent przywiezie jej z Nassau, a jeszcze bardziej, ile naprawdę zbierał pieniędzy. Parę razy przeszukiwała dom w nadziei, że znajdzie schowek Jacketa, ale bez skutku. Chłopiec był doskonałym rybakiem, a homary w Congo Town sprzedawano po trzy dolary za funt. Wiedziała, bo plotkowano o tym, że Dummy wozi czasami homary do tamtejszego hotelu. Przynajmniej część tego, co sprzedawał, należała do jej syna. Dwadzieścia homarów po półtora funta daje dziewięćdziesiąt dolarów. A trzydzieści sztuk to sto trzydzieści pięć dolarów. Tak sobie liczyła w myślach, idąc do domu i urozmaicając rachunkami tę codzienną wędrówkę. Była w połowie drogi, gdy zobaczyła pannę Charity.

Pani Bride była podejrzliwa, zwłaszcza wobec obcych. To przecież ich opowieści o wspaniałościach życia w Ameryce sprawiły, że jej mąż zwyczajnie tam uciekł.

Panna Charity była obca.

Pani Bride przemierzała trakt przez wzgórza dwa razy dziennie i doskonale wiedziała, że popołudniami, gdy żar leje się z nieba, jest tu bardzo nieprzyjemnie, więc nie dała się zwieść nauczycielce. To nie mógł być przypadek. Postanowiła ukarać pannę Charity za kłamstwo. Niech stoi na słońcu i niech ją żrą muchy tak długo, jak się da. Pani Bride wiedziała, jak to zrobić. Nikt tak dobrze jak ona nie potrafił pleść trzy po trzy, bez ładu i składu, zmuszając rozmówcę do wysłuchiwanie nie kończących się opowieści, że to, że sio, że owo. Na początek uraczyła nauczycielkę relacją, jak to Steve spalił się na słońcu, nie wymieniając zresztą, o kogo chodzi.

–Straszne – mówiła kręcąc głową. – Cały jest w pęcherzach. Mówiłam mu, że trzeba zrobić okład z rumianku. Pani Richie miała rumianek u siebie w sklepie. Potem przyjechał ten drugi człowiek. I mówi, że trzeba co innego. Ja mówię temu pierwszemu, że rumianek, ale nie ma sensu posyłać do sklepu, bo pani Richie już nie trzyma rumianku. Przestała, zanim jeszcze pani przyjechała. Kiedy to było, panno Charity? No właśnie, siedem albo osiem lat temu? Nie, nie, to było wtedy, kiedy taki jeden złowił wielkiego marlina, to znaczy dziesięć lat temu. A gdyby pani zobaczyła twarz tego człowieka! Więc ten drugi mówi, że pojedzie do apteki w szpitalu, to znaczy do drogerii, bo tak właśnie powiedział. A pęcherze były takie wielkie, niech pani popatrzy – pokazała na palcach – i podchodziły wodą jak bańki, niech pani sobie

wyobrazili...

Panna Charity klepnęła się w szyję, by położyć kres łakomstwu wyjątkowo żarłocznej muchy, która dobierała się jej do skóry na karku. Gdyby pani Bride uśmiechała się i w ogóle była sympatyczniejsza, panna Charity stałaby tak pewnie do zachodu słońca. Ale uśmiech, którym ją pani Bride uraczyła, był jakiś taki niewyraźny i panna Charity z miejsca wyczuła w nim złośliwość. Tylko naiwni dają się nabrać na słodką prostotę wyspiarzy. Nie obchodziło jej zresztą, czy pani Bride darzy ją sympatią, czy wprost przeciwnie. Zależało jej tylko na Jackecie.

–Pani Bride – przerwała potok słów swojej rozmówczyni – pani syn jest jednym z nielicznych moich uczniów, który naprawdę chce się uczyć. Gdy więc zauważyłam, że opuścił lekcje wczoraj

i dzisiaj, pomyślałam, że wyjdę pani na spotkanie i zapytam, czy coś się stało. Nie chcę wtykać nosa w nie swoje sprawy, ale na tym, między innymi, polegają moje obowiązki.

–Ale nie po lekcjach, panno Charity! – wykrzyknęła pani Bride ze zwycięską nutą w głosie. – O tej porze nie ma już lekcji. Gdyby mnie pani zapytała rano, to miałaby pani prawo. Z tym, że wychodzę z domu przed lekcjami i może mnie pani znaleźć w domu pana Wintertona albo poczekać, aż wrócę. Ale jak wracam, to jest już po lekcjach i znów nie ma pani prawa wtrącać się w sprawy moje i mojego syna, aż do jutra rana. Ale jutro jest sobota i nie ma szkoły. Ha. Ja wiem, co to są obowiązki, panno Charity, wiem, co to jest praca, i wiem, co to znaczy być matką. Nie od przypadku do przypadku, przez parę minut czy godzin, ale na okrągło, trzysta sześćdziesiąt dni w roku i tak rok w rok, panno Charity. Chłopcu trzeba codziennie dać jeść, właśnie dlatego chodzę tędy dwa razy dziennie.

Panna Charity omal nie upadła, gdy pani Bride energicznie ruszyła przed siebie, spychając ją ze ścieżki. Wielki Boże, co za straszna baba – pomyślała – stuprocentowa wiedźma.

Równie źle przebiegło spotkanie trzech delegatów kolumbijskiego Stowarzyszenia Hodowców Warzyw.

Przy stawkach za robociznę na poziomie dwudziestu pięciu procent tego, co płaci się w Stanach Zjednoczonych, Kolumbia jest w stanie zaoferować produkty ogrodnicze o jedną trzecią taniej niż Ameryka. Osilkowaty szef delegacji, senior Perez, gwarantował regularne dostawy. Argumentował, że we wspólnym interesie mniejszych krajów Ameryki Łacińskiej i basenu Morza Karaibskiego leży wyzwolenie się spod amerykańskiej dominacji gospodarczej. Przekonywał cichym głosem, cierpliwie, kiwał głową, gdy z hiszpańska wyglądający rodak, Jesus Antonio, przekładał zdania na angielski.

Bahamczycy słuchali życzliwie i zgadzali się co do generalistów. Z drugiej jednak strony dziewięćdziesiąt procent akcji przedsiębiorstw, które reprezentowali, należało do inwestorów z USA. Północni Amerykanie nie mają dobrej opinii o solidności Amerykanów z południowej części kontynentu. Lubią poza tym wiedzieć, z kim mają do czynienia, wolą indywidualnego właściciela. Spółdzielnia to jakby coś wbrew amerykańskiej tradycji, kojarzy się z Kubą i w ogóle.

W czasie przerwy na zimne piwo jeden z Bahamczyków wziął Jesusa Antonio na bok.

– Tak naprawdę, to chodzi o coś innego – zaczął. Mówił szczerze, niemal serdecznie, a przynajmniej robił takie wrażenie. – Rzecz dotyczy polityki. Polityka to władza i musicie to zrozumieć. Powiedzmy, że wysyłacie nam samolot z warzywami. Amerykańscy dostawcy z Florydy dają znać DEA, że na pokładzie są narkotyki. Amerykanie mają swoich ludzi na lotnisku. Gdy wreszcie skończą rewizję i zwolnią ładunek, połowa towaru zdąży zgnić, a w tym czasie naszym gościom w hotelach trzeba będzie dawać jarzyny z puszki – wzruszył ramionami, uśmiechnął się z całą życzliwością. – Staram się was zrozumieć. Życie z rolnictwa i naprawdę chcielibyśmy wam pomóc, ale to się po prostu nie da. Musicie się z tym pogodzić, bo tego nie zmienią żadne, najśluszniesze nawet racje. Niech pan to wytłumaczy seńorowi Perezowi. Widać, że to przyzwoity człowiek, ale żaden z nas tutaj nie jest w stanie nic dla was zrobić.

Jesus Antonio przełożył wszystko seńorowi Perezowi. Metys podszedł do Bahamczyka i mocno, po męsku uściśnął mu rękę. Tak to już jest. Obaj wiedzieli, że nic się nie da zrobić, ale Perez przynajmniej podjął próbę.

Później Kolumbijczycy wynajęli forda u Hertza. Przez kwadrans kręcili się po mieście, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie śledzi. „Ogona” nie było, więc skierowali się do pewnej przystani za mostem na Rajskiej Wyspie. Było dokładnie dwadzieścia po jedenastej, gdy zajechali na miejsce. Przy pompie z paliwem stał właśnie dwunastometrowy, elegancki kuter motorowy Bertram. Siwy szyper uzupełniał zapas ropy w zbiorniku umieszczonym na prawej burcie. Perez przemknął do kabiny. Jesus Antonio i pozostały Kolumbijczyk zaszli do baru na piwo. Motorówka wyszła w morze. Metys siedział w kajucie. Ręce splótł na kolanach, zaparł się nogami o ścianę, by zamortyzować przechyły łodzi. Był rolnikiem, nawykł do niespodzianek, do nagłych zmian pogody, nieudanych żniw. W rodzinie przetrwała pamięć o co najmniej trzech przypadkach, kiedy to przed ostateczną ruiną ratowali ich de Fonterrowie. Gdyby nie oni, nigdy nie wdałby się w interesy z gringo, jankesem, który od początku mu się nie podobał. Wyglądał na takiego, któremu wszystko poszło za łatwo i za szybko. Seflorito, paniczek, a na takim nie można polegać.

Bob prowadził łódź ze stałą prędkością dwudziestu pięciu węzłów, idąc bokiem pod fale z północnego wschodu. Gdy słońce było w zenicie, wszystko, niebo i morze, wyglądało jak wyblakłe. Teraz, późnym popołudniem, niebo było chabrowe, a morze błękitne, tylko tam gdzie zaczynała się głębia, było granatowe. Spotkanie z Kolumbijczykiem, wyznaczono przy piaszczystej łasze, łączącej ze sobą dwie wysepki, jakby grobli, szerokiej na pięćdziesiąt metrów. Woda za rafą otaczającą wysepki była bladozielona, piasek na grobli miał kolor białego złota.

Bob zmniejszył obroty podchodząc do przesmyku, zaraz potem rzucił kotwicę z rufy, podniósł śrubę i pozwolił, żeby motorówka siłą rozpędu wjechała na łachę między dwoma wysepkami. Piach zachrząścił pod dnem. Bob pobiegł na dziób i zeskoczył na plażę, niosąc cumę oraz stalowy kołek, który wbił głęboko w piasek.

Marzył, żeby znaleźć się tysiące kilometrów dalej, na przykład przy którejś z

greckich wysp na Morzu Śródziemnym, o których czytał w magazynie turystycznym, albo na Filipinach lub w Indonezji.

Nigdy przedtem nie widział trupa, chyba że w telewizji, ale w telewizji nic nie jest prawdziwe. Nie miał pieniędzy, by gdzieś uciec, a był pewien, że Steve na niego rzuci przed Kolumbijczykami całą winę za wszystko i nie ominię go ich zemsta, chyba że zdoła wytłumaczyć, jak naprawdę było. Czuł strach, nie tyle zresztą przed Kolumbijczykami, co wobec całej tej sytuacji.

Chciał przecież tak niewiele, trochę tylko pieniędzy na kupno małej łódki, na której urządziłby skromny warsztat. Pływałby tu i tam, żyjąc z napraw. Marzył o tym od dziesięciu lat, to zaś, co zaproponował mu Steve, wydawało się całkiem bezpieczne. Miał tylko dbać o motorówkę i doprowadzać ją, gdzie i kiedy trzeba. Steve przekonywał, że nie będzie żadnego łamania prawa, a już na pewno amerykańskiego, a to było najważniejsze.

Bob odczuwał kompleks wobec ludzi takich jak Steve, którym zawsze wszystko się układa, nie tak jak jemu. Poznał Steve'a jako zamożnego bankiera, współwłaściciela eleganckiej, letniej rezydencji z dostępem do morza w East Hampton, gościa, który obracał się w towarzystwie podobnych sobie młodych, przebojowych ludzi. Jeździł jaguarem, później porsche'em. W portfelu trzymał całą harmonię kart kredytowych, ale jemu, Bobowi, za wszystkie prace zawsze uprzejmie płacił gotówką, nie zapominając o napiwku. I jak taki szlachetny, zamożny przecież człowiek mógł zrobić

coś tak strasznego z chłopcem, tego Bob nie potrafił pojąć. Steve chyba jest chory na głowę.

Usłyszał kroki w kokpicie. Steve wyszedł na pokład. Miał na sobie obszerną niebieską koszulę z długimi rękawami (mankiety rozpięte), luźne bawełniane spodnie, markowe, od Calvina Kleina, i równie eleganckie mokasyny żeglarskie Dunlopa. Na głowę włożył bawełniany kapelusz, spod którego wзираły opatrunki na czole, w rękę trzymał ruggera. Twarz wysmarował grubą warstwą żółtej maści przeciw oparzeniom, wyglądał z tym głupawo, jak ofiara nieudanego eksperymentu w filmie science fiction.

–Steve, ten pistolet to zły pomysł – ostrzegł Bob.

–Nie twoja sprawa.

Przez cały dzień Steve faszerował się tabletkami przeciwbólowymi i teraz czuł lekki zawrót głowy, ale to nic, najważniejsze, że nie boli. Stojąc na pokładzie badał teren. Piaszczysta łąka czy grobla miała mniej więcej sto metrów długości, obie zaś wysepki – po około czterysta metrów średnicy. Niewiele na nich rosło. W najwyższym punkcie wznosiły się jakieś dziesięć metrów nad poziom morza. W sumie wygląda to jak spłaszczona hantla – pomyślał Steve.

Ze wschodniego skraju grobli, tam gdzie łąka łączyła się z wysepką, spoglądało nań stadko dużych jak gęsi ptaków, o czarnych łbach i szyjach, karminowych dziobach, tułowia miały szarobure, białe plamy na skrzydłach i ogonie, i różowe łapy. Raz po raz któryś z tych stworów wydawał głośny skrzek.

–Sio! – krzyknął Steve i wymierzył do nich z ruggera.

Ptaki nie dały się wystraszyć.

–One polują na ostrygi – wyjaśnił Bob.

Ostrygi! Steve jadał je tuzinami, gdy jeszcze pracował w banku. Lubił zachodzić do baru Doyle'a przy Szóstej Ulicy, niedaleko Wall Street. Zamawiał małą butelkę markowego szampana Moet Chandon, wytrawnego naturalnie, i porcję najlepszych ostryg z Marylandu. Łowią je od lat w zatoce Chesapeake. To była taka przekąska przed teatrem. Na wspomnienie tego wszystkiego, co było jego udziałem, a co stracił, ogarnął go gniew, poczuł, jak złość rozlewa się gorącą falą po całym ciele.

–Znikaj – powiedział do Boba. – Masz odpłynąć z milę i udawać, że łowisz ryby. – Wiedział jednak, że Bob nie usłucha.

I rzeczywiście.

–Nie chcę – rzekł Bob.

Steve udał zdziwienie.

–Gównu mnie obchodzi, czy ci się chce, czy nie. – Stał na dziobie motorówki i z niejaką obawą patrzył na piasek, bał się, że gdy skoczy na ląd, znów go zacznie wszystko boleć. Wyjął fiolkę penabolu z kieszeni koszuli. Połknął dwie tabletki.

–Ty, nie przesadzaj z tymi pigułkami – wtrącił Bob. Wyglądał głupio stojąc na rozpalonym piasku w tandetnych szortach i czarnym podkoszulku z reklamą piwa Carling na piersiach, którą pewnie dostał od jakiegoś akwizytora, z tym swoim tandetnym zegarkiem elektronicznym na plastikowym pasku.

Jaki on głupi – myślał Steve. Jest naprawdę głupi, jeśli wydaje mu się, że on, Steve, nie przejrzał jego planów. Skinął na Boba ruggerem, żeby podszedł i pomógł mu zejść z łodzi. Wsparł się ręką o jego ramię i wreszcie zeskokczył na ląd.

–Dzięki – skwitował za pomoc. Ręce miał w ranach po oparzeniu, więc swojego rolexa trzymał w kieszeni koszuli. Wyjął zegarek, sprawdził czas. Jeszcze piętnaście minut do przybycia Kolumbijczyka.

–Hej – rzekł Bob – chyba pierwszy raz w życiu zjawiasz się na spotkanie przed czasem.

Steve próbował schować zegarek na miejsce, do kieszeni koszuli, ale uczynił to tak niezręcznie, że rolex spadł na ziemię. Złota bransoletka miała ciemniejszy odcień niż piasek. Steve pochylił się, jakby próbując podnieść zgubę. Jęknął z bólu.

–O cholera, nie mogę, bądź tak uprzejmy...

Bob pochylił się, sięgając po zegarek. Steve przystawił mu ruggera do karku.

–Dlaczego, Steve?

W głosie Boba nie było lęku i Steve się zdenerwował. Kiedyś naprawdę lubił tego osiłka, pomyślał więc, że winien mu jest jednak jakieś wyjaśnienie.

–Bobyś im opowiedział o dzieciaku i że w ogóle to wszystko moja wina, a do tego nie mogę dopuścić.

Ptaki zaskrzeczały hałaśliwie i przerażone uniosły się w powietrze, gdy Steve nacisnął spust ruggera. Pierwszy raz strzelał z takiej broni, więc zrobił to niezbyt umiejętnie. Odrzut podziałął na dłoń jak uderzenie pałąką, od którego łamiał się kości

nadgarstka. Z bólu, który przeszył świeże oparzeliny, i z wrażenia aż popuścił. Koszula i spodnie całe były zafajdane.

–O kurwa! – jęknął ssąc obolałą dłoń. Kopnął ze złością Boba w żebra.

Rozebrał się. Splukał ubranie w wodzie. Co wyraźniejsze dowody strachu musiał zetrzeć piaskiem. Rozwiesił ubranie na relingu motorówki, żeby wyschło, i osunął się na piasek, prosto na ruggera. Nie siedziało mu się wygodnie, ale trudno, najważniejsze to ogarnąć się jako tako i pomyśleć, co dalej. Właśnie – pomyśleć. W tym miał przewagę, że potrafił myśleć, że był wykształcony, nie tak, jak te zakute wsiowe łby, z którymi miał do czynienia.

Od morza powiało ożywym chłodem przedwieczornej bryzy. Ptaki wróciły. Brodziły na płyciźnie, pozostawionej przez odpływ. Dziobały pracowicie, wyszukując kraby i małże. Wokół było cicho i spokojnie. Steve'owi odpowiadało towarzystwo ptasiej gromady. Dom Wintertona był zbyt odosobniony, ale przecież jest wiele innych podobnych, choć lepiej położonych rezydencji. Jak się człowiek przyzwyczai, to zaczyna dostrzegać i cenić zalety mieszkania nad morzem. Rzadko grywał w golfa, wolał tenis, to był jego sport. Zieleń ciągle nawadnianych pól golfowych na Rajskiej Wyspie, ocienionych tu i ówdzie kępami palm, przedstawiała się wcale kusząco, podobnie jak i pomieszczenia klubowe, gdzie można było zjeść coś dobrego, bez potrzeby jazdy gdzieś samochodem i gdzie, bez specjalnych zobowiązań, można poznać nowych ludzi. Ochroniarze przy bramce gwarantują, że do środka nie wejdzie żaden zwykły turysta.

Mógłby skończyć książkę, a za parę lat, kto wie, zacząć współpracę z jakimś niezłym bankiem na Shirley Street. Nie na pełnym etacie, broń Boże, ale jako konsultant dla wybranych klientów. W końcu Boesky, choć skazany za machinacje finansowe, wrócił po odsiadce na Wall Street. Tak samo Milken. Steve miał co prawda gorsze konto pod tym względem, ale przecież nie siedział w więzieniu. Właśnie, ludzie tego nie rozumieją, że liczy się to, kim człowiek jest, a nie to, co robi.

Zawsze radowała go historia tego angielskiego lorda w Londynie, co to był przewodniczącym rady – Anglicy wolą mówić przewodniczący, zamiast prezes – u Guinnessa. Otóż kiedyś po lunchu z dyrektorem generalnym zaczął skupować akcje własnej firmy. Kupił ich dwieście czterdzieści tysięcy w ciągu jednego popołudnia. Godzinę później dyrektor ogłosił, że firma postanowiła wykupić inne przedsiębiorstwo, a w sumie chodziło o największą tego typu transakcję w Wielkiej Brytanii. Wykup akcji na podstawie tajnej przecież informacji jest niezgodny z przepisami

kodeksu handlowego, ale lord zaparł się, że niczego nie wiedział. Czterech innych facetów, którzy postąpili podobnie jak on, znalazło się za kratkami, ale nie lord. Tamci zresztą byli Żydami. Steve zwrócił na to uwagę, żeby podenerwować kilku swoich brytyjskich partnerów. Oni odparli, że to czysty przypadek i że na tej podstawie nie można oskarżać władz Wielkiej Brytanii o antysemityzm. Gówno prawda.

Skelley wrócił z wyprawy na ląd w towarzystwie kobiety, z wyglądu trzydziestoparoletniej.

–Charity Johnston – przedstawił ją, pomagając przejść z zodiaka na pokład Złotej Dziewczyny.

Starła się stanąć w kokpicie możliwie najdalej od Trenta.

Trent z miejsca wyczuł jej gniewną niechęć. Szeroko rozstawione oczy błyszcząły czernią źrenic i bielą okalających je białek. Miała szeroką twarz i wystające kości policzkowe. Wąski u nasady nos rozszerzał się nad wydatnymi ustami i silnym podbródkiem. Szerokie ramiona i mocna klatka piersiowa świadczyły o wielu godzinach spędzonych w masce i płetwach na rafie, o takich zaś nogach i umięśnionych udach mógłby marzyć każdy kick-boxer. Stapirowane „afro” sprawiało, że wydawała się znacznie wyższa, choć i tak miała metr siedemdziesiąt. Głowę owinęła przepaską w stylu wojowników ninja. Ubrana była w czarny podkoszulek z motywem Boba Marleya i czarne elastyki do biegania, przycięte tuż pod kolanami.

–Trent, mój przyjaciel, świetny nurek – dopełnił formalności Skelley. – Panna Johnston zajmuje się biologią morza. Uczy także w miejscowej szkole – dodał, zwracając się do Trenta.

Trentowi szkoda było czasu na rozważania istoty znajomości Skelleya z nauczycielką.

–Proszę, niech pani siada, panno Johnston – zaprosił uprzejmie. –

Czego się pani napije? Mamy w lodówce piwo, białe wino, świeży sok; a może zrobić pani herbaty albo kawy?

–Nie, niczego. – I to jedno słowo z miejsca określiło ich wzajemne stosunki. Panna Johnston nie życzyła sobie nic od Trenta i nie zamierzała też nic ofiarować.

–Chciałem sprowadzić policjanta z miejscowego posterunku – rzucił Skelley tonem, w którym pobrzmiwała nuta rezygnacji – ale właśnie udał się do miasta, do Andros.

Przez twarz kobiety przemknął cień satysfakcji, jakby niepowodzenie Skelleya, który musiał niejako zastąpić policjanta, oznaczało punkt dla niej. Trwało to mgnienie i znów przybrała obojętną minę.

Trent miał ochotę opuścić to całe towarzystwo. W przeszłości zbyt dobrze poznał ten typ ludzi. Młodzi gniewni. Na początku bunt jest tylko pewną postawą emocjonalną, ale później narasta sam przez się i nieodmiennie prowadzi na drogę walki, ta zaś wiedzie do terrorystycznych obozów szkoleniowych w górach Boliwii lub Iranu albo na pustyni libijskiej czy w libańskiej Dolinie Bekaa.

Często są to wspaniali ludzie, jeśli przy ocenie abstrahować od owej gniewnej postawy. Świadomość tego zawsze utrudniała mu pewne działania, a w końcu wręcz je uniemożliwiła. Zbyt dobrze ich bowiem rozumiał. Rozumiał także źródła ich buntu, może nie te zakodowane w dzieciństwie, ale te, które później potęgowały poczucie,

że tracą własne dziedzictwo, gdy ich krajami kupczyli dyktatorzy i skorumpowani do cna politycy, gdy zaczynali wokół dostrzegać nędzę, obozy uchodźców, szwadrony śmierci, szpitale, w których brak leków, szkoły, w których nie ma książek, góry masła i mięsa, a jednocześnie umierających z głodu ludzi, kłamstwa o bezpiecznych elektrowniach atomowych, dobrodziejstwie fabryk azbestu, kopalń i zakładów chemicznych. To rozpalało tylko gniew, gdy już się weszło na określoną drogę. Komórki terrorystów stanowiły dla tego typu ludzi azyl, znajdowali w nich życzliwy klimat, opiekuńczą atmosferę, niemal jak w przedszkolu, i dowiadywali się, że istnieje tylko jedno lekarstwo na całe zło – bomba.

Musiał przełamać barierę uprzedzeń panny Johnston.

–Panno Johnston, Victor był pani uczniem. Torturowano go i zabito. To było morderstwo. – Te słowa ją zaszokowały, natychmiast więc poszedł tym tropem. – Torturowano go z wyjątkowym okrucieństwem, panno Johnston. – Trent usiadł naprzeciwko niej. Otwarte dłonie wsparł na kolanach, aby pokazać, że niczego nie kryje. Język gestów. Ćwiczył się w tym uporczywie i z takim mozolem, że aż zaczynał wątpić we własne ja, ba, wręcz we własne istnienie. – Morderca znów szykuje się do zabójstwa. Muszę wiedzieć wszystko. Po pierwsze, czy nie zniknęło jeszcze jakieś dziecko? Muszę dowiedzieć się, kim są przyjaciele Victora, jak on sam spędzał czas po lekcjach, czyją łodzią wypłynął? Czy w szkole zauważyła pani coś szczególnego? Czy któreś z dzieci zaczęło się inaczej zachowywać?

Niczego nie wskórał. Charity spojrzała na Skelleya.

Koszulka z Bobem Marleyem wyjaśniała właściwie wszystko. „Kill Whitey” – zabić białych – to jego przebój, który od dwudziestu lat całymi dniami brzmi w milionach domów. Większość słuchaczy nie traktuje tych słów dosłownie – to oczywiste – ale posłanie dociera do ich podświadomości, draży jak robak, wypełnia po brzegi i czeka tylko, by wybuchnąć z całą siłą.

Trent spędził sześć lat jako tajny agent w Irlandii. Przez wszystkie te lata słuchał, jak wieczorami w małych, wiejskich pubach starcy zawodzą starodawne pieśni, a młodzi chłoną słowa o nienawiści, choć starzy traktują pieśń bardziej jako romantyczną legendę niżli współczesną rzeczywistość. Młodzi tymczasem karmią się nienawiścią, dokładnie tak jak młodzi irlandzcy protestanci z Ulsteru chłoną słowo „lojaliści”, którego brytyjskie gazety, radio i telewizja używają na określenie zabójców, wywodzących się z tego właśnie środowiska. Kręgi lojalistów – piszą – legitymizują w ten sposób zwyczajne morderstwa, których Anglicy ze swoim głupim uporem nie chcą postrzegać właśnie jako takich.

Paramilitarne organizacje lojalistów w Irlandii, Irlandzka Armia Republikańska, dżihad, święta wojna, Świetlista Droga, żydowska konspiracja – to słowa i nazwy starannie dobrane tylko po to, by usprawiedliwić i uprawomocnić zwyczajne morderstwa.

Trent musi ją więc z tego wydobyć, bo potrzebuje jej pomocy, nie dla siebie, ale w interesie chłopca, tego, który będzie kolejną ofiarą.

–Komendant poprosił mnie o pomoc, ponieważ jestem ekspertem, panno Johnston. Powiada, że zajmuje się pani biologią morza, potrafi więc pani obserwować. Nie mamy zbyt wiele czasu. Niech się pani zastanowi.

Nie miał wprawy i przegrał. Wyczytał to w jej oczach w tym samym ułamku sekundy, kiedy obróciła się do Skelleya.

–A nie mogłeś wziąć kogoś z naszych? – spytała.

Skelley milczał przez chwilę. Przymknął oczy.

–Widziałaś chłopca, gdy zdjęli go z rafy? Otóż nie mam nikogo takiego, kto rozpoznałby, że nie zginął zwykłym przypadkiem na ostrym koralowcu, że go torturowano, cięto nożem. Nie mamy na wyspach nikogo takiego. To znaczy, do tej pory nie mieliśmy takiego specjalisty. Trent odkrył prawdę, gdy tylko rzucił okiem na ciało.

Spojrzała na Trenta podejrzliwie.

–Specjalista? – spytała. – W jakiej dziedzinie?

–Znam się na śmierci – odparł Trent.

Tak właśnie przeczuwała. Zerknęła na Skelleya, potem znów na Trenta, omotana własną agresywnością.

–Ach, tak? A skąd?

–Byłem zawodowym mordercą – odparł Trent cicho. Odwrócił się na pięcie, zszedł do kambuza, nastawił kawę. Nie słuchał gwałtownej wymiany zdań, jaka dobiegała teraz z kokpitu. Postawił imbryk z dwoma kubkami kawy na stole w salonie i czekał.

Po chwili zaterkotała yamaha. Zodiak odpłynął na ląd.

Lęk uwierał ją jak kamień. Najpierw zezłościła ją rozmowa z matką Jacketa. Potem zjawiał się Skelley z tym swoim peanem na cześć Anglika. Zrazu nie chciała wierzyć ani jednemu, ani drugiemu. Później jednak nieoczekiwane wyznanie Anglika, kim w istocie jest, dało jej do myślenia. Zagrożenie było zbyt duże, żeby przejmował się tym, co ona sobie pomyśli. Opowiedziała więc Skelleyowi o tym, że Jacket nagle zniknął, nie zjawiał się w szkole i o spotkaniu z panią Bride. Bała się o chłopca. Chciała popłynąć ze Skelleyem do wioski, ale ten odmówił.

–Będziesz tylko przeszkadzać.

Zażądała więc z gniewem, by zaraz po nią wrócił i odwiózł na brzeg.

–Masz niewyparzoną buzię, Charity Johnston, i dostaniesz kiedyś za swoje.

–Nie od ciebie, na to trzeba chłopca.

Skelley zmilczał uwagę. Zapuścił silnik i popędził ku brzegowi w takim tempie, że zodiaka wyrzuciło daleko na plażę.

Patrzyła za nim, gdy zniknął między drzewami, pokraczny jak strach na wróble na tykowatych nogach. Powróciła myślą do łodzi, którą widziała owej nocy, kiedy rozbił się samolot.

Żałowała, że nie zeszła wtedy na plażę, by sprawdzić, czy rzeczywiście była to

Jezebel. Zdenerwowała się. Poczwała się nieswojo. Była w kokpicie sama.

Minęła jednak jeszcze dłuższa chwila, nim skierowała się do zejściówki wiodącej do salonu. Oglądała w życiu wiele jachtów i łodzi, ale nigdy nie spotkała katamarana wielkości i klasy Złotej Dziewczyny. Obszerne wnętrze i gustowne urządzenie salonu zrobiły na niej wrażenie. Na kolumnie masztu wspierał się stół, a wokół niego rozciągała się półkolem wygodna kanapa pokryta ręcznie tkanym, gwatemalskim kilimem. Przy stole siedział Anglik.

Wielki iluminator – okno w istocie – wychodził na pokład nawigacyjny, po lewej zaś i prawej widać było półkoliste świetliki nad kabinami w obu kadłubach. Po prawej stronie od wejścia znajdował się przedział nawigacyjny z pulpitem na mapy i pełną elektroniką, wszystko renomowanych firm Gatesa i Brooksa: elektroniczny log, także instrument do mierzenia siły wiatru, sonda głębokości, barometr, przyrząd do nawigacji satelitarnej. Obok, po lewej – nadajnik radiowy.

Od strony rufy stał przy grodzi bufet. Na nim – zabezpieczone gustowną listwą przed zsunięciem – żeglarskie karafki o szerokim dnie na biały i ciemny rum i rządkiem szklanki z rżniętego szkła. Na podłodze leżały afgańskie dywany. Półki na książki były wypełnione do ostatniego miejsca. Na bocznych ścianach salonu, obok przejść do pomieszczeń w obu kadłubach katamarana, widniały dwa dziewiętnastowieczne obrazy przedstawiające statki na Tamizie. Cisza i dostojny spokój tego miejsca rozdrażniły ją, zapragnęła krzyknąć na Trenta. Złość walczyła o lepsze z lękiem o Jacketa, aż się wypaliła pod wrażeniem niewątpliwego bogactwa Anglika.

Zatrzymała się w przejściu. Ciemny cień na tle rozświetlonego nieba. Nie patrzyła na Trenta, ale na jego własność. Oceniała widok, jaki roztaczał się przed jej oczami.

On zaś wyczuwał niechęć.

–I kogo to pan zabił, żeby sprawić sobie coś takiego?

–Dano mi to. Potrzebowałem odpowiedniej legendy przy ostatnim zadaniu. Jacht był zarejestrowany na moje nazwisko, gdy składałem rezygnację.

–To znaczy ukradł pan?

–Tak niektórzy twierdzą.

–Nie dość, że zabójca, to jeszcze złodziej!

–Nazywano mnie jeszcze gorzej, panno Johnston.

Siedział przy stole trzymając oburącz kubek kawy, czekał, żeby weszła na jego teren. Stary trik z dawnych czasów. Musi po prostu poczekać, aż ona znajdzie coś znajomego, coś, co stanie się pomostem do jej własnego świata.

Lęk wrócił z nową siłą, strach chwycił ją za gardło. Lepiej nie stać tak beczynn timer, czekając na powrót Skelleya. Weszła więc do środka, żeby dokładniej obejrzeć całe wnętrze. Środkową część lewego kadłuba zajmował kambuz. Z przodu i z tyłu znajdowały się kajuty z podwójnymi miejscami do spania, każda z własnym prysznicem, umywalką i toaletą. Koje przykryto meksykańskimi narzutami, okna zasłonięto firankami, na podłodze z białej wykładziny leżały kolorowe dywaniki. W

prawym kadłubie była tylko jedna sypialnia – kapitańska. Urządzono ją w części rufowej. Była większa od kabin w lewym kadłubie i miała dość spartański charakter. Obok, patrząc ku dziobowi, znajdował się prysznic i toaleta, a dalej schowki na żagle, dostępne także z pokładu. Kabiny były zadbane i schludne, jak jej dwa pokoje na zapleczu szkoły. Na półkach w kajucie kapitańskiej zauważyła znajomy zestaw chemikaliów do wywoływania fotografii, obok zaś znajdował się stosowny ocynkowany zlew. Otworzyła szafkę pod blatem. Stał tam w plastikowym worku, starannie zabezpieczony gumowymi paskami, powiększalnik z obiektywem Leinza 1.4. Obok pudełka z papierem fotograficznym, zabezpieczone przed zniszczeniem woreczkami z substancją pochłaniającą wilgoć. Zastanawiała się, z jakiego aparatu korzysta właściciel.

Trent siedział bez ruchu, pieszcząc w dłoniach kubek z kawą. Czekał obojętnie, jak pies. Obojętność była maską. Wszystko było maską. Rybacka kurtka i luźne spodnie, co skutecznie kamuflowały budowę jego ciała, broda, opadająca na kark grzywa czarnych, kręconych włosów, pod którą widniał sznur paciorków zawiązanych na szyi, krzaczaste brwi ocieniające oczy tak, że trudno było określić ich kolor. Przypomniła sobie, jak siedział w kokpicie – otwarte dłonie złożył na kolanach tak, że nie

widziała jego paznokci. Teraz też jakby je ukrywał. Kubek trzymał oburącz, lewą dłonią osłaniał prawą, nadal więc nie mogła obejrzeć jego rąk, tylko mięsień między kciukiem i palcem wskazującym, choć rozluźniony, prężył się jak góra. Chciała, żeby odkrył dłonie, obsesyjnie pragnęła zobaczyć ręce mordercy.

Usta miała ściśnięte, czuła suchość w gardle, gestem poprosiła o kubek kawy. Chwycił kubek lewą ręką w taki sposób, że znów nie widziała czubków palców. Prawa leżała na stole, zwinięta w pięść.

Pozwolił, żeby wyjęła kubek z ręki.

Spojrzał na nią.

Coś jednak odkryła. Nie wiedział co takiego, ale wyczuł to instynktem, tak jak wyczuł jej narastającą uwagę.

–Mógłbym panią błagać i prosić, ale nie spałem całą noc, panno Johnston, i jestem zbyt zmęczony, żeby odgrywać przedstawienie.

Mordercy potrzebna jest informacja. W tej chwili, panno Johnston, zabójca szuka przyjaciela Vica. Kiedy go znajdzie, zacznie ciąć nożem, a później go zabije, tak jak Vica.

Chodzi o jednego z pani uczniów. Albo mi pani pomoże, albo weźmie na siebie odpowiedzialność za jego śmierć. Ma pani dokładnie taki sam wybór jak ja. Mogłem pomóc Skelleyowi albo – bo taki miałem zamiar – pożeglować na Wyspy Dziewicze, żeby ponurkować przez tydzień. Różnica między panią a mną polega tylko na tym, że pani sądzi, że rzeczywiście ma pani wybór.

–Pan i ja... – nie zauważyła nawet, że wpadła w zastawione sidła. – Przykro mi. Pańska gramatyka pozostawia wiele do

życzenia.

–A więc nie chce pani pomóc...

–Tego nie powiedziałam.

–Ale tak pani postępuje.

Od łądu dobiegł dźwięk zapuszczanej yamahy. Trent wstając chwycił się krawędzi stołu.

Siatka cienkich białawych linii, otaczająca paznokcie, była ledwie widoczna, ale Charity doświadczonym okiem biologa dostrzegła ślady chirurgicznego skalpela. Mogła sobie wyobrazić operację, chirurga w masce, jak pochyla się nad palcami, z których wyrwano paznokcie, i stara się naprawić szkodę. Potrząsnęła gniewnie głową, usiłując pozbyć się tego obrazu. Nieomal ją

zwiódł i skarciła się ostro za tę słabość. Chodzi o jej rodaków, mieszkańców Bahamów, a ci nie potrzebują, żeby jakiś cudzoziemiec mieszał się w ich sprawy.

–Falszywy alarm! – krzyknął Skelley, cumując zodiaka do burty Złotej Dziewczyny. – Po prostu jeden z uczniów Charity wyprawiał się do Nassau po urodzinowy prezent dla matki.

Charity Johnston przymknęła z ulgą oczy. Widać było, że zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, widać było także, że jest przywiązana do chłopca. Trent chciał ją pogłaskać, uspokoić tak, jak uspokaja się wystraszonego konia, ale wiedział, że Charity odtrąci rękę. Z szuflady stołu nawigacyjnego wyjął kartkę papieru, ołówek i temperówkę. Położył papier na stole w salonie, usiadł i zaczął starannie ostrzyć ołówek. Skelley przykucnął na zejściówce. Słońce kładło cień jego wysokiej postaci na stół, między Trenta a nauczycielkę, jak granicę.

–Zacznijmy od przyjaciół Victora, panno Johnston. Szukamy chłopca, który wyprawia się nocą na połów, najpewniej sam – rzekł Trent. Kreślił obraz ostrożnie, świadomie mówił obojętnym głosem, wzrok skupił na ołówku, unikając konfrontacji spojrzeń. – Musi on znać Bleak Cay na tyle, że potrafi nocą przeprowadzić łódź przez rafę. Wpłynął na lagunę, a więc najpewniej łowił homary. Wyciągnął pilota z samolotu i przeniósł go na brzeg. Wrócił następnie do rozbitej maszyny, wyciągnął dwadzieścia pojemników i gdzieś schował. Jest więc zdecydowanym i odważnym chłopcem. Nie powiedział Victorowi, gdzie schował ładunek, a więc potrafi trzymać język za zębami, jest raczej typem samotnika, na co wskazywałaby wyprawa w pojedynkę na lagunę.

–To Jacket – szepnęła – chłopak, który jest teraz w Nassau. Była tego pewna, Trent nie zadawał dodatkowych pytań. Zapisał imię na kartce.

–Nie przyjaźni się z Victorem, jest raczej drobny jak na swój wiek. Victor to wiejski bohater-osilek i znęcał się nad nim. Victor jest bokserem, wygrywa turnieje, jego ojciec też nie ułomek, więc nikt im się nie przeciwstawia. Jacket nie ma ojca.

Taka już była. Stawiłaby czoło dręczycielowi bez względu na to, czy obchodziła ją

ofiara, czy nie. Starła się mówić spokojnie, panować nad sobą, a to tylko świadczyło o jej ogromnym zdenerwowaniu.

–Przykro mi – rzekł Trent. Chciał coś dodać, ale słowa uwięzły mu w gardle, co ułatwiło jej przejście do ataku.

–Na co pan czeka? Niech pan coś zrobi. Po to pan tu jest.

Trent spojrział na Skelleya, jakby szukał pomocy.

–Złość na nic się nie zda. Chłopiec ma w ręku klucz do miliona dolarów, bo tyle pewnie warta jest koka ukryta gdzieś na Bleak Cay. Policjant zarabia dwieście dolarów miesięcznie. Detektyw – trzysta, sierżant ma czterysta. Powiedz mi, po pierwsze, komu mam ufać, a po wtóre, jak zachować tajemnicę przed tymi, którym nie ufam. Już teraz jedna banda poszukuje tego chłopaka. Mogę oczywiście zawiadomić Nassau, ale skutek będzie jeden. Tuzin albo i więcej facetów zajmujących się narkotykami – nazwiska znam i mógłbym ci podać – natychmiast dowie się o sprawie. No i oczywiście jest jeszcze spora grupa wolnych strzelców, którzy też zaczną się rozglądać. Tylko cud może sprawić, że chłopak przeżyje do wieczora.

Charity odwróciła wzrok ku oknu. Obok przepłynęła łódź z silnikiem na rufie. Kierowała się ku rafie. Fala kilwateru uderzyła w lewy kadłub Złotej Dziewczyny.

–Zwołajcie ludzi z wioski. Powiedzcie im, co i jak. Znajdą ładunek, kokę się spali.

–Przerabialiśmy to już z Trentem – rzekł Skelley. – Ci ludzie nie będą ryzykować, Charity. Chłopak rzeczywiście może coś wiedzieć. Zabiją go. Jedyna nadzieja, że to my dotrzemy do niego pierwsi. Nie ma go od półtora dnia. Nasza przewaga polega na tym, że tylko my wiemy, że jest w Nassau. Oni zaś mogą zrobić tylko jedno: wyznaczyć kogoś, kto będzie czekał, aż chłopak się zjawi. Trent narysował kółko obok imienia Jacketa.

–A dlaczego nie porozmawiali z jego matką? – spytał.

–Matka cały dzień przebywa w domu Wintertona – rzekł Skelley.

–A cóż to, oni w nocy nie pracują?

–Spieprzyli sprawę na Bleak Cay i zapewne czekają na przybycie szefów.

–Możliwe... – Trent nie był do końca przekonany. – A czy wiadomo, kiedy przypadają urodziny matki?

–W poniedziałek – odparł Skelley.

–Pytałeś, co chłopak kupuje?

–Nie wiedziała.

Obaj spojrzeli na Charity. Potrząsnęła przecząco głową.

–A jak dostanie się z powrotem na Green Creek? – spytał Trent.

–Jeśli nie trafi mu się jakaś okazja, to w sobotę wypływa z Nassau statek pocztowy, a chłopak ma pieniądze. Statek odpływa o dwunastej z przystani na Potter's Cay – powiedziała Charity.

–Dobrze byłoby wiedzieć, ile chłopiec ma pieniędzy.

–Może to wiedzieć Duńczyk w Congo Town, w hotelu Emerald Palms – Szmaragdowe Palmy. Tam Jacket i Dummy sprzedawali swoje homary.

–Dummy?

–Przyjaciel Jacketa, głuchoniemy – wyjaśniła Charity. – Ma sześćdziesiąt lat. Jest jakby ojcem Jacketa. Ja też go lubię – dodała z lekkim wzruszeniem ramion, chcąc podkreślić, że chodzi o coś, co nie ma specjalnego znaczenia. Jednocześnie jednak zaciskała mocno ręce, splatała palce, aby opanować ich drżenie.

–Dummy wozi mnie czasami na rafę. Jacket korzysta z jego łodzi. Ale Dummy'ego nie ma we wsi. Pewnie popłynął do Congo z homarami Jacketa.

–Kiedy? Rano, nazajutrz po katastrofie samolotu?

–Tak. Dummy to najlepszy rybak na Andros. Czasami zostaje w Congo na dłużej, wynajmują go jako przewodnika dla stałych klientów.

Jak zdjęcia, pomyślał Trent, diapozytywy układane jeden na drugim, z których wyłania się coraz bardziej szczegółowy wizerunek chłopca i jego otoczenia. Charity uprawiała fotografię. Siedziała naprzeciwko niego uparta, zdecydowana. Przymykała i otwierała oczy, co przydawało jej wyrazu pewnej arogancji.

Z drugiej jednak strony widać było, że jest bliska paniki. Wyobraził sobie zmarłego chłopca, jego ból i mordercę, jak pochyła się nad ofiarą.

W poniedziałek w nocy łódź zabójcy musiała mieć awarię. Tylko w ten sposób można logicznie wytłumaczyć fakt, że ci, co mieli odebrać ładunek, nie stawili się na Bleak Cay o umówionym czasie. Po lewej stronie kartki zapisał dni tygodnia, a po prawej – zaczął wypisywać wyjaśnienia.

Poniedziałek, noc – rozbija się samolot, Jacket znajduje pilota, ukrywa kokę.

Wtorek – przed południem wyjawia sprawę Victorowi, następnie płynie z Dummym do Green Creek; po południu Victor ginie na Bleak Cay.

Środa –

Czwartek –

Piątek –

Sobota – statek pocztowy?

Niedziela –

Poniedziałek – urodziny matki Jacketa.

Środa i większa część czwartku – dwa dni, kiedy nie dzieje się nic specjalnego, chyba że chłopiec został już schwytany. Być może schwytano także jego przyjaciela – Dummy'ego. Być może...

Trent spojrział na Charity. Nie chciał, żeby straciła nadzieję.

–Panno Johnston, zależy mi tylko na tym, żeby uratować życie chłopcu. Nie wiem, jak on wygląda, więc będzie mi potrzebna pani pomoc. Bandydzi wiedzą, że jest w

Nassau, bo inaczej przepytaliby jego matkę. Pewnie podzielili się na dwie grupy. Jedna próbuje dopaść go w Nassau, druga czeka na miejscu. Najpewniej obserwują matkę, żeby przekonać się, czy ktoś się nią nie interesuje. Green Creek jest za małą miejscowością, aby ryzykować obecność kogoś obcego, więc zapewne mają swojego człowieka wśród miejscowych. Jeśli dowiedzą się, że my wiemy, iż Victor padł ofiarą morderstwa, zaczną zakładać, że mamy ma oku Cay. Jeśli tak, to zamordują chłopca i pogodzą się ze stratą. Musimy więc trzymać się z daleka od Cay. Ani nie zbliżać się do matki chłopca. Nie wie ona nic takiego, czego nie wiedzieliby oni, więc raczej nic jej nie grozi. – Podeszedł do stołu nawigacyjnego i pochylił się nad mapą Andros. – Trzeba ukryć Złotą Dziewczynę gdzieś w dyskretnym miejscu, z dala od uczęszczanych szlaków. Zachodnie wybrzeże Andros to trzęsawiska porośnięte mangrowcami. Niewiele tam osiedli. Wody osłonięte, a głębokość na Great Bahama Bank, która rozciąga się na sto mil od głębi Tongue po Kanał Florydzki, rzadko gdzie przekracza sześć, siedem metrów. Wspaniałe tereny do nurkowania. Niech pani popłynie na brzeg, panno Johnston – powiedział – i wywiesi zawiadomienie, że jutrzejsze lekcje zostały odwołane. Proszę

zabrać jakieś odpowiednie ubranie do Nassau. Niech pani zachowuje się jak gdyby nigdy nic. Jeśli kogoś pani spotka, proszę udąć zirytowanie, że Skelley nie uprzedził pani, iż sprowadzi jakiegoś znajomka, który chce ponurkować na zachodnim brzegu. Niech pani wspomni, że Złota Dziewczyna ma około pół metra zanurzenia i z powodzeniem może przejść przez Middle Bight. Można też dodać, że liczyła pani na Dummy'ego, że to on zajmie się przybyszem i pokaże ciekawe miejsca do nurkowania, ale Dummy gdzieś znikł. To wszystkim wyjaśni, po co Skelley chodził do matki Jacketa.

Skelley odwiózł Charity na ląd, a tymczasem do Złotej Dziewczyny podpłynął jeden z miejscowych rybaków, gadatliwy starzec popijający rum z butelki schowanej w papierowej torebce, którą ścisnął między nogami. Trent wdał się w pogawędkę, pytał o zachodni brzeg, o rafy.

–A ta nauczycielka zna się na sprawie? Skelley mówi, że jest całkiem niezłym przewodnikiem.

–Ona wcale nie jest stąd. – Stary widać nie darzył jej sympatią. – Przemądrzała. Wydaje jej się, że jest Bóg wie co. Wy pływa z takim jednym, Dummy, może pan słyszał? Fotografuje ryby, a potem pyta, jak się nazywają. Ale nurkować to ona umie – przyznał, choć niechętnie, co podkreślił drapiąc się ze złością za lewym uchem i plując głośno. – Tak, panie – ciągnął – przyznaję, że umie nurkować. Ale nie zawsze trafia tam, gdzie chce – zachichotał, ukazując ubytki w górnej szczęce. – Mówią, że chciała zostać na tym... jak mu tam, uniwersytecie, ale jej nie wzięli. Dlatego przyjechała tutaj jako nauczycielka. Tyle lat uczyła się na Jamajce i co, panie? Zarabia czterysta dolarów na miesiąc, tyle co rybak, co nie ma żadnej szkoły. Przychodziła czasem do baru i mówiła nam, że nie wolno

rzucac kotwicy na rafie, taka przemadrzala. Panie, rafa ma osiemset kilometrow dlugosci, a Bahamczycy rzucaja na niej kotwice od czasow Kolumba i nic sie nie dzieje, niczego nie popsuli. Ale tak to jest z babami, panie, zawsze lubia sie wtracac. – I znów splunął ze złością. Sięgnął po butelkę z rumem. Pociągnął spory łyk i spojrzał znacząco na Trenta. – Ale, panie, teraz to już nie przychodzi do baru. Nie podoba jej się, jak mężczyźni mówią do niej tam takie różne... – Zerknął na brzeg. Charity ładowała swoje rzeczy do zodiaka. – Panie, taka niby kształcona, a chłopów nie lubi. Tak mówią. Ja tam nie próbowałem, za stary już jestem, ale kiedyś, panie... – Pociągnął jeszcze jeden łyk z butelki, nim odłożył ją na miejsce. Zatarł ręce na wspomnienie z dawnych lat i kiwnął znacząco głową. Skelly właśnie spychał zodiaka na wodę. – Niech pan lepiej uważa. Ta nauczycielka to ho, ho. Może jaja urwać.

Tak jak mieszkaniec Londynu nie rozstaje się z parasolem, tak senor Perez nigdzie nie ruszał się bez osobistej ochrony. Znał swoich rodaków i znał swój kraj. Daleko szybciej rozpoznawał wrogów niż przyjaciół. Był nieufny i z miejsca wyczuwał, gdy działo się coś niezwykłego. Był jednak i pozostał wieśniakiem, miał naturę rolnika, a nie biznesmena. Przybył na Bahamy z Jesusem Antonio, ponieważ odpowiadał za tego gringo, Steve'a.

Jesus Antonio załatwił co trzeba z miejscowym bankierem. Obaj zapewniali senora Pereza, że na wyspach może czuć się bezpieczny, że nic mu tu nie grozi, więc nie ma potrzeby otaczać się ochroniarzami, bo to tylko zwraca niepotrzebnie uwagę. Tak więc senor Perez zgodził się, że na umówione spotkanie uda się bez broni i jedynie w towarzystwie sternika, człowieka bankiera, a zresztą, co mu może grozić ze strony kolegi szkolnego młodego Xaviera de Fonterry.

Z drugiej strony łachy dał się słyszeć niski warkot diesla. Po chwili Steve usłyszał plusk rzuconej kotwicy. Sternik dodał jeszcze na chwilę obrotów na silniku, aby łapy kotwicy mocniej wdarły się w dno. Steve'a kusiło, żeby wspiąć się na wydmy i sprawdzić, w ile osób przyjechali, ale powstrzymał się. Mogłoby to wzbudzić podejrzenia.

Tymczasem dobiegł go odgłos ciężkich kroków na piasku. Był gotów. Zdawał sobie sprawę, jaki musi przedstawiać widok dla kogoś, kto za chwilę zejdzie z wydmy. Był nagi, bandaże żółciły się od maści, robił wrażenie, jakby był półprzytomny od uderzenia albo narkotyków.

=brak str. 120

Metys stał nad nim, patrząc z góry na ciało Boba. Po chwili przeniósł wzrok na Steve'a.

–Tej nocy, kiedy przylatywał samolot, ten drań popsuł łódź.

Wziął jakiegoś chłopaka, któremu kazał zapalić światło nie w tym miejscu, co trzeba. Gdy przybyliśmy tu, rzucił się na mnie, związał i zostawił na słońcu na cały dzień, a sam z bachorem ukrył gdzieś towar. – Steve wymownie uniósł ramię, żeby Metys sam się przekonał, jak on, Steve, strasznie spalił się na słońcu.

Kolumbijczyk przewrócił ciało. Podniósł ręce Boba i uważnie obejrzał grube palce ze śladami smarów wokół paznokci i pod nimi. Steve przypomniał sobie, jak kiedyś, jeszcze w Hampton pod Nowym Jorkiem, zemdlilo go, gdy zobaczył Boba pożerającego kanapkę i ugniatającego ją brudnymi paluchami. Kolumbijczyk był podobny: ogromne, ciężkie łapy, potężne bary i tępa twarz. To straszne, co praca fizyczna może zrobić z człowiekiem. Ludzie upodabniają się do swego zawodu, jak właściciele do swoich psów.

–Znał go pan dobrze? – spytał Kolumbijczyk.

–Tak sobie, spotykaliśmy się od kilku lat. Naprawiał mi auta, gdy była potrzeba.

Kolumbijczyk skinął tylko głową.

–Chłop ze wsi jak ja – rzekł. – Zgodziłem się na pańską

współpracę, senor, ze względu na pańską przyjaźń z señorem Xavierem. Moja rodzina wiele zawdzięcza rodzinie senora Xaviera. Mamy wobec niej dług. Nie chodzi o pieniądze, senor, chodzi o coś innego, lojalność i sprawy sięgające wielu pokoleń wstecz. – Jakby nie zauważył ruggera, którego Steve wysunął spod siebie. – Mam do pana wielki żal, senor. Tak, wielki żal.

Steve strzelił. Zabił Metysa, a następnie strzelił w pierwszą ranę wlotową w ciele Boba. Potem wcisnął pistolet w rękę Kolumbijczyka. Ptaki wzbiły się w niebo już przy pierwszym strzale. Krążyły w górze, zanosząc skrzekliwą pieśń.

–Spoko – mruknął Steve – jesteśmy przyjaciółmi.

Wziął koszulę, która suszyła się na burcie motorówki, podarł ją na wąskie paski i jednym owinął sobie lewy przegub, potem usiadł na piasku i czekał.

Za wydmy wyłonił się jeden tylko człowiek. Miejscowy, Bahamczyk. Spod białej czapki, takiej jaką noszą brytyjscy jachtsmeni, wystawał kosmyk siwych włosów. Białą koszulę z krótkimi rękawami zdobiły złote naramienniki. Stroju przybysza dopełniały białe szorty o szerokich nogawkach. Wyglądał jak typowy bahamski szyper ze statku wycieczkowego, z tą tylko różnicą, że w rękę trzymał pistolet maszynowy i zbliżał się, zachowując wszelkie środki ostrożności. Były żołnierz, ocenił z zadowoleniem Steve. Doświadczony specjalista nie wpada w panikę z byle jakiego powodu.

Steve podniósł wysoko ręce.

Bahamczyk nie był tak ufny jak Kolumbijczyk.

–Wstać i kilka kroków do tyłu. Powoli – ostrzegł.

–Ten tu – Steve ruchem głowy wskazał na Boba – ukradł towar, a potem zostawił mnie na słońcu.

–Uhm.

–Potem przywiózł tutaj i spętał. Rozwiązał dopiero teraz, kiedy miał się zjawić Metys, wszystko miało wyglądać jak trzeba. Powiedział, że mnie zabije, jeśli tylko się ruszę.

–I co...

–Bałem się, że mnie zastrzeli. Nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc.

–A ten dżentelmen? – Bahamczyk skinął znacząco głową w stronę Kolumbijczyka. Sięgnął po spodnie Steve'a wiszące na motorówce. Rzucił mu. – Ubierać się! – rozkazał. Następnie opróżnił kieszenie Kolumbijczyka, zbierając zawartość w białą chusteczkę. To samo zrobił z kieszeniami Boba. – Kto jest właścicielem motorówki? – Steve wskazał na Boba. – Umie pan prowadzić?

–Wiem, jak się uruchamia silnik i jak się steruje – odparł Steve – ale nie znam się na nawigacji.

–Lepiej zabrać stąd ciała – rzekł Bahamczyk.

Zaczęli ciągnąć zwłoki. Główny wysiłek spadł na barki przybysza. Wrzucili je do kokpitu motorówki, a następnie przeciągnęli do kajuty. Bahamczyk rozejrzał się po wnętrzu łodzi.

–Trudno taką zatopić. Takie już one są, te nowoczesne łodzie – mruknął.

Wyrzucił na brzeg kilka poduszek z kajuty. Zdjął pokrowce z materaców i ułożył w kabinie przy zejściówce. Następnie napełnił poszwy poduszek piaskiem i przeniósł ładunek na motorówkę, gdzie przesypał zawartość do pokrowców na materace. Powtórzyli tę operację wielokrotnie, aż wszystkie worki wypełniły się piaskiem do pełna.

–Przeprowadzę moją łódź na tę stronę wyspy. Proszę płynąć za mną, ale nie za blisko, trochę z boku, żeby nikt nie pomyślał, że jesteśmy razem.

Słońce zanurzało się w zachodnim horyzoncie, malując wszystko roztopionym złotem. Steve założył okulary słoneczne. Trzymał się za sportową łodzią Bahamczyka. Tak wpłynęli do cieśniny. Steve zdjął kapelusz. Wieczorna bryza targała włosy. Czuł się dobrze. Czuł się pewnie, tak jak wtedy, gdy w Dominikanie jeździli z Niemcem samochodem, zabierając dziewczyny na przejażdżkę. Jak wtedy, tak i teraz, gdy zerkał na dwa ciała leżące w kajucie pod zejściówką, czuł, że całkowicie panuje nad sytuacją. Dwie motorówki śmignęły obok, kierując się ku głębszej wodzie. O zmierzchu Bahamczyk zatrzymał łódź, rzucił kotwicę za burtę, aby kontrolować dryf, i przycumował motorówkę Steve'a do swojej łodzi. Plastikowe odbijacze skrzypiały między burtami. Steve'owi przyszło na myśl, że tak samo skrzypiała kreda, gdy kreślił na tablicy w banku tabele kursów walut, wyjaśniając młodszym urzędnikom sekrety fluktuacji wartości dewizowych. Bahamczyk przygotowywał motorówkę do zatopienia. Plama benzyny na powierzchni morza mogłaby zwrócić uwagę rybaków bądź przypadkowych żeglarzy, przede wszystkim więc opróżnił zbiorniki – w ciągu nocy paliwo się rozplynie. Następnie przedziurawił w kilku miejscach pokład i wyrąbał otwory w burtach. Z kolei zajął się podwójnym dnem. Podziurawił wewnętrzną skorupę też w kilku miejscach, tak aby woda bez przeszkód dostała się między obie warstwy laminatu, z którego sporządzono kadłub. Pracował dokładnie, zwracając uwagę na najmniejsze szczegóły. Co parę minut przerywał pracę, a wtedy Steve, który siedział w kokpicie, nadśluchiwał, czy nie zbliżają się jakieś łodzie. Na koniec przeniósł na pokład motorówki ze swojej łodzi dwie ciężkie kotwice oraz kawał łańcucha. Miały zwiększyć jej ciężar, natomiast z motorówki zabrał drewniane gretingi, materace i odbijacze, przenosząc je do swojej łodzi.

–Chyba wystarczy – ocenił.

Steve przeszedł na pokład łodzi Bahamczyka, gdy ten wybijał ostatnie dziury w dnie motorówki. Bahamczyk poczekał jeszcze, aż motorówka zacznie napełniać się wodą i dopiero wtedy przeskoczył do swojej łódki. Odwiązał cumy, usiadł i patrzył, jak morze z wolna wchłania motorówkę. Na powierzchnię wypłynęły pęcherze powietrza i było po wszystkim. Bahamczyk uruchomił silnik.

–Z tymi oparzeniami lepiej schować się pod pokładem –

polecił Steve'owi uprzejmym, ale stanowczym tonem, jakim zwracał się doń przez cały czas.

Godzinę później cumowali już przy kei zamontowanej na białym pontonie, za którym widniała furtka, a dalej alejka wykładana ciosanym koralowcem i obsiana tymiankiem. Bahamczyk zagwizdał i do furtki przybiegła para roślących rottweilerów.

–Proszę trzymać się blisko mnie – ostrzegł, ruszając ścieżką między kępami oleandrów i kwitnących kaktusów.

Steve, nowojorczyk, nie nawykł do psiego towarzystwa. Wiszące ozory, dyszenie zwierząt i miękki odgłos łap następujących mu na pięty przyprawiały go o nerwowy dreszcz. Posiadłość oświetlały halogenowe latarnie. Pośród rozległych, starannie przystrzyżonych trawników, rozciągających się po obu stronach alejki, którą zdążali, rosły dekoracyjne palmy o kształcie wachlarza i krzewy winorośli. Szumiały spryskiwacze, powietrze było chłodne. Wolne od ciężkiej woni morskiej soli pachniało kwitnącym jaśminem i uroczynem. Tylko wokół domu zbudowanego na sztucznym wzniesieniu, przed którym rozciągał się duży basen pływacki, nie rosło nic. Trent z miejsca zorientowałby się, że nie był to przypadek: odkryta przestrzeń dawała dogodnie ostrzału, a basen stanowił dodatkową linię obrony.

Dom był parterowy, pomalowany na biało. Pośrodku, między dwoma skrzydłami, rozciągał się spory zadaszony taras, wiodący do otwartego salonu. Stały na nim, frontem do basenu, trawników i morza, wielkie białe fotele i leżaki. Na posadzce z polerowanej terakoty rozmieszczono wielkie ceramiczne pojemniki w orientalnym stylu, pełne miniaturowych, kwitnących drzewek cytrynowych. Na spotkanie Steve'a wyszedł kamerdyner-Bahamczyk w białej koszuli, czarnym krawacie, takichż spodniach i butach i białej kurtce. Miał siwiejące włosy i podobnie jak sternik łodzi, którą przybyli, odnosił się do Steve'a tyle uprzejmie, co czujnie. Na tarasie czekało już dwóch mężczyzn. Starszy, na oko pięćdziesięcioletni, brunet o latynoskich rysach, wysportowany, elegancko ubrany, w domowych mokasynach, które musiały kosztować co najmniej trzysta dolarów, z zegarkiem na złotej bransolecie, popijał wodę sodową w wysokiej szklance. Młodszy, o aparycji suchotnika, łysiejący, miał na sobie tandetne ubranie

i wymiętą koszulę. Przedstawił się jako Jesus Antonio i wskazał Steve'owi miejsce na jednym z foteli. On też prowadził rozmowę, mówił z amerykańską sepleniąc lekko, zwracał się do Steve'a po imieniu, wypytywał o wydarzenia na Bleak Cay i późniejsze, na piaszczystej grobli między dwiema wysepkami. Steve myślał najpierw, że Jesus Antonio jest tylko tłumaczem, ale ten ani razu się nie zwrócił do swojego towarzysza. Słuchał cierpliwie, nie poganiał, nie zadawał dodatkowych pytań, zadowalał się tym, co Steve mówi z własnej woli. Wiedząc, że ciała spoczywają głęboko na morskim dnie, Steve z całym przekonaniem opowiadał, jak to doszło do walki między Metysem a Bobem.

–A później wasz człowiek zatopił motorówkę i przywiózł mnie tutaj – dokończył.

Jesus Antonio skinął głową, jakby zatwierdzał opowieść. Dał znak kamerdynerowi.

–Coś do picia, Steve, na co miałbyś ochotę? Cola z rumem?

Może plasterek cytryny?

–Tak, proszę.

Steve był całkiem spokojny, pewien że wszystko poszło dobrze. Miał doświadczenie i znał się na tym. Wiele razy przeprowadzał tak zwane prezentacje dla klientów banku i widział, że obaj słuchacze są pod wrażeniem opowieści. Dobre samopoczucie potęgował jeszcze nastrój tego wieczora, usypiający szum spryskiwaczy na trawniku i łagodne uderzenia morskich fal o brzeg. Kostki lodu delikatnie zadźwięczały, gdy kamerdyner podał mu na srebrnej tacy napój w kryształowej szklance. Steve podziękował. Cytrynę pokrojono w cienkie jak papier plasterki, w szklance pływała gałązka świeżej mięty, może tylko koktajl był odrobinę za mocny jak na gust Steve'a. Trochę za dużo rumu, pomyślał pociągając niewielki łyk. Starszy z gospodarzy zajął się książką, młodszy odkaslnął w chusteczkę, po czym przetarł usta i włożył chusteczkę na powrót do kieszonki marynarki. Zaległa dokuczliwa cisza. Steve pociągnął ze szklanki, chłonąc zmrożony trunek. Na trawniku zaszczekał rottweiler. Steve popatrzył w stronę basenu. Woda iskrzyła przy brzegach, przybierała, jakby za chwilę miała się rozlać falą po przystrzyżonej trawie. Zwrócił uwagę na niezwykle błyszczące gwiazdy na ciemnym niebie. Zwłaszcza jedna, zawieszona nisko nad południowym horyzontem, jaśniała bardziej niż inne. Strzelały od niej promienie, złote i karminowe, kojarzyło mu się to z ptakami na grobli. Ogarnęło go zmęczenie, szklanka wydała mu się ogromnie ciężka, gdy próbował unieść ją do ust. Jesus Antonio powiedział coś cicho, kamerdyner wziął szklankę z rąk Steve'a. Steve poczuł się jakby obnażony. Wielkie, puste już teraz dłonie złożył na kolanach. Był taki samotny. Nikt go nie rozumiał. Oczy pełne łez wzniosł do nieba, ku gwiazdzie, tej, co jaśniała nisko nad horyzontem, i nagle gwiazda spadła. Najpierw jedna, potem druga, a potem spadł cały deszcz gwiazd i nie było

już żadnej. Niebo ściemniało, przemieniło się w czarną czeluść, przez którą nagle przeszedł dreszcz. Czeluść zaczęła nabrzmiwać, wystąpiła z siebie i drżąc na krańcach jęła ogarniać Steve'a. Skulił się z przerażeniem, wcisnął w fotel, ale czeluść nadal ku niemu płynęła.

–Nie bój się, Steve – uspokajał go ktoś łagodnym głosem. –

Spójrz na mnie, Steve. Popatrz na mnie, a nic ci się nie stanie.

Steve podniósł wzrok i zobaczył młodego człowieka w tandetnym ubraniu – Jesusa Antonio, który przyniósł sobie krzesło z jadalni, usiadł przed Steve'em, obejmując kolanami jego kolana. Ujął ręce Steve'a w swoje dłonie. Patrzył łagodnie ciemnymi oczami, a jego wzrok wyrażał zrozumienie.

–Powiedz mi, powiedz mi, jak to się stało. Zacznij od tego, jak jeszcze pracowałeś w banku...

I było tak, jakby w fotelu znalazło się dwóch Steve'ów – ten prawdziwy, który milcząc, bo i tak nic nie mógł zrobić, przyglądał się i słuchał, jak ten drugi płacze, ściska Jesusa Antonio za ręce i opowiada o wszystkim. O praniu pieniędzy, o spotkaniu z Xavierem w Bogocie, o rozmowie z Metysem na stacji benzynowej,

o tym, jak znalazł i wynajął dom Wintertona, jak kupił motorówkę i jak Bob przyплыnął nią z Fort Lauderdale. A potem o tym, dlaczego wybrał Bleak Cay, i o tym, jak popsuł się silnik w motorówce, jak znaleźli rozbity samolot i jak usłyszał kroki chłopca na piasku, i jak Bob zostawił go na Cay. I znów ogarnęło go przerażenie, gdy opowiadał, co przeżył na wyspie, o słońcu, od którego lał się żar, o zmarłym pilocie i mewach, i o tym, że był sam, zdany tylko na siebie. Jak odarto go ze wszystkiego, co zdobył, jak zostawiono na nagiej wyspie zupełnie bez niczego, czym mógłby się osłonić lub ochronić. Mówił to łkając, a Jesus Antonio trzymał go w ramionach i pocieszał.

–Powiedz mi – szeptał łagodnym tonem prosto do ucha Steve'a, kołysząc go czule w ramionach. – Powiedz mi, Steve, jak to było, gdy zjawił się chłopiec...

Na całym wielkim świecie byli tylko oni dwaj skąpani w świetle. Wszystko inne spowiła przepastna czerń, głęboka jak czeluść.

–Powiedz mi – zachęcał Jesus Antonio i był taki serdeczny, taki miły i tak wszystko rozumiał. – Bądź dzielny, Steve, i zaufaj mi.

Czeluść znów zadrżała i wiedział, że go pochłonie, jeśli będzie mówił, że wysiężeń jego istotę, wchłonie go i na fotelu nie

zostanie nic, tylko wyschnięta skóra. Usiłował się wyrwać z objęć Jesusa Antonio, odpychał go od siebie, naciskał dłońmi jego pierś, a ten zaczął nagle kaszleć. Wyjął białą chusteczkę i przyłożył sobie do ust. I wtedy to z białej chustki trysnęły w dół, na kolana Steve'a, szkarłatne potoki. Potoczyły się niżej, rozlały plamą wokół nóg. Plama jęła nabrzmiwać, rosnać, płynąć w górę, jak woda, która wchłaniała motorówkę. Nurzał się w czerwieni, najpierw po kolana, potem po pierś i ramiona. Chciał wstać, walczyć o życie, ale silne ręce spychały go w dół.

–Słuchaj, Steve...

A na szkarłatnych falach unosiło się ciało chłopca. Drobne zrazu, jęło rosnać, potężnieć, nabrzmiwać, jak wzbierała czerwona fala przyływu, na której się unosiło. Chłopiec leżał na tacy z błyszczącej stali, a w jego ciało mierzyły strzały. Nad nimi zaś unosiły się wielkie litery. Rozległ się potężny huk i Steve zaczął spadać jak głaz, prosto w czarną przepaść bez dna, i tylko młody człowiek trzymał go za rękę. Ramiona wyciągnęły się i Steve czuł, jak ciało Jesusa Antonio zsuwa się z kości. Próbował chwycić mocniej, bo wiedział, że jeśli zwolni uchwyt, to będzie stracony na zawsze. Rycząca czeluść wciągała i wsysała go w siebie.

–Opowiedz mi, Steve, opowiedz mi o chłopcu! – zawołał Jesus Antonio.

–Zabiłem go! – krzyknął Steve i jasność rozświetliła czeluść.

Krzyknął ponownie i więcej światła wdarło się do przepaści.

Ogarnęła go złość, chwycił się jej jak ostatniej deski ratunku.

Gniew ciągnął go w górę, dobywał z czeluści, aż znów znalazł się

w fotelu. Wypluwał z siebie słowa, opowiedział o chłopcu i o tym, jak Jacket ukradł kokainę, jak Bob chciał go zdradzić, i o tym, jak go zabił, i jak następnie zabił Metysa.

Gdy skończył, opadł wyczerpany na fotel. Poczł ukłucie w ramię, wydawało mu się, że widzi strzykawkę, i zapadł w sen.

–Niech się pani uśmiecha – odpowiedział Trent, podając Charity puszkę zimnego heinekena, gdy z zodiaka przechodziła na pokład Złotej Dziewczyny. – Więcej nawet, niech się pani zaśmieje, przecież wybieramy się na wycieczkę, to ma być przyjemność.

Wziął od Skelleya jej rzeczy, przerzucił na pokład, tylko sprzęt do nurkowania, który był stosunkowo ciężki, złożył ostrożnie na wykładanej tekowym drewnem podłodze w kokpicie. Na plaży zgromadzili się niemal wszyscy mieszkańcy Green Creek. Do zachodu słońca zostało niewiele ponad pół godziny. Trent chciał, żeby wszyscy zobaczyli, jak Złota Dziewczyna bierze kurs na przesmyk Middle Bight. Znał drogę, pływał tamtędy ze Skelleyem jako załogant.

–Pokażemy im, jak się stawia żagle na prawdziwym jachcie – rzekł z uśmiechem do Skelleya, gdy już wyciągnęli zodiaka i zabezpieczyli go na szlupbelkach. – Żeby nikt nie mówił, że szef policji nie zna się na żaglach.

Przez chwilę jeszcze stali na dziobie, upewniali się co do kierunku wiatru i prądów. Zdecydowali podnieść większy żagiel, zamiast przygotowanego już foka marszowego. Zabezpieczone bawełnianymi reflinkami białe płótno wyglądało jak gigantyczny baleron przyszeklowany do sztagu z nierdzewnej stali.

Najpierw podnieśli główną kotwicę, klarując starannie linę, wybierając ostrożnie łańcuch, by nie uszkodzić białych burt i pokładu.

–Drugą podniesiemy już pod żaglem – rzekł Trent do Charity – jeśli potrafi pani obsługiwać fały i szoty foka.

–Zależy mu, żeby to wyglądało naturalnie – rzucił Skelley stojąc przy maszcie. – Trent lubi się popisać, choć za Boga nigdy się do tego nie przyzna.

Skelley podniósł grota. Trent stał przy sterze. Rumpel trzymał jedną ręką, w drugiej – talię grota. Skelley obłożył fał na knadze i pośpieszył na dziób, do liny kotwicznej.

–Gotowe! – krzyknął wybierając cumę tak, że katamaran ustawił się bokiem do wiatru, nabierając wiatru w żagiel.

Trent wybrał grota, odepchnął ster, jacht ruszył w stronę drugiej kotwicy. Skelley szybkimi ruchami wybierał linę, na koniec szarpnął, wyrwijąc kotwicę z dna.

–Kotwica podniesiona – zameldował, opłukując jeszcze żelazne łapy z mułu.

Trent dał mu dziesięć sekund na sklarowanie wszystkiego na dziobie. Byli jakieś siedemdziesiąt metrów od brzegu. Skelley zajął się teraz mieczem w lewym kadłubie. Trent dał sygnał, żeby opuścić miecz.

–Fok gotowy? – upewnił się, zerkając na Charity.

Skinęła głową.

–Uwaga, zwrot! – krzyknął Trent pchając ster i dorzucił:

–Fok w górę! – Dzioby katamarana przecinały właśnie linię wiatru.

Charity zwolniła linki przytrzymujące żagiel. Płótno wypełniło się wiatrem jak

wielka czasza. Katamaran skoczył do przodu pchnięty nową siłą. Woda zaszumiła, gdy oba kadłuby poszły przez fale, zostawiając za sobą podwójną linię kilwateru odcinającą się głęboką zielenią na ciemniejącym szmaragdzie morza.

Niebo też już ciemniało tam, gdzie cienka linia przyboju wyznaczała skraj głębiny Tongue of the Ocean. Za jachtem, zza poszarpanej linii wzgórz na South Andros, wystrzeliły w górę ostatnie, szkarłatne promienie zachodzącego słońca.

Jeszcze w szkole, a później na uczelni, Charity czuła obrzydzenie do dziewcząt, które dla romansu gotowe były poświęcić wszystko, nie wyłączając godności osobistej. W dziewczęńskich szeptach i chichotach zawierało się zbyt wiele, jak na jej gust, czołobitności wobec chłopców, tak jak o czołobitności wobec białej rasy świadczyły całe godziny, które dziewczęta spędzały przed lustrem, usiłując swoje kędzierzawe, czarne włosy upodobnić do blond loków, znanych z ekranu i z kolorowych magazynów. Idealem były białe aktorki filmowe i białe modelki. Nie dla Charity, która postanowiła być po prostu sobą. Z równą mocą postanowiła, że nie będzie się angażować emocjonalnie. Poczuli się więc zaskoczona swoimi obawami o Jacketa. Próbowała wyzwolić się od niespokojnych myśli, skupiając uwagę na Angliku.

Podświadomie oczekiwała, że będzie świadkiem pseudomarynarskich popisów, oglądanych wiele razy, kiedy to niedzielni kapitanowie wykrzykiwali komendy, złoścąc się i wpadając na przemian w panikę. Zirykowało ją, że na Złotej Dziewczynie ów model wcale się nie sprawdził, a jeszcze bardziej zirykowało ją, kiedy Trent poprosił, by stanęła przy sterze i najzwyczajniej w świecie powierzył jej komendę, nie pouczając, nie instruując, nie sprawdzając, czy da sobie radę.

Pchnęła lekko rumpel najpierw na lewą, a następnie na prawą burtę, chcąc wyczuć, jak katamaran reaguje na ster. Miała nadzieję, że sprowokuje jakąś cierpką uwagę na temat swoich umiejętności trzymania jachtu na kursie, i szykowała już stosowną odpowiedź. Tymczasem Trent bez jednego słowa zniknął w kambuzie.

Zdała sobie sprawę, jak bardzo go nienawidzi. Nie jako przedstawiciela gatunku, za którym w ogóle nie przepadała, ale Trenta osobiście. Wiedziała nawet dlaczego: za arogancką pewnością siebie, za nieprzeniknioną skorupę, w której się chował, za udawanie, że pod skorupą kryją się zwykłe ludzkie uczucia, podczas gdy w istocie był jak automat, jak maszyna – maszyna do zabijania, do czego przecież sam się przyznał, co tylko świadczyło o jego aroganckiej pewności siebie. Wreszcie nienawidziła go za obojętność wobec jej własnej osoby, a zwłaszcza za to, że dosłownie niczym nie zareagował na jej antypatię do siebie. Właśnie – nie zareagował, a to tylko potwierdza, że jest wyzuty z uczuć, że jest maszyną, męską, białą, arogancką, idealną maszyną.

Arogant.

Oczywiście, że to arogant, skoro guzik go obchodzi, co ona sobie myśli i czuje.

Zastanawiała się, ile policja zgodziła się mu zapłacić za pomoc. Był drogi. To pewne. Wystarczy spojrzeć na jego jacht. Wszystko w najlepszym gatunku i nowiutkie, jak spod igły: takielunek stały i ruchomy, żagle, lakier na pokładzie i w ogóle.

A więc, ile się płaci za morderstwo?

Może zapytać Skelleya?

Policjant stał przy aluminiowych bomach, spinających dzioby obu kadłubów katamarana. Jedną ręką trzymał się sztagu, drugą osłaniał oczy wypatrując, czy nie ma na kursie nie oświetlonych łodzi rybackich.

Charity gardziła policją. Zamiast służyć prawu i społeczeństwu, policjanci zamieniali się w skorumpowane narzędzia skorumpowanej władzy. W większości byli to głupcy, bez żadnych kompetencji, zdolni co najwyżej do stania na skrzyżowaniu i udawania, że kierują ruchem. Najlepszy dowód, że taki Skelley musiał zabiegać o pomoc Anglika. A zresztą, niezależnie od ciemnego koloru skóry, Skelley też był pół-Anglikiem. Z racji wykształcenia i wyszkolenia w służbie. No właśnie, królewskiej przecież, wskazywała na to sama nazwa i mundur krojem z czasów kolonialnych.

Właśnie, Królewska Policja Bahamska. Nazwa kłuła jak cierń. Bufoni w śmiesznych białych kaskach, które mają wywołać nostalgię u turystów i dać im poczucie bezpieczeństwa, gdy wyruszają na zakupy do sklepów przy Bay Street w Nassau. Niewolnicy w przebraniu. A ten Trent to ich poganiacz. Oto źródło jego arogancji, pogardy dla czarnych, pogardy, którą obecne jego zajęcie jeszcze bardziej potęguje. Przejrzała go. Dokładnie. Doskonale wiedziała, kim jest i skąd się wziął.

Trent skroił bochenek ciemnego pieczywa. Od czasu do czasu sam piekł chleb i trzymał w lodówce, żeby był świeży. Pracował przy ściemnionym świetle, aby nie razić wzroku tamtej dwójki wypatrującej w ciemności na pokładzie. Zrobił kanapki, zaparzył kawę i zaniósł kolację do kokpitu.

Charity siedziała wsparta o rumpel. Szerokie ramiona, nogi lekko rozstawione, stopy płasko złożone na podłodze – żaden rzeźbiarz nie wymyśliłby lepszego symbolu kobiecej siły i kompetencji. Przy tym otaczała ją aura jakby niechęci, jeśli nie wręcz agresji, spowijała ją jak gęsta mgła, przez którą Trent będzie musiał się przedrzeć idąc na oślep, bez mapy i światła.

Cokolwiek zrobi, będzie źle. Czy uśmiechnie się, czy okaże obojętność, uda, że nie widzi, lub przeciwnie – zacznie podziwiać sterczące pod czarnym podkoszulkiem piersi i silne uda lśniące jak atlas w przyćmionym świetle dobywającym się z kambuza.

Nie chciał korzystać z arsenału swoich umiejętności, nie chciał tworzyć fałszywych pozorów, by znaleźć do niej drogę. Dość się już naudawał w czasie osiemnastoletniej służby, gdy przenikał do najprzeróżniejszych tajnych komórek terrorystycznych. Przez wszystkie te lata żył w ciągłym zagrożeniu, jak na ostrzu noża, lękał się, że ktoś, kogo spotkał w innych okolicznościach, może go rozpoznać, wciąż czuwał, by nie zdradzić się żadnym gestem, żadnym nieostrożnym zdaniem, nie dzielił się z nikim prawdziwymi myślami, nie okazywał prawdziwych uczuć, tylko te – udawane. Jednocześnie był jednym z tamtych – tak silnie ze sobą związanych ludzi – a zarazem obcy, obcością, która była w nim samym.

Aby przeżyć, musiał stale nad sobą panować, ściśle się kontrolować, aż wreszcie

prawdziwe uczucia zaległy gdzieś głęboko, zarośnięte tkanką ciągłych lęków i obaw. I teraz, nawet gdyby chciał żyć inaczej, zbyt długo musiałby walczyć ze sobą. Wiedział o tym, znał i akceptował siebie takim, jakim był, niekoniecznie z uczuciem sympatii. Właśnie to, jakim był, zawisło między nim a dziewczyną jak szczelna kurtyna, kurtyna, co falowała we mgle jej agresywności.

Trent poruszał się po swojej stronie kurtyny bez przeszkód, sprawnie, ale też bez przyjemności. Myślami był przy chłopcu, Jackecie, osieroconym przez ojca.

Jego własny ojciec popełnił samobójstwo. Trent miał wtedy osiem lat. Zaszedł właśnie do gabinetu ojca, który zarządzał ówczesnie hodowlą koni wyścigowych u pewnego szejka, władcy jednego z emiratów nad Zatoką Perską. Ojciec siedział ponury przy biurku. W ręku trzymał swój stary, służbowy rewolwer wojskowy, webleya. Spojrzał błagalnie na syna. Trent wiedział, zrozumiał, że mógłby jeszcze uratować ojca. Wystarczyłoby podbiec, rzucić się w jego ramiona, okazać miłość. Dzieliły ich ledwie trzy metry gładkiej, betonowej posadzki.

Ale wyraz bólu i rozpacz ojca zbyt go przeraziły. Trent uciekł. Skrył się, skulił w kącie pustego boksu w stajni, zalekziony, wystraszony własnym poczuciem winy i osamotnienia. Znalazł go tam jeden z chłopców stajennych, w godzinę później, kiedy echo wystrzału już przebrzmiało na stajennym dziedzińcu.

Minęło jeszcze sześć miesięcy i matka, jadąc starym jaguarem-kabrioletem, wypadła z jedyne go zakrętu na prostej jak strzała, pustynnej szosie, rozbijając się o betonowy mur. Po wielu latach Trent dowiedział się, że matka obsesyjnie wydawała pieniądze. Jak hazardzista-nałogowiec gra w karty, tak ona ruszała na zakupy. Ojciec tuszował sprawy, pożyczając bez zezwolenia ze służbowych kas, którymi zawiadywał. Najpierw z kasy pułku kawalerii, w którym pozwolono mu podać się do dymisji, aby uniknąć skandalu, a później z różnych klubów – jeździeckich, polo i jeszcze innych – na koniec z kas przeróżnych stadnin, gdzie się zatrudniał. Wreszcie doszło do tego, do czego doszło. Rewolwer, kula...

Gdy rodzice wędrowali po świecie, zdążając do nieuchronnej katastrofy, Trent chłonał po drodze języki krajów, w których przebywali. Nauczył się też wszystkiego o koniach i łodziach. Jego wuj i prawny opiekun, pułkownik Smith, który później zwerbował go i został jego oficerem prowadzącym, posyłał go do najbardziej prestiżowych prywatnych szkół katolickich w Anglii. W efekcie Trent wychował się w towarzyskiej i społecznej pustce.

Jego akcent znamionował przynależność do wysokiej klasy społecznej w Wielkiej Brytanii, jednocześnie jednak owa klasa traktowała go z wyraźną niechęcią, pomna występków ojca. Nie stał się więc jej częścią, a dzięki temu łatwiej potrafił dostrzec jej wady: uprzedzenia klasowe, przekonanie o przyrodzonej wyższości, antysemityzm, rasizm, głupotę i podejrzliwość wobec wszystkiego, co choćby odrobinę obce. Myślał czasami, że z łatwością mógłby okazać się zdrajcą. Sprawy, które terroryści uważali za warte zabójstw, wydawały mu się znacznie bardziej cenne i ważne, aniżeli interesy społeczeństwa, którego przyszło mu bronić. Pułkownik Smith nabrał podejrzeń i postanowił się go pozbyć. Trent miał zginąć w zasadzce urządzonej przez SAS w południowym Armagh.

Rozumiejąc motywy terrorystów, Trent zawsze potępiał ich metody: wyrachowane stosowanie przemocy wobec niewinnych ludzi. Z czasem zaczął potępiać przemoc jako taką, przeciwko komukolwiek. Za dużo w swoim życiu widział pomyłek, kiedy to ofiarą przemocy padał ktoś przypadkowy, bo źle coś wyliczono albo błędnie wskazano obiekt. Akt przemocy jest nieodwracalny.

Owa rosnąca niechęć do przemocy sprawiła, że w oczach pułkownika stał się podejrzany. Pułkownik równie ochoczo uciekał się do użycia siły jak terroryści.

Tymczasem stawało się coraz bardziej pewne, że Trent zostanie wezwany przed senacką komisję śledczą do złożenia zeznań w sprawie zadań, jakie wykonywał dla „kuzynów” z Langley w czasie zimnej wojny. Należało więc zagwarantować sobie jego milczenie. Uczestnikom operacji w Armagh polecono strzelać aż do skutku. Trent został ranny, ale dzięki odrobinie szczęścia i instynktowi przeżył, więc jego prowadzący ponowił próbę uciszenia go podczas ostatniej misji w Ameryce Środkowej.

Kula, która dosięgła go w Armagh, zostawiła głęboki ślad na ciele, wyrwę w udzie o grubych brzegach, łatwo wyczuwalnych palcami, gdy dotykało się blizny.

Patrząc na Charity, która siedziała naprzeciwko w kokpicie, Trent jakby słyszał znajome słowa pułkownika Smitha: „Załatw ją dla mnie, Pat”. Była w jego typie i tylko szczęściu może zawdzięczać, że do tej pory jeszcze jej nie zwerbowano. Szczęście to jest to, dzięki czemu większość ludzi unika katastrofy, wyjątkiem są bogacze. Tych przed zwykłą presją okoliczności i przed pokusami chroni majątek, a w razie czego mają przecież do dyspozycji własnych prawników.

–Jeszcze pół godziny? – rzucił cicho, stwarzając tym pytaniem pozory, że to ona będzie decydować.

Nie dała się nabrać.

Trent ruszył na dziób, żeby zmienić Skelleya na oku. Na chwilę, ułamek sekundy może albo mniej, gdy stał na aluminiowych złączach nad wodą, ogarnęła go pokusa, by skoczyć w ciemność i uciec. Morze szumiało pod dziobami katamarana, napięty sztag pojękiwał z cicha, wiatr wygrywał melodię na wydętym foku. Trent chwycił sztag, dłoń dotknęła dłoni Skelleya.

–Znamy już rozkład czasu? – ni to spytał, ni stwierdził Skelley.

–Twój?

Skelley przytaknął i dodał:

–O'Brien miał cały dzień, żeby załatwić odsunięcie mnie od sprawy.

–Najpierw muszą cię znaleźć.

–Powiedzmy, że to im się uda, ale nie będzie komu mnie aresztować, co wtedy?

Trent nie odpowiedział.

Skelley aż wychylił się do przodu, chcąc lepiej dojrzeć, co się dzieje przed nim. Widać było tylko jego głowę. Złość ściągnęła mu rysy i z twarzy niemal znikł wszelki

wyraz. W mroku nie widać było oczu, skrytych głęboko w oczodołach, i mogło się wydawać, że zza żagla wychyla się sama czaszka, oddzielona od reszty ciała. Trent zadrżał, przypominając sobie nagle chłopca, którego torturowano i zamordowano na Bleak Cay.

Strach sprawił, że morderca stracił wszelką kontrolę nad sobą, a przez to stał się nieprzewidywalny, może zamknął się w swojej wewnętrznej logice. Będzie niebezpieczny jak osaczone zwierzę. Niebezpieczny i okrutny.

–O'Brien ich dopadnie – Skelley sam sobie odpowiedział na pytanie, a w jego głosie zabrzmiała nuta klęski. Wielki Brat, pomyślał Trent. Czuł za plecami obecność Charity Johnston. Bliska rezygnacji postawa Skelleya jest dla niej jeszcze jednym argumentem. Ile ich trzeba, żeby przechylić szalę? A może śmierć Jacketa pchnie ją na drogę bez powrotu?

Do jakiej organizacji przystąpi? On sam znał co najmniej tuzin, do których pasowałyby jak ulał. Zaraz potem zacznie się właśnie owa długa droga bez odwrotu, na której końcu nikt i nic nie czeka, jeśli nie liczyć tego kogoś, kto dokona egzekucji, gdzieś na polanie pośród dżungli albo w tajnym obozie na pustyni, albo w równie tajnym mieszkaniu kontaktowym, gdzieś na przedmieściu, wygodnie urządzone, z lodówką i kolorowym telewizorem, a jakże. Ów ostatni akt nastąpi -jak zwykle – tuż przed świtem. Wszystko, co dziewczyna zobaczy w ostatnim ułamku sekundy, to niewyraźny cień i oślepiający ogień, gdy seria z automatu przeszyje śpiwór.

–Załatw przynajmniej mordercę – słowa, które akurat w tej chwili wypowiedział Skelley, spotęgowały tylko to, co Trent oglądał oczami wyobraźni. Oficer prowadzący rzuca na biurko fotografię: „Załatw go, Pat, zrób to dla mnie”. Najważniejsza sprawa to chłopiec. Trent odpychał od siebie myśl, że może nie ma go już wśród żywych, że wpadł już w ręce zabójców. Choć tak właśnie mogło być. Od dwóch dni nie było żadnych wiadomości o Jackecie. No i Charity, ale to sprawa osobista, którą nie zamierzał dzielić się ze Skelleyem. Skelley i tak by nie zrozumiał. Mozaika układała się w logiczną całość. Jak to rozegrać? Jacket. Sierota bez ojca. Musi być bardzo dzielny, a ich sprawą jest go znaleźć.

Trent westchnął głęboko.

–Chłopak powinien być w Kemp's Bay w sobotę wieczorem. W niedzielę powinien wrócić do domu – rzekł. – Jeśli go przedtem nie znajdziemy lub jeśli ktoś nas nie wyprzedzi.

–Niedziela wieczór? – upewnił się Skelley.

–Tak sędzę. Co do mnie, to moim celem jest sprowadzenie obojga z powrotem do szkoły w Green Creek.

Trent wziął kilka poduszek z salonu, powiązał je kawałkami linki i ułożył na ławkach w kokpicie, po obu stronach zejściówki prowadzącej do salonu. Z daleka, w bladym świetle lampy mogły przypominać ludzkie postaci i każdy przepływający obok rybak

będzie zapewne głosił, że na własne oczy widział katamaran z trzyosobową załogą. Takie wieści rozchodzą się lotem błyskawicy.

Charity z Trentem zajęli miejsca w zodiaku. W miarę jak oddalali się od Złotej Dziewczyny, spowijał ich coraz gęstszy mrok. Katamaran odcinał się ciemniejszą plamą na tle Andros. Na brzegu migotało kilka świateł, pierzaste korony sosen targały równą linię horyzontu.

Dobiegający od wschodu szum przyboju ostrzegał przed atlantycką falą, która uderzy w nich, gdy wypłyną na Tongue of the Ocean w drodze na New Providence – wyspę, na której leży Nassau. Tu zaś, za osłoną rafy, morze było spokojne, wiała lekka tylko bryza. Gromadka latających ryb z pluskiem zakończyła powietrzną wędrówkę, a z brzegu dotarł piskliwy, pełen złości kobiecy głos.

Trent włączył yamahę i skierował zodiaka na północ, w kierunku Congo Town. Zanim spuścił ponton na wodę, dopompował powietrza, bo pod wpływem nocnego chłodu spadło nieco ciśnienie w komorach. Po tej operacji gumowe burty stały się twarde jak bęben i ponton łatwiej ślizgał się po falach. Robili trzydzieści węzłów. Mrok wzmacniał odczucie szybkości, mieli wrażenie, że rozpędzona łódka lada moment wzniesie się w powietrze. Jednostajny warkot silnika spowijał wszystko dźwiękoszczelną kurtyną, przez którą przebijał jedynie plusk fal uderzających o dno pędzącej łodzi.

Nadmorski hotel w Congo Town, Szmaragdowe Palmy, stanowił jedyne źródło pieniędzy dla Jacketa. Tam Dummy sprzedawał jego homary. Nie można więc wykluczyć, że hotel jest pod obserwacją. Na wszelki wypadek Trent dobił do brzegu trochę dalej.

–Nie jestem kaleką. – Charity odtrąciła rękę Trenta, gdy pośpieszył jej z pomocą przy wychodzeniu na ląd.

Przebrali się w kępie palm, ogarnęli i wzdłuż plaży ruszyli w milczeniu do miasta. Niechętna sobie para, którą przypadek skazał na wspólną wędrówkę, ale w oczach gości eleganckiego hotelu wyglądali na dwoje kochanków. Czerń i biel – pomyślał Trent. Jedno i to samo wydarzenie można malować węglem lub kredą.

–Nie ma rady, trzeba udawać, że coś nas łączy – szepnął Trent, gdy wchodzili do holu w Szmaragdowych Palmach. Wziął ją pod rękę i z uśmiechem, a jakże, podeszli do recepcji.

–Henrik jest u siebie? – spytał Trent recepcjonistę, jakby z kierownikiem hotelu był od lat w zażyłych stosunkach. Zachowywał się jak typowy Anglik, pewny siebie, a zarazem lekko zmieszany. – Możemy poczekać w jego gabinecie?

–Umie pan grać – zauważyła Charity, nie bez sarkazmu, gdy znaleźli się sami w biurze menedżera.

Chciał się odciąć, powiedzieć, że przecież chodzi o życie chłopca, ale zmilczał. Nie chciał zaognić sytuacji, bo nie miało to sensu. Powinien jakoś do niej dotrzeć, przebić się przez pancierz niechęci, ułagodzić, ale słowa więzły mu w gardle. Krępowała go nie tyle jej niechęć, ile własna bezradność. Podeszła do okna. Światło bijące od hotelowego basenu wydobywała mocną linię jej ramion, zaczesane od czoła

włosy i nastroszona fryzura podkreślały jakby różnicę, były manifestem jej charakteru: czerni i niechęci.

Jak psy, co walczą o swój teren – myślał Trent, gdy obserwował zmagania O'Briena i Skelleya w pokoju hotelowym Andersona. A przecież sam wobec Charity może wypaść znacznie gorzej. Jak kundel, co podwija ogon i waruje w kącie, gdy ma do czynienia z wilczurem.

Otworzyły się drzwi, wszedł menedżer, zaskoczony widokiem obcych w swoim gabinecie.

–Proszę wybaczyć, że wtargnęliśmy tak niespodziewanie – pośpieszył Trent z wyjaśnieniem – ale poszukujemy Jacketa Bride'a. Panna Johnston jest nauczycielką chłopca w Green Creek. Mamy wiadomości o jego ojcu. Sprawa jest pilna – ciągnął. Ze staromodnego portfela ze świńskiej skóry z pozłaczanymi brzegami, co należał kiedyś do jego ojca, a później do pułkownika, wyjął kartę wizytową – świadectwo prominencji właściciela lub przeciwnie – hucpy. W każdym razie widniało tam jego nazwisko jako szefa agencji, mającej swoją siedzibę w prestiżowym miejscu, przy Shirley Street. To w Nassau, na Bahamach, bo w ogóle to Abbey Road Investigative Unit miała biura w Kioto, Tokio, Singapurze i Hongkongu.

–Ach, to pan jest tym ekspertem. Oszustwa ubezpieczeniowe, rzekome katastrofy na morzu... – Menedżer najwyraźniej coś czytał albo posłyszał o firmie Trenta, niewykluczone, że plotki kursujące wśród gości.

–Chodzi tym razem o drobnostkę, uprzejmość wobec zaprzyjaźnionej agencji na Florydzie – skłamał Trent bez zmrużenia oka. – Ojciec Jacketa jest w szpitalu. Mamy dla chłopca bilet na samolot.

–Och, mój Boże... – mężczyzna szczerze się zmartwił. – To smutne, ale cieszę się, że z chłopcem wszystko w porządku. Był tu u mnie niedawno policjant z Green Creek, niezbyt roztropny człowiek. Mówił, że chłopiec zszedł na złą drogę. Powiedziałem mu, że jest głupi, bo Jacket to wspaniały chłopak, rozsądny, odpowiedzialny. Właśnie jeden z moich gości zabrał go do Nassau. Jacket chce kupić łóżko dla swojej matki.

Opowiedział jeszcze, że kazał chłopcu najpierw zgłosić się do Royal Banku po pieniądze i poradził, że łóżka najlepiej szukać w sklepach przy East Bay Street.

Wielkie, atlantyckie fale uderzały od północy. Trent prowadził zodiaka pod kątem czterdziestu stopni do fali. Dochodząc do jej grzbietu redukował obroty silnika, aby nagły poryw wiatru nie poderwał i nie wyrzucił lekkiej łodzi. Ponton jakby wahał się przez chwilę, po czym nurzał się w mrocznej dolinie, nad którą wyrastała kolejna ściana wody.

Ze szczytów fal widać było światła New Providence, na północy migotała latarnia Great Point, a na południu – Vincent Harbour, dalej zaś, nad wschodnim horyzontem, wisiały niskie chmury, skrywając gwiazdy. Pod sobą mieli oceaniczny rów, ponad sześć tysięcy metrów morskiej czeluści.

Charity leżała na gretingu przy dziobie, jak kazał Trent, mający na uwadze tyle równowagę łodzi, co jej własne bezpieczeństwo. Ponton wspinał się na falę, przystawał, spływał w dół, w dolinę, robiąc co najwyżej piętnaście węzłów. Trzydzieści mil w dwie godziny. Dopóki nie dotrą bezpiecznie do wyspy, nie ma mowy o chwili odpoczynku. Dodał obrotów, gdy wpłynęli na spokojniejsze wody. Na koniec morze się wygładziło i Trent popędził zodiaka ku niewielkiej, odosobnionej plaży, gdzie zaprzyjaźniony rybak zbudował sobie szałas.

Ogarniała ją coraz większa złość, gdy tak leżała na deskach podłogi na dziobie pontonu. Narzucił jej swoją wolę, podporządkował, oni wszyscy tak, zawsze. Na brzegu zaczął się gimnastykować, uruchamiał zeszywniałe mięśnie i stawy. Wymachy ramion, wyrzuty nóg, skłony. Patrzyła na niego zdziwiona, po chwili dopiero pojęła, że zaskoczyło ją nie tak przedstawienie, które rozgrywało się na jej oczach, jak kompletna cisza. Trent nie wypowiedział ani słowa, cały czas milczał.

A potem usłyszała coś, jakby kot albo inne zwierzę ostrzyło pazury na drzewie. To Anglik stał przy drzwiach chaty i bez hałasu budził mieszkańców. Po chwili wychynął z mroku z kimś jeszcze i razem wyciągnęli łódź na plażę, maskując ją starannie starymi sieciami. Cokolwiek mieli sobie do powiedzenia, robili to szeptem, prosto do ucha, obejmując się ramionami, nie dopuszczając jej do rozmowy.

Chciało jej się aż krzyczeć. Powstrzymała ją tylko myśl o Jackecie. Jego bezpieczeństwo zależało od umiejętności Trenta, a te szanowała, niezależnie od całej niechęci do niego i do wszystkiego, co uosabiał. Sposób, w jaki prowadził łódź na rozkołysanym oceanie, był ze wszech miar godny podziwu. Charity dobrze się na tym znała, miała doświadczenie w sterowaniu podobnymi łodziami i wiedziała, ile wymaga to uwagi i siły, a jednak Trent nie spoczął ani na moment podczas całej przeprawy, nie okazał też śladu zmęczenia, które przecież musiało mu się dać we znaki. I teraz ta manifestacja siły też ją irytowała, chciałyby bowiem znaleźć w nim coś, co mogłaby skrytykować, potępić.

Za chatą, przy ścianie stał motocykl. Zmuszona okolicznościami do poddania się jego woli, Charity ruszyła w ślad za Trentem, który pracowicie ją popychał maszynę ścieżką w górę ku szosie.

Trent odczekał kwadrans i gdy w dali zabłyśły reflektory samochodu, dał jej znak, żeby zajęła miejsce na siodełku pasażera. Nadjeżdżające auto okazało się półciężarówką. W chwili kiedy ich mijala, Trent kopnął starter motocykla i nie

zapalając światła ruszył za nią. Zostawili zasobą objazd wokół jeziora i mniej więcej kilometr przed miastem Trent zjechał na pobocze. Zatrzymał motor, zsiadł.

–Musimy porozmawiać – powiedział cicho.

Potrzebował jej pomocy. Instynkt podpowiadał mu, że najlepiej będzie opowiedzieć jej wszystko, bez ogródek i osłonek. Z drugiej jednak strony, dziewczyna była wybuchowa, a nie poznał jej jeszcze na tyle, żeby przewidzieć jej reakcje. Mógłby oczywiście skłamać, był mistrzem manipulacji i nieraz znalazł się w sytuacji, kiedy to pod osłoną nocy spotykał się z ewentualnym informatorem, którego chciał zwerbować, i zwodził wtedy, przekonywał, namawiał, urabiał – czy jak to się nazywa w jego zawodzie. Urabiał więc, bo taka była konieczność, bo tak musiał, bo od

tego zależało wykonanie zadania. Nawykł do traktowania swoich informatorów jako pomocników jednorazowego użytku. Liczyły się potrzeby chwili i bezpośredni cel i było bez znaczenia, że posyła ich na śmierć, bo w rachunku, w którym chodziło o zapobieżenie jakiejś akcji terrorystycznej, a tym samym – rzezi wielu osób, los jednego człowieka nie miał wartości.

Prowadzący Trenta pracował nad nim przez całe lata, lepił go i kształtował, programował jego wyobraźnię i pamięć między innymi za pomocą odpowiednich filmów, których koszmarną treść Trent zapamiętał na zawsze. Oto ciężarna kobieta przeszyta serią z automatu leży bez życia na krawężniku. Oto odarta ze skóry twarz dziecka. Oto kaleki, pluszowy miś pośród szczątków wraku samolotu pasażerskiego. Oto zbroczone czerwienią resztki dziecięcej sukienki.

A oto niewinnie wyglądające odłamki czarnego plastiku, które ongiś składały się na obudowę magnetofonu kasetowego, w którym ukryto ładunek wybuchowy. Równie niewinnie mogło wyglądać, szerniałe teraz po wybuchu, pudełko z rzekomym prezentem pod choinkę albo karton z pizzą na wynos. A oto wrak taksówki przed domem towarowym, zwłoki rozrzucone wokół wypalonej ciężarówki, którą w Dolinie Bekaa załadowano sałatą i pomidorami i wysłano niby na bazar do Bejrutu. Oto zwęglone twarze w wybitych oknach szkolnego autobusu.

Wyczuwał to w niej. Wyczuł od razu, gdy tylko zjawiała się na pokładzie Złotej Dziewczyny – żądzę, pragnienie, żeby coś zrobić, pokazać, dać im nauczkę. To przecież takie proste.

Zastanawiał się, czy nie podzielić się z nią swoistą interpretacją grzechu pierworodnego, jaką wpoili mu mnisi w Ampleforth College. Każdy człowiek, mężczyzna i kobieta, gdy przychodzi na świat, zajmuje miejsce jakby na wąskiej półce zawieszanej na szczycie stromej góry. Dość postawić pierwszy, choćby mały, choćby niezamierzony krok w niewłaściwą stronę i człowiek zsuwa się po zboczu góry ku otchłani nieprawości. Od szczęścia i przypadku zależy, jak głęboko się pogrąży. Eichmanna i angielskiego lorda, który przy obiedzie, niby od niechcienia, nazywa kogoś „Żydkiem”, różnią w istocie tylko możliwości działania. Nic natomiast nie różni gości lorda, którzy nie reagują na jego słowa, od Niemców, którzy udawali, że nic nie wiedzą o obozach śmierci. Zabójca Vica zsunął się na samo dno czeluści. Czyha na kolejną ofiarę, na Jacketa. Trzeba ją ostrzec.

–Większość morderstw dokonuje się w zamkniętym środowisku.

Są ponadto morderstwa polityczne, są także, choć niewiele, morderstwa na zlecenie...

–Właśnie – przerwała mu, rzucając wymowne spojrzenie.

Wzruszył ramionami. To, co ona o nim myśli, nie miało w tej chwili żadnego znaczenia.

–Ten człowiek nie mieści się w tych kategoriach. Jest inny.

Nie ma żadnych hamulców, myśli wyłącznie o sobie. Żadnych ludzkich uczuć, więc nic go nie przekona. Jeśli wejdzie mu pani w drogę – zabije panią tak samo obojętnie jak komara w sypialni.

Szukają go Amerykanie. Jest taki jeden, nazywa się O'Brien, to szef rezydentury amerykańskiej Drug Enforcement Administration, czyli biura do walki z narkotykami. Stara się Skelleya odsunąć od sprawy. Wie też o moim udziale. Ma dość wpływów w urzędzie imigracyjnym, aby nakazano mi opuszczenie kraju. Stąd konieczność działania w tajemnicy.

Obrócił się w jej stronę, chciał, żeby spojrzała na niego. Nie poruszyła się.

Siedziała na ziemi, z kolanami pod brodą, jakby w obronie przed wszelkimi próbami z jego strony. Profil jej twarzy odcinał się na tle łuny miejskich świateł. Nie poddał się.

–Panno Johnston, tak się składa, że w pojedynkę niczego pani nie wskóra. Niech pani powie O'Brienowi, co pani wie, i zostawi sprawę policji.

–A dlaczego to?

Trent wzruszył ramionami.

–To kwestia tego, co uzna pani za najważniejsze. – Znów wzruszył ramionami, jakby chciał się pozbyć dokuczliwej świadomości, że nie jest do końca lojalny wobec Skelleya. – Komendant i O'Brien chcą dostać mordercę, ja próbuję uratować chłopca. – W to przynajmniej musiała uwierzyć, bo po cóż innego puszczałyby się łodzią przez morze. – Muszę dostać się do mojego biura przy Shirley Street – ciągnął. – Biuro może być pod obserwacją, przekonamy się o tym na miejscu. Chciałbym, aby weszła pani do budynku frontowymi drzwiami. Jeśli zatrzyma panią policja, to powie pani, że jestem ze Skelleyem na South Andros, a panią poprosiłem o przywiezienie aparatów fotograficznych. Powie im pani też, że przenocuje tam, a jutro, z samego rana, odleci samolotem Bahamaair do Kemps Bay.

–Łatwo panu mówić, nie każdy umie tak kłamać jak pan.

–To tylko kwestia praktyki.

Dał jej klucze, zatrzymując sobie zapasowy klucz do biura i do drzwi na dach.

Ruszyli do miasta. Zostawił ją dwie przecznice

przed Shirley Street. Sam pojechał kawałek dalej. A potem miał już prostą drogę.

Przekradł się przez parking przy sąsiednim domu, drabinką przeciwpożarową wspiął

się na płaski, betonowy dach, wyższy o ponad metr niż dach budynku, w którym mieściło się jego biuro. Rozejrzał się, a następnie przeskoczył na „swoją” i przykucnął przy skraju patrząc, co dzieje się na dole.

Miał rację, spodziewając się obstawy. Nie wyjawiał Charity swoich planów, więc tym łatwiej wyklóciła się z posterunkowym przed bramą. Z natury agresywna, traktowała policjanta z góry, domagając się dokumentu, na podstawie którego wzbraniał jej wejścia do budynku. Rozległ się dźwięk kroków po betonie, gdy ktoś pośpieszył na pomoc policjantowi, znów ostra wymiana zdań, potem głośny policzek i stłumione przekleństwo.

Trent pomyślał, że Charity posunęła się za daleko, ona jednak dobrze wiedziała, do jakich granic może się bezpiecznie posunąć. Zaszczekały bowiem klucze, gdy w towarzystwie policjantów zabrała się do otwierania drzwi.

Wycofał się ze swego punktu obserwacyjnego, otworzył przejście z dachu na klatkę schodową i przemknął do swojego biura na ostatnim piętrze. Nie mógł słyszeć kroków Charity, bo miała na nogach miękkie pantofle gimnastyczne, ale pilnujący jej policjant tak stukał buciorami o marmurową posadzkę, że Trent z łatwością orientował się, gdzie są i kiedy zjawią się w biurze.

Tymczasem wszedł do środka i zamknął drzwi od wewnątrz. W sekretariacie była gustowna szara wykładzina na podłodze. W kącie stał kwietnik z miniaturowymi palmami w samonawilżających się doniczkach. Na szklanym blacie chromowanego stolika leżały fachowe kwartalniki z dziedziny żeglugi i ubezpieczeń morskich. Wyposażenie biura uzupełniały dwa chromowane fotele i trzyosobowa kanapa. Na jasnoszarej ścianie naprzeciwko okna, pomiędzy dwoma fotosami z „Help!”, najslawniejszego filmu z Beatlesami, wisiała litografia Johna Lennona.

Troje drzwi prowadziło do następnych pomieszczeń. Jedne, pomalowane na jasnoszaro jak ściana, wiodły do niewielkiej łazienki na końcu małego korytarzyka. Za przeszklonymi – znajdował się pokój Lois: biurko starannie uporządkowane, dwa wyściełane krzesła, fotosy Beatlesów, komputer IBM, dwa faxy, telex, drukarka laserowa i ognioodporne, stalowe szafy na akta.

Drzwi do gabinetu szefa były oczywiście wybite dźwiękochłonną wykładziną, nie z konieczności, ale po to, aby wyrzeć wrażenie na interesantach. Gabinet urządzono w narożnym pomieszczeniu,

którego okna wychodziły z jednej strony na Shirley, a z drugiej na Bay Street i kanał oddzielający New Providence od Rajskiej Wyspy. Od konferencyjnego stołu z sześcioma krzesłami rozciągał się widok na most i przystanie. Ponadto były tu dwie długie sofy obite jedwabiem, dywany z Buchary i biurko z blatem z różowego marmuru, na którym stały dwa telefony oraz interkom do sekretariatu. Krzesło za biurkiem obite było samodziąłem pod wzór obu sof. Obok stał jeszcze stolik z instrumentarium współczesnego menedżera: komputer IBM Thinkpad 720c, z przystawką na CD ROM-y i dodatkowym 17-calowym monitorem, fax i radio satelitarne Grundig.

Chlebodawca Trenta, Tanaka Kazuko, na aukcji, której dochód przeznaczono na cele dobroczynne, kupił akwarelę pędzla Paula McCartneya, a u Sotheby'ego szkice

piórkiem autorstwa Yoko i Paula Lennona. Dzieła kazał oprawić w osiemnastowieczne ramy.

Dzięki bocznym drzwiom, które wiodły prosto na korytarz, Trent mógł zniknąć z biura nie przechodząc przez świątynię Lois. Te właśnie drzwi uchylił teraz, słuchając z rozbawieniem, jak Charity grozi interwencją dyplomatyczną ambasady japońskiej, jeśli posterunkowy ośmieli się postawić nogę w biurze pana Tanaki Kazuko bez stosownego nakazu.

–Słuchaj, ty niewychowany czarnuchu, już i tak mi wlałeś na odciski. Spróbuj tylko postawić te swoje brudne buciory na tym dywanie, a Japończyk tak cię załatwi, że będziesz się lizał do końca życia. – I mimo protestów posterunkowego zatrasnęła mu drzwi przed nosem.

Uśmiechnięta i pełna satysfakcji weszła w głąb biura. Na widok Trenta stanęła jak wryta. Trent przyłożył palec do ust, nakazując milczenie. Włączył radio, wyszukał stację z muzyką reggae.

–Wszedłem przez dach – wyjaśnił. – Piwo? Cola? Może być kawa – zaproponował, podchodząc do lodówki wbudowanej w komodę.

Gdy podniósł wzrok, zobaczył, że znów ją stracił. Odwróciła się, nim zdążył wyjaśnić, że nie uprzedził jej o swoich zamiarach po to, by łatwiej i szczerzej mogła się kłócić z policjantami.

Dopiero teraz Charity zdała sobie sprawę, że Trent zajmuje wysoką pozycję z tytułu wykonywanej pracy. Do tej pory myślała,

że jest co najwyżej kimś takim jak Jack Nicholson w filmie „Chinatown”, tyle że w gorszym wydaniu. Marszcząc nos chłonęła otaczające ją bogactwo. Gdyby miała do czynienia z nachalną manifestacją wielkich pieniędzy, potraktowałaby to z poczuciem wyższości. Tymczasem wszystko tu urządzono ze smakiem, w dobrym guście, z myślą o tym, aby wywrzeć wrażenie, a nie prowokować, inaczej niż w zasiedziały firmach przy Bay Street, na przykład w kancelariach prawniczych, w których jej ojciec tyrał przez całe swoje życie. Tamte pełne były fałszywych, pseudozabytkowych, brytyjskich bibelotów, skórzanych mebli i rycin ze scenami myśliwskimi na ścianach. Pomyślała sobie, że wśród klientów przychodzących do tego biura bywają pewnie armatorzy z Indii albo buddyści, których krępowałoby zajmowanie miejsca na meblach wybijanych skórą zaszlachtowanych zwierząt.

Klimatyzator tłoczył chłodne powietrze. Zadrżała z zimna.

–Tam jest prysznic – Trent wskazał drzwi prowadzące do wewnętrznego korytarza. – Woda powinna być gorąca.

Miał w sejfie dziewięćmilimetrową automatyczną berettę. Czasami zabierał broń ze sobą na Złotą Dziewczynę, ale w ostatnich miesiącach nie było takiej potrzeby, zresztą morskie powietrze jest szczególnie szkodliwe dla broni. Położył szmatkę na marmurze biurka, rozłożył pistolet i zaczął go starannie czyścić, badając opuszkami palców wszystkie części, czy aby nie wdała się rdza.

Charity wróciła z łazienki i stała teraz z mokrymi włosami patrząc, jak Trent składa

beretę. Na próbę nacisnął kilka razy spust, potem wziął pudełko z nabojami, naładował magazynek, wcisnął go na miejsce i jeszcze przez chwilę trzymał pistolet w dłoni, oswajając się na nowo z jego ciężarem, mierząc przez okno do pojazdów niknących nocą przez most.

Charity patrzyła, jak Trent obraca chłodną stal w dłoni, jakby ją pieścił, i jak strzela na niby do aut na moście. Całe to przedstawienie wydało jej się ohydne.

–Też coś, bang-bang i jesteś zabity. Ma pan więcej takich zabawek, a może do tej jest pan szczególnie przywiązany?

Odłożył pistolet na biurko i owinął szmatką.

–Prześpię się teraz parę godzin – powiedział.

Wyciągnął się na sofie i patrzył na nią. Nie ruszała się z miejsca. Stała w drzwiach owinięta w ręcznik, tak jak wyszła z łazienki. Mokre włosy połyskiwały w mroku, na czole i ramionach skrzyły się krople wody. W oczach pojawił się znany mu już wyraz wyższości i złośliwej arogancji. Trent miał wrażenie, że dziewczyna czeka, by jakoś zareagował na jej ostatni atak.

–Mój ojciec zastrzelił się w biurze – powiedział bez związku, zostawiając ją samą na samą z tą wiadomością.

Leżał w ciemnościach, błędząc myślami wśród wspomnień z odległych, dzieciennych lat. Rodzice zawsze postępowali tak, jak im dyktowało ich pochodzenie. Ojciec, irlandzki katolik, brunet, był opanowany i zamyślony, matka, jasnowłosa, wysoka Angielka – impulsywna, pobudliwa i wiecznie niespokojna. To siadała na chwilę, to zaraz podrywała się z miejsca, pełna energii, domagając się wciąż, by coś zrobić: iść na plażę, popływać łódką, wybrać się autem na pustynię, zwiedzić arabski bazar... Była jedynaczką, późnym dzieckiem swoich rodziców, może planowanym, a może nie. Starsi państwo żyli dostatnio i elegancko w mieszkaniu przy Hampton Court, co dobitnie świadczyło o ich pozycji. Ojciec, spokrewniony z królową Marią, ongiś dyplomata, miał przyzwoitą emeryturę, ale dość kosztowne upodobania. Niczego nie zostawili, nawet meble mieli cudze – powiadał z nutą przygany wobec tak rażącego braku zapobiegliwości pułkownik, oficer prowadzący Trenta.

Nie przypominał sobie, aby rodzice kiedykolwiek wymienili choćby jedno złe słowo. Przeciwnie, całe dzieciństwo upłynęło mu w atmosferze absolutnej miłości. Do tej pory właśnie tak o tym myślał, przywołując wspomnienie pełnego uczucia stosunku rodziców do siebie. Ojciec zawsze czule patrzył na matkę, czy to gdy wchodziła do pokoju, czy wychodziła, czy przechodziła obok. Nawet wtedy, gdy oboje dosiadali wierzchowców, ojciec zawsze szukał wzrokiem matki, czy to na skraju boiska do gry w polo, czy wtedy, gdy puszczała konia galopem na porannych treningach. Taki już był, ciągle zapatrzony i zasłuchany w swoją towarzyszkę życia.

Trent spędził niejedną bezsenność analizując te wspomnienia, próbując odnaleźć fałszywą nutę w perlistym śmiechu matki, jakąś sztuczność, nerwowość, obcy ton czy ślad hysterii. Zastanawiał się też, czy ojciec śledził ją wzrokiem z miłości, czy z lęku, że żona robi coś nieoczekiwanego.

Czasami narastało w nim bolesne, trudne do zniesienia poczucie winy, winy za to, że był taki głupi, nieczuły i tak pochłonięty sobą, że nie wyczuł narastającej

desperacji ojca.

Nie było go, gdy matka się zabiła. Na tym zresztą polegała jej umowa z pułkownikiem, późniejszym prowadzącym Trenta. Pułkownik spłacił matczyne długi, stworzył Trentowi dom, wykształcił go. Trent przypuszczał, że pułkownik kochał się w jego matce. W istocie jednak pułkownik kochał ojca, a odbierając jej syna wziął pomstę za śmierć krewnego. Nie potrafił znieść wstydu – powiadał, wpajając tym samym Trentowi przekonanie, że obowiązek należy wypełnić do końca, bez względu na osobiste koszty.

A teraz jest ten chłopiec – Jacket – którego ojciec porzucił. Jest także młoda kobieta pogrążona we śnie na sąsiedniej sofie.

Wstał cicho i podszedł do okna. Chmurzyło się. Przed świtem spadnie deszcz. Jeśli chłopiec jeszcze żyje, musi być gdzieś tutaj, w mieście. A morderca?

–Przykro mi, współczuję, że ojciec... – odezwała się Charity w mroku. Takie słowa nie przychodziły jej łatwo. Tym bardziej był jej wdzięczny.

–Zastanawiałem się, kim jest zabójca, ile ma lat, skąd pochodzi, jaka jest jego pozycja. Stracił kokainę za milion dolarów.

Jeśli te pieniądze nie należały do niego, to znalazł się pod ogromną presją.

Rottweiler zaczął ujadać przy basenie i Steve się obudził. Zrazu wydało mu się, że śni. Wielki, kryty taras, miękkie światło latarni na tle nocnego nieba, białe leżanki i fotele, aromat kwitnących drzewek pomarańczowych rozsadzonych w polewanych donicach – to zobaczył najpierw, a dopiero po chwili spostrzegł magnetofon na stoliku. Pod magnetofonem połyskiwała odbitka fotograficzna. Przypomniał sobie cały koszmar.

Na leżance rozłożono białe prześcieradło kąpielowe, by nie zabrudził poduszek żółtą maścią z ran po oparzeniu słonecznym. Właśnie ten drobiazg pozbawił go do reszty wszelkiej nadziei na ucieczkę. Zrozumiał, sparaliżowany strachem na widok magnetofonu i fotografii, że nic, kompletnie nic nie zostawili przypadkowi. Stolik na przykład ustawiono na tyle daleko od leżanki, żeby niczego nie strącił przez sen, a zarazem wystarczająco blisko, by mógł uruchomić magnetofon nie ruszając się z miejsca. Obok magnetofonu, na srebrnej tacy, stał dzbanek z wodą cytrynową przykryty serwetką oraz szklanka odwrócona do góry dnem, zupełnie jak w szpitalu.

Umysł miał jasny, na ramionach świeże opatrunki, usta i gardło wysuszone na wiór. Usiadł, nappełnił szklankę i zobaczył wreszcie, że zdjęcie przedstawia ciało chłopca na stole w kostnicy. Strzałki opatrzone literami wskazywały na poszczególne rany, nie było jednak żadnej adnotacji czy uwagi o nożu.

Ktoś stąpał cicho po posadzce. Steve podniósł wzrok. Starszy z jego wczorajszych rozmówców wyszedł na taras. Miał pantofle na miękkich podszewkach, przebrał się w kremową piżamę i biały szlafrok. Niósł książkę, tę samą chyba co przedtem, palcem założył strony, gdzie przerwał lekturę. Książka, czarne włosy i trójkątna wąska twarz skojarzyły się Steve'owi z księdzem, jednym z tych, którzy pociągają za sznurki w Watykanie. Zapragnął nagle zobaczyć, co też ów człowiek czyta, wyciągnął szyję, żeby odczytać tytuł na obwolucie. Gest był aż nadto czytelny.

–A Suitable Boy Vikrama Setha. Odpowiedni chłopiec –
zaśmiał się mężczyzna, unosząc na dowód książkę do góry. –
Bardzo wdzięczna lektura, czarująca, mądra i wielce wzbogacająca.
Ludzie w miastach są zbyt zajęci, aby czytać dobre książki.
Tu, na wyspach, mamy czas na przyjemności.

Po raz pierwszy odezwał się w obecności Steve'a. Mówił miękko, starannie akcentując wyrazy i zdania jak europejski erudyta, który posługuje się angielskim jako drugim językiem. Steve znał ten typ ludzi z konferencji bankowych: Skandynawów, Niemców, Włochów, Hiszpanów, Francuzów, pełnych kurtuazji, niby uprzejmych, a przecież aroganckich, arogancją wynikającą z przekonania o własnej wyższości nad Amerykanami.

Nieznajomy usiadł naprzeciwko Steve'a, założył nogę na nogę, kołysząc ranny pantofel na palcu stopy. Otwartą książkę położył na kolanach, ręce wsparł na poręczach fotela. Palce miał długie, delikatne, paznokcie – jak zauważył Steve – po manikiurze.

–Powiedziano mi, panie Radford, że jest pan specjalistą

w zakresie obrotu dewizowego. To fascynujące i jakże pożyteczne zajęcie – rzekł. – Szkoda tylko, że jak się wydaje, wplątał się pan w wielce niestosowne interesy. Nieodpowiednie dla pana, pańskich zdolności – dodał z uśmiechem, świadomie nawiązując do tytułu książki, a jednocześnie uniósł nieco palec, wskazując na magnetofon leżący na stole – bombę, która w każdej chwili może rozwalić życie Steve'a. – Wydaje się, że znalazł się pan w niezmiernie trudnej sytuacji – ciągnął. – Morderstwo karze się w rozmaity sposób. Na Bahamach nadal skazuje się ludzi na szubienicę. To barbarzyński obyczaj, panie Radford, odziedziczony po Brytyjczykach.

I znów obdarzył Steve'a uprzejmym uśmiechem. Elegancki, wytworny, władczy i silny, całkowicie panujący nad sytuacją. Była w nim jeszcze jedna cecha i tę Steve instynktownie wyczuwał – sadyzm. Chciało mu się krzyczeć, wrzeszczeć, że nie dostaną go żywego, ale nie miał śmiałości. Całą odwagę wyssał zeń ten młodszy – Jesus Antonio, wyssał i uwięził na taśmie magnetofonu.

–Jak sądzę, zastanawia pana moje pochodzenie. A więc, jestem Kubańczykiem. Z tym jednak, że z Kuby wyemigrowałem do Europy, a nie do tego okropnego Miami. Tam zresztą osiedlają się głównie ubodzy i niewykształceni Kubańczycy, jeśli nie liczyć wyrzutków z więzień.

Jedna złośliwość goni drugą. Steve pociągnął łyk ze szklanki, miał jednak trudności z przełykaniem.

Na twarzy Kubańczyka znów wykwitł uśmiech.

–Mimo wszystko trzeba oddać sprawiedliwość Fidelowi Castro, ma poczucie humoru. Pamięta pan, jak to było? Kiedy wasz prezydent zaoferował azyl więźniom rewolucji, Commandante w lot chwycił okazję i opróżnił więzienia ze złodziejasków i przestępców seksualnych. Summa summarum zebrało się ich dobre kilkaset tysięcy, a stało się to z niewątpliwą korzyścią dla wszystkich prawników-emigrantów na Florydzie. Ale nie o tym chciałbym mówić...

Traktując mnie jak jakiegoś pieprzonego wieśniaka, dokończył Steve w myślach.

–Otóż, panie Radford, jestem maklerem, specjalizuję się w obrocie towarowym. Interesuje mnie głównie ropa naftowa. Kokaina to taka uboczna, zabawna, ale i zyskowna skądinąd dziedzina. Czy wie pan, że narkotyki zajmują pierwsze miejsce na liście towarów sprowadzanych do Stanów Zjednoczonych? Licząc ich wartość w dolarach, narkotyków importuje się dwa razy tyle co ropy naftowej.

Steve chciał huknąć, że doskonale zna te dane, że często posługiwał się nimi, wygłaszając odczyty na temat ruchów na rynkach dewizowych. Wszyscy ci nędzni Latynosi jak jeden mąż nienawidzą Stanów Zjednoczonych, a jednocześnie modlą się o zieloną kartę. Na to też są dane i taką statystykę Steve chętnie wykrzyczałby

Kubańczykowi prosto w twarz, ten jednak ciągnął dalej swój wywód lekko kpiącym tonem.

–Oferuję pieniądze, organizację, a także usługi w zakresie czyszczenia kapitałów. W obu uprawianych przeze mnie dziedzinach, panie Radford, z całym zadowoleniem wykraczam przeciwko prawu Stanów Zjednoczonych. Jeśli chodzi o ropę, to polega to na tym, że wbrew przepisom o zakazie handlu z Kubą korzystam z kubańskich rafinerii, a także na tym, że starannie ukrywam źródło i faktycznych odbiorców towaru oraz zyski. Jesteś bardzo uprzejmy, John – pochwalił służącego, który zjawił się z dwiema małymi filiżankami kawy na czarnej łąkowej tacy. Gestem wskazał Steve'a.

Filiżankę, choćby z uwagi na rozmiar, należało ująć delikatnie.

Steve aż się zaczerwienił ze złości i zdenerwowania, gdy filiżanka zadzwoniła na spodeczku.

–John, bądź tak uprzejmy i powiedz panu Valverde'owi, że nasz gość już się obudził – rzekł Kubańczyk. Wziął swoją kawę, dziękując służącemu uprzejmym uśmiechem, po czym znów zwrócił się do Steve'a. – Cóż więc mamy z panem zrobić, panie Radford? – rzucił z nieodłącznym uśmiechem. – Jeśli chodzi o pozytywy, to okazał pan bezwzględność i pewną wyobraźnię. Po stronie minusów mamy wysoce niestosowny brak samokontroli i nielojalność w stosunku do współpracowników. Wiele osób uznałoby to za cechy typowe dla Ameryki Północnej, gdzie osobistą odpowiedzialność i lojalność zastąpiono polisami ubezpieczeniowymi i umowami notarialnymi. Ta taśma – ciągnął, wskazując na magnetofon – zagwarantuje nam pańską lojalność, panie Radford. Co się tyczy opanowania, to niewykluczone, że zacnie pan je okazywać po powrocie do dawnej profesji. Porozmawiamy jeszcze o tym po zakończeniu tej nieszczęsnej sprawy. Przerwał na widok wchodzącego Jesusa Antonio.

–Ach, jesteś. Wyjaśniałem właśnie panu Radfordowi moje stanowisko... Jesus Antonio działa w branży importowej – to ostatnie zdanie skierował już do Steve'a. – Dał gwarancję swoim partnerom w pańskim kraju, że jeszcze w tym tygodniu dostarczy towar senora Pereza. Tymczasem przesyłka gdzieś się zapodziała i Jesus Antonio znalazł się w niezręcznej sytuacji. Pańskim obowiązkiem, panie Radford, jest odzyskanie przesyłki. Jeśli wywiąże się pan z tego ku zadowoleniu Jesusa Antonio, to porozmawiamy o pańskim ewentualnym zatrudnieniu. Od tej chwili jest pan pracownikiem kontraktowym. Ma pan jednak szczęście, że jestem dość wyrozumiałym pracodawcą. Niemniej jednak potrafię wymierzać dotkliwe kary za niedbalstwo i chcę pana zapewnić, że

gdyby pan spróbował kiedykolwiek mnie oszukać, to spotka pana coś znacznie gorszego aniżeli bahamska szubienica.

Wstał i ujmując Jesusa Antonio za ramię, poprowadził go do narożnika tarasu. Przez dłuższą chwilę cicho o czymś rozmawiali. Steve nic nie słyszał, ale widział, jak Jesus Antonio kiwa aprobująco głową. Wyglądało to tak, jakby Kubańczyk wydawał polecenia, ale Jesus Antonio bynajmniej nie robił wrażenia podwładnego. Steve odniósł wrażenie, że między obu mężczyznami panują rodzinne, serdeczne wręcz stosunki. Może obaj są pedałami, przemknęło mu przez myśl. Z Latynosami już tak jest, że dotykają się, ściskają, całują i w ogóle, i trudno się zorientować, czy dlatego, że ze sobą sypiają, czy tylko tak sobie. Skończywszy naradę, Kubańczyk skierował się do drzwi salonu.

–Dobranoc, panie Radford – pożegnał się uprzejmie.

Steve spojrział na rolexa. Była czwarta rano. Zjawił się służący, niosąc na tacy szklankę ciepłego mleka dla Jesusa Antonio. Ten tymczasem przystanął na skraju tarasu, wpatrywał się bez słowa w basen, trawę i dalej na wzbierające na wschodzie chmury. Przebrał się. Zamiast samodziółów miał teraz na sobie niebieskie bawełniane spodnie i kremową kurtkę safari. Włosy zaczesał gładko do tyłu. Wyglądał już nie jak buchalter, ale jak menedżer.

W pewnym momencie wzruszył gwałtownie ramionami, jakby odrzucał od siebie niepotrzebne myśli i gotował się do rozpoczęcia pracy.

–Ten chłopak, Jacket – zwrócił się do Steve'a – potrafi go pan rozpoznać?

–Mówiłem już, że jego matka pracuje u mnie.

–I on jest teraz w Nassau, tak?

–Albo w Nassau, albo w drodze powrotnej do Green

Creek – Steve odpowiadał spokojnie, uprzejmie i z uśmiechem, jakby rozmawiał z klientem w banku.

–Załatwię obserwację w Green Creek – rzekł Jesus Antonio.

Jesus Antonio upokorzył i wykorzystał Steve'a, gdy ten był pod wpływem owego dziwnego środka. Czegoś takiego się nie wybacza. Steve bał się go i nienawidził, ale nie tak obsesyjnie i żywiołowo, jak Boba i Metysa, kiedy to nienawiść dała mu siłę do ich zabicia. Był zbyt wyczerpany emocjonalnie, więc nienawiść ledwie się w nim tliła. Ale tkwiła w nim. Wiedział, że odzyska siły, wiedział też, że nadarzy się okazja do wyrównania rachunków. Nieważne, że nie od razu. Ważne, że na pewno się nadarzy, jak nie za kilka miesięcy, to za parę lat. Mimo lęku i strachu Steve widział przed sobą przyszłość. Znów będzie bankierem, bankierem Kubańczyka. Zyska jego zaufanie, krok za krokiem, dzięki wiedzy i znajomości rzeczy, będzie zyskiwał wpływy, aż wreszcie stanie się niezbędny.

Oceniał w myślach powierzchnię tarasu. Na oko – dwanaście metrów na sześć, patio takiej samej szerokości, tylko znacznie głębsze. W skrzydłach budynku musiało być ze sześć pokoi, po trzy w każdym, w tym gabinet Kubańczyka – biblioteka, jak powiedziałyby właściciel.

Służba, basen, kort, łódź.

Potrzeba tylko trochę czasu, myślał Steve rozważając słowa Kubańczyka. Przymierzał się do tego interesu mniej więcej tak, jak przymierzał garnitury u Barneya i podobało mu się to coraz bardziej. Czuł, że pójdzie w górę, a raczej pojedzie, dyrektorską windą. Tak, ale trzeba myśleć daleko naprzód. Tym razem niczego już nie sknoci. Żadnej złości. Trzeba zwyczajnie zdobyć informacje i pozbyć się chłopaka.

Wrócił Jesus Antonio. Przez ramię przerzucił marynarkę do golfa.

–Łódź czeka – powiedział. – Policjant w Green Creek będzie zabezpieczał tamten odcinek, a my przeszukamy Nassau.

Przed wyjściem z domu Jacket zostawił matce kartkę, żeby się nie martwiła, bo wybiera się do Nassau po prezent urodzinowy dla niej. Bryza wiała od morza. Dummy prowadził łódź między brzegiem a rafami. Na wszelki wypadek, żeby go nikt nie zobaczył, Jacket przylgnął na dnie łódki, pod masztem. Rytmiczne uderzenia fal o rafę ukołysły go do snu. Zamknął oczy.

Spał trzy godziny, obudził się z krzykiem, kiedy ujrzał, jak macki potwora wślizgują się do stalowej jaskini, w której ukrył ojca. Dygotał ze strachu, a jednocześnie pocił się z gorąca. Burty osłaniały wnętrze łodzi przed wiatrem, a słońce rozpałało nasmołowane deski na dnie.

W Green Creek nie da się utrzymać żadnej tajemnicy, bo wieś jest mała, a wszyscy się znają. Vic ma teczkę pilota. Mieszkańcy zaraz się dowiedzą o katastrofie samolotu. Znajdą pilota, a jego, Jacketa, zaczną wypytywać, co i jak. W jego trzynastoletnim życiu liczyły się trzy osoby: matka, policjant i panna Charity. To była władza. A władza nie będzie się liczyć z jego zamierzeniami. Ważny jest skutek. Czyja wina? O to zapytają na samym początku, bo zawsze tak jest. Jacket wie o tym, życie go tego nauczyło.

Zawstydził się własnych myśli, że wyprawa po prezent jest sposobem na wywikłanie się z matni, jakby łapówką, którą rybacy płacili posterunkowemu, żeby przemykał oczy, kiedy łowił homary w okresie ochronnym.

W prywatnej przystani przy Szmaragdowej Plaży stało kilka łodzi sportowych z florydzką rejestracją oraz – jak zawsze – hotelowe łodzie do nurkowania i szalupy ze szklanym dnem, dla mniej śmiałych gości.

Hotel był nowoczesny, cały z betonu. Wszystkie pokoje w głównym segmencie miały balkony z widokiem na przystań, plażę

i morze. Palmy i winorośl ocieniały starannie przystrzyżone trawniki wokół basenu przy przystani, od którego kamienne ścieżki wiodły do kilkunastu bungalów dla gości. Wzdłuż alejek zasadzono żywopłot z chińskiej róży, po ścianach pięły się łodygi bugenwilli, tu i ówdzie czerwieniały kwiatami klomby, bieleły krzewy oleandrów, kraśniały drzewa uroczynu i mangowce.

Dummy skierował łódź do odległego kąta wewnętrznego basenu. Jacket wyskoczył i pobiegł do kuchni szukając szefa.

Gdy szef zważył zdobycz, Jacket i Dummy wpuścili homary do hotelowego akwarium. Dummy poszedł w swoją stronę, miał klienta, który wynajmował go jako przewodnika, Jacket zaś ruszył za szefem do biura kierownika, za recepcją.

Był tam już dwa razy. Za pierwszym razem zadziwiły go niesłychanie ręce kierownika. Wyglądały tak, jakby ten wysoki, blady mężczyzna o niebieskich oczach i prostych blond włosach nigdy ich nie używał. Były gładkie, bez śladu blizn czy zadrapań, o długich, szczupłych palcach, zakończonych czystymi, pieczołowicie przyciętymi na kształt półksiężyca paznokciami. A w ogóle, cała osoba kierownika tchnęła czystością. Mówił staranną angielszczyzną i odnosił się do Jacketa jak do równego sobie partnera – człowieka interesu.

–Wspaniały połów, Jackecie, zaiste imponujący – mówił,

wystukując stosowne cyfry na kalkulatorze. – Czterdzieści trzy funty i siedem uncji po pięć dolarów sześćdziesiąt pięć centów za funt, to razem dwieście czterdzieści sześć dolarów trzydzieści cztery centy...

Wyjął z szuflady książkę rachunkową w marmurkowej okładce, na której widniało nazwisko wierzyciela: Pan Wilberforce „Jacket” Bride. Na nowej stronie zapisał, co trzeba: numer kolejny dostawy, wagę i należność. Złożył podpis i podsunął księgę Jacketowi, wręczając mu pióro i kalkulator, aby sprawdził rzetelność zapisu, i też złożył podpis. Następnie nacisnął przycisk interkomu, zamówił gin z tonikiem dla siebie i...

–...coca-colę dla pana Bride'a, proszę. Rozumiem – zwrócił się do Jacketa – że urodziny pani Bride przypadają w najbliższy poniedziałek. Czy wybrałeś już stosowny prezent?

–Łóżko – odparł Jacket z niejakim skrępowaniem. Zdawał sobie sprawę, że jest to dość niezwykły prezent, ale szef przytaknął z całą powagą.

–Bardzo stosowny – powiedział i obliczył na kalkulatorze całą należną Jacketowi sumę. – Tysiąc czterysta osiemdziesiąt cztery dolary i trzydzieści trzy centy. Spora suma, Jackecie, nie powinno się takich pieniędzy nosić przy sobie. A czy już wybrałeś odpowiedni sklep, w którym chciałbyś dokonać zakupu?

Jacket doskonale wiedział, ile mu się należy, ale fakt, że kierownik osobiście wyliczył i głośno obwieścił należność, sprawił, że przestała ona być abstraktem, stała się czymś konkretnym, łóżko zaś ma być dokładnie takie, jakie widział w sypialni pana Wintertona. Pan Winterton osobiście mu je pokazał. Kiedyś, gdy nie było lekcji w szkole i Jacket wybrał się z matką na drugą stronę wyspy, pan Winterton zaprosił go do sypialni i pozwolił nawet poskakać na łóżku. Miało mosiężne ramy, a u wezglowia dwa lustra, między którymi pyszniło się wielkie, aksamitne, purpurowe serce. Jacket wyobrażał sobie mamę w tych wspaniałościach. Będzie wyglądać jak królowa. Cała wieś przyjdzie ją podziwiać i mama nie będzie się już wstydzić, że ubogo mieszkają, on zaś nie będzie wysłuchiwał nocami, jak mama przewraca się i wierci na posłaniu, i przestanie się lękać, że rano obudzi się zła i zmęczona.

Pan Winterton powiedział, że łóżko znalazł w Nassau i że dał za nie tysiąc trzysta dolarów. Jacket nigdy nie był w Nassau, nie spytał też pana Wintertona, gdzie konkretnie dokonał zakupu, a zresztą wydawało mu się, że wystarczy wiedzieć, że w Nassau i tyle. Wyobrażał sobie, że w mieście jest mniej więcej tak jak w Green Creek. Jest jeden sklep ze wszystkim, tyle że trochę większy.

Nie bardzo więc rozumiał, do czego zmierza kierownik. Z zakłopotaniem skubał zdartą skórę na lewym kciuku. Miał na rękach liczne blizny, a ta, z ubiegłego miesiąca, kiedy to zadrapał lewe ramię o ostrą rafę, wyglądała jak bransoletka. Odcinała się barwą jasnej kawy od ciemnej skóry. Podniósł wreszcie głowę. Szef tymczasem przewracał strony książki telefonicznej, szukając właściwego adresu.

–Otóż i mamy: meble, sprzęty domowe, wytwórnie. Nie, to jeszcze nie to. Sklep

Alina... też nie, bo to w Miami. Meble atlantyckie – też Miami. Magazyn antyków – nie. Centrum mebli i gospodarstwa domowego – przy East Bay Street. O właśnie, to jest to. Dobry adres, blisko portu.

Podsunał Jacketowi książkę otwartą na pierwszej spośród trzynastu stron zawierających adresy sklepów meblowych. Jacket starał się coś z tego zrozumieć, ale zadrukowane kolumny tekstu, reklamy w ramkach i bez, wyglądały obco. Pierwszy raz widział

coś takiego i nie potrafił tego ogarnąć. Litery zlewały się ze sobą, adresy nakładały jeden na drugi, Jacket wpatrywał się w druk, niczego nie rozumiejąc. Zakłopotany przetarł dłonią oczy.

–A wiesz, o jakie łóżko ci chodzi? – spytał menedżer.

Jacket przytaknął. Poczuł, że z nosa zaczyna mu kapać, zakłopotany odwrócił się do okna, żeby ukryć wstyd, ale uświadomił sobie, że w świetle padającym od okna krople pod nosem będą jeszcze bardziej widoczne, więc spiesznie odwrócił się w drugą stronę. Odchylił głowę do tyłu i głośno pociągnął nosem.

–Ach, katar sienny. To ten pyłek z palm. Mam to samo o tej porze roku – pocieszył go szef, podsuwając mu paczkę chusteczek jednorazowych.

Były tak delikatne, że Jacket wręcz bał się z nich skorzystać. Ostrożnie wytarł wilgoć pod nosem. Nie bardzo wiedząc, co zrobić ze skrawkiem zużytej materii, złożył go starannie i wsunął do kieszeni.

–Zapewne będziesz musiał sporo pochodzić po mieście. Tysiąc czterysta dolarów to spora suma i nie powinno się nosić tyle gotówki w kieszeni, ale poradzimy sobie. Dam ci czek i list do Royal Banku. Będziesz mógł wziąć pieniądze z banku, kiedy już dokonasz wyboru, albo jeszcze lepiej – dam ci czek bankierski na stosowną kwotę, tyle, ile będziesz potrzebował na opłacenie zakupu i przewóz do New Providence. Tak będzie najlepiej. Czy wiesz, co to jest czek?

Kierownik sięgał właśnie po granatową książeczkę czekową. Jacket patrzył zdziwiony.

–Otóż czek to takie polecenie do banku, aby wypłacono stosowną sumę konkretnej osobie albo przelano na odpowiednie konto – wyjaśniał szef. – W sklepie mogą nie wiedzieć, co to jest czek bankierski, więc dobrze będzie, jeśli poprosisz w banku o towarzyszący list. A teraz zajmiemy się sprawą transportu do Nassau.

Jacket podreptał za szefem na taras przy basenie, gdzie kilkunastu gości wygrzewało się na słońcu. Miejscowi na Bahamach nazywają ich „białasami”, co Jacketowi wydało się dziwne, bo raczej byli różowi i jacyś nienaturalni. Tylko dwójka dzieci pluskających w basenie robiła normalne wrażenie.

Kierownik chrząknął dyskretnie, stając obok wielkiego, siwowłosego Amerykanina, który schronił się pod parasolem plażowym studiował

„Economist”. Obok na stoliku stała szklanka z bursztynowym płynem i kubełek z lodem.

–Oto jeden z naszych głównych dostawców homarów, pan Jacket Bride – rzekł kierownik, wypychając Jacketa przed siebie. – Czy byłby pan tak uprzejmy, panie Green, i podrzucił go do Nassau?

Wielki Amerykanin obrzucił Jacketa uważnym spojrzeniem znad gazety. •

–Z przyjemnością, panie Bride. Możesz się przespać na pokładzie. Odplywamy o świcie.

Pan Green był właścicielem piętnastometrowego jachtu motorowego Rybovitch z podwójnymi silnikami Diesla. Wyprawiał się nim na dużą rybę na pełne morze, później zwykle podpływał do plaży na kąpiel i piknik ze swymi gośćmi, by następnie wrócić na New Providence, gdzie miał stałe miejsce przy amerykańskim nabrzeżu Yachtclubu w Nassau. Tym razem złowił cztery marliny. Największy miał osiemdziesiąt funtów. Wybiła dziewiąta wieczorem, gdy Jacket z kapitanem jachtu skończyli szorowanie pokładu i porządkowanie łodzi.

Amerykanin pozwolił Jacketowi mieszkać na jachcie w czasie pobytu w Nassau.

–Cumujemy tuż obok East Bay Street – powiedział kapitan, Bahamczyk. – Strażnicy otwierają rano bramę od portu i będziesz mógł wyjść do miasta.

Na jachcie zostało trochę jedzenia, kanapki, jakieś picie i kapitan pozwolił Jacketowi skorzystać z tego. Wąskim kanałem oddzielającym wyspy New Providence i Paradise jedna za drugą przepływały łodzie rybackie i jachty. Niespełna kilometr dalej strzelał w górę betonowy łuk mostu łączącego obie wyspy, pełen świateł przejeżdżających tamtędy samochodów. Jacket w życiu nie widział tylu świateł naraz, chyba że na ekranie telewizora.

Reflektory przyprawiały go o niepokój, tak samo domy, ciągnące się jak okiem sięgnąć wzdłuż brzegu. Wiedział, że Nassau jest dużym miastem, ale nie zdawał sobie sprawy, że będzie aż tak dziwne i niezwykle. Otoczenie napawało go lękiem i bał się wyjść nocą na ulice. Pomny przestróg szefa hotelu, wcisnął czek i list głęboko pod spodenki. Gdyby ktoś chciał mu je zabrać, zaraz się obudzi.

Nie mógł jednak zasnąć. Kręcił się i wiercił pod kocem na kanapce w sterówce. Rozpamiętywał katastrofę samolotu. Niejeden już spadł na Andros i do wody w pobliżu wyspy. Dosłownie wszyscy, każde dziecko na Andros, wiedzieli, że chodzi o narkotyki. Mówili o tym dorośli, którzy przesiadywali w barach, a były ich dwa na wyspie, plotkowano o tym na plaży przy wiązaniu sieci.

W XVII wieku na Bahamach byli półbogami piraci – Morgan i Czarnobrody. W XVIII – panoszyli się handlarze niewolników, a w czasach amerykańskiej wojny secesyjnej – śmiałkowie łamiący blokadę konfederatów. Po nich, w czasach prohibicji, zjawili się szmuglerzy rumu, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych – hurtownicy marihuany. Teraz niepodzielnie panowała kokaina.

Chłopcy z Green Creek dobrze wiedzieli, kto macza w tym palce. A więc pan

Corky, co nosił złoty naszyjnik i bransoletki, i rozbijał się po całej wyspie wielkim dżipem albo krążył dookoła motorówką z dwoma silnikami Volvo. Był też taki jeden Snape, co mieszkał w Congo Town, był sierżant policji, co nie miał małego palca u lewej dłoni, było też paru facetów z rządu, grubych szyszek z Nassau, co przyplýwali na weekendy na Andros szybkimi motorówkami. Wiedzano też o jednym Amerykaninie, który mieszkał w tym wielkim domu na plaży. Ostatnio gdzieś znikł. Był też Lemming „Tłuścioch”, co chodził w wytartych szortach i jedwabnej koszuli z obciętymi do pachy rękawami. Powiadano, że jego motorówka, jacht Cigarette, wyciąga na spokojnej wodzie osiemdziesiąt mil na godzinę. Opowiadano także różne historie o pani Grindle, choć chodziła codziennie do kościoła, a dzieciakom rozdawała cukierki i święte obrazki z Panienką albo świętym Józefem, albo samym Jezusem Chrystusem z obnażonym, krwawiącym sercem. Byli też bracia Dribowie. Ci dali się we znaki jeszcze w szkole, a później przedostali się nielegalnie do Stanów łodzią i w dziewięć miesięcy dorobili się majątku, sprzedając narkotyki na ulicach. Tym naprawdę się udało, choć z trójki zostało tylko dwóch. Najmłodszego – Johna – zastrzelił jakiś Portorykańczyk na rogu Piątej i Siódmej Ulicy. Widziało się także cudzoziemców w ciemnych okularach, co przylatywali bezpośrednio na swoje prywatne wyspy, strzeżone przez patrole na plażach. Ci byli jak przelotne ptaki i czasem trzeba było ich miesiącami wypatrywać i rzeczywiście mieć dużo szczęścia, żeby takiego zobaczyć. A chłopcy bezbłędnie rozpoznawali obserwatorów i naśmiewali się z nich niemiłosiernie, bo jak tu się nie śmiać, kiedy taki udaje, że łowi ryby na błysk, a nie potrafi nawet dobrać odpowiedniej błyszczki, albo wtedy, kiedy zjawia się czarnoskóry, co udaje Bahamczyka. Owszem, potrafi nawet naśladować miejscową mowę, ale co z tego, kiedy sady błędy, bo bahamski angielski różni się od amerykańskiego jak Nassau od Bostonu. Najłatwiej jednak się rozpoznawało miejscowych funkcjonariuszy

słuźb antynarkotykowych, gdyż ci wcale się nie kryli, przeciwnie, zostawiali wyraźne ślady, żeby ci, co szmuglują, wiedzieli, komu i gdzie dać łapówkę.

Byli jeszcze inni, o których dorośli mówili „sztywniaczy”, bo nosili się elegancko, w krochmalonych, białych ubraniach. Ci mieli biura w Nassau, koniecznie przy Bay albo Shirley Street, i oczywiście swoje własne, prywatne wyspy w archipelagu Berry czy Eleuthera. „Pan taki to a taki, ten papuga (czyli adwokat – oczywiście), to prawdziwy król” – mówiono o takich. „On to jeszcze nic. Ten bankier, co ma taki różowy dom z wieżyczką i żonę blondynkę, ten to zarabia milion na miesiąc” – dodawano.

I tak to już było. Ludzie gadali, plotka goniła plotkę, historia historię i tak powstawał wizerunek wysp Bahama i ich mieszkańców, w którym fakty i legendy przeplatały się jak wątek i osnowa w wielkim gobelinie. O każdym co zamożniejszym mieszkańcu powiadano, że jest królem narkotyków, bo łatwiej jest ogarnąć i zrozumieć arkana handlu narkotykami niżli machinacje bankierów, maklerów i pośredników z Bay Street. W każdym razie mieszkańcy wiosek lepiej rozumieli, co to narkotyki niż spekulacje finansowe, nie dlatego, że byli głupcami, ale dlatego, że świat wielkiej finansjery był dla nich czymś równie obcym jak Grenlandia czy Tybet.

Narkotyki to było coś, z czym miało się do czynienia na ulicy. Ktoś, kto dziś

ledwie wiązał koniec z końcem, jutro mógł być bogaczem albo nieboszczykiem. Nieboszczykiem, bo akurat wtedy, kiedy powinien odwrócić głowę, zamknąć oczy i uszy, nadstawiał słuchy i wlepił gały. Jak Jacket, gdy nad Bleak Cay zjawił się samolot. Maszyna leciała prosto na niego, jak ćma do światła. Z wolna Jacket zaczął pojmować całą prawdę. To on doprowadził do śmierci pilota.

To było niechcący, tłumaczył w myślach przemytnikom. Wyobrażał ich sobie jako czarnych, jak on sam, bo tak było lepiej. Swoim łatwiej wytłumaczyć, że tamtej nocy znalazł się na Bleak Cay przypadkiem, bo właśnie łowił homary. Przez jakiś czas wyobrażał sobie, że stanie oko w oko z panem Corkym. Oto pan Corky ściska go za ramię, słońce odbija się w złotym naszyjniku i bransoletach, ale pan Corky zwalnia uścisk, bo on, Jacket, opowiada żarliwie o urodzinach mamy i łóżku, takim jak pana Wintertona. Rozmawiać będą pewnie na uboczu, w połowie drogi między Congo Town a Green Creek, gdzie pan Corky zaparkuje swojego wielkiego dżipa pod równie wielkim gwajakiem, co rośnie

dokładnie w połowie drogi. Pan Corky sięgnie do czerwonej lodówki, co to ją wozi w dżipie z tyłu, wyjmie butelkę piwa Kalik dla siebie i colę dla Jacketa. Wypiją jak mężczyzna z mężczyzną. – Nie martw się, chłopcze – powie pan Corky – jakoś to wszystko wyprostujemy.

Potem jednak wyobraźnia podpowiedziała Jacketowi coś innego.

Oto Lemming „Tłuścioch” sprowadza policję. – Ty łobuzie! – krzyczy sierżant, wykręcając mu rękę do tyłu. – Dlaczego ukradłeś? – pyta oskarżycielskim tonem. – Dlaczego ukradłeś te cholerne pudełka i gdzieś je schował, mów?!

Jacket umknął własnej wyobraźni. Zwinął się w kłębek, mrużąc oczy wpatrywał się w samochody na moście. Spod przymkniętych powiek nie widział betonowego łuku, tylko tęczę pędzących świateł. Gdyby zostawił pudełka w kabinie samolotu, mógłby teraz udawać, że o niczym nie wie.

Gdyby nie zabrał teczki i nie wrzucił jej do łódki...

Ugryzł się w zaciśniętą pięść. Ból sprawił, że wyobraźnia uwolniła się od męczącego obrazu. Ale tylko na chwilę. Koszmar wrócił, obraz nocy powrócił, rozlał się falą po całym ciele, wprawiając go w dygot. Kanapka z tuńczykiem jęła wędrować z żołądka do gardła, wypita cola paliła w przełyku.

–Tato – szepnął – tato, tatusiu... – Ale przecież ojca nie ma. Jacket zagryzł wargi. Łzy napłynęły mu do oczu. A może powiedzie, że teczka, zwyczajnie, pływała na powierzchni i on ją po prostu wyłowił z wody? Ale oni nie uwierzą. Oni zawsze działają na pewniaka. Oni – cudzoziemcy. Nie dbają o to, co naprawdę widziałeś, obchodzi ich tylko, co mogłeś widzieć. Tak piszą w gazetach i mówią w telewizji, pokazują na przykład łodzie, które cudzoziemcy zwyczajnie zabierają, wyrzucając właścicieli za burtę. Ale pokazują jeszcze gorsze rzeczy – poderżnięte gardła, trupy dorosłych, dzieci. Czasami dochodzi do regularnych bitew, kiedy ogień karabinów maszynowych całymi tuzinami kosi ludzi. Potem rzucają ciała rekinom na pożarcie, żeby nikt nic nie znalazł. A cudzoziemcy lądują na Bahamach prywatnymi samolotami, w odległych miejscach, i nikt nawet nie wie, że tu byli.

Cudzoziemcy. Pilot był cudzoziemcem. Jacket jął szukać ratunku wśród swoich,

ale wyobraźnia podsunęła mu obraz braci Drib. Najstarszy nazywał się Jook, jak nóż, którym wedle tego, co opowiadano, wykrawał sobie własne terytorium w Nowym Jorku. Wszyscy się ich bali na Andros. Jacket wyobrażał sobie, jak to byłoby z Jookiem i Vikiem. Jook łapie Vica za rękę i pyta o teczkę: –No, czarnuchu, skąd masz ten fant, mów?! – Od Jacketa – odpowiada Vic prędko, jak błyskawica. Jacket zajęczał boleśnie i z całej siły zaczął bić pięścią w udo, aby otrząsnąć się z koszmaru, bo Jook Drib, jeśli nie znajdzie Jacketa, pójdzie do matki...

Musi więc wrócić na Bleak Cay, wykopać pudła. Odgrzebie je i zostawi, niech je ktoś znajdzie. Tak, to jedyne wyjście. Ten ktoś, na przykład jakiś rybak, może je sobie zwyczajnie wziąć albo zameldować o nich na policji, albo w Straży Wybrzeża, albo Amerykanom, którzy dadzą mu nagrodę. Tak czy owak, właściciel uzna pudła za stracone i pewnie zaraz opuści wyspy, nie próbując ustalić, kto ponosi winę za katastrofę samolotu.

Tak właśnie trzeba zrobić.

Ale to się nie da tak od razu, natychmiast, bo po pierwsze, nie ma Dummy'ego, który wynajął się jako przewodnik, a jak skończy robotę, to przecież popłynie na południe, do Kemps Bay, gdzie zawija statek pocztowy, którym Jacket będzie wracał z New Providence. Stamtąd trzeba będzie zabrać łóżko, a do tego muszą mieć dwie łódki, bo na jedną się nie zmieści. Właśnie, musi pomyśleć o łóżku dla mamy. Najpierw o łóżku...

Oprócz czeku Jacket wziął od kierownika Szmaragdowych Palm dziesięć dolarów w gotówce. Wystarczy na jedzenie i autobus z Yachtclubu do miasta.

Obudził się jak zwykle o wschodzie słońca i zaraz się ogarnął. Umył się w kuble na nabrzeżu, włożył czyste szorty w kolorze khaki, białą koszulę, na nogi wcisnął znoszone tenisówki. Spakował rzeczy do torby.

Strażnik przy bramie pokazał mu przystanek, ale Jacket nie miał odwagi wsiąść do autobusu. Nieśmiały i speszony wstydziłby się zapytać, gdzie wsiąść i w ogóle, a zresztą do miasta nie było daleko, ot, ze dwa kilometry. O tak wczesnej porze ruch na drodze był niewielki, ale przejeżdżające auta śmigały szybciej niż na Andros, wołał więc trzymać się z dala od szosy. Szedł trawiastym poboczem. Słońce stało nisko i drobna postać chłopca rzucała długi cień na pola. Bliżej miasta zaczął się normalny chodnik, który prowadził do mostu na Rajską Wyspę.

Łuk, na którym wspierała się konstrukcja mostu, strzelał w górę wyżej niż cokolwiek, czym Stwórca obdarzył Bahamy. Samochody dojeżdżające do szczytu jawiły się z daleka jak chrabąszcze. Jacket skręcił pod most, gdzie rozłożyły się stragany z rybami i małżami, warzywami i owocami, szedł ku przystani dla statków pocztowych na Potters Cay.

Przy nabrzeżu cumowało kilkanaście dwudziesto-, trzydziesto-metrowych statków, które krążą między wyspami i wysepkami w regularnych rejsach, wożąc pasażerów i towary. Na jednym z nich wyrastał w skrzynkach cały gaj malutkich palm prosto ze szkółki, które z braku miejsca albo na życzenie właściciela umieszczono nie na pokładzie, ale na dachu sterówki. Kręcili się marynarze. Port budził się do nowego dnia.

Kapitan Moxey, bo tak się nazywał statek obsługujący Andros, stał mniej więcej pośrodku długiego nabrzeża. Jacket zapytał marynarza, ile będzie kosztował przewóz łóżka do Kemps Bay. Na to marynarz zapytał, jak duża jest przesyłka, co wprawilo Jacketa w zakłopotanie.

–Znaczy, jak duże jest pudło? – upewniał się marynarz.

–Jakie pudło? Chodzi o łóżko – zaprotestował Jacket.

–O czym ty mówisz?! – marynarz wzniosł oczy do nieba nad naiwnością chłopca. – Meble zawsze pakuje się w pudła.

Tak się je wozi z Miami.

Jacket stropił się, nie przyszło mu do głowy, że będzie miał do czynienia z pudłem albo skrzynią, zresztą wyobrażał sobie, że wszystko będzie zupełnie inaczej, że przyplynie do Green Creek z łóżkiem w całej krasie. Mama będzie w domu pana Wintertona, a mosiężne łóżko będzie połyskiwać w słońcu i wszyscy się zbiegną na plażę, żeby podziwiać wspaniałą mebel.

Przybiegnie cała wieś, a on z Dummy wyladują łóżko i poniosą je między palmami prosto do domu Bride'ów, jak na paradzie. A potem? Potem przyjdzie mama, która oczywiście niczego się nie spodziewa. Wejdzie po schodkach, otworzy drzwi, zajrzy do środka, a tam będzie łóżko, na nim pościel, prześcieradła, poduszki z koronkowymi wstawkami, wszystko dokładnie tak jak w domu pana Wintertona, skąd

właśnie przyszła po pracy.

O tym właśnie marzył od wielu miesięcy. Mama wejdzie do domu, stanie i aż zaniemówi na widok wspaniałego łóżka. A potem zacznie kręcić głową, niedowierzając

własnym oczom, wreszcie odwróci się do niego, Jacketa, i szeptem wypowie jego imię. Tylko tyle. Nic więcej. Ale wypowie tak, że wszyscy we wsi będą wiedzieć, że jest z niego dumna i że kocha go najbardziej w świecie. I już nigdy nie powie: – Hej, Jacket, nie siedź tak beczynnie, bo się wezmę za ciebie. Kto wie, może już nigdy nie krzyknie, że jest taki sam nicpoń jak ojciec. I nie będzie go już bić, trzymając jedną ręką za włosy, żeby nie uciekł, i pokrzykiwać tak przeraźliwie na całą wieś.

Jacket instynktownie czuł, że od kiedy ojciec znikł, matka wcale go nie bije za to, co zrobił czy czego nie zrobił, i że w ogóle nie chodzi o jego osobę. Nie do niego miała pretensje i żal, ale do życia. O nędzną chatę, o to, że codziennie musi wędrować przez wzgórza do domu Wintertona, o to, że nie ma w domu mężczyzny, który by nareperował to i owo, przyniósł trochę pieniędzy albo

rybę, albo przynajmniej orzech kokosowy. Miała żal o to, że nie ma mężczyzny, i o to, że cała wieś obgaduje ją za plecami.

Jacket dość wcześnie zorientował się, że matka nie jest lubiana we wsi. Ludzie nazywali ją „zakutym łbem” albo „zadufką” i powiadali, że najadła się os. Prawda, że jej słowa kłuły jak żądła, ale Jacket ją rozumiał, a przynajmniej wydawało mu się, że rozumie. Nie pragnął w życiu wiele dla siebie. Chciał natomiast, by mama spała wygodnie, chodziła z podniesioną głową, by go nie biła i nie krzyczała, i choćby czasem przytuliła go do siebie, jak inne matki.

Spojrzał na statek zwieńczony palmowym gajem na sterówce. Tak właśnie chciałby przewieźć łóżko do Kemps Bay. Na samej górze, żeby wszyscy widzieli.

Marynarza znudziła rozmowa z chłopcem. Odwrócił się na pięcie, rozsiadł w cieniu na rufie i zaczął zajadać wielkie, soczyste mango. Sok spływał mu po brodzie i rozlewał się plamami na koszuli.

–Czego jeszcze chcesz? – burknął, ocierając usta dłonią, gdy Jacket znowu zwrócił się doń z pytaniem.

–A ile kosztowałoby, żeby postawić je tam, na dachu?

–Takiś bogaty? – zarechotał marynarz.

W tym to momencie wyszedł z kajuty kapitan statku, mężczyzna w sile wieku, o stosunkowo jasnej jak na Murzyna skórze, przysadzisty, krępy, o mocnym jak pień karku. Zdobną złotymi galonami czapkę zsunął na tył głowy. Spojrzał na marynarza, a następnie obrzucił wzrokiem Jacketa.

–O co chodzi?

–Ten głupi szczeniak chce przewieźć łóżko na dachu sterówki – pośpieszył z wyjaśnieniem marynarz.

Kapitan uważniej spojrzał na Jacketa. Wsadził rękę za koszulę i przez chwilę drapał się po brzuchu.

–Jakie łóżko, synu?

–Takie mosiężne, z lustrami, dla mojej matki, proszę pana.

–Całe, złożone, nie w częściach?

Jacket przytaknął.

Kapitan zaczął drapać się w plecy. Na koniec splunął za burtę i zapytał:

–A duże?

–Podwójne – z dumą odparł Jacket.

–Na dachu sterówki, tak? To będzie pięćdziesiąt dolarów.

Płacisz z góry, a łóżko musisz dostarczyć do dziewiątej godziny w sobotę.

Jacket spurpurowiał z wrażenia. Czuł na sobie ciekawskie spojrzenie marynarza, gdy wyciągnął z kieszeni dziesięć dolarów. Podsunął banknot kapitanowi.

–Na razie mam tylko tyle, po resztę muszę pójść do banku.

Marynarz spojrział z politowaniem.

–Ten bachor, szefie, łacha z nas ciągnie – skomentował.

Jacket wysunął z ukrycia czek i kopertę z listem. Kapitan dał znak, żeby je schował.

–Głupi jesteś, Hannibal, i lepiej trzymaj język za zębami – skarcił marynarza. – Nie zwracaj na niego uwagi, chłopcze, on zawsze plecie trzy po trzy. Daj mi tę dychę, a resztę przyniesiesz, kiedy będziesz mógł. Miejsce na dachu masz zarezerwowane.

Jacket podziękował, wręczył kapitanowi banknot i opuścił przystań. Na moście zaczynał się poranny ruch. Przy straganach wyładowywano z ciężarówek świeże owoce i warzywa. Muskularni tragarze uginali się pod ciężarem worków i skrzynek. Od mostu w stronę miasta ciągnęły się przystanie, te klubowe i te dostępne dla wszystkich. Wąski przesmyk oddzielający New Providence od Rajskiej Wyspy też zaczynał żyć. W jedną i drugą stronę zdążyły łodzie, głównie rybackie płaskodenki, ale także sportowe jachty motorowe, łodzie do nurkowania, wypływały pierwsze żaglówki, a pod pasiastym, czerwono-białym spinakerem dostojnie sunął wielki katamaran. Brzeg Rajskiej gęsto porastały palmy, zza których wyglądały nieliczne tam domy. W porównaniu z nim brzeg od strony Nassau jawił się jak kamienno-ceglany wielkomiejski labirynt.

Od podmiejskich plaż i hoteli w dzielnicy Cable Palm – bahamskiej Rivieri, jak ją nazywają – do centrum prowadzi szeroka ulica, Zachodnia Bay Street. Po drugiej stronie miasta zmienia nazwę na Wschodnią i biegnie daleko, za tereny Yachtclubu, aż na przedmieście zwane East End Point. W śródmieściu ulica zwęża się i ruch odbywa się tylko w jedną stronę. Pełno tam sklepów oferujących bezcłowe towary tysiącom turystów ze statków wycieczkowych cumujących nie opodal, sto metrów ledwie od centrum Nassau, przy nabrzeżu Księcia Jerzego.

W mieście obowiązuje zakaz wysokiej zabudowy, nie ma więc wieżowców i drapaczy chmur, i w dzielnicy handlowej niewiele jest budynków wyższych nad dwa piętra. Za to znajdzie się tu towary lub wręcz magazyny największych firm czerpiących zyski

od -jak powiadają socjologowie – społeczeństwa konsumpcyjnego, oferujących bogatym klientom-turystom biżuterię po sto tysięcy dolarów, zegarki po pięćdziesiąt

tysiący, markowe perfumy za krocie, jedwabie i luksusowe walizy.

Obok zaś tych, co wabią bezcłowym bogactwem, inne sklepy czyhają na skromniejsze dolary mniej zamożnych przybyszów. Oferują tandetne koszulki i torebki ze słomki sprowadzane aż tu z Tajwanu i Chin, choć akurat z takich wyrobów zawsze słynęły Bahamy.

O rzut kamieniem od śródmiejskiej East Bay Street, równoległe do wybrzeża, biegnie Shirley Street, przy której oferują swoje usługi najprzeróżniejszego autoramentu specjaliści od manipulacji prawnych i podatkowych: adwokaci i księgowi, bankierzy, maklerzy i eksperci od obracania cudzymi pieniędzmi.

Polecany przez menedżera magazyn meblowy zajmował dwupiętrowy, narożny budynek z własnym parkingiem przy East Bay Street. Jacket dotarł na miejsce grubo przed otwarciem, z nosem przyciśniętym do szyby zerkał ciekawie do środka. Zobaczył łóżko. Stało w kącie pod ścianą, połyskując lustrami, a jakże, ale nie widać było mosiężnych ram. Przyglądałby się jeszcze dłużej, ale nagle ktoś pchnął go brutalnie w bok.

–Co ty sobie myślisz – rozległ się pełen złości wrzask – że będziesz tak brudził szybę?! Wydaje ci się, że nie mam nic lepszego do roboty, jak sprzątać po tobie, smarkaczu!

Człowiek z kubelkiem i gumową wycieraczką do szyb na długim kijku pojawił się nagle. Widać czyścił szyby po drugiej stronie. Koszulę i szorty miał przemoczone, ręce też mokre. Gdy wrzeszczał, odsłaniał pełne ubytków dziąsła. Na ramieniu Jacketa, tam gdzie go chwycił, wykwitła wielka, wilgotna plama.

Jacket wyrwał się i umknął na ulicę. Kierownik ze Szmaragdowej Plaży powiedział mu, gdzie szukać Royal Bank of Scotland, ale wywieszka na drzwiach informowała, że bank otwiera się o dziewiątej, czyli dopiero za godzinę. Poszedł więc dalej w stronę wąskiego pasa wzgórz biegnącego równoległe, jakieś paręset metrów od brzegu.

Tu ulice jawiły się inaczej, były ocienione wielkimi drzewami, za którymi po obu stronach rozciągały się na wzgórzach ogrody. Zwrócił uwagę na duży dom o spadzistym dachu, częściowo osłonięty drzewami. Przed wejściem, tam gdzie kończył się wyłożony żwirem podjazd, powiewała na maszcie bahamska flaga.

Dalej droga biegła wąskim wiaduktem przerzuconym nad parowem oddzielającym dwa szczyty. Tu zaczynała się dzielnica eleganckich rezydencji otoczonych ogrodami. Gdy znalazł się w pobliżu jakiegoś niewielkiego, o dziwo, domu, zebrał się na odwagę i zapytał kobietę, która stała w ogrodzie przed frontem, czy nie mógłby pod ogrodowym kranem splukać plamy z koszuli. Pozwoliła mu. Usiadł później na słońcu, czekając aż wyschnie, nim ruszy z powrotem do banku na Shirley Street.

Budynek, w którym mieścił się bank, był większy niż wszystkie domy, w jakich dane mu było postawić nogę. Przyciemnione okna w betonowej ścianie też wyglądały obco i Jacket poczuł się jeszcze bardziej nieswojo. Przez dłuższą chwilę przyglądał się z ulicy, jak bocznym wejściem zdążają do pracy urzędnicy bankowi. Gdy zegar na wieży pobliskiego kościoła Świętego Andrzeja wybił dziewiątą, wysoki, starszy człowiek w błękitnych spodniach, białej koszuli z odznaką i mundurowej czapce

otworzył drzwi. Dwóch strażników uzbrojonych w pistolety i krótkie, drewniane pałki zajęło miejsca przy wejściu. Kilku klientów czekało już na chodniku. Jacket obserwował, jak podchodzą do okienek. Sami dorośli, a wśród pierwszych klientów – sami mężczyźni. Pierwszy z nich wyszedł z banku już po paru minutach. Strażnik otworzył przed nim drzwi, zamienili kilka słów i klient ruszył w głąb ulicy.

A oto zjawiała się młoda kobieta o długich falujących włosach, w niebieskim kostiumie. Strażnicy powitali ją bardzo uprzejmie. Wyglądało więc na to, że nie ma się co bać ani wstydzić.

Jacket wyjął starą koszulę z worka i przetarł nią tenisówki z kurzu. Czując na sobie wzrok strażników, ruszył przez ulicę nie patrząc na nich ani na nic. Nie zauważył, że z za rogu Frederick Street wyjeżdża właśnie czarna mazda. Opony zapiszczały na jezdni, gdy kierowca w ostatniej chwili nacisnął hamulec.

Jakieś inne auto zaczęło trąbić. Policjant złapał Jacketa za ucho i zaciągnął na chodnik.

–Co ty wyprawiasz? – ryknął, dając mu szturchańca w głowę. Zrobiło się zamieszanie, kierowcy zaczęli się przekrzykiwać, Jacket mamrotał słowa przeprosin. – Z jakiej wyspy jesteś? – pytał policjant, ciągnąc go za ucho i pouczając: – Z tej strony jadą auta. Zatrzymują się na czerwonym świetle. – Udzielał lekcji nie puszczając ucha. – A wtedy jadą te z tej strony, rozumiesz?

Strażnicy patrzyli z rozbawieniem. Jacket najchętniej zapadłby się pod ziemię albo uciekł, gdzie pieprz rośnie, ale policjant trzymał go mocno.

–A teraz przejdziemy przez ulicę, czarnuchu – rzekł surowo, popychając go na jezdnię. – A gdzie to idziesz? – zapytał, gdy znaleźli się po drugiej stronie. – Do banku?

Jacket przytaknął.

–No, to zajmijcie się tym dzieciakiem – rzucił policjant strażnikom, popychając Jacketa przez drzwi.

Jacket niezdarnie jął wyciągać z ukrycia kopertę z listem i czek. Czuł na sobie wzrok strażników i w ogóle wszystkich, zadbanych, wypachnionych klientów i urzędników w czystych koszulach i krawatach.

Jeden ze strażników wziął papiery ostrożnie, dwoma palcami, jakby się brzydził. –A zdrowy przynajmniej jesteś, synu? Nie zarazisz nas jakimś świństwem? – zarechotał.

Jacket popadł w jeszcze większe zakłopotanie. Jąkając się wyjaśnił, że to list do menedżera banku.

–Nie ma go – powiedział strażnik, sadzając Jacketa na krześle przy drzwiach. – Usiądź tu i czekaj, może niedługo przyjdzie.

Przyciszone głosy i dostojne wnętrza przypominały mu wielki kościół w Andros Town, gdzie był może ze dwa razy, przy jakichś rodzinnych okazjach, gdy ktoś z krewnych brał ślub. Zegar cyfrowy na ścianie za okienkami kasjerów miarowo odmierzał upływający czas: sekundy, minuty, wreszcie godziny.

Dokuczało mu pragnienie i głód, a co gorsza, beczynność sprawiła, że znów

zaczął myśleć o grożącym niebezpieczeństwie, że na pewno zaczną go ścigać, może jeszcze nie tu, w Nassau, bo to jakby inna planeta, która nie ma nic wspólnego z Green Creek, ale prześladowcy pewnie dopadną go w Kemps Bay, gdy tylko zejdzie z pokładu statku pocztowego.

Zerkał ukradkiem, co dzieje się przy bankowych okienkach. Właśnie jakiś potężnie zbudowany mężczyzna w niebieskich dżinsach i białym podkoszulku wyjmował z teczki cały stos banknotów. Układał je na ladzie, jak gdyby nigdy nic, jakby nieświadomy ich wartości. A banknotów była taka masa, że Jacket aż zadrżał, gdy przyszło mu na myśl, że tak właśnie mogą wyglądać pieniądze handlarzy narkotyków. Dla tych ludzi nic nie miało wartości, a już na pewno nic takiego, co on, Jacket, mógł ogarnąć swoim dziecięcym umysłem.

Słyszał czasami, jak dorośli rozmawiają o nowych władcach wysp, o tym, jak pan X czy pan Y rozbił nowiutki samochód i nawet się nie pofatygował, żeby ściągnąć auto do warsztatu, albo o tym, jak to komuś odmówił posłuszeństwa silnik w łodzi i ów ktoś nie zadając sobie trudu naprawy, zwyczajnie podarował łódkę komuś z rodziny. Sto tysięcy dolarów, dwieście, trzysta... Dolary płynęły nieprzerwanym strumieniem, coraz więcej i więcej... Dolarów, łodzi, samochodów i ludzi...

Zarządca banku zjawiał się wreszcie wpół do dwunastej. Jacket od razu poznał, że to właśnie on, widząc, z jakim respektem odnoszą się doń strażnicy i ludzie przy biurkach. Któryś z urzędników zaniósł zaraz list Jacketa do gabinetu szefa. Po chwili wezwano tam strażnika, a zaraz potem wyszedł sam szef pomrukując gniewnie.

–Niewybaczalne... – karcił personel idąc w stronę krzesła, na którym przycupnął Jacket.

Był niski, o okrągłym jak księżyc różowym obliczu, haczykowatym jak ptasi dziób nosie, wąskich ustach i przypominał papugę. Gestykulował przy tym nerwowo.

–Panie Bride, proszę przyjąć moje wyrazy ubolewania – mówił, potrząsając ręką Jacketa i zapraszając go do swego gabinetu. – A więc czeka pan od dziewiętej, tak mi przykro. Może kawy, herbaty albo coś zimnego?

–Poproszę colę – wyjąkał Jacket.

–I talerz biszkoptów – zarządził bankowiec naciskając przycisk interkomu. – Tysiąc czterysta osiemdziesiąt osiem dolarów i trzydzieści siedem centów. – Z całą rewerencją odczytał sumę na czeku wystawionym przez hotel Szmaragdowe Palmy. – A ileż to lat pan sobie liczy, jeśli wolno spytać?

Jacket odpowiedział zgodnie z prawdą.

–Zaprawdę wspaniale, znakomicie... I już potrafi pan oszczędzać.

Oszczędność, tak, to sekret powodzenia w życiu, panie Bride. Zaprawdę, panie Bride. Ciężka praca, oszczędność i rozsądne gospodarowanie to rzadkie zalety na wyspach. – Wziął jakiś formularz z biurka. – Właśnie, panie Bride, otworzymy panu konto oszczędnościowe w naszym banku. Jak rozumiem, zamierza pan wydać większą część tej sumy na zakup łóżka dla

pańskiej matki, i słusznie, bo po to pan oszczędzał, ale przecież nadal będzie pan łowił homary, więc administrator ze Szmaragdowych Palm będzie przekazywał pańskie zarobki na konto, konto będzie rosło, właśnie, panie Bride, rosło – powtórzył,

kiwając z uznaniem głową. – Tym sposobem – ciągnął – zyska pan, panie Bride, wiarygodność kredytową, dzięki czemu, gdy będzie pan starszy, będzie pan mógł zaciągnąć pożyczkę w banku na zakup nowej łodzi, nowego silnika i w ogóle wszystkiego, co pozwoli panu na rozwinięcie interesu. Oto przyszłość, panie Bride, świetlana przyszłość, zaprawdę – powtórzył, kiwając ptasią głową, jakby dziobał ziarno.

Zegar na dzwonnicy katedry wybijał dwunastą, gdy Jacket opuścił bank, zmierzając do magazynu meblowego. Miał pięćdziesiąt dolarów w banknotach pięciodolarowych. Osiem schował w tenisówkach, po cztery banknoty w każdym bucie. Gdy dotarł wreszcie na miejsce, okazało się, że jest właśnie przerwa i magazyn otworzą dopiero o drugiej po południu.

Chodnikami Bay Street przelewał się tłum biało- i różowo-skórych przechodniów – turystów i urlopowiczów w szortach i koszulach z krótkimi rękawami, olbrzymów (tak się Jacketowi wydawało) o tłustych udach i wielkich zadach, obfitych podbródkach, szaro- i siwowłosych, hałaśliwych, mówiących niezrozumiałym językiem. Cała ludność obu części Andros liczy dziewięćset mieszkańców, a Green Creek – sześćdziesięciu dwóch. Jacket nigdy w życiu nie widział naraz tylu ludzi. Tłumnie było na ulicy, tłoczno w sklepach i restauracjach, w których przy nakrytych stolikach rozsiadali się przybysze z obcych krajów, jedząc i pijąc. Jemu też chciało się jeść i pić, ale nie miał śmiałości przekroczyć drzwi do któregoś z tych przybytków. Wszystko tu było obce, sklepy i restauracje, i chodnik, i ulice, i całe to wielkie miasto.

Samochody i autobusy na jezdni jawiły mu się jak jedna wielka, nieprzenikniona ściana ze stali i szkła. Pobrzmiwały klaksony niecierpliwych kierowców, w powietrzu unosiła się ciężka woń spalin drapiąca w gardło. Jacket dusił się i krztusił przemykając w tłumie przechodniów. Zobaczył nagle, że po prawej otwiera się wolna przestrzeń, i jak w panice ruszył na oślep przez ulicę, gdy ruch zamarł na chwilę pod czerwonym światłem. Po lewej połyskiwało morze. Przy nabrzeżu Księcia Jerzego cumowały trzy piękne statki pasażerskie, a przed nimi czekał już na pasażerów cały sznur błyszczących autobusów.

Pierwszy ze statków był dłuższy i szerszy niż całe Green Creek. Jacket przystanął z zaciekawiony, ile też jest tam pokładów. Dziesięć od góry do dołu. Wyobrażał sobie wewnątrz tego pływającego ludzkiego mrowiska, którego przepastnymi korytarzami i salonami przewala się tłum różowoskórych człowieczych mrówek. Promienie słońca odbijały się od białych burt statku, żar bił od

czarnego asfaltu, że aż trudno było oddychać. Jacket odwrócił się i śmignął między ludzi oblegających autobusy.

Policjant wziął go za umykającego złodziejaszka i spróbował chwycić za ramię. Jacket wymknął się i pobiegł przed siebie, w stronę wzgórz, gdzie nie docierają śródmiejskie tłumy. Dyszał ciężko, wspinając się na stromiznę. Miał wrażenie, że ściany parowu otaczają go jak mur. Na drodze biegnącej wąwozem nie było wydzielonych chodników dla pieszych i Jacket omal nie wpadł pod koła długachnej, białej limuzyny, która zahamowała z piskiem opon. Kierowca wychylił się i zaczął coś pokrzykiwać.

Jacket nie słuchał, był już po drugiej stronie wzgórza, pędził w dół obok domu z ogródkiem, gdzie rankiem prał koszulę. Nieco dalej wyrastał drewniany bungalow, przed którym kręciło się kilku miejscowych wyrostków. W Congo Town taki dom świadczyłby

o zamożności właściciela, tu, w Nassau, świadczył o wielkim majątku. Szaleńczy bieg się skończył, gdy Jacket odbił się jak kula bilardowa od uda wielkiego mężczyzny w ciemnych spodniach i białej koszuli.

–Gdzie tak pędzisz, synu? – Mężczyzna przytrzymał chłopca.

Jacket nie był w stanie dobrać głosu, z trudem łapał oddech. Zmęczone nogi drżały w kolanach. Słońce w zenicie oślepiało i paliło żarem, woń rozpalonego asfaltu mieszała się w powietrzu ze spalinami przejeżdżającej ciężarówki. Od wyziewów żołądek podszedł mu do gardła. Poczul na języku gorzko-kwaśny smak. Zachwiał się, ale opiekuńcza ręka uchroniła go przed upadkiem.

–Coś się stało? Uciekasz przed kimś?

Jacket potrząsnął głową.

–Przyjechałem z Green Creek – wykrztusił wreszcie, jakby to wszystko tłumaczyło. Spojrzał w górę, szukając zrozumienia w oczach rozmówcy. Wokół stało ze dwadzieścia, może trzydzieści osób, schludnie ubranych jak tamci urzędnicy w banku. Jedna z kobiet rozpoznała chłopca.

–Ach, to ty jesteś tym poławiaczem homarów!

Przytaknął.

–Co ci się stało? – Kobieta przykucnęła, patrząc badawczo na chłopca. Była młoda, jej włosy falowały, a od białej, bawełnianej bluzki biła delikatna woń perfum. Jacket zapragnął wtulić się w jej ramiona, złożyć skołataną głowę na piersiach, ale, spocony, nie miał śmiałości.

–Chce mi się jeść i tyle – szepnął.

–No, to trafiłeś w dobre miejsce – odparła uprzejmie, wskazując gestem schody wiodące na werandę. – Idź tam, usiądź w chłodzie. Mają tu najlepsze jedzenie w całym mieście.

Do środka wiodły szklane drzwi. Za nimi na ścianie widniały wielkie napisy:

ZABRANIA SIĘ PALIĆ

ZABRANIA SIĘ SPOŻYWANIA NAPOJÓW NIE ZAKUPIONYCH NA MIEJSCU

ZABRANIA SIĘ WCHODZENIA W LOKÓWKACH I W KAPELUSZACH

ZABRANIA SIĘ WCHODZENIA W KOSZULKACH GIMNASTYCZNYCH

ZABRANIA SIĘ HANDLU OBNOŚNEGO

W dużej sali stało kilkanaście kwadratowych stolików nakrytych do posiłku.

Połowę zajęli goście, równie schludni i zadbani jak ci, których spotkał przed chwilą, a którzy czekali na swoją kolej przy bufecie wydającym posiłki na wynos.

Jakaś kobieta w ciemnym stroju obrzuciła Jacketa pełnym zaskoczenia spojrzaniem.

–Czego chcesz, chłopcze? Będziesz coś jadł, czy tylko chcesz popatrzeć, co robią dorośli?

Jacket zadrżał tyle ze strachu, co z zimna w klimatyzowanej sali. Chciał już uciekać, gdy z kłopotliwej sytuacji wybawiła go kobieta z banku.

–To dobre dziecko – powiedziała do kelnerki. – Bądź dla niego miła. To największy poławiacz homarów na South Andros.

Dziś rano otworzył konto w naszym banku. – Poglaskała Jacketa po głowie. – Panna Lucy zaopiekuje się tobą, synku. Zjedz coś i odpocznij.

Jacket wypił cały dzbanek soku limonowego z lodem. Panna Lucy przyniosła dymiący talerz ryżu z fasolą i gotowanymi małżami. Przysiadła obok na chwilę.

–Podjedz sobie i nie martw się o pieniądze, my stawiamy.

Jacket opowiedział jej o łóżku dla mamy. Odprowadziła go do drzwi, całując na pożegnanie w czoło. Biło od niej ciepło i pachniała kuchnią.

Czuł się już znacznie lepiej i pewniej, gdy schodził ze wzgórz do miasta, omijając najbardziej zatłoczony śródmiejski odcinek

Bay Street. Do sklepu meblowego wchodziło się z rogu. Zaraz za drzwiami, po prawej stronie, siedziała przy biurku rośła kobieta w okularach. Jacket przyjrzał jej się przez okno wystawowe. Uśmiechnęła się do niego, więc ośmielony pchnął drzwi i wszedł do środka.

–Czego szukasz, moje dziecko? – zapytała, sięgając do przepastnej torebki ze złożonym zapieciem. – Masz tu na loda – dodała, wyjmując monetę ze skórzanej portmonetki.

Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, speszony przestępował więc z nogi na nogę, aż wreszcie zebrał się w sobie i wyjąkał, że właśnie szuka łóżka. W banku dano mu list kredytowy, aby w sklepach potraktowano go jak należy. Wyciągnął kopertę z kieszeni.

Kobieta była gruba i podniosła się z trudem, zeszywniała od siedzenia za biurkiem.

–Jak ci na imię, chłopcze? – zapytała dysząc z wysiłku.

–Jacket, psze pani – mruknął ze wzrokiem wlepionym w podłogę.

–Jack?

–Nie – przecząco pokręcił głową – Jacket.

–Ile masz lat? – Ujęła go pod brodę, chcąc, by spojrział na nią.

–Trzydzieści. Łowię homary, psze pani. – Chciał jej pokazać list z banku, ale kobieta nie okazała zainteresowania.

–Chcesz kupić na raty czy zapłacisz od razu?

–Od razu.

–A o jakie łóżko ci chodzi? – zapytała kierując go na zaplecze, gdzie stały sprzęty do sypialni: łóżka i stoliki nocne, komody i szafy, meble politurowane na wysoki połysk, błyszczące, ciemne, jasne, mahoniowe i kremowe. Zobaczył ze trzy wezgłowia z lustrami, kwadratowymi i owalnymi, jedno w czarnych ramach, inne w złotych. Połyskiwały w świetle sklepowych lamp wspaniałe i wytworne, ale przecież nie takie, jak chciał, nie miały mosiężnych ram ani karminowych serc z aksamitu.

Kobieta, która się nim zajęła, była uprzejma i miła, i Jacket zawstydził się, że musi sprawić jej zawód. Opowiedział jednak o łóżku pana Wintertona, o mosiądzach i aksamitach.

–I jest większe niż te tutaj – dokończył.

–Jeśli tak, to trzeba będzie specjalnie zamówić, bo tu mamy same komplety – wyjaśniła, wskazując zestaw sześciu lakierowanych na czarno, połączanych na krawędziach mebli. – To kosztuje trzy tysiące pięćset dolarów – dodała.

Cena nieco go speszyła, ale przecież pan Winterton nie kupował całego zestawu i wyraźnie powiedział, że łóżko znalazł tu, w Nassau.

–Pan Winterton kupił łóżko tu, w Nassau – powtórzył głośno. Kobieta zastanawiała się przez chwilę, a następnie wróciła za biurko. Wyciągnęła z szuflady plan Nassau.

–Spróbuj zapytać w Best Buy Furniture – poradziła, dość niechętnie polecając konkurencyjną firmę w centrum handlowym. – Może tam coś znajdziesz. Jedź autobusem – dodała pokazując na mapie przystanek. – Numer dwadzieścia cztery.

Polecany sklep był jeszcze większy niż poprzedni, znajdował się dalej od śródmieścia, za wzgórzami. Bilet na autobus kosztował siedemdziesiąt pięć centów. Jacket pomyślał, że to strasznie dużo za przejazd na odcinku, który z powodzeniem można by przejść piechotą.

Nie potrafił ocenić, kto spośród kilku osób w sklepie jest sprzedawcą, a kto klientem. Nikt na niego nie zwracał uwagi, podszedł więc do okienka w kącie sklepu, przy którym stała siwa kobieta odliczająca plik banknotów. Tłumaczyła przy tym komuś po drugiej stronie okienka, dlaczego spóźniła się z wpłatą kolejnej raty. Jacket, speszony tą sytuacją, przestępował z nogi na nogę i czekał z boku, aż kobieta załatwi swoją sprawę. Wreszcie mężczyzna w okienku zwrócił na niego uwagę.

–Czego chcesz?

–Kupić łóżko.

–Tego nie załatwia się w kasie – zirytował się mężczyzna odganiając Jacketa.

W tej części sklepu wystawiano wyłącznie wyściełane sofy i kanapy, niskie stoliki koktajlowe i komplety do jadalni. Jacket podreptał w stronę bocznych drzwi i tam, w odleglejszej części sklepu, odkrył dział mebli sypialnianych. I znów zobaczył dużo bogato lakierowanych łóżek, niektóre nawet z lustrami, ale nie było żadnego z mosiężnymi ramami.

Nagle poczuł szarpnięcie za włosy.

–A co ty tu robisz, chcesz coś ukraść, tak? – warknął młody sprzedawca, ciągnąc Jacketa boleśnie za czuprynę, aż chłopcu łzy napłynęły do oczu.

–Ja chcę łóżko – wyjąkał.

–Jeśli nie masz łóżka, to wina twojej matki. A teraz zmykaj, bo dam ci w skórę! – I znów boleśnie pociągnął Jacketa za włosy, a jednocześnie groźnie podniósł rękę. – Słyszysz, co do ciebie mówię?

Jacket miał już dość szturchańców, którymi częstowano go od rana. Miał przecież w kieszeni pismo z banku. Nie namyślając się, kopnął prześladowcę w kostkę, wyrwał mu się z rąk i uciekł do drzwi. Tam zatrzymał się i wymachując pismem jak buławą zaczął krzyczeć:

–Patrzcie go, jaki głupi. Moje dolary są tak samo dobre jak inne!

Jakiś starszy człowiek w garniturze wychynął z gabinetu za okienkiem kasy. Popatrzył na Jacketa, potem na sprzedawcę, potem znów na Jacketa i zażądał wyjaśnień. Jacket podał mu pismo z banku.

–Łowię homary – pośpieszył z wyjaśnieniem. – Mam tysiąc czterysta dolarów i chcę kupić łóżko, a ten pan – pokazał palcem –ciągnie mnie za włosy i nazywa złodziejem.

Starszy pan podszedł do sprzedawcy.

–Masz go natychmiast przeprosić, Wilfred. Słyszysz, co do ciebie mówię?

Sprzedawca wymamrotał przeprosiny. Starszy pan zaprosił Jacketa do siebie, do biura. I znów Jacket opisał łóżko pana Wintertona. Jego rozmówca pomyślał chwilę i sięgnął po telefon. Wykręcił jeden numer, potem drugi, uśmiechnął się zachęcająco do Jacketa.

–Happy House Furnishings – podał nazwę kolejnej firmy. –

To sześć ulic dalej. Tam mają mosiężne łóżka. Przystanek autobusowy jest zaraz za rogiem.

Obrzucając pogardliwym spojrzeniem sprzedawcę, który wytargał go za włosy, Jacket opuścił sklep, kierując się tam, gdzie poradził uprzejmy kierownik. Nie pojechał autobusem. Nie chciał marnować kolejnych siedemdziesięciu pięciu centów,

bo – wiadomo – ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka.

Po telefonie z poprzedniego sklepu w Happy House Furnishings już na niego czekali i potraktowano z całą uprzejmością. Owszem, mieli tam łóżka w mosiężnych ramach, ale bez ozdobnego wezglowia i stosunkowo małe, więc Jacket ruszył dalej na poszukiwania. Szedł od sklepu do sklepu, oglądając dziesiątki łóżek. Znajdował mosiężne i takie z lustrzanymi wezglowiami, ale ani jednego, które łączyłoby w sobie obie te cechy. W niektórych sklepach traktowano go uprzejmie, w innych zbywano, a jeszcze gdzie indziej wręcz wykpiwano. Raz po raz dowiadywał się, że tylko traci czas, że nie znajdzie takiego mebla i że co najwyżej mogą dla niego coś takiego zamówić w Miami. Pokazywano mu

katalogi, on jednak z takim samym uporem, z jakim przynosił i ukrywał pojemniki na Bleak Cay, nie chciał uznać porażki. Był pewien, że gdzieś w tym wielkim mieście istnieje bliźniaczy egzemplarz łóżka pana Wintertona.

W domu, poza szczególnymi okazjami, chodził boso, więc nogi mu się spocily, a że tenisówki zaczęły uwierać, na stopach porobiły się pęcherze. Koszulę i spodnie pokrył kurz.

U siebie, na South Andros, miał swoje własne drogowskazy: wysoki świerk, boje przy brzegu, kamienie, białą pianę przyboju. Tu jedynym punktem odniesienia był most na Rajska Wyspę. Dalej od brzegu morza orientował się według słońca. Gdy jednak popołudniem słońce skryło się za drzewami, musiał wyszukać sobie nowe punkty orientacyjne: wieżę telewizyjną, wieżę ciśnień.

W miarę jak coraz lepiej poznawał miasto, nabierał pewności siebie, a wyobraźnia zaczęła mu podsuwać różne obrazy. Jest oto żołnierzem Sił Specjalnych. Wysadzono go w tajemnicy na ląd, by nawiązał kontakty z miejscowym ruchem oporu. Drogę mu otwierał specjalny, tajny list, który trzymał w ukryciu, a gdy trzeba, pokazywał temu i owemu. Miał też sekretne hasło, które również otwierało niejedne drzwi. Brzmiało ono: Jestem poławiaczem homarów.

Doniosłość zadania sprawiła, że zapomniał o samolocie i pudłach ukrytych na Bleak Cay. Szedł teraz szeroką aleją wysadzaną drzewami. Sklep, do którego zmierzał, był na rogu. Przez okno wystawowe dostrzegł na półpięterku błyszczące mosiądzem łóżko. W drzwiach zderzył się z młodą ekspedientką w mini i pantoflach na wysokim obcasie. Włosy splecione w cienkie warkoczyki związała sznurkami koralu i paciorków.

–To ja, poławiacz homarów – powtórzył po raz kolejny hasło, trzymając list w pogotowiu.

–My już zamykamy – odparła.

Chciała zatrzaskać drzwi, ale Jacket naparł na nie, wsunął stopę za próg, jednocześnie szukając wzrokiem kogoś starszego, właściciela lub kierownika, kto mógłby przyjść mu w sukurs. Zauważył kobietę w średnim wieku, ubraną w kolorową sukienkę w kwiaty, z okularami na łańcuszku. Stała przy biurku.

–Muszę kupić łóżko! – zawołał wymachując pismem z banku. –

Mam pieniądze, gotówkę.

Kierowniczką, zaskoczona tym alarmem, założyła szkła.

–Ach, to ty, ten od homarów, lubisz się popisywać, no nie? – burknęła młoda ekspedientka wpuszczając Jacketa do sklepu.

Nie zwracał na nią uwagi.

–Łóżko, takie mosiężne, psze pani.

Kierowniczka zaprowadziła go na piętro. To, co zza szyby wystawowej wydawało się wymarzonym meblem, z bliska okazało się ledwie ramą, przygotowaną do montażu, na której w plastikowych torebkach wisiały potrzebne śruby i nakrętki. Po obejrzeniu tyłu łóżek Jacket nabrał już doświadczenia i na pierwszy rzut oka ocenił, że rozmiar jest nie taki jak trzeba, a poza tym nie było stosownego wezgłowia. Gdy szturmował drzwi do sklepu w misji zleconej przez pułkownika Sił Specjalnych, był pewny swego, pełen wiary, że wreszcie odniesie sukces. Teraz jednak pewność i wiara jęły go opuszczać, gdy przez mosiężne pręty łóżkowej ramy patrzył na miasto. Słońce zeszło już nisko nad czerwone i zielone dachy domów i ledwie się wychylało znad pierzastych koron drzew. Ulicami pędziły samochody, z dala ciemniała wieża ciśień – boja, według której nawigował po wielkim mieście. Na przystanku autobusowym zebrała się już gromadka niecierpliwych pasażerów, a następni wychodzili właśnie z budynku naprzeciwko. Zgarbił się, przypominając sobie, że w książce telefonicznej, którą pokazano mu w Szmaragdowych Palmach, sklepy z meblami zajmowały pełne szesnaście stron. Nie starczy mu życia, żeby do każdego zajrzeć w poszukiwaniu wymarzonego łóżka.

–Rozumiem, że szukasz czegoś specjalnego – ni to zapytała, ni to stwierdziła kierowniczka sklepu. Mówiła wyraźnym brytyjskim akcentem. Wzięła Jacketa za rękę jak dziecko.

Ze zmieszaniem odwracał twarz. W domu, w Green Creek, całe otoczenie wypełniał szum fal łamiących się na rafach, tu wszędzie pobrzękiwały klimatyzatory. Na ulicy pocił się z gorąca, w sklepowych, klimatyzowanych wnętrzach dygotał z zimna. Wstydził się zakurzonej koszuli i przepoconych tenisówek.

Tymczasem kierowniczka zaprowadziła go do swego biura, oznajmiając sprzedawcom, że mogą już iść. Biuro było eleganckie, sprzęty wypucowane do połysku. W domu pana Wintertona też pachniało pastą i płynem do czyszczenia mebli. Poczuł wilgoć pod nosem, ale nie miał czym jej wytrzeć. Matka zawsze go karciała, gdy ocierał nos mankietem czy ręką. Rozglądał się więc bezradny, szukając wzrokiem paczki z chusteczkami, zapamiętał że takie miał kierownik w Szmaragdowych Palmach. Chusteczek nie znalazł, ale na biurku zobaczył rozłożoną gazetę. Wydało mu się, że sufit zwałił mu się na głowę, gdy na pierwszej stronie ujrzał wielkie zdjęcie Vica w rękawicach bokerskich, takichże spodenkach i koszulce. Wykonano je na koniec zeszłorocznych mistrzostw.

MŁODY BOKSER Z GREEN CREEK UTONĄŁ NA RAFIE BLEAK CAY

Jacket patrzył zafascynowany, nie mogąc oderwać wzroku od zdjęcia, a jednocześnie zbyt przerażony, żeby wglębić się w tekst pod zdjęciem. Poczuł ostry ból w dołku, jakby ktoś wbił nóż w żywe ciało. Gdy kiedyś Vic wymierzył mu silny cios w żołądek, Jacket zwymiotował. Teraz zaś przełykał gwałtownie ślinę, starając

się uspokoić oddech i opanować ból. W uszach słyszał szum morza omywającego rafę. Fala ogarnęła biurko, podpłynęła niemal do jego twarzy i cofnęła się, ustępując miejsca następnej. Światła migotały i tańczyły w rytm napływających fal. Ściany i sufit sunęły w dół, spychając go w otchłań.

Z całej siły wbił paznokcie w dłonie. Ból był tarczą, schował się za nim przed walącymi się ścianami i naporem fal. Zawsze tak robił, gdy matka karciła go za jakieś przewinienie. Nade wszystko musiał przezwyciężyć strach. Zabili Vica, był tego pewien. To niemożliwe, Vic nie wypadł z łodzi na rafie Bleak Cay, a gdyby nawet, to nie utopiłby się tak blisko brzegu, był przecież doświadczonym i silnym pływakiem. A więc czekali na niego na Cay. Resztę podpowiedziała mu wyobraźnia – łódź patrolowa, desant, chrzest wojskowych butów po piasku. Idą tyralierą, rozgarniając każdy najmniejszy krzak. Vic wycofuje się, ucieka, aż wreszcie wpada w pułapkę i nie ma już gdzie uciec, za sobą ma tylko morze. Podnosi ręce na znak, że się poddaje, ale prześladowcy są okrutni i bezlitośni. Jeden z nich podbiega i potrząsa go za ramię...

–Złe się czujesz, chłopcze? – Kierowniczka potrząsnęła nim za ramiona. Wyczytała lęk w jego oczach. Jemu jednak nie wolno nic powiedzieć, ani jej, ani w ogóle nikomu. Nikt nie powinien wiedzieć, ale tamci? Oni wiedzą. Wyobrażał sobie, że węszą za nim, jak psy gończe za dzikiem w sosnowym lesie. Poczuł, że nogi mu miękną, i osunął się na krzesło stojące przed biurkiem.

–Nie, nic mi nie jest – chciał to powiedzieć głośno, ale z gardła wydobył ledwie szept.

Kobieta nie dała mu wiary. Czytała pismo z banku, ale teraz, podnosząc wzrok, skojarzyła fotografię w gazecie z chłopcem.

–To był przyjaciel? Biedne dziecko.

Nie wiadomo, do którego z dwóch chłopców odniosła te słowa. Z torebki wyjęła papierową chusteczkę, a z lodówki w kącie butelkę coli. Podała mu pełną szklankę, usiadła za biurkiem i czekała, aż dojdzie do siebie. Później zaś zaczęła wypytywać go o łóżko, a nawet kazała je sobie naszkicować.

Po wspólnych wyprawach na rafę panna Charity uczyła Jacketa, jak rysować ryby, które tam widzieli. Równie udanie i równie mozolnie, przygryzając wargi i wstrzymując oddech, rysował teraz łóżko ze wszystkimi szczegółami.

Kierowniczka z całą powagą obejrzała dzieło. Wyjaśniła, że klimat Bahamów niekorzystnie wpływa na przedmioty mosiądzowane, że wilgoć i słone powietrze sprawiają, iż warstwa mosiądzu zaczyna się odłupywać, więc pewnie łóżko pana Wintertona nie było mosiądzowane, ale sporządzone z solidnych mosiężnych prętów. Takie przedmioty są szalenie kosztowne i rzadkie, ale ona ma pewnego znajomego, dekoratora wnętrz, który ma firmę przy Graveney Road i kiedyś prowadził sprzedaż tego typu rzeczy. Nie miała pewności, czy ów znajomy nadal się tym zajmuje. Ale była jeszcze jedna ewentualność, a mianowicie antykwariat przy Rosetta Street, z tym jednak, że oba sklepy będą już zamknięte. Potem zapytała go, czy ma gdzie przenocować.

–Na łodzi – odparł, żeby w ogóle coś powiedzieć. Zdawał sobie sprawę, że jeśli chodzi o Yachtclub, to każdy mógłby go tam wytropić. Zewsząd czyhało niebezpieczeństwo.

Jacket Wilberforce Bride liczył sobie trzynaście lat. Był rozgarnięty jak na swój wiek. W swoim świecie i na swoim terenie dawał sobie nieźle radę. Jednak tu i teraz był kompletnie zagubiony.

Obraz świata na zewnątrz South Andros zbudował sobie na podstawie tego, co oglądał w amerykańskiej telewizji, a będąc przecież jeszcze dzieckiem nie potrafił odróżnić, co jest faktem, a co bajką. „Miami Vice”, serial telewizyjny, był dlań równie prawdziwy jak samo życie.

Zdawał sobie sprawę z wartości ładunku, który wydobył z samolotu i ukrył. Wiedział też, do jakich okropności mogą posunąć się ludzie, którzy zechcą go odzyskać lub przejąć.

Wiele wieczorów spędził przed szesnastocalowym ekranem telewizora w barze Jacka w Green Creek i naoglądał się, jak to gangsterzy i przemytnicy narkotyków torturują swoje ofiary: borują im zęby obnażając najczulsze nerwy, wrywają paznokcie lub wbijają pod nie bambusowe drzazgi, miażdżą palce młotkami, przypiekają ciało papierosami, palą rozpalonym żelazem, przysmażają twarze ofiar nad palnikami kuchenek, oblewają je kwasem z akumulatorów.

Vic musiał im wszystko powiedzieć, wszystko, co wiedział, a więc – od kogo wzięt teczkę i że to właśnie Jacket odkrył rozbity samolot na Bleak Cay. No i oczywiście zaczęło się polowanie. Dotarli do matki, a matka pewnie pokazała kartkę, którą jej zostawił. Być może szukają też Dummy'ego, który wypłynął na ryby z Amerykaninem z Congo Town, albo panny Charity... Jacket lękał się o nich tak samo jak o siebie. Bał się, że do bliskich mu osób dobiorą się gangsterzy albo policjanci. Jedni i drudzy są tacy sami. Jak się wyłączy dźwięk w telewizorze, to trudno rozróżnić, kto jest przedstawicielem prawa,

a kto przestępcą, obojętne, czy ogląda się dawnych mafiosów w kapeluszach z szerokim rondem, czy dzisiejszych amerykańskich gangsterów z dzielnic zamieszkanymi przez Latynosów.

Potrzebny był mu jakiś wzór, przykład do naśladowania. Idąc skrajem chodnika w zapadającym mroku wyobrażał sobie, że jest „ściganym”, jak Harrison Ford w filmie o takim właśnie tytule. Później pamięć podsunęła mu jeszcze inny film. W „Świadku” Ford jest dobrym policjantem, stara się uratować dziecko, które w czasie wycieczki do Nowego Jorku stało się przypadkowym świadkiem morderstwa. Mordercami byli policjanci. Zaczęli ścigać dziecko i Harrisona Forda, którzy tymczasem ukryli się na pewnej farmie. Jej właściciele nosili takie dziwne, staroświeckie ubrania i nie mieli ani traktorów, ani aut. Dlaczego? Tego Jacket nie wiedział, ani w ogóle nikt w Green Creek, bo nikt tam nigdy nie słyszał o Amiszach, należących do sekty mennonitów mieszkających w Pensylwanii, którzy nie uznają maszyn, radia, telewizorów i w ogóle niczego, co można by nazwać współczesną cywilizacją.

Jacket chciał uciec w jeszcze inny świat fantazji – świat ojca i wojny, ale nie potrafił uwolnić się od myśli o policjantach zdążających na wzgórze, aby zabić dziecko. Zjawili się wczesnym rankiem, mieli pistolety i karabiny, a Harrison Ford nie miał się czym bronić.

Właśnie, tacy sami prześladowcy mogli znajdować się w każdym aucie, które przejeżdżało obok, a Jacket nie wiedział, co powinien zrobić. Nie miał pojęcia, gdzie się ukryć, jak zdobyć coś do jedzenia, gdzie położyć się spać. Zaczął biec przed siebie. W filmie policjanci okrążyli dziecko – świadka zbrodni – gdzieś daleko na wsi, więc instynktownie ją kierować się za wzgórze, gdzie było dużo drzew, zieleni i ogrodów.

Znalazł dziurę w płocie i zaczął właśnie przechodzić na drugą stronę, gdy oblały go światła samochodu. A może nie był to płot, ale zasieki na granicy, i to nie światła samochodu wyrwały go z ciemności, ale potężny reflektor zainstalowany na wieży obserwacyjnej, gdzie stał rosyjski major. Jacket zamarł, a gdy światła przesunęły się dalej, przedarł się do lasu. Na polanie natknął się na wielki, wypalony po pożarze dom. Zebrał trochę gałęzi i ukrył się pod nimi w zagłębieniu przy ruinach. W istocie były to resztki starego hotelu Royal Victoria, który zamknięto i opuszczono co najmniej dziesięć lat przed jego przyjściem na świat. Tam właśnie, w norze pod ruinami, głodny, spragniony i wystraszony, przycupnął Jacket jak osaczone zwierzątko.

Ale znów zaczęli go szukać. Widział ich ze swej kryjówki. Najpierw zjawili się dwóch, a potem jeszcze trzech chudych mężczyzn w dzierganych myckach na głowach. Przeklinali, chichotali, potykali się, rozgarniając opadłe liście w chaszczach przy drodze. Palili zapalki. Któryś na czworakach obszedł wszystko dookoła. Po chwili spomiędzy krzaków wyłonił się jeszcze jeden. Trzymał w ręku damską torebkę, na którą zaraz wszyscy się rzucili jak wygłodniałe sępy. Poszturchując się i przepychając, wrywali sobie zdobycz. Jeden zaskamlał jak pies, a zaraz potem ten, który na czworakach szukał czegoś, krzyknął triumfalnie, pokazując niewielkie plastikowe opakowanie. Przeszali walczyć o torebkę, usiedli w kółko, pochrząkując i kichając. Znowu palili zapalki, a po każdym rozbłysku płomienia słyhać było chrapliwe oddechy.

Od kurzu i pyłu opadłych liści Jacketa zaczęło drapać w gardle. Ścisnął się mocno za nos, żeby nie kichnąć. Od czasu do czasu dochodziły go pojedyncze słowa i urywki rozmowy przedzielane długimi chwilami ciszy. Na ogół mówił jeden, a reszta słuchała potakując lub nie. Później zaś z mroku wyłoniła się jakaś kobieta w łachmanach i dosiadła się do kręgu. Jeden z mężczyzn zdjął but, splunął na podszewę, wyjął nóż sprężynowy i zaczął go ostrzyć jak brzytwę na pasku. Jacket słyszał głuchy dźwięk pocieranego o skórę noża, potem znów splunięcie, głośne pociągnięcie nosem i pokasywanie.

Wiatr podniósł chmurę kurzu i tym razem Jacket nie zdążył się opanować. Ku własnemu przerażeniu kichnął głośno. Rozpłaszczył się w swojej norze. Usłyszał kroki, zbliżyły się i oddaliły. Pomyślał, że jednak go nie zauważyli. Uniósł nieco głowę, żeby zerknąć przez gałęzie, i wtedy ktoś złapał go za włosy i wyciągnął z kryjówki. Był to ten, co miał nóż. Chichocząc, przyłożył ostrze Jacketowi do gardła. Z kącików ust splywała mu ślina. Pchnął Jacketa w środek kręgu, rzucając go na kolana.

–Ach, to tylko brudny szczeniak, włóczęga – powiedział ktoś.

Ktoś inny przytrzymał Jacketa za głowę, podczas gdy człowiek z nożem wcisnął mu w usta cienką, miedzianą rurkę, a następnie dmuchnął w nią, napełniając płuca Jacketa gryzącym dymem.

Jacket poczuł, jak głowę rozsadza mu cała tęcza światła, zgiął się wpół, kaszłąc i wymiotując.

Mężczyzna zaśmiał się, kobieta chwyciła Jacketa przyciskając go do siebie. Zaczęła rozpinąć bluzkę. Między jej piersiami spływała strużka potu, miała tam nieco jaśniejszą skórę, sutki zaś

ciemne i pomarszczone. Zaczęła kołysać chłopca w ramionach jak niemowlę, nucąc kołysankę. Biła od niej kwaśna woń, pod skórą sterczały jej kości, ramiona miała cienkie jak patyki. W pewnej chwili zabrakło jej sił i upuściła chłopca. Wydawało mu się, że wszystkie drzewa zaczynają się walić na niego, gdy pełził z powrotem do swojej nory.

Zasnął. Obudził go deszcz. Między drzewa wciskało się blade światło ulicznych lamp. Mężczyźni i kobieta leżeli pokotem pod wielkim drzewem gwajakowym. Też zaczęli się budzić. Poruszył się jeden, potem drugi. Ciężkie krople dżdżu spływały z liści. Mężczyźni złorzeczyli i przeklinali, podnosząc się niezdarnie najpierw na kolana, a potem na nogi, garbiąc się i kuląc przed chłodnym powiewem wiatru, który wiał zza ruin. Chwiali się. Ktoś przyklęknął, nie potrafiąc utrzymać się na nogach, i kaszłał z nosem wciśniętym w ziemię. Z wolna, pojedynczo, zaczęli się rozchodzić, wnikając w mrok pod wilgotnymi od deszczu oleandrami i ketmią.

Deszcz spływał po murze prosto do nory. Jacket drżał z zimna leżąc we wzbierającej kałuży. Wyschnięta ziemia zamieniała się w grzęzawisko. Ślizgał i grzązał w błocie odrzucając gałęzie, pod którymi się ukrył. Przykucnął pod ścianą, spijając krople, co strumykiem spływały po wystającej z muru cegle. Musi coś postanowić. Pod osłoną nocy wysadzono go na brzeg z łodzi podwodnej. Miał dostarczyć broń do oddziału ukrywającego się w Green Creek. Broń schowana była w łóżku i tylko on jeden wiedział, gdzie. Pułkownik uprzedził go, że misja będzie trudna i niebezpieczna: – Twój ojciec zapewniał nas, że dasz radę. Los oddziału w Green Creek jest w twoich rękach. Tylko ty możesz ich uratować.

Młody wiek był jego tarczą, bo nikt nie pomyśli, że odpowiedzialne zadanie powierzono dziecku. Magazyn projektanta wewnątrz, który mu polecono, znajdował się na odległym przedmieściu. Deszcz siekł, gdy Jacket o pierwszym brzasku przemykał przez parkan na drogę.

Świt krył się za chmurami. Deszcz uderzał w okno, rozmywając światła uliczne. Trent myślał o Skelleyu, że siedzi sam w katamaranie, że pewnie rzucił obie kotwice, nie dlatego, aby było to konieczne, gdyż pod osłoną Andros Złotej Dziewczynie nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo, ale tak na wszelki wypadek, bo czuł się odpowiedzialny za dom Trenta. Pewnie przykucnął w kokpicie przy zejściówce do salonu i z niepokojem patrzy na pomarszczone, płytkie morze.

Zastanawiał się też, gdzie jest chłopiec, jeśli jeszcze żyje.

Musi sobie zapamiętać, żeby nie nazywać go w myślach „chłopcem”, lecz używać imienia. Charity poruszyła się na kanapie.

–Dlaczego nazywają go Jacket, marynarka? – zapytał cicho.

Opowiedziała mu całą historię.

Nagły poryw wiatru uderzył w szyby okienne.

–Jest inteligentny – dodała Charity, jakby upewniając samą siebie, że wszystko będzie dobrze.

Trent wziął prysznic, przebrał się. Włożył luźną koszulę typu safari, jasne, płócienne spodnie i nieprzyzwoicie drogie włoskie sandały, które dostał od Tanaki Kazuko na Boże Narodzenie. Wrócił do gabinetu, zapalił lampkę na biurku. Charity obserwowała go ze swego miejsca na kanapie. Pomyślał, że po nocnych pogwarkach we wspólnym pokoju może zacznie go akceptować. Zobaczył jednak w jej oczach dawne uprzedzenia.

–Muszę wyjść, zanim się rozwidni – rzekł.

Broń w cywilnym otoczeniu zawsze wygląda groteskowo, speszony wzruszył ramionami, gdy utykał berettę za paskiem, i starannie poprawił koszulę.

–Widać? – spytał.

Charity pomyślała, że takie pytania zadają sobie dorastające dziewczynki, poprawiając w zaciszu toalet ramiączka pierwszych w życiu staników.

–Właśnie dlatego nie noszę biustonosza – odparła.

Zaśmiał się. Charity ze zdziwieniem stwierdziła, że zastanawia się, jak też wyglądałby bez brody.

–Zawsze nosisz ten naszyjnik? – spytała.

I znów jakby się spieszył.

–To po mojej matce.

–Po?

–Zginęła w wypadku samochodowym – odparł nie patrząc na nią. Zajął się ukrywaniem broni. – Weź taksówkę – powiedział po chwili – i każ się zawieźć na lotnisko. Po drodze zacznij się złościć i zaklnij parę razy, że zapomniałaś prezentu dla siostrzeńca. Każ kierowcy zawrócić do miasta i niech cię wysadzi przy moście. Jest tam taka mała kawiarenka po drugiej stronie ulicy.

Wyjął pieniądze z portfela. Nie licząc położył kilka banknotów na biurku.

–Nic tu nie jest prawdziwe – dodał szybko, wiedząc, że dziewczyna zechce odmówić. – A zresztą, dają mi więcej, niż mogę wydać. – Gestem ręki omiótł gabinet i bogate wyposażenie.

Zdjął z wieszaka plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy, zapiął starannie pod samą szyję.

–O wpół do ósmej? Zdążymy zjeść śniadanie, zanim otworzą magazyny meblowe.

Rozmazany świt ukazał białe grzywy przyboju. Bertram znajdował się ledwie milę na wschód od New Providence, ale za zasłoną deszczu nie widać było ani brzegu, ani wejścia do kanału. Steve przywarł do poręczy w sterówce, gdy nagły szkwał podniósł falę i rzucił ją na szybę, zasłaniając na chwilę widok. Szyper-Bahamczyk nie sparował sterem i łódź stanęła bokiem do pionowej niemal góry wody. Fala uderzyła

w motorówkę, przechylając ją prawie o pięćdziesiąt stopni, odsłaniając połowę dna i unosząc śrubę wysoko na wodę. Silnik zawył na wysokich obrotach, szyper zaklął, obracając spiesznie kołem sterowym. Dziób motorówki ustawił się prosto na wiatr.

Jesus Antonio przylgnął do zejściówki i pokasływał do chusteczki. Złożył ją starannie i schował do kieszeni wiatrówki. Spojrzał na Steve'a. Ponurą twarz rozjaśnił na chwilę cień uśmiechu.

–Śniadanie będzie musiało poczekać.

Szyper zachichotał radośnie.

Chmury zaczęły ustępować, gdy Jacket dotarł do Graveney Road. Koszulę i spodnie miał przemoczone i zabłocone. Tenisówki nasiąkły wodą i chlupotało w nich przy każdym kroku. Sklep dekoratora wewnątrz znajdował się po lewej stronie ulicy, w głębi posesji, za malowanym na biało parkanem. Pojedyncze okno wystawowe osłaniała żelazna krata, szybę zaś pomalowano wokół na czarno, na kształt ramy, wewnątrz której na aksamicie stał pojedynczy zielony dzban. Również przez drzwi nie dało się zerknąć do środka, bo nie były przeszklone, ale masywne, z mocnych desek.

Jacket przeszedł na drugą stronę ulicy i przykucnął pod ścianą pomalowanego na niebiesko bungalowu. Ubranie miał przemoczone, dokuczał mu chłód i był głodny.

Myślał o ludziach kryjących

się w głębi dżungli za Green Creek. Nie mogli nawet zapalić ogniska, bo nieprzyjaciel był zbyt blisko.

Słońce przedarło się przez chmury i ciepło zaczęło przenikać przez wilgotną koszulę. Na trawniku przed domem, naprzeciwko sklepu dekoratora wewnątrz, dreptał czerwono-nogi drozd. Ulicą przemknęło auto. Kobieta śpieszyła na przystanek autobusowy na rogu. Obudziły się pierwsze kolibry, furkocząc spijały nektar z kwitnących ketmii. Młody człowiek zajechał rowerem przed sklep i otworzył drzwi. Jacket dostrzegł wyściełane krzesło, gdy młody człowiek wnosił rower do środka, ale po sekundzie drzwi się zamknęły za nim.

Pół godziny później przed sklep zajechał żółty kabriolet z podniesionym dachem. Wysiadł zeń starszy, biały mężczyzna. Młody człowiek przywitał go w drzwiach i obaj zdjęli kratę z wystawowego okna i zanieśli ją na tył budynku. Później starszy mężczyzna odprowadził auto dwa domy dalej i zaparkował je w cieniu akacji.

Przemoczone tenisówki zostawiały mokre ślady na jezdni, gdy Jacket przechodził przez ulicę. Zapukał nieśmiało, młody człowiek otworzył drzwi.

–To ja, poławiacz homarów. – Jacket nie skończył jeszcze mówić, gdy młody człowiek złapał za miotłę, która stała pod ścianą, i zaczął przeganiać chłopca, wymachując miotłą jak bagnetem albo karabinem.

–Wynocha, wynocha! – piał łamiącym się głosem.

–Jeszcze nie wszedłem – zapiszczał Jacket też podnosząc głos.

–Nawet o tym nie myśl – rzekł młody. – Patrzcie no tylko, jak on wygląda. A te jego buty, o Boże! – krzyknął w stronę starszego mężczyzny, który zaintrygowany rwetesem pośpieszył

z zaplecza. – Wynocha! – powtórzył poszturhując Jacketa miotłą, zganiając go na ulicę. – Precz!

–Przecież już jestem na dworze! – krzyknął Jacket z chodnika. Zdesperowany patrzył przez ramię młodego na białego mężczyznę. – Niech pan posłucha. Jestem poławiaczem homarów. Szukam łóżka, takiego z mosiądzu.

–Opanuj się, Henry – dekorator uspokajał młodego człowieka, patrząc badawczo na Jacketa.

–Spałem na dworze, padał deszcz. Nie jestem stąd. Przyjechałem z Green Creek. Niech pan zobaczy...

Młody człowiek krzyknął z oburzeniem, gdy Jacket zaczął grzebać w spodniach, chcąc wyjąć pismo z banku.

–Zamknij się i skocz po ręcznik. – Właściciel pchnął młodzieńca na zaplecze. – Pośpiesz się. A ty zdejmij te okropne buty – polecił Jacketowi.

Kiedy młody pomocnik przyniósł ręcznik, dekorator kazał Jacketowi rozebrać się i zostawić ubranie przed wejściem.

–Henry przepłucze je pod kranem na podwórku – obiecał i mimo protestów zainteresowanego, wypchnął go za drzwi, a Jacketa zaprowadził do środka, tam usadził na wspaniałym fotelu krytym złoto-kremowym jedwabiem z brązowym, delikatnie tłoczonym wzorem. – No, właśnie, tak jest lepiej. Zapewne jesteś głodny i spragniony, jak sądzę.

Przyniósł sok pomarańczowy i czekoladowe biszkopty. Usiadł naprzeciwko i patrzył, jak chłopiec pochłania jedzenie. Zwilżył palec śliną i podniósł niesforny okruszek ciastka z wypastowanej do połysku posadzki.

–A teraz – powiedział – mów, o jakie łóżko ci chodzi.

Jacket miał przy sobie ten szkic, co to go narysował w jednym ze sklepów. Dekorator z miejsca rozpoznał, o co chodzi chłopcu.

–Mój Boże! – zawołał. – To łóżko Charlesa Wintertona.

–Właśnie – potwierdził dumnie Jacket. – Pan Winterton kupił je w Nassau. Kosztowało tysiąc trzysta dolarów. Ja mam tysiąc czterysta. To ma być prezent urodzinowy dla mamy. Łowię homary, wie pan – dodał, wyjaśniając pochodzenie majątku.

–I przyjaźnisz się z Charliem, prawda? To wspaniałe łożo. – Dekorator uśmiechnął się nieznacznie i pochyliwszy się do przodu, strzepnął delikatnie okruszek ciastka z wargi Jacketa. – Pytałem Charliego setki razy, ale nie chciał mi powiedzieć, gdzie je znalazł. – Gestem wskazał wystawione meble: krzesła i stoły o znacznie delikatniejszej konstrukcji i bardziej eleganckie niż wszystko, co Jacket widział w innych sklepach – politurowane, a nie zwyczajnie malowane lakierem. Ściany zdobiły malowidła utrzymane w miękkiej szaroniebieskiej tonacji, przedstawiające młodych ludzi w staroświeckich kostiumach kąpielowych

w paski.

–Widzisz, my mamy meble raczej w innym stylu – rzekł.

Wziął Jacketa za rękę i poprowadził na zaplecze, do biura. –

Zadzwoń w parę miejsc, a ty możesz tymczasem wziąć prysznic, zanim twoje ubranie wyschnie.

Łazienka, cała w błyszczących kafelkach, sąsiadowała z biurem. Dekorator własnoręcznie odkręcił mosiężne kurki nad brodzikiem

i starannie sprawdził temperaturę wody. Zadowolony z rezultatu odwrócił się do Jacketa.

–No, to wskakuj, a ja pójdę po świeży ręcznik – wyjął z rąk chłopca ręcznik, który dał mu wcześniej, i delikatnie popchnął go w stronę natrysku. Było coś znajomego w jego twarzy i zachowaniu. Jacket pamiętał, że podobnie wodzili za nim oczami niektórzy goście pana Wintertona. Przykucnął w kącie zasłaniając się ramionami.

–Ależ nie wstydź się – rzekł dekorator. – Przyjaciel Charliego... – zawiesił głos. – Obróć się, wymyję ci plecy.

W tejże chwili w drzwiach stanął młody pomocnik dekoratora. Rozległ się wrzask. Jacket dał nurka pod ramionami starszego mężczyzny, lądując na brzuchu na śliskich kaflach łazienki. Młody człowiek stracił równowagę, gdy rzucił się na dekoratora, i obaj wpadli pod prysznic. Jacket wskoczył do biura, porwał ze stołu swoją torbę i papiery i śmignął do drzwi, słysząc jeszcze, jak obaj mężczyźni okładają się pięściami i krzyczą wielkim głosem. Nagi wybiegł na podwórze, gdzie na sznurku suszyło się ubranie i tenisówki. Ubrał się błyskawicznie i wypadł na ulicę.

Trent zabrał Charity ze sobą do Nassau, bo tylko ona mogła rozpoznać chłopca. Nie chciał jednak, by jej osobę kojarzono z nim bardziej niż to konieczne. Pokłócili się – po raz pierwszy tego dnia – gdy tylko otworzono sklep meblowy. Chciał wejść sam, ona jednak powiedziała, że nie będzie czekać przed drzwiami. Musiał się zgodzić, żeby nie robić awantury na ulicy.

W sklepie opowiedział tę samą bajkę, co zarządcy w Szmaragdowych Palmach. Ekspedientka była uprzejma i życzliwa, przypomniała sobie, że istotnie, był taki chłopiec wczoraj, i że nie mając tego, czego sobie życzył, skierowała go do firmy Best Buy Furniture w centrum. Mieli więc trop, a co ważniejsze, potwierdzenie, że chłopiec żyje.

Charity wyczuła, że Trent przyjął tę wiadomość z wyraźną ulgą.

–A więc myślałeś, że zginął... – odpowiedź malowała się wyraźnie na jego twarzy – bo sam się tym zajmujesz – rzuciła oskarżenie, jakby z racji swego zawodu ponosił odpowiedzialność za groźną sytuację, w jakiej znalazł się chłopiec. Nic nowego dla Trenta, nieraz już stykał się z taką postawą wobec siebie i swego zawodu. Był niezbędnym społeczeństwu, potrzebny, ale nie bardziej niż śmieciarz czy szofer szambiarce.

–Poszukajmy lepiej budki telefonicznej. Trzeba zadzwonić do banku.

Steve przeprowadził dwie rozmowy z automatu telefonicznego w holu hotelu Sheraton. Najpierw zadzwonił do Szmaragdowych Palm. Podał się za przedstawiciela

pewnego francuskiego biura podróży, który bada możliwości współpracy z miejscowymi hotelami i ośrodkami wczasowymi, i pod tym pretekstem pytał, jaki bank w Nassau obsługuje Szmaragdowe Palmy. Dowiedział się, że Royal Bank, i natychmiast tam zadzwonił. Przez niemal całe swoje zawodowe życie załatwiał wszystko przez telefon, miał doświadczenie, wiedział, jak trzeba rozmawiać, a zarządca w Royal Banku z miejsca wyczuł pokrewną duszę. Steve przedstawił się jako Campbell – specjalista w zakresie obrotu obligacjami w wielkiej firmie nowojorskiej Merrill Lynch. Powiedział, że właśnie wyprawia się swoim jachtem na Andros, i przyrzekł zarządcy Szmaragdowych Palm, że przy okazji zabierze do domu młodego Bride'a.

Jego rozmówca wiedział tylko tyle, że chłopiec zamierza kupić łóżko w prezencie dla swojej matki i że za nie zapłaci czekiem bankierskim, co oznacza, że będzie musiał jeszcze raz zjawić się w banku, aby ów czek pobrać. Steve'owi obiecano, że gdy tylko Jacket się zjawi, to przekażą mu wiadomość od pana Campbella.

Steve uśmiechnął się do siebie, odkładając słuchawkę. Sprawa jest prosta. Wystarczy przejąć chłopca, gdy będzie wychodził z banku, zabrać go na Bleak Cay, zabić – oczywiście, gdy już odnajdą towar – i podrzucić zwłoki na New Providence, aby zmylić śledztwo, odwrócić uwagę policji od miejsca zamieszkania Steve'a. Chłopiec, który całe życie spędził w takiej dziurze jak Green Creek, nie nawykł rzecz jasna do ruchu w wielkim mieście, więc najprościej i najlogiczniej będzie upozorować wypadek drogowy. Dość będzie złamać mu krzyż czymś ciężkim i podrzucić parę drobin niklu lub chromu na koszulę, niby to ze zderzaka samochodu, którego kierowca oczywiście zbiegł.

Starzy znajomi z Nowego Jorku, zwłaszcza kumple, z którymi spotykał się na lunchu w słynnej restauracji Terry'ego, widząc jak zaciera ręce, jak uśmiecha się do siebie pod nosem i jak podskakuje niczym młodzik, z miejsca poznaliby, że coś kombinuje i ma jakiś pomysł. No i właśnie, odłożywszy słuchawkę Steve ruszył w podskokach z hotelu do restauracji na rogu, gdzie czekał Jesus Antonio, jak zwykle przy stoliku pod ścianą.

Steve spodziewał się pochwały, tymczasem Jesus Antonio przyjął wiadomości z obojętną miną. W wielkiej, mrocznej sali wyglądał mizernie, głęboko osadzone czarne oczy były niemal niewidoczne. Siedział nad szklanką mleka. Ręce trzymał nieruchomo na stole, palcami wskazującymi mierząc w rozmówcę.

–Przejmą go nasi ludzie – powiedział miękkim głosem, który Steve dobrze zapamiętał z nocnego przesłuchania przy basenie. Wargi miał suche i spieczone. Zaniósł się kaszlem i wtedy przez chwilę widać było jego oczy. Steve odczytał w nich ból, ale także podejrzliwość i pogardę. Tak samo patrzył człowiek z Ministerstwa Skarbu, który kiedyś przyszedł do banku porozmawiać ze Steve'em.

Jesus Antonio sięgnął z trudem po chusteczkę.

A dobrze ci tak, latynoski sukinsynie. Wypluj te swoje płuca.

Trent też zadzwonił do Royal Banku, poprosił o połączenie z dyrektcją, przedstawił się jako detektyw poszukujący Jacketa Bride'a na zlecenie ojca, który właśnie przebywa w szpitalu.

Udzielono mu dokładnie takich samych informacji jak poprzedniemu rozmówcy. Nie wspomniano jednak, że już ktoś pytał o Jacketa, uznając, że to bez znaczenia.

Trent poprosił jeszcze, by odesłać Jacketa do jego, Trenta, biura, gdyby chłopiec zjawił się przed południem. Gdyby zaś objawił się po południu, należy zatrzymać go w banku.

Ubranie zdążyło całkiem wyschnąć na Jackecie, gdy wędrował długą drogą z Graveney Road do Antique Warehouse – magazynu z antykami. To była jego ostatnia szansa i nadzieja, ale rozczarował się, gdy na rogu Rosetta Street zobaczył drewniany bungalow zamiast sklepu. Bungalow był niedawno odnowiony, blaszany dach też był odświeżony, a schody prowadzące z niewielkiego ogródka przed frontem na werandę z drewnianymi kolumnkami, poręczą i pergolą – starannie wyszorowane. Wyglądało wszystko inaczej, różniło się od zwykłych sklepów, które Jacket zdążył poznać. Ale chyba trafił pod właściwy adres, świadczył o tym stosowny szyld na desce pod okapem werandy.

Jacket zawróciłby pewnie speszony niezwykłością miejsca, gdyby nie to, że dom wyglądał trochę tak jak budynki na Andros. Otworzył więc furtkę i zerknął z dala przez otwarte drzwi. Widywał takie wnętrza w telewizji. Stół na wysoki połysk nakryty koronkowym obrusem, a na nim srebra, wokół krzesła z wysokimi oparciami, w rogu serwantka z porcelaną, na ścianach obrazy i lustra w złożonych i zwykłych ramach. Bogato, szacownie i raczej po europejsku niż w stylu rodem ze Stanów Zjednoczonych.

Wycofał się onieśmielony, potknął się, gdy spiesznie zamykał za sobą furtkę. Z bezpiecznej odległości, z ulicy, raz jeszcze zerknął na dziwny sklep.

Na werandę wyszła biała kobieta, opalona, ale chyba miejscowa. Ubrana była w suknię do pół łydki, bogatą i równie gustowną jak wnętrze niezwykłego magazynu. Uśmiechnęła się ciepło i rzeczowym tonem zapytała, czy Jacket ma coś do sprzedania.

–Nie bój się – próbowała ośmielić chłopca – przecież cię nie ugryzę. Przesępował z nogi na nogę, ale uśmiech damy rzeczywiście dodał mu odwagi. Uśmiechała się szczerze i serdecznie, biała, ale chyba nie cudzoziemka, spoglądała bowiem wymownie, jak wyspiarze, a jej postawa też wskazywała na mieszkankę Bahamów – wyprostowana, a zarazem rozluźniona i ufna.

Zrobił krok do przodu, sięgnął ręką do furtki, ale jej nie otworzył.,
–Przepraszam, psze pani. Ale trafiłem chyba nie tam, gdzie trzeba.
Oparła się o kolumnę, wsparła stopę na stopie, spokojnie czekała, niczego mu nie narzucając. Ku własnemu zaskoczeniu wszedł do ogródka, ale przystanął przed schodkami.

–Jestem rybakiem, psze pani. Łowię homary. Szukam łóżka dla mojej mamy. Musi być takie mosiężne i w ogóle.

Właścicielka antykwariatu nawykła do klientów poszukujących ściśle określonych rzeczy. Zawołała za siebie i po chwili na werandę wyszła czarna kobieta z dzbankiem limonowego soku. Biała dama kazała Jacketowi usiąść na schodach. Nie dlatego, że nie chciała go wpuścić do środka czy na werandę, ale domyśliła się, że na schodach chłopiec poczuje się mniej skrępowany.

–Podoba mi się twój pomysł – powiedziała, gdy zwierzył się, dlaczego wybrał takie samo łóżko, jakie ma pan Winterton. Obejrzała uważnie rysunek i zaśmiała się z rozbawieniem, kiedy

opowiadał, jak to dekorator i jego pomocnik wpadli razem pod prysznic. Nigdy jednak nie widziała takiego łóżka, jakie narysował. Doszła do wniosku, że musiało być zrobione na zamówienie. Zdawała sobie sprawę, że Jacket nie przystanie na nic innego. Łóżko pana Wintertona było tym, o czym marzył, inny mebel zrujnuje tylko jego marzenia.

–Szkoda pieniędzy – przekonywała. – Wybierz tymczasem jakiś mały, symboliczny prezent, a łóżko podarujesz mamie na Boże Narodzenie, bo trzeba je obstalować w Miami – doradziła, zapowiadając, że może złożyć stosowne zamówienie, ale że trzeba wpłacić zaliczkę. Statek pocztowy odplywa dopiero nazajutrz, jest jeszcze czas, żeby pomyśleć, rozważyć, bo chodzi o poważną decyzję. – Zastanów się, przemyśl sprawę – zakończyła.

Odszedł już dość daleko, gdy zawołała go z powrotem. Stała przy furtce, z rękami na biodrach. Jacket czuł, że gdyby podbiegł i rzucił się jej w ramiona, przytuliłaby go do siebie. Dlaczego, tego nie wiedział, ale czuł, że tak właśnie by było. Nie potrafił się jednak na to zdobyć, matka chowała go surowo, nie nawykł do okazywania uczuć.

Ona tymczasem opowiedziała mu o pewnym Angliku, który nosił się z zamiarem otwarcia specjalnego hotelu dla mężczyzn. Sprowadził nawet meble z Włoch.

–Takie barokowe – dodała, gestem pokazując, o co chodzi. – Żyrandole, wielkie łoża, mnóstwo luster.

Anglikowi jednak kazano opuścić wyspy. Meble odkupił pewien starszy człowiek, Libańczyk, dodała, choć to nic Jacketowi nie mówiło.

–Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje. Niewielka szansa, że się uda, ale może warto spróbować.

Ów Libańczyk był odludkiem i nie odbierał telefonów. Wyszukała jego adres w notesie o eleganckich, skórzanych okładkach.

–Daj mi znać, jak ci poszło – dokończyła i niespodziewanie ucałowała go serdecznie.

Wyrwał się i uciekł, żeby nie widziała łez. Adres, jaki mu podała, był na drugim końcu miasta. Radziła pojechać autobusem, ale Jacket bał się, że zapomni o niej w tłumie. Poszedł więc piechotą, rozpamiętując tkliwość, zapach i serdeczność – szczerą i niewymuszoną – i w ogóle wszystko, czego nie zaznał w swoim dziecięcym życiu.

Trent i Charity podążali od sklepu do sklepu śladem Jacketa. Podróżowali taksówką. Trent w kółko opowiadał tę samą wymyśloną historyjkę o ojcu w Miami i bilecie na samolot. Na koniec trafili na ekspedientkę czy kierowniczkę sklepu, która dała chłopcu adres firmy wnętrzańskiej i magazynu z antykami.

Najpierw pojechali do dekoratora, zakładając, że tam zapewne poszedł Jacket w pierwszej kolejności. Otworzył im młody pomocnik. Na nosie miał plaster, a na rozciętej wardze żółtą maść.

Wyraźnie się zląkł, gdy Trent przedstawił Charity jako nauczycielkę ze szkoły, do której uczęszcza Jacket, a siebie jako prywatnego detektywa. Zaraz wycofał się do

biura i oboje słyszeli, jak coś tam mówi wystraszonym, piskliwym głosem. Po chwili zjawiał się właściciel z podpuchniętym lewym okiem i jękając się zapewnił, że nic się takiego nie stało.

–Nic w istocie się nie stało. To znaczy... nieporozumienie. Charlie Winterton, rozumie mnie pan... Chłopiec mówił, że to jego przyjaciel. Biedactwo, miał ubranie całe przemoczone i pomyślałem sobie, że prysznic dobrze mu zrobi... I tylko tyle... – odwrócił się wzywając pomocnika, który schował się w biurze. – Tylko tyle, prawda, Henry? Powiedz państwu.

–Mam nadzieję... – Charity urwała. Bardziej ją obchodził los chłopca niż wytoczenie sprawy staremu rozpustnikowi. – I gdzie poszedł dalej?

No cóż, obaj panowie byli bardzo zajęci sobą i nie zauważyli, w którą stronę pobiegł Jacket.

Steve z Jesusem Antonio siedzieli w cieniu mangowca w parku pod Szpitalem im. Księżniczki Małgorzaty. Wyglądali zwyczajnie, jak dwójka znajomych czy przyjaciół czekających na wynik badania lekarskiego albo na urodziny dziecka lub na wieści z sali operacyjnej. Z parku rozciągał się widok na Shirley Street i wejście do banku. Jesus Antonio trzymał na kolanach telefon komórkowy.

Czterech ludzi Torresa warowało w furgonetce na parkingu po drugiej stronie wzgórza, skąd w ciągu dwóch minut i trzydziestu ośmiu sekund mogą dotrzeć do banku. Jeśli trafią na czerwone światło na skrzyżowaniu Shirley i Frederick, przejazd zajmie im pięć minut, zresztą nie ma to większego znaczenia, bo równie dobrze można przechwycić chłopca przed wejściem, jak i wtedy, kiedy będzie opuszczał bank. Dalszy ciąg operacji będzie zależał od sytuacji. Opracowali kilka tras odwrotu spod banku: prosto do portu albo w przeciwną stronę, bądź w głąb wyspy, w zależności od tego, jaki będzie ruch na jezdniach. W każdym razie na Bertrama przewiozą chłopca dopiero po zmroku. O zachodzie słońca przekupiony policjant powinien wrócić do Green Creek. Wystarczy, że posłucha, co się mówi w miejscowym barze, i będzie wiadomo, czy ktokolwiek penetrował albo interesował się Bleak Cay i czy wysepka nie jest przypadkiem pod obserwacją policji.

Jacket przemierzył dziesięć kilometrów na przedmieście Nassau. Nie wiedział, co oznacza „Libańczyk”, bo wstydził się zapytać. Czegoś jednak takiego, co teraz roztaczało się przed nim, nie widział w całym swoim życiu, chyba że na ekranie telewizora. Asfalt gładki jak stół z równiutką, białą jak fala przyboju linią pośrodku. Akacje posadzone pod sznurek, ocieniające starannie przystrzyżone trawniki. Tablice z ostrzeżeniami, że za śmiecenie na ulicy grozi kara więzienia lub grzywna w wysokości pięciuset dolarów. Kute, żelazne bramy strzegły prywatnych rezydencji, kryjących się za drzewami i wysokimi żywopłotami. Samochody, które z rzadka przemykały po asfalcie, były tu jakby cichsze. Widział deszczownie w Szmaragdowych Palmach, więc rozpoznał szum wody zraszającej zieleni. Znalazł wreszcie właściwy numer, a na bramie mosiężny przycisk dzwonka. Z onieśmieleniem cofnął się parę kroków w cień pod drzewem. Pies za bramą pewnie wyczuł zalęknionego przybysza, bo głośno zaszczekał, aż ktoś za żywopłotem zaczął go uspokajać.

Po chwili za kratą ukazała się jakaś twarz, pomarszczona, stara, z haczykowatym nosem i wąskimi, bezzębными ustami. Widać było tylko twarz, reszta postaci pozostawała w ukryciu, za ceglana podmurówką i Jacket był pewien, że ów ktoś klęczy, przykucnął albo zgiął się wpół. Po chwili jednak, gdy starzec odziany w pasiastą piżamę podszedł do bramy, okazało się, że jest po prostu niski, równy wzrostem Jacketowi. Pies sięgał mu do ramienia, a było to silne zwierzę, obronne, takie, jakie w filmach zwykle strzeże rezydencji gangsterów, czarne, o wydłużonym pysku. Wielki ozór wywaliło na wierzch, ukazując kły w czarnych dziąsłach, mocne jak odłamki skalne.

–Bardzo pana przepraszam – wyjąkał Jacket.

W odpowiedzi mały człowiek zaniósł się niewyraźnym chichotem i powiedział coś, czego Jacket nie pojął. Bezzębne usta spłynęły śliną. Starzec przetarł twarz wierzchem dłoni, z kieszeni koszuli wyjął sztuczną szczękę i założył ją.

–Nie masz za co przepraszać – powtórzył, tym razem wyraźnie – nic takiego jeszcze nie zrobiłeś. – I znów zachichotał tak głośno, że aż przygięło go do ziemi i zaczął gwałtownie kaszleć. Po chwili przyszedł do siebie. – A cóż takiego zamierzałeś zrobić, że trzeba przepraszać? Nacisnąć dzwonek? Rzucić bombę? A może otruć mojego Hakima? – wskazał gestem psa.

–Jeste rybakiem – zaczął wyjaśniać Jacket. – Łowię homary.

–Nie „jeste”, tylko „jestem” – poprawił go karzeł.

–Tak jest, psze pana. Czy pan jest Libańczykiem?

Karzeł przechylił łysą czaszkę w jedną stronę. Przypominał ptaka.

–A czemu pytasz?

–Jedna pani w takim sklepie, Antique Warehouse, powiedziała, że Libańczyk kupił takie łóżko, jakiego szukam – odparł Jacket, wyjaśniając spiesznie, że nie powiedziała mu, co to słowo znaczy. – To była bardzo miła pani, a ja wstydziłem się zapytać, bo bałem się, że pomyśli, że jestem głupi.

–Nie wyglądasz na głupka – rzekł karzeł. – Ty rybak, ja Libańczyk i wystarczy chyba tej konwersacji przez kratę. – Znów zachichotał piskliwie. – Co myślisz, Hakim? – zwrócił się do psa. – Wpuścimy tego malca? Nie jest większy od nas. – Poklepał psa po głowie, sprawiając, że zwierzę jakby naprawdę pokiwało z aprobatą łbem. Następnie wyjął pęk kluczy z kieszeni i wybrał właściwy. – No, to wchodź, mój rybaku.

Wziął Jacketa pod łokieć i poprowadził alejką w stronę domu. Pies kroczył obok, nie tyle przy nodze, ile przy ramieniu właściciela. Dom był jeszcze większy niż rezydencja pana Wintertona, z tym że parterowy. Z boków i od frontu otoczony trawnikami, krzewami i drzewami o starannie kształtowanych koronach. Pośrodku malowniczego stawu w kształcie nerki widniała wysepka, a na niej dwie palmy. Ich pnie rosły do siebie pod kątem, tworząc jakby wielkie V na tle błękitnego, popołudniowego nieba.

Libańczyk poprowadził Jacketa przez taras, ku bocznym drzwiom zwieńczonym łukiem, wiodącym do wielkiej kuchni wykładanej białą glazurą. Pod jedną ze ścian stała czterodrzwiowa szafa chłodnicza. Libańczyk wyjął dzbanek chłodnego soku pomarańczowego, dwie szklanki i ustawił to wszystko na stole.

–Gotowe – powiedział. – Rozsiądź się, mój rybaku. Mamy tu co prawda kucharza, pokojówkę i dwóch ogrodników, ale zamęczają mnie wiecznymi pytaniami, więc popołudniami posyłam ich spać. I tak niewiele mają do roboty, bo cóż to za robota zajmować się jednym starym człowiekiem, Libańczykiem zresztą – dodał, chichocząc z własnego dowcipu. – Liban to taki kraj, synu. Jak wypijesz, poszukamy go w atlasie.

Siedzieli naprzeciwko siebie. Jacket nie patrzył na starca, był speszony i z onieśmieleniem odwracał wzrok. Nie pojmował, kim jest ten człowiek, co robi i dlaczego właściwie zaprosił go do środka.

–Ta pani powiedziała, że jest pan odludkiem, czy coś takiego.

–Absurd – odparł karzeł. – Jak mogę być odludkiem, skoro rozmawiam z tobą. A zresztą to tylko kwestia punktu widzenia. Nigdy nie przepadałem za dużymi ludźmi, a teraz, na starość, w ogóle ich nie znoszę. Ale ciebie to nie dotyczy, ty jesteś w porządku, mój rybaku. Rozmawiając z tobą nie muszę wyciągać szyi i spoglądać do góry, co jako malec powinienem doskonale rozumieć. A w ogóle to ludzie nie są mi potrzebni. Mam innych przyjaciół – postukał się palcem w skroń – bardzo wielu, z książek. A teraz chodź ze mną.

Zaprowadził Jacketa do obszernego, dość niskiego salonu.

–No i co powiesz? – Był tak zadowolony, że zaczął chichotać i znów dostał ataku kaszlu.

Czegoś takiego Jacket nigdy nie widział, nawet w telewizji. Ogromne, pozłacane meble, kryte czerwonym aksamitem. Wielkie lustro w ciężkich, złotych ramach. Szkarłatne zasłony w oknach przewiązane złotymi sznurami, za oknami zaś widok na wspaniałą dziedziniec otoczony kolumnadą porośniętą bugenwillą. Pośrodku połyskiwała dekoracyjna sadzawka, a obok niej widniała rzeźba kobiety wspartej o skałę. Jedną ręką przysłaniała oczy, drugą nurzała w wodzie wypinając pierś.

Karzeł znów się zaśmiał.

–Może nie powinienem tego oglądać, mój mały rybaku, ale przecież gorsze rzeczy pokazują w wiadomościach telewizyjnych – głód, morderstwa, wojny. To właśnie grzech. A to tutaj? No cóż, żart. Tak mi się podobało i tak to urządziłem, nie przejmując się tak zwanym dobrym smakiem i gustem. Przestrzegałem tego przez całe życie, udając, że jestem taki jak wszyscy, podczas gdy owi wszyscy obgadywali mnie za plecami i udawali uprzejmych tylko dlatego, że jestem bogaty. Tak było. Przez całe lata. A później trafił się ten zwariowany Anglik, który sprowadził te

meble i urządzenie z Włoch. Pomyślałem sobie, że to całkiem fajne, że naprawdę mi się podoba. Popatrz tylko...

Wspiął się na jedno z wielkich, wyściełanych krzesel i zaczął się na nim huścić.

–No, spróbuj, mój mały rybaku!

Jacket usiłował zrozumieć, o czym karzeł mówi. Z własnego doświadczenia wiedział, co to znaczy być małym, a resztę skojarzył z Dummym. Jego też ludzie przedrzeźniali, a bywało, że obrzucali kamieniami i dokuczali, udając zupełnie coś innego, a jednocześnie zazdrościli mu, bo był najlepszym rybakiem na całej wyspie i nieźle zarabiał jako przewodnik. Sprawy mebli nie potrafił rozgryźć, ale najważniejsze, że Libańczyk ma łóżko. Tego był pewien.

–Chodź, spróbuj – zachęcał karzeł.

Jacket wstąpił nieśmiało na dywan w kolorze dojrzałego pomidora o gęstym, miękkim runie, grubszym niż trawniki w Szmaragdowych Palmach.

–Poskacz sobie na tapczanie – zachęcał gospodarz.

Tego jednak Jacket nie zrobił. Pamiętał cięgi, jakie dostawał od matki, gdy tylko poważił się dotknąć mebli w domu pana

Wintertona. – Weź te swoje brudne łapy – krzyczała – bo dostaniesz w tyłek, że popamiętasz!

–Ale ja szukam łóżka, psze pana – powiedział, nie ruszając się z miejsca pośrodku pokoju.

–Jakiego łóżka, mój rybaku? – Zdziwiony Libańczyk spoj rzał nań zza oparcia fotela. •

–Takiego z sercem i w ogóle – odparł Jacket, wyciągając rysunek i pismo z banku. – To ważna sprawa, psze pana. Prezent dla mamy. Pan Winterton kupił takie łóżko za tysiąc trzysta dolarów. Ja mam tysiąc czterysta.

–A ściślej, tysiąc czterysta trzydzieści osiem dolarów i trzydzieści trzy centy – powtórzył jak echo Libańczyk, czytając informację z banku. – Ile masz lat?

–Trzydzieści, psze pana.

–Jak cię nazywają?

–Jacket.

–Jacket, marynarka? A dlaczego tak dziwnie?

–To po ojcu – odparł Jacket. – Wyjechał, gdy miałem cztery lata. Jest w wojsku...

Karzeł obserwował Jacketa z wysokości swego fotela. Zaczął go wypytywać. Dociekał prawdy, szukał słabych punktów w opowieści. Miał doświadczenie, instynkt wyostrzony w ciągu osiemdziesięciu lat ciągłych prześladowań, kpin i napaści za to tylko, że był inny. Z łatwością więc dostrzegł, co w opowieści należało do sfery fantazji, i doskonale rozumiał, że dla chłopca ów świat jest równie prawdziwy jak wszystko inne. On sam też przecież uciekał przed prześladowaniami w świat wyobraźni i marzeń.

Zadając dyskretne pytania, prześledził losy chłopca. Wysłuchał opowieści o tym,

jak to matka codziennie wędruje przez wzgórze, aby sprzątać Amerykaninowi dom, jak draży ją gorycz i jak z tej goryczy nie szczędzi synowi szturchańców. Jacket opowiedział o poszukiwaniach łóżka i o tym, jak to wspinały mebel stanie najpierw na dachu sterówki statku pocztowego, a później cała wieś przeniesie go w triumfalnym pochodzie na brzeg. Opowiedział też, jak to będzie, gdy matka zobaczy łożę we własnej chacie.

–Już trzeci dzień latam za tym łóżkiem. Bank zamykają o czwartej, a statek odpływa jutro rano – dokończył.

–A dlaczego sądzisz, że sprzedam ci to łóżko? – spytał Libańczyk.

Tego Jacket nie przewidział, ani przez moment nie przyszło mu do głowy, że ktoś mógłby mu odmówić. Miał przecież wszelkie prawa do mebla. Zdobył je wiosłując samotnie nocami na Bleak Cay i potwierdziła to suma tysiąca czterystu dolarów. Pokonał wszystkie przeszkody, nawet tę ostatnią – znalazł przecież miejsce, gdzie znajdował się przedmiot pożądanego. Rozejrzał się wokół i pojął nagle, jak bardzo się pomylił. Łoże było częścią tego domu, było równie ważne dla tego małego, starego człowieka, jak dla niego, Jacketa. Nagle opuściły go siły. Usiadł. Nie na krześle, ale na schodach prowadzących do kuchni. Nie chciał płakać, a już w żadnym razie w obecności Libańczyka.

–Przykro mi, proszę pana. To racja, to łóżko musi zostać tutaj.

–Poddajesz się, rezygnujesz – karzeł zmarszczył brew zaskoczony – rezygnujesz ze swojego marzenia?

–Pan pierwszy o tym marzył.

–Dlatego, że jestem starszy? Czy to daje mi absolutne prawa?

Żadnych szans dla młodych? Nie, tak nie może być. Chodź za mną! – Libańczyk wziął Jacketa za rękę i poprowadził korytarzem, otwierając po kolei drzwi do sześciu, czy ile ich tam było, sypialni. Każda wspinała urządzone, z wielkim łożem i mnóstwem luster. Każde łóżko było inne: z baldachimem na czterech kolumnach, z rzeźbionymi aniołami, z malowidłem na wezglowiu przedstawiającym tańczące nimfy bądź Piotrusia Pana grającego na flecie. W ostatnim pomieszczeniu stało łożę ozdobione wielkim, szkarłatnym sercem. Na tle białego, puszystego dywanu połyskiwały mosiężne ramy. W tuzinie rżniętych lusterek wmontowanych w wezglowie odbijało się tyłu Jacketów i Libańczyków.

–Potrzebna nam będzie rolka plastikowej folii i trochę taśmy klejącej – powiedział starzec.

Jacket nie zrozumiał, o co chodzi.

–Ależ to proste, musisz pójść i kupić, co trzeba – wyjaśnił

Libańczyk. – Moi służący wrócą najwcześniej za godzinę, a wtedy może być za późno. Idź, weź taksówkę. No, pośpiesz się! – ponaglił. – Idź już, idź. Nie ma czasu do stracenia...

przed skrzyżowaniem, do którego się zbliżali, nad wielką dziurą stała koparka. Nie

było mowy o przejeździe. Należało poczekać, aż koparka napelni ziemią z wykopu stojącą obok ciężarówkę.

Za rogu wyjechała taksówka. Przejechała obok, po drugiej stronie wykopu. Zajęta Trentem Charity spostrzegła Jacketa dopiero wtedy, gdy taksówka już ich minęła. Nie była zresztą pewna, czy to on, i straciła jeszcze kilka cennych sekund wypatrując za odjeżdżającym autem.

–To on! – krzyknęła, gdy zyskała wreszcie pewność. Poznała chłopca. Nieraz przecież wyprawiali się wspólnie łódką, więc nie mogła się mylić. To był on, Jacket.

Spokój Trenta irytował Charity. Utknęli w korku pół kilometra od Rosetta Street. Trent siedział w kącie, ręce złożył na kolanach, nie okazywał nawet śladu napięcia, podczas gdy dziewczyna denerwowała się bez przerwy, zwłaszcza w południe, gdy w porze lunchu zamknięto wszystkie sklepy i nic nie mogli zrobić.

Trent rzucił kierowcy wizytówkę i pięćdziesiąt dolarów i wyskoczył z taksówki. Nie czekając na Charity, dał susa przez wykop pośrodku ulicy, żeby nie stracić z oczu samochodu z Jacketem. Machnięciem ręki przywołał następną taksówkę, która właśnie zatrzymała się na skrzyżowaniu. Kierowca zauważył go i gdy tylko zapaliło się zielone światło, podjechał, wyprzedzając inne auta.

–Shirley Street – polecił kierowcy. – Chłopak pewnie jedzie do banku, wyjaśnił Charity, która zdążyła wsiąść, nim taksówka ruszyła.

Steve znał Jacketa z Andros. Pamiętał, że chłopak wędrował z matką przez wzgórze do domu Wintertona, i nie spodziewał się, aby w Nassau Jacket poruszał się inaczej niż piechotą. Ze swego miejsca w parku miał doskonały widok na ulicę, widział wszystko w promieniu stu metrów od banku. Koncentrował się na ulicy, a nie na samym wejściu do banku, bo chciał dostrzec chłopca z dużym możliwie wyprzedzeniem, i nieomal przegapił sprawę. Spozrzegł Jacketa w ostatniej chwili, gdy ten wchodził do środka, zamieniając kilka słów ze strażnikiem.

–O kurwa! To on!

Zerknął na zegarek, Jesus Antonio dzwonił już do ludzi Torresa w furgonetce. Było wpół do czwartej, ulica zatłoczona, wszyscy śpieszyli się z załatwianiem spraw, jak zwykle w ostatniej chwili. Banki już w zasadzie kończą urzędowanie i będą nieczynne aż do poniedziałku.

Po drugiej stronie wzgórza zabrzmiał jazgot klaksonów, gdy furgonetka ruszyła z parkingu wymuszając pierwszeństwo. Ale

i tak nie ujechała daleko. Cały sznur samochodów stał przed światłami na skrzyżowaniu z Frederick Street. Na zielonym samochody ruszyły, jednak po chwili znów stanęły. Steve zaklął widząc, jak przed bankiem zatrzymuje się jakiś lincoln combi i tamuje ruch. Zanim sznur samochodów zza wzgórza zdążył przejechać skrzyżowanie, zapaliło się czerwone światło. Nie widział chłopca, bo ten wszedł już do banku.

–Ci twoi ludzie mogliby się pośpieszyć, do kurwy nędzy – Steve warknął do Jesusa Antonio.

Jesus Antonio krztusił się, osłaniając usta chusteczką. Światła wreszcie się zmieniły i furgonetka zaczęła się szykować do skrętu w Shirley Street. Ale nie zdążyła dojechać do skrzyżowania, gdy znów zapaliło się czerwone.

–W ten sposób nigdy nie dojadą – mruknął Steve. Miał wrażenie, że historia się powtarza. Nie zdąży, zupełnie jak na Bleak Cay. I jak wtedy zaczął się pocić ze strachu, serce podeszło mu do gardła.

Do wzgórza ulica biegła prosto jak strzełił. Trent i Charity mieli przed sobą gigantyczny korek. Przed wzgórzem taksówka musiała przyhamować, gdy furgonetka ruszająca z parkingu wymusiła pierwszeństwo włączając się do ruchu. Trent obliczał sekundy i dystans, jaki taksówce udawało się pokonać przy każdej zmianie świateł. Do banku pozostało jeszcze pół kilometra. Biegiem dotrze tam szybciej niż taksówką.

–Idę – powiedział.

Na pierwszych światłach taksówka jeszcze go dogoniła. Na następnych już nie. Za wzgórzem Trent jeszcze przyśpieszył, biegnąc w dół. Był dość spokojny. Poprosił przecież w banku, by zatrzymano Jacketa, więc nie powinno być problemu, ale nie chciał ryzykować. Skręcił w Shirley Street. W zasięgu wzroku nie było chłopca, zapewne wszedł do banku.

Furgonetka, która przed wzgórzem wymusiła pierwszeństwo, zatrzymała się naprzeciwko banku, tuż pod przyszpitalnym parkiem, utrudniając ruch na całej ulicy. Rozległy się gniewne klaksony protestujących kierowców. Trent dziwił się, dlaczego kierowca furgonetki w ogóle ruszał z parkingu, skoro mógł zwyczajnie przejść piechotą owe paręset metrów.

Zarządca banku odetchnął z ulgą na widok Jacketa. Zaniepokoił go zwłaszcza drugi telefon w jego sprawie.

–Twój ojciec jest w szpitalu w Stanach – powiedział. –

Masz tu poczekać. O czwartej przyjdzie detektyw i przyniesie ci bilet na samolot do ojca.

Jacket nie wierzył własnym uszom. Najpierw się ucieszył, po chwili jednak ogarnęły go wątpliwości. Ojciec nigdy niczego nie przysłał, nawet jednego złamanego dolara, i oto, po ośmiu latach – bilet na samolot?!

Nagle zaakceptował oskarżenia mamy. Tak, ojciec jest tchórzem. Właśnie tchórzem, słabym człowiekiem, co ucieka przed odpowiedzialnością. Nieudacznik – tak powiadała matka. Nieudacznik i leń.

I właśnie teraz, w banku, Jacket wszystko zrozumiał. Pieniądze, które zarobił i odłożył, dawały dowód, że matka miała rację. Jeśli on, Jacket, potrafił je zdobyć, to co mówić o ojcu, dorosłym przecież mężczyźnie czy innych mężczyznach z Green Creek. Ale też niewielu z nich w ogóle cokolwiek robiło. Woleli siedzieć beczynn timer gadać do późnej nocy o tym, co by zrobili, gdyby im tylko dano szansę, albo o tym, jak urządziliby sobie życie, gdyby tylko dostali zieloną kartę do Stanów Zjednoczonych i mogli tam pracować.

O owej magicznej zielonej karcie gadali dzień w dzień, od kiedy tylko pamiętał, rozważali jej moc, jakby rzeczywiście była czarodziejska, a jednocześnie niemal wszystkie grosze, które tu i ówdzie zarabiali, wydawali na piwo albo rum w barze Jacka. Niektórzy mieli po dwoje, troje dzieci z różnych zresztą związków. Matka tymczasem wędrowała przez wzgórza każdego ranka i popołudnia. Miała rację, to lenie i nieudacznicy.

A ów rzekomy detektyw? Jacket potrafił wyczuć niebezpieczeństwo z daleka, jak zbliżający się szkwał na pełnym morzu, za rafami. Ktoś pewnie dowiedział się o pojemnikach zabranych z samolotu i usiłował zastawić pułapkę.

–Mój ojciec uciekł, proszę pana, a ja chcę podjąć dolary na łóżko dla mamy – powiedział.

Mając bank w zasięgu wzroku Trent nieco zwolnił, przestał biec. Taksówka z Charity pozostała jakieś sto metrów z tyłu. Naprzeciwko banku, gdzie furgonetka zajęła pół jezdni, ruch był ślimaczy. Trent nie zauważył, aby ktokolwiek wysiadał z

furgonetki,

pomyślał więc, że kierowca zapewne czeka na kogoś – kasjera z hotelu albo z jakiejś fabryki, który podejmuje pieniądze na wypłatę dla personelu.

Steve zobaczył, że mały Briie zmierza już korytarzem do wyjścia z banku. Tymczasem przy furgonetce nic się jeszcze nie działo. Nie widać było żadnego z ludzi Jesusa Antonio. Chciał krzyknąć, ponaglić ich.

Chłopiec wyszedł na ulicę. Słońce zaświeciło mu prosto w oczy, oślepiając na chwilę. Zawahał się, zastanawiając się, w którą stronę iść.

Z tylnych drzwi furgonetki wyskoczyło trzech mężczyzn i przeszło na drugą stronę ulicy. Z rury wydechowej samochodu uniósł się obłok dymu, kierowca więc musiał uruchomić silnik. Trent dobrze znał sposób postępowania porywaczy najprzeróżniejszego autoramentu i w mgnieniu oka pojął, co się święci. Poderwał się do biegu i zaczął głośno krzyczeć, nie po to zresztą, żeby ostrzec chłopca, ale żeby odwrócić uwagę porywaczy. Tymczasem na jego oczach mężczyźni chwycili dzieciaka. Furgonetka odbiła od krawężnika, blokując ruch na jezdni. Nie było czasu ani na strzał, ani na rzut nożem.

Rozległ się pisk hamulców i jazgot klaksonów, gdy Trent wbiegł na jezdnię między samochody. Porywacze wlekli Jacketa do furgonetki. Jeden z nich trzymał łom. Przejeżdżające auto zablokowało Trentowi drogę. Jeden z porywaczy odwrócił się i zobaczył Trenta.

Trent rzucił się ponad maską auta w stronę porywaczy, którzy wpychali chłopca do środka furgonetki. Chwycił jednego z nich za kark. Poczł na ramieniu uderzenie łomem. Zaczł kopać na oślep, dbając tylko o to, aby rozdzielać kopniaki możliwie wysoko, ponad chłopcem. Mężczyzna, którego trzymał za kark, wymierzył mu potężny cios w żołądek. Trent nie zwolnił uchwytu, wpił się zębami w ucho przeciwnika, który zawył z bólu. Kolejne uderzenie łomem dosięgło głowy Trenta. Próbował jeszcze walczyć, ale ogarnęła go ciemność i nogi odmówiły posłuszeństwa. Po kolejnym ciosie nic już nie widział, czuł, jak coraz głębiej zapada się w otchłań.

Czyjeś palce odsłoniły mu powieki, ktoś inny skierował strumień światła najpierw w prawe, a następnie w lewe oko. Usłyszał jakieś głosy, ale nie rozumiał słów. Zaczł zagłębiać się w mroczny tunel bez końca, poczuł jeszcze ukłucie w ramieniu i znów ogarnęła go ciemność.

Zirytowana zatorem na jezdni Charity wyskoczyła z taksówki. Zobaczyła, jak trójka mężczyzn chwyta Jacketa i jak Trent podrywa się do biegu. Nic nie mogła zrobić. Trent skoczył nad maską samochodu, przekręcił się w powietrzu, co dalej, nie widziała, bo auto przesłoniło widok. Niebotyczny hałas klaksonów sprawiał, że nie mogła skupić myśli. Zaczęła bić pięściami w dach taksówki i krzyczeć na ochroniarza, który stał beczynn timer na chodniku przed bankiem. Zatrudniono go raczej z myślą o prestiżu i należytym wizerunku banku niż o obronie, więc pogubił się, nie wiedząc, co powinien uczynić. Zobaczyła jeszcze, że furgonetka rusza, to znaczy widziała wyłącznie dach kabiny samochodu, znikający w głębi zatłoczonej ulicy. Usiłowała zobaczyć i zapamiętać numer rejestracyjny, ale auta zasłaniały widok. Jacket znikł. Dotarła wreszcie do Trenta. Leżał na jezdni, nieprzytomny i

bezwolny, jak wypchana kukła. Wokół głowy rozlała się plama krwi. Zapragnęła go kopnąć. Nigdy jeszcze nie nienawidziła go tak głęboko, jak w tej chwili. Za to, że nie uratował Jacketa. Ten jego pistolet, wielkie biuro, Złota Dziewczyna, to tylko pozór, chwyt reklamowy, podbijanie ceny. Ktoś krzyknął, żeby go nie dotykała. Podniosła wzrok, zobaczyła policjanta...

Wstała, opierając się o auto. Jakiś mężczyzna w bieli zeskoczył z murku otaczającego szpital. Przybiegli ludzie z noszami. Unieśli Trenta. Zjawilo się więcej policjantów, biegali w te i we wte, zamykając ulicę i zatrzymując świadków, żeby złożyli zeznania. Złapała za ramię sierżanta policji, zaczęła krzyczeć, że właśnie uprowadzono chłopca. Nie chciał jej słuchać, więc go uderzyła, nie panowała nad sobą. Policjant chwycił ją za ramię. Zaczęła go kopać, jednocześnie nakazując sobie opanowanie. Aresztowanie za napaść na policjanta na służbie nie pomoże Jacketowi.

Krzyknęła wreszcie, że jest z Trentem, z czego natychmiast wnieśli, że jest jego dziewczyną albo kochanką, i rozumiejąc już przyczyny jej zachowania, powiedzieli, że spiszą jej zeznania w szpitalu.

Ruszyła więc za orszakiem sanitariuszy i policjantów pod górę do szpitalnego ambulatorium. Z tuzin osób otaczało nosze. Przybiegła siostra z pojemnikiem pełnym krwi do transfuzji.

Charity stała beczynn timer w drzwiach. Miała więc rację. Powinna była opowiedzieć we wsi, co się stało na Bleak Cay. Chciała to zrobić, ale Skelley i Trent przekonali ją, że w ten sposób sprowadzi na Jacketa jeszcze większe niebezpieczeństwo. Tymczasem Jacket znalazł się w rękach przemytników. Zaciśniętymi pięściami zaczęła tłuc o ścianę. Z kostek u rąk puściła się krew. Trzeba to wszystko komuś opowiedzieć, komuś, kto zechce ją wysłuchać.

Podszedł inspektor. Chwyciła go za rękę.

–Chłopiec... – zaczęła.

Jacket kazał wypłacić sobie dwadzieścia dolarów w gotówce, a na resztę dano mu czek. Nie wiedział, jak nazywa się Libańczyk, więc poinstruowano go, gdzie trzeba wpisać nazwisko i gdzie złożyć podpis. Zarządca banku roześmiał się widząc, że Jacket chowa dokument w spodenki. Dodał, że bez podpisu czek jest nieważny, a pieniądze bezpieczne.

Jacket nie do końca w to uwierzył, rozglądał się nieufnie wychodząc z banku. Oślepiło go słońce. Zobaczył trzech mężczyzn. Vic i jego banda nieraz zasadzali się na niego, z miejsca więc wyczuł niebezpieczeństwo. Na ucieczkę było już jednak za późno. Gdy go złapali, rozluźnił mięśnie, zawisł na ich rękach całym ciężarem ciała. Nie walczył, ale tak jak potrafił, utrudniał im działanie. Jednocześnie zachował czujność. Czekał na chwilę nieuwagi swoich prześladowców.

Jakiś brodac rzucił się na nich. Skoczył nad maską samochodu, przekręcił się w powietrzu i zaatakował wrogów mierząc wysoko, w barki. Jacket poczuł, że człowiek, który go więził w uścisku, zwalnia chwyt, więc szarpnął się, wyrwał i potoczył pod samochód, tam na pewno nie zdołają go dosięgnąć. Wysunął się spod auta z drugiej strony i nisko pochylony zaczął biec między samochodami stojącymi w zatorze ku skrzyżowaniu. Choć nikt go nie gonił, nie zwolnił kroku, póki nie dotarł do Bay

Street, gdzie wmieszał się w tłum przechodniów. Gdy autobus przyhamował przy krawężniku, skoczył do środka. Przycupnął na siedzeniu, tak że z zewnątrz nikt go nie mógł zobaczyć. Przejechał dwa przystanki do pętli, tam znalazł taksówkę. Kierowcy powiedział, że pracodawca ojca wysłał go po taśmę i rolkę folii do pakowania.

Dotąd nie miał czasu, żeby się zastanowić, co się właściwie stało. Dopiero teraz, wciśnięty bezpiecznie w kątek taksówki, próbował ogarnąć sytuację. Ludzie, którzy chcieli go porwać, z pewnością nie byli złodziejami, mieli raczej związek z tajemniczym telefonem, o którym mówił zarządca w banku, a więc z Bleak Cay. Zapragnął skryć się w świecie fantazji i marzeń o ojcu, ale ten świat przestał istnieć, znikł kilka chwil temu, gdy w banku dościgła go twarda rzeczywistość. Ojciec zbiegł, uciekł, opuścił go, na zawsze.

–Ludzie patrzą – ostrzegł Jesus Antonio. – Idź spokojnie i nie oglądaj się. – Wziął Steve'a pod łokieć i skierował w stronę budynków szpitalnych. Policja zamknęła Shirley Street i zaczęła przeczesywać przyszpitalny park, poszukując naocznych świadków wydarzenia. – Tutaj się rozdzielimy. Spotkamy się w Sheratonie – rzekł Jesus Antonio. – I, Steve, nie wpadaj w panikę, gdy zatrzyma cię policja. Mów, że byłeś w szpitalu, niczego nie widziałeś i o niczym nie wiesz. Pokaż im oparzeliny na ramionach, to ich przekona.

Trenta złożono na wózku szpitalnym i zabrano na prześwietlenie.

–Trzech bandytów – powiedział inspektor – odważny facet...

Charity znów chciało się krzyczeć, że tak ją zawiódł. Ale zdała sobie sprawę, że to nie o nią chodzi, lecz o Jacketa. To on został porwany i to jego zabijają. Zawstydziała się. Krzyk uwiązał w gardle.

–Ten chłopak to rybak – ciągnął policjant – miał na koncie tysiąc czterysta dolarów i pewnie komuś się pochwalił. Ale uciekł, a co ważne, nie miał przy sobie gotówki...

–Uciekł... – Policjant albo się mylił, albo to z jego strony niewczesne żarty.

–Ależ tak. Wymknął im się jak węgorz z sieci i popędził w dół Frederick Street. Nawet się nie obejrzał, sprytny chłopak. – Inspektor wyciągnął notes. – Bardziej interesuje nas trójka drabów i kierowca furgonetki. Niech ich pani opisz...

Jacket naoglądał się w telewizji wystarczająco dużo filmów o policjantach i złodziejach, o szpiegach i zbiegach, żeby wiedzieć, jak postępować. Dwa razy przesiadał się do innej taksówki, za każdym razem przemierzał kawałek drogi piechotą, z rulonem

plastiku na ramieniu. Zatrzymywał się przed sklepami i w oknach wystawowych jak w lustrze sprawdzał, czy nikt za nim nie idzie, czy ktoś go nie śledzi. Zmieniał tempo marszu, kluczył, zawracał, z nagłą przechodził na drugą stronę ulicy. Zanim nacisnął dzwonek na bramie rezydencji Libańczyka, upewnił się, czy ulica jest pusta. •

Karzeł tymczasem się przebrał. W eleganckiej koszuli z krótkimi rękawami i w spodniach prezentował się wytwornie, ale i obco.

–Przyniosłem czek – oznajmił dumnie Jacket.

–A ja kazałem kucharzowi ugotować nam coś dobrego – zachichotał starzec zacierając ręce. Polecił służbie opakować łóżko, a Jacketa zaprosił do biblioteki, gdzie na biurku leżał już atlas Timesa, otwarty na stronie z Bliskim Wschodem. – Tu właśnie jest Liban – pokazał palcem – a ja nazywam się Dribbi, Michael Dribbi. Zaraz coś zjemy, a później prześpisz się w wygodnym łóżku, mój Jackecie. A rankiem moi ludzie zawiozą cię razem z łóżkiem do portu.

Kazał Jacketowi usiąść w skórzanym fotelu przy biurku, wręczył złote wieczne pióro i powtórzył swoje nazwisko patrząc, jak Jacket wypisuje je na czeku i jak umieszcza podpis, gdzie trzeba.

–Wspaniale – rzekł, wkładając wypełniony czek do koperty.

Otworzył stalowe drzwiczki sejfu ukrytego w ścianie za obrazem, schował kopertę, zamknął skrytkę, przekręcając szyfrowany zamek.

–No cóż – powiedział, odwracając się do chłopca – jesteś pewnie zadowolony i masz z czego. Kupiłeś, co chciałeś, za własne, zarobione pieniądze.

Jacket już chciał opowiedzieć starcowi, co się stało. Pragnął się zwierzyć. Czuł, że może zaufać panu Dribbiemu. Z drugiej jednak strony Libańczyk był taki niepozorny, taki stary i bezbronny, a wyobraźnia podpowiadała mu najgorsze. Oto bandyci przeskakują przez bramę. Najpierw załatwiają psa, podrzynają mu łeb albo podsuwają truciznę ukrytą w kawałku mięsa, a potem dobierają się do pana Dribbiego, zaczynają go torturować – Jacket widział takie sceny wiele razy w telewizji. Zrobił źle wracając do domu starca. Wystawił go bowiem na ogromne niebezpieczeństwo.

–No i co, ci twoi ludzie spieprzyli sprawę – rzekł Steve. Siedzieli z Jesusem Antonio przy stoliku w loży, w „amerykańskim” barze hotelu Sheraton. Tu, w klimatyzowanym luksusie, gdzie wszystko tchnęło amerykańskim przepychem, Steve czuł się jak u siebie. Wszystko tu było znajome: przyćmione światło, kształt szkła, w którym barman podał wódkę z tonikiem, puszysty dywan pod nogami, nawet wymuszony, służalczy uśmiech barmanów.

Jak wampir wysysa krew, tak Steve chłonał znane sobie otoczenie, czerpiąc zeń poczucie bezpieczeństwa i pewności siebie. Choć nieudane porwanie komplikowało sprawy, był zachwycony i zadowolony, przede wszystkim dlatego, że wpadka, która stała się udziałem Jesusa Antonio, mogła oznaczać początek końca latynoskich wpływów w gangu Kubańczyka. Trzeba przewidywać, myśleć daleko naprzód – powtarzał sobie – widzieć perspektywę. Za pięć, za dziesięć lat, wyobrażał sobie, zdobędzie władzę i niezależność, krótko mówiąc, pozycję, i to wyższą niż status pierwszego wiceprezesa w banku. Tymczasem nie powinien mieszać się w sprawy Jesusa Antonio. Niech on podejmuje decyzje i niech on odpowiada. Steve wiedział,

że więcej może zyskać i więcej nauczyć się, jeśli będzie pamiętał o swoim miejscu w szeregu.

–Jaki będzie nasz następny krok? – spytał z pokorą i szacunkiem, jak przystało nowemu człowiekowi w branży. A w głębi ducha wyobrażał już sobie, jak złoży odpowiednią relację Kubańczykowi, opatrując ją nieodzownym „a przecież ostrzegałem, że...”

Zapadła cisza. Jesus Antonio wpatrywał się w szklanę pełną mleka, jakby była to kryształowa kula, w której można wyczytać przyszłość.

–Był w banku, co oznacza, że chyba znalazł łóżko – podsunął Steve. – Zapewne załaduje je jutro na statek pocztowy, jeśli tylko twoi ludzie nie wystraszyli go do końca.

Jesus Antonio nic nie odpowiedział, a to zbiło Steve'a z pantałyku. Milczenie było groźne.

–Miał przy sobie sporo forsy, jak na szczeniaka w jego wieku. Niewykluczone, że pomyślał, że chodzi o zwykły rabunek – dodał.

–Jest jeszcze dzieckiem – odezwał się Jesus Antonio cichym głosem. – Zrobił błąd ukrywając pojemniki i pewnie będzie próbował to naprawić. – Spojrzał na Steve'a. W jego czarnych oczach Steve zobaczył swoje własne odbicie. Długie dni w domu Wintertona, beznadzieję i pragnienie, marzenie, żeby móc wszystko zacząć od nowa, żeby wszystko było tak jak wtedy, zanim w jego życiu pojawili się bracia de Fonterra.

Zadrżał, ogarnął go lęk i złość. Lęk, że Latynos może przejrzeć

jego myśli, złość, że Jesus Antonio ośmiela się stawiać znak równości między nim a trzynastoletnim szczeniakiem. Po chwili zdał sobie sprawę, że to tylko jego własna wyobraźnia, że Latynos nie może wiedzieć, o czym Steve myśli i co czuje, że wie tylko tyle, ile usłyszał. Nagle przypomniał sobie, jak Jesus Antonio trzymał go za rękę, wyciągając zeń prawdę o wydarzeniach na Bleak Cay. Dotykał go kolanami i siedział tak blisko, że zdawało się, iż wchłania go w siebie.

–Zimno tutaj, do cholery – powiedział, gdy znów przeszedł go dreszcz. Spuścił wzrok na stolik, zmrużył oczy. Tylko śmierć Latynosa i śmierć dziecka może go wyzwolić z koszmaru. Trzeba się pozbyć obu.

Charity siedziała w poczekalni przy bloku operacyjnym. Na korytarzu kręcili się policjanci, przebiegały pielęgniarki, przechodzili lekarze. Nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Miała świadomość, że w gruncie rzeczy nie ma żadnego prawa przebywać w tym miejscu, że nic jej nie łączy z Trentem poza faktem, że towarzyszyła mu, gdy go pobito i stracił przytomność. Zdawała sobie sprawę, że gdyby zapytała kogoś z personelu o jego stan, to zapewne zaczęto by podejrzewać, że jest jego kochanką albo jeszcze gorzej. Ot, biały mężczyzna, który wziął sobie Murzynkę na jacht albo zamówił do domu.

Mężczyzna, czterdziestoparoletni Bahamczyk, wytwornie ubrany w płócienny, beżowy garnitur dobrej marki, stosowny krawat i panamę, rozmawiał w kącie ze starszym, białym Amerykaninem w okularach w drucianej oprawie. Masywną sylwetkę jankesa kamuflowało znoszone, płócienne ubranie w paski. Równie znoszona jak ubranie była aktówka, z którą się nie rozstawał. Trzymał ją na ramieniu. Była otwarta. Zjawił się jeszcze jeden Amerykanin – blondyn, znacznie młodszy od pierwszego, w solidnych butach, a ślady na skórzanym pasku u spodni zdradzały, że zwykle nosi pistolet i zapasowy magazynek.

Bahamczyk w panamskim kapeluszu był wyraźnie kimś, sądząc po tym, z jakim szacunkiem odnosili się doń policjanci, ale Charity nie dała się zwieść pozorom. Będąc biologiem nawykła do obserwacji zachowań różnych gatunków i z łatwością dostrzegła całe mnóstwo szczegółów, które świadczyły o tym, kto tu jest naprawdę ważny, a był nim bez wątpienia Amerykanin w ubraniu w paski. Stał spokojnie, jakby niezbyt obchodziło go to, co Bahamczyk ma do powiedzenia. Sam mówił przyciszonym głosem i Bahamczyk musiał się nieco ku niemu pochylić, co tylko podkreślało

różnicę w ich usytuowaniu w hierarchii. A zresztą wszystko o tym świadczyło. Amerykanin nie musiał dbać o wygląd, nie musiał o nic zabiegać, bo nikt nie ośmieliłby się mu przeciwstawić. Choć były to Bahamy, Amerykanin czuł się jak u siebie, na swoim własnym podwórku.

Do trójki rozmówców dołączył czwarty, czarnoskóry chirurg Bahamczyk. Widać, że wyszedł właśnie z sali operacyjnej, gdyż nawet nie zdjął jeszcze maski, tylko ściągnął ją pod brodę. Rozprostowywał ramiona, rozluźniał zmęczone po zabiegu mięśnie. Od czasu do czasu wskazywał palcem miejsca na głowie, zapewne opisywał urazy, jakie odniósł Trent, którego właśnie wywożono z sali operacyjnej. Na wisięgniku wisiała kroplówka, a pod wózkiem – plastikowy pojemnik, do którego z cewnika skapywał mocz. Lewe, przednie kółko szpitalnego wózka piszczało przeraźliwie. Charity wyobraziła sobie, że Amerykanin tak właśnie postrzega Bahamy, jako zapuszczone i niesolidne.

A on tymczasem wychodząc z poczekalni pozdrowił ją lekkim skinieniem głowy. Nie wiedziała, czy powinna uśmiechnąć się w odpowiedzi, czy ewentualnie zapytać o Trenta, jak się czuje

i w ogóle. Wyszli zresztą wszyscy. Charity została sama w poczekalni

przepelnionej wonią środków odkażających i pasty do podłogi. Czula, jak wszystko zaczyna się w niej gotować. Jej brat tak właśnie określił kiedyś ów stan narastającej irytacji. Miał rację. Ogarniała ją coraz większa irytacja.

Bo nic się nie działo. Spodziewała się, że policja czegoś od niej zażąda, i już szykowała się do awantury, a tymczasem funkcjonariusze wypyтали ją tylko o rysopis sprawców pobicia i przestali się nią interesować, jakby dając do zrozumienia, że jej osoba w ogóle się nie liczy, a przede wszystkim nie powinna mieszać się do męskiej wyłącznie gry, zbyt poważnej jak na jej młody i kobiecy zwłaszcza mózdzek.

O młodych kobietach, które okazują własne zainteresowania, powiada się, że się rozpychają, natomiast o zachowującym się podobnie młodym mężczyźnie mówi się, że jest obiecujący i dobrze się zapowiada. Tylko spokojnie, skarciła się w myślach. Nie wolno się irytować. Najpierw irytacja, potem awantura i ani się obejrzy, a każą jej opuścić szpital.

Szczuplejący orszak za wózkiem, na którym wieziono Trenta, skojarzył jej się z procesjami z okazji świąt religijnych na Bahamach. Tam też mężczyźni znikają niby to na chwilę, żeby się

czegoś napić, i zapominają wrócić do szeregu. Tak samo zresztą postępują z kobietami.

Podążyła za orszakiem w głąb korytarza. Sprawdziła, w której sali położono Trenta, i wróciła do poczekalni. Nikt od niej niczego nie chciał, nikt jej nie przeszkadzał, ona też nikomu nie wchodziła w drogę, jakby w ogóle jej nie było.

Postanowiła odczekać pół godziny. Czas ślimaczył się niemiłosiernie, zwłaszcza przez ostatnie dziesięć minut. Zaczęła się denerwować, choć przecież z racji zawodu potrafiła być cierpliwa. Wstała, poszła w głąb korytarza. Skrzypiące, zatarte kółko wózka dla chorych zostawiło wyraźny ślad na szpitalnym linoleum. Naprzeciwko pokoju, w którym leżał Trent, stał pod ścianą wysoki, średniej budowy, trzydziestoletni na oko, policjant po cywilnemu. Młody Amerykanin, blondyn z paskiem, na którym pozostały ślady po bronii, siedział przy drzwiach na plastikowym krześle, z tych często kupowanych do ogrodu, a po sezonie składanych jedno na drugim.

Amerykanin obcinał sobie paznokcie stalową gilotynką. Spojrzał na Charity, starannie złożył przybór i schował go do kieszeni koszuli. Charity czytała w jego oczach jak w otwartej książce. Jego wzrok wyrażał wszystko: zmykaj stąd, dziewczyno, bo to poważna, męska sprawa, a nie zabawa dla kobiet.

A tymczasem Amerykanin uśmiechnął się uprzejmie.

–W czym mogę pani pomóc?

Najlepiej byłoby, gdybyś zlażł mi z drogi, odparła Charity w myślach. Głośno zaś powiedziała, że chce zobaczyć chorego.

Na te słowa wysoki policjant, Bahamczyk, opuścił swoje miejsce pod ścianą. Patrzył na nią z góry, uśmiechając się obleśnie, jakby dawał do zrozumienia, że wie, bo to oczywiste, że ona i Trent sypiają ze sobą. Mężczyzna, który idzie do łóżka z kobietą, zyskuje uznanie, kobieta – szarga sobie opinię, zwłaszcza w układach, gdy

oboje mają odmienny kolor skóry.

–Jakiego chorego? – spytał policjant, chcąc, żeby Charity do końca odkryła karty.

–Pana Trenta.

–Czy jest pani krewną, kimś z rodziny? – Dwuznaczny uśmiech stał się jeszcze bardziej wymowny.

–Odwal się! – warknęła chwytając za klamkę.

Amerykanin był szybszy. Złapał ją za rękę wystarczająco mocno, żeby uniemożliwić jakikolwiek ruch, a zarazem delikatnie, by nie zostawić żadnych śladów, na podstawie których można by

wytoczyć oskarżenie o napaść z użyciem siły. Miał to we krwi.

Wiedział, do jakich granic można się posunąć, nie narażając na korowody z adwokatami. Poza tym żywił zwykle obawy, jakie WASP-owie – amerykańska elita, do której należą biali protestanci anglosaskiego pochodzenia – żywią wobec czarnych i wobec kobiet. •

–Przykro mi, proszę pani, ale jest zakaz odwiedzin.

–Pan jest lekarzem? – spytała.

–Pacjent będzie deportowany. Władze imigracyjne wydały nakaz... – zaczął wyjaśniać policjant-Bahamczyk.

–Gówno prawda – przerwała. – Pan Trent ma prawo stałego pobytu. Jest szefem miejscowego oddziału wielkiej, japońskiej firmy działającej w wielu krajach. – Zaskoczyła ją własna przemowa. Nienawidziła wielkich, międzynarodowych firm działających tak, jakby granice nie miały znaczenia. Ale brnęła dalej.

Skelley oskarżał ją, że nie liczy się ze słowami, ale cóż taki Skelley może wiedzieć.

–Jeśli nie pozwolisz mi wejść, to sprowadzę tu za chwilę ambasadora Japonii we własnej osobie, żeby cię kopnął w ten twój głupi zadek. A teraz spierdalaj, ty czarny skurwysynie.

–Posłuchaj, siostró... – zaczął Bahamczyk w odpowiedzi, ale nic więcej nie udało mu się powiedzieć, bo Charity podniosła głos.

–Siostró?! – krzyknęła. – A któż to ci pozwolił nazywać mnie siostrą, ty gówniarzu, ty wypierdku niewolników! Na kolana i szczekać tak, jak ci każe twój biały pan, ty chamie. Albo mnie wpuścisz, albo zaraz dzwonię do ambasady.

–Niech się pani uspokoi – mitygował Amerykanin. Wyjął telefon komórkowy, wystukał numer, słuchał uważnie, ale po drugiej stronie nikt się nie zgłaszał. – Japońska ambasada, powiada pani – rzekł obojętnie. – Idź, zadzwoń z telefonu w holu, zobaczymy, co powiedzą – polecił Bahamczykowi.

Ten skrzywił się, wzruszył ramionami i wolno, z demonstracyjną niechęcią, ruszył,

gdzie mu kazano. Gdy znikł za rogiem, Amerykanin odwrócił się do Charity.

–Muszę panią zrewidować.

Charity nie protestowała.

Uchylił drzwi do pokoju Trenta, jakby to, że nie otwiera ich na oścież, oznaczało, że jednak nie narusza rozkazu.

–Niech pani zrobi tę uprzejmość i nie siedzi zbyt długo.

Pewnie mu coś dali, zastrzyk albo coś podobnego. Usta miał półotwarte, leżał na plecach otulony prześcieradłem po szyję. Ściągnęła przykrycie spodziewając się, że zobaczy skrępowane ramiona i ręce. Nic podobnego. Całe przedstawienie zrobiła więc niepotrzebnie. Ale coś jednak zauważyła. Liczne blizny na jego ciele dawały wymowne świadectwo jego zawodowej biografii.

Zrozumiała, dlaczego Trent wybiera zawsze luźne kurtki i nie nosi szortów. Część blizn powstała na skutek postrzałów. Wystarczyłoby, żeby któryś z pocisków trafił centymetr obok, trochę wyżej albo trochę niżej, nieco bardziej w lewo lub w prawo, by już było po nim. Cud, że tak się nie stało. Gdy spoglądał w lustro, te blizny przypominały mu zapewne, że nieraz ocierał się o śmierć.

Odtwarzała w pamięci moment, kiedy rzucił się na porywaczy. Nawet się nie odwrócił, żeby zawołać o pomoc. Nie zastanawiał się. Zadziałał jak automat. Jak właściwie szkoli się takich ludzi jak on, skoro nie myślą o własnym życiu? Jak szczury w laboratorium? Metodą kija i marchewki? Praniem mózgu?

Dotykając bandaża na głowie, zdała sobie sprawę, że nie zapytała lekarzy o jego stan tylko dlatego, że bała się odpowiedzi, a nuż powiedzą, że stan jest poważny. Oddech miał chyba regularny. Chciała nim potrząsnąć, by otworzył oczy, chciała mu powiedzieć, że Jacket uciekł. Mówiła mu przecież, że chłopak jest inteligentny.

Przez uchylone drzwi Amerykanin dawał znak, żeby wychodziła. Usłyszała ciężkie kroki. Właśnie wracał bahamski policjant. Amerykanin oparł się o ścianę, jakby drzemał. Mrugnął do niej porozumiewawczo.

–Wspomniała pani o niewolnikach. Moi przodkowie byli chłopami pańszczyźnianymi w Rosji, wie pani, co to znaczy – lepianki i baty. Kto próbował uciekać, tego wieszali. A potem, gdy znaleźli się w Stanach, też tyrali jak niewolnicy, spłacając dług za podróż. Kto to wytrzymał, stawał się wolny, ale wielu nie wytrzymało. Tak samo było z Chińczykami. Historia, proszę pani. Chyba panią interesuje, prawda? – Kiwnął głową w stronę drzwi do pokoju Trenta i dodał: – Jeszcze jedno, niech pani zapomni, że pozwoliłem pani wejść.

Bahamczyk wyglądał na wielce zadowolonego z siebie. Powiedział, że czeka na nią doktor.

–Prosto korytarzem, a potem na prawo...

Musiała poczekać w gabinecie. Doktor zjawił się w towarzystwie osiłkowego Amerykanina w ubraniu w paski. Przedstawił go jako O'Briena.

–Pan O'Brien – dodał – z urzędu zajmuje się tą sprawą.

A więc to był ten człowiek, o którym Trent powiedział, że

można mu wszystko opowiedzieć. Amerykanin oczywiście, nie Bahamczyk. Poczula podobny ucisk w gardle jak na lotnisku w Nassau, gdy przechodziła przez stanowisko amerykańskiej służby imigracyjnej i celnej.

Amerykanin rozsiadł się na krześle, nieodłączną aktówkę ustawił na podłodze, między nogami. Była otwarta. Pewnie zamek się popsuł.

–Z urzędu? Sprawą dotyczącą naszego kraju? A niby dlaczego? – spytała z przekąsem.

Amerykanin zdjął szkła i zaczął je przecierać mocno już zużytą, ale czystą chusteczką. Bez okularów wzrok miał jakby rozmyty.

–Jako obserwator – rzekł w pewnym momencie, przywołując na oblicze cień uśmiechu i chyląc nieznacznie ramiona, jakby w geście wyrażającym ubolewanie. – Mamy wspólne zadania z komendantem Skelleyem.

Doktor wiedział, z kim ma do czynienia. Zwracał się do Charity per panno Johnston i cały czas obnosił przyklejony, trochę nerwowy i wyraźnie służalczy uśmiech. No cóż, wykastrowano go psychicznie na stażu w Ameryce. Bał się adwokatów. Bez przerwy wyobrażał sobie, że czyhają jak sępy, żeby tylko wytoczyć mu sprawę o błąd w sztuce. Wystarczyłoby, żeby zdecydował się na jakiś nowocześniejszy zabieg, coś, co nie jest poparte stosowną statystyką medyczną. Bał się więc własnego cienia, fakt zaś, że Trent związany był z wielką międzynarodową firmą japońską, tylko potęgował jego obawy, podobnie jak obecność aż dwóch świadków, przy których miałby przedstawić swoją diagnozę.

–Rozumiem, że jest pani blisko związana z panem Trentem – zaczął. – Chcę powiedzieć, że jego dawniejsze kontuzje bardzo nas niepokoją.

–Ma pan na myśli, że strzelano do niego i odniósł wiele ran.

–To znaczy, panno Johnston... – doktor nie nawykł do używania słów właściwych do opisywania aktów przemocy – mam na myśli wypadki, którym pan Trent ulegał. – Te z kolei zwroty niezbyt precyzyjnie odpowiadały istocie kontuzji Trenta.

–W każdym razie – ciągnął lekarz – bardzo nas to niepokoi. – Rozłożył ręce, ukazując białe od częstego mycia wnętrza

dłoni. – Otrzymał trzy uderzenia w głowę. Na szczęście tylko jedno celne. Doznał wstrząśnienia, choć nie można tego jeszcze stwierdzić z całą pewnością, ale trzeba się z tym liczyć. Tak przynajmniej można wnosić na podstawie oglądu rany. Właśnie...

Bez przerwy ruszał rękami, przekładał przedmioty na biurku, brał je i odkładał, a to złotego sheafera, a to nóż do papieru z plastiku udającego kość słoniową, a to guzik, który zachował na szczęście, gdy znalazł go w porcji puddingu na oficjalnym przyjęciu bożonarodzeniowym wydanym przez rząd.

–Wstępne prześwietlenie nie wykazało uszkodzeń czaszki, ale rano powtórzymy badanie. Jeśli chodzi o pozostałe sprawy, to... no właśnie... Podaliśmy na razie środki uspokajające, kroplówkę,

żeby zapobiec odwodnieniu organizmu, zaordynowaliśmy także niewielką transfuzję, żeby uzupełnić ubytek krwi. – Ręce zawisły nieruchomo nad biurkiem. Spojrzał prosto w oczy Charity, jakby nieco speszony, że mówi o sprawach, które powinny być oczywiste.

–Krew jest naturalnie przebadana, panno Johnston, nie ma żadnych obaw o HIV. Rzecz jasna, pobraliśmy też próbki krwi pana Trenta.

Obrócił się, kierując wzrok w stronę Amerykanina.

–I to chyba wszystko. To znaczy, wszystko, co teraz można powiedzieć, ale, jak mówię, rano, właśnie, rano powtórzymy badania. Do tego czasu pacjent powinien przebywać w zaciemnionym pokoju, nie ruszać się. Naturalnie będę czuwał, jak również pan Reginald oraz doktor Franklyn...

No tak, zabezpieczyć się na wszelkie możliwe sposoby, rozmyć odpowiedzialność, zaordynować wszystkie badania, jakie tylko się da. Charity miała ochotę wymierzyć mu policzek. Ryby nie wytaczają spraw sądowych biologom, którzy je badają, nawet w Ameryce. Nie czynią tego też ubodzy Bahamczycy, którzy w tym samym szpitalu co Trent otrzymują ledwie doraźną pomoc, bo na więcej ich nie stać.

–To, co pan mówi – powiedziała Charity – oznacza, że gównem pan wie.

Aż podniosło go z fotela. Ręce zamarły nad biurkiem, a ze złości palce wygięły mu się na kształt szponów.

–Panno Johnston?! Jak pani śmie? W moim gabinecie?!

–Gównem nie pański gabinet. To państwowy szpital.

–Można podziwiać pani emocjonalne zaangażowanie, ale na pewno nie pani zachowanie, panno Johnston. – Zesztywniał ze złości i jak kukła obrócił się do Amerykanina. – Miłość sprawia, że kobiety zachowują się w przedziwny sposób.

–Miłość! Nienawidzę tego skurwysyna – krzyknęła Charity.

Lekarz zmierzał już do drzwi.

–Bez względu na pani godne ubolewania zachowanie, panno Johnston, pacjent ma zapewnianą najlepszą opiekę, jaka tylko jest możliwa. Dobranoc.

–Skurwysyn – powtórzyła Charity. – Skelley powiada, że mam niewyparzony pysk. – To ostatnie skierowała już do O'Briena.

–A co Trent mówił o chłopcu?

Zaskoczyło ją to pytanie, nie była przygotowana na tak bezpośredni atak. O'Brien siedział niemal bez ruchu, ręce złożył na kolanach. W drucianych, okrągłych okularach wyglądał zgoła naiwnie, ale jasnoszare oczy za szklami były czujne. Przypomniła sobie, jak zachowywał się ów ważny Bahamczyk w panamskim kapeluszu – z ledwie skrywanym respektem wobec O'Briena, a może wobec urzędu, jaki reprezentował.

Zapytała go o to.

–Jestem funkcjonariuszem rządu Stanów Zjednoczonych, panno Johnston, urzędnikiem, biurokratą, jeśli pani woli, zresztą niezbyt wysokiej rangi.

Gówno prawda, pomyślała. Trzeba się pilnować. Pyskowaniem niewiele się wskóra.

–A jakie są podstawy do deportacji Trenta?

–O to musi pani zapytać władze imigracyjne.

–Ale to pański człowiek trzyma straż przed drzwiami – zaatakowała.

O'Brien uśmiechnął się dyskretnie, raczej sztucznie, bo oczy niczego nie zdradzały.

–To tylko gest wobec starego przyjaciela, panno Johnston.

Trent ma wrogów, a w tym stanie, w jakim jest, nie może się sam bronić.

Widziała go przecież. Widziała też blizny, świadectwo przeszłości, której nie była w stanie odcyfrować. Amerykanin zdawał się czytać w jej myślach.

–Mógłbym pani dać całą listę organizacji terrorystycznych

na całym świecie, które polują na niego. Mówił pani, co było

jego specjalnością? Że przenikał w szeregi terrorystów? – Zawiesił

głos, czekał, żeby się otworzyła, tak Trent czekał wczoraj

po południu, gdy zostali sami w kabinie na pokładzie Złotej

Dziewczyny. Minęło ledwie półtora dnia. – Nie zawsze zastanawia się nad tym, co robi – ciągnął O'Brien.

Stała jej przed oczami scena sprzed banku. Jacket oślepiiony słońcem. Trzech napastników. Furgonetka.

–Nie miał czasu.

Nie wiedziała, co mogłaby opowiedzieć jankesowi i czy w ogóle Trent by chciał tego. Nie wiedziała też, co byłoby najlepsze dla Jacketa. Trent ostrzegał przecież, że każdy z zainteresowanych kieruje się innym celem. Dla niej najważniejsza sprawa, to uratować Jacketa.

O'Brien czekał. Tak, tacy potrafią czekać. Celują w tym. Oni, zawodowcy.

–Poczekam – powiedziała.

–Aż odzyska przytomność... – dokończył za nią. Wyjął

z aktówki notesik z gumowanymi kartkami do wrywania. Poślinił

czubek ołówka i zapisał numer telefonu. – O każdej porze dnia

i nocy, panno Johnston. Jeśli potrzebna będzie pomoc, niech

pani zadzwoni i poda moje nazwisko.

Czwórka złotych aniołów strzegła Jacketa w domu pana Dribbiego, po jednym w każdym z czterech rogów łóżka, na którym zwinął się w kłębek otulony kocami. Na miękkich, puchowych poduszkach było mu duszno, więc zrzucił je na podłogę.

Hakim, doberman pana Dribbiego, rozłożył się pod drzwiami na korytarzu i czujnie unosił łeb, gdy chłopiec wzdychał przez sen i przewracał się na łóżku. Sześciu kuzynów Hakima wypuszczonych na noc z psiarni warowało na dziedzińcu wokół domu. Stary pan Dribbi ślezczał nad książką w bibliotece. Źle sypiał i zwykle drzemał w fotelu do trzeciej albo czwartej i dopiero nad ranem udawał się do sypialni.

Hakim pchnął pyskiem drzwi, wsunął się do biblioteki, podszedł do pana, kładąc gładki łeb na kolanach starca. Najwyraźniej domagał się uwagi. Pan Dribbi podrapał psa za uchem, myślami błądząc zupełnie gdzie indziej.

–Que ce que tu veux? Czego chcesz? – zwrócił wreszcie uwagę na psa.

Pies ruszył do drzwi, ale przystanął patrząc na pana.

–Bien, bien... no, już dobrze, dobrze. – Pan Dribbi podniósł się z fotela i podreptał w ślad za zwierzęciem na korytarz. Przystanął słysząc, jak Jacket wzdycha przez sen. Dopiero gdy Hakim niecierpliwie zaczął drapać w drzwi, starzec zdecydował się je otworzyć.

Hakim podbiegł do łóżka, łapami ściągnął prześcieradło. Wyrwany ze snu chłopiec usiadł wystraszony na łóżku. Panu Dribbiemu przywiodło to na myśl wspomnienie męczących nocy z czasów, gdy jeszcze nie dorobił się majątku, który dziś chronił go jak puklerz, odseparowując jego osobę od jego interesów. Przysiadł na łóżku, objął chłopca starczymi ramionami, uspokajał

szepcząc słowa pocieszenia i otuchy, przeplatając słowa angielskie z francuskimi i arabskimi.

Jacket uspokoił się. Pan Dribbi zaczął go delikatnie wypytywać, pragnąc odkryć prawdziwe przyczyny lęków i niepokojów chłopca.

Z niezbornych zrazu fragmentów zwierzeń zaczęła wyłaniać się cała historia. Najpierw napaść przed bankiem. Potem noc w norze pod ruinami hotelu, gdy Jacketowi wydawało się, że zasadza się na niego cała gromada narkomanów-nędzarzy.

Łagodny głos pana Dribbiego zachęcał do szczerości, opiekuńcze objęcie kruchych ramion dawało poczucie bezpieczeństwa. Hakim, wierny stróż, rozłożył się czujnie przy drzwiach, machając kikutem ogona na znak zawartej przyjaźni.

Ciepłe światło nocnej lampy na stoliku też robiło swoje. Chłopiec był coraz bardziej ufny. Opowiadał o nocnych wyprawach na żerowiska homarów i połowach w świetle lampy, o tym, jak czasami cała gromada wielkich raków szła gęsiego jeden za drugim po piaszczystym dnie.

Mógłby wyrzucić z siebie jeszcze więcej, ale nie do końca pozbył się obaw. Pan Dribbi też kiedyś rybaczył, dawno temu, w dzieciństwie, które upłynęło mu nad

Morzem Śródziemnym. Tymczasem pofatygował się do kuchni. Przyniósł dwa kubki gorącej czekolady z termosą, przygotowanego jak zwykle przez pokojówkę.

I tak siedzieli sobie we dwójkę: stary, białoskóry mężczyzna o ptasim, haczykowatym nosie i młody, czarny dzieciak z płaskimi nozdrzami. Wzrostem tylko byli do siebie podobni. W przyjaznym milczeniu popijali czekoladę.

Dribbi nie nalegał, nie poganiał chłopca, jemu pozostawiał inicjatywę, pozwalając, żeby mówił, co chce. Słuchając opowieści

o katastrofie samolotu, o nieszczęsnym pilocie i o tym, że Jacket myśli, że to wszystko jego wina, bo palił lampę na lagunie, starzec kreślił sobie w myślach obraz owej nocy. A Jacket opowiadał dalej, jak ukrył pojemniki, jak to zawsze snuł marzenia o ojcu, aż wreszcie w biurze zarządcy banku zrozumiał prawdę.

–To prawda, to co mówi mama, proszę pana, tata był okropny.

Pan Dribbi wyjął z kieszeni jedwabną chusteczkę, otarł chłopcu łzy.

–Już dobrze, mój mały, jesteś naprawdę dzielnym chłopcem

i tylko to się liczy. Jesteś bardzo dzielny. Masz, wytrzymaj nos –

poleciał podtykając chusteczkę. – Musimy postanowić, co dalej.

Zaniósł kubki do kuchni, zmył pod kranem, czekając, aż chłopiec

się uspokoi. Wyjął z lodówki bombonierkę z wyszukanymi, ręcznie formowanymi

czekoladkami, uznał jednak, że nie wolno dawać dziecku słodczy na noc. Schował czekoladki, obrał natomiast pomarańczę, podzielił na części, ułożył na talerzyku.

Wrócił do sypialni, poczęstował Jacketa i patrząc, jak ten zajada z apetytem, zapytał:

–Czy ktoś jeszcze wie?

–Tylko pan. Pan jest pierwszy – odparł Jacket. – Policji

się boję. Ten sierżant, co to ma jeden krótszy palec, to on, psze

pana, też w tym robi. Słyszałem kiedyś w barze pana Jacka, jak

dorośli o tym mówili. Nikomu nie wierzę, tylko panu.

Starzec przywołał w myślach własne, odległe dzieciństwo, szukając podobieństw.

Ojca nie znał, nie miał nawet pojęcia, kim był. Dość wcześnie życie go nauczyło, że najlepiej polegać na samym sobie, trzymać język za zębami, wymigiwać się, udawać, że się o niczym nie wie, rznąć głupa. Jeśli chodzi o policję, to policja z samej swojej istoty jest wroga. Różnica między nim a Jacketem polegała tylko na tym, że on sam był dzieckiem ulicy – wielkiego miasta, owocem płatnej miłości, wychował się w mieście i poznał tajemnice miejskiego półświatka, Jacket zaś znał tajemnice morza i sekrety zamkniętej społeczności wyspiarskiej.

–Wykopię te pudełka – ciągnął Jacket – zostawię na wyspie.

Znajdzie je jakiś rybak i zawiadomi policję.

Starzec kiwnął głową na znak aprobaty. Decyzja była logiczna, na miarę ograniczonej wiedzy chłopca o życiu i świecie. Zamysł rozsądny, bezpieczny, a chłopcu na pewno nie brak odwagi i siły do jego realizacji.

–W niedzielę wrócę do domu – ciągnął Jacket. – Gdy

wszyscy pójdą do kościoła albo do baru pana Jacka i będą gadać

o łóżku, ja wykopię pudełka, a sam gdzieś się schowam, poczekam, aż ktoś je znajdzie.

Pan Dribbi pochwalił pomysł, udzielił błogosławieństwa, otulił chłopca i posiedział przy nim, aż Jacket zasnął. Dobre dziecko. Pan Dribbi podziwiał jego odwagę. Nieszczęściem był tylko zbieg okoliczności, ale w kraju, który ma ledwie ćwierć miliona mieszkańców, takie sytuacje muszą się zdarzać. Pan Dribbi wrócił do biblioteki.

Wśród swoich wiekowych rówieśników, nawet młodszych od siebie, miał takich, którzy nie byli świadomi rewolucji elektronicznej. Wielu z nich pożegnało się już z tym światem, część znalazła się za kratkami. Pan Dribbi od dobrych trzydziestu lat nie używał telefonu, bo nie sposób zabezpieczyć się przed podsłuchem przy współczesnej technice inwigilacji. Prowadząc interesy posługiwał się szyfrowanymi depeszami lub telexami, których zresztą nigdy nie wysyłał z domu, tylko z biur wyspecjalizowanych agencji. Teraz jednak zasiadł do komputera. Miał markowego laptopa IBM. Podłączył modem, wystukał hasło na klawiaturze. Wszystko razem trwało nie dłużej niż trzy minuty i zakodowana wiadomość, zabezpieczona, której źródła nikt nie odkryje, zaistniała w stosownym miejscu w sieci komputerowej, czekając na swojego odbiorcę.

Handlarze dziełami sztuki to ludzie uzależnieni, rzec można narkomani. Dość pożyczyć im sto tysięcy dolarów, a natychmiast zaliczują obraz wart milion. Dać im milion, a wniosą go jako wadium na zakup obrazu wycenianego na dziesięć milionów. Kubańczyk Torres też był człowiekiem uzależnionym. Co się tyczy interesów związanych z kokainą, to był w stanie finansować transakcje z własnych zasobów, nie wystarczało mu jednak kapitału na finansowanie tankowców, które z milionami ton surowej ropy bądź benzyny lub innych paliw na jego rozkaz przemierzały morza i oceany. To, jak również upodobanie do luksusowego stylu życia, sprawiało, że Torres wisiał u klamki prywatnego banku pana Dribbiego.

Za sprawą polityki rynek naftowy jest wielce niestabilny. Wojny, groźby zamachów stanu, strajki załóg wydobywczych, pożary pól naftowych, odkrycia nowych złóż, a nawet zwykłe wybory w kraju eksportującym ropę – to czynniki, od których na tym rynku wiele zależy. Ambicją Kubańczyka było opanować taką część rynku surowcowego, by móc manipulować cenami w skali całego globu. Światowy rynek nafty nigdy nie zasypia, tylko jego lokalne odgałęzienia udają się na spoczynek, a i to krótki. Była piąta rano, kiedy jedna z sekretarek Torresa wyłowiała z sieci zaszyfrowane zaproszenie od pana Dribbiego na wczesne śniadanie.

– Twój wielki dzień, mój Jackecie – powitał go otaczając ramieniem. – Łóżko należy do ciebie. Trzeba je tylko załadować na statek.

Kucharz przyniósł szklankę świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego i dwie chrupiące bułeczki prosto z pieca. Zjawiała się też pokojówka z pięknie odświeżonym ubraniem.

Ogrodnicy zaczęli ładować owinięte w plastik łóżko na półciężarówkę. Właśnie wtedy przed dom zajechała limuzyna, z której wysiadł elegancko ubrany biały

mężczyzna w średnim wieku

o wysokim czole i z gładko zaczesanymi do tyłu włosami. Pan Dribbi przedstawił go jako pana Torresa.

–A Jacket – dopełniał formalności starzec – zajmuje się poławianiem homarów. Wspaniały chłopak. Kupił właśnie ode mnie łóżko dla swojej mamy. – Przedstawiając Jacketa pan Dribbi złożył poufale rękę na ramieniu chłopca, jakby chciał podkreślić bliską z nim znajomość. – Jacket nocował u mnie.

Przybysz wydawał się nieco zmieszany, gdy ścisnął rękę chłopcu. Być może peszyła go postawa malca.

–Mieszkam w Green Creek – dodał Jacket. – To taka wioska na South Andros.

–A pan Torres przybył do nas z Kuby, odwiedzając po drodze wiele krajów – rzekł pan Dribbi wyjątkowo bez chichotu. – Pozwól na chwilę, mój chłopcze – dodał, biorąc Jacketa na stronę. – Moi ludzie odwiozą cię do portu – rzekł wyjmując z kieszeni kopertę, w której znajdowało się dziesięć nowiutkich banknotów dwudziestodolarowych. – Daj każdemu z nich po dwadzieścia dolarów za fatygę. Tak samo pokojówce, która wyprała ci ubranie, i kucharzowi. Kucharz przygotował ci jedzenie na drogę – uściskał chłopca na pożegnanie. – A teraz już zmykaj i zrób wszystko dokładnie tak, jak rozmawialiśmy w nocy. Odwiedź mnie wkrótce. Będzie mi bardzo miło. Mój dom jest twoim domem. Rozumiesz?

Jacket pociągnął nosem kiwając głową, że owszem, rozumie.

–Cii, cii... – powiedział starzec i wyciągnął z kieszeni chusteczkę. – To na pamiątkę, żebyś nie zapomniał o mnie.

Jacket obudził się wcześniej. Służąca zabrała wieczorem jego ubranie, aby je uprać i odprasować, więc ze skrzępowaniem owinął się tylko ręcznikiem, i tak półnago wyszedł do ogrodu, gdzie starzec pił poranną kawę, grzejąc się w słońcu przy basenie.

Torres i Fidel Castro mieli wspólne korzenie. Ich ojcowie przybyli na Kubę z Hiszpanii i weszli w posiadanie, głównie drogą nielegalnych machinacji i przemocy, sporych, bo liczących po dziesięć tysięcy akrów, majątków ziemskich w zachodniej części

wyspy. Synowie odebrali staranną edukację w elitarnych szkołach jezuickich. Później zaś, gdy Fidel Castro jął skłaniać się ku socjalizmowi, Torres pozostał arystokratą i nadal cenił sobie wszelkie związane z tym atrybuty. Dribbi znał tę jego słabość i specjalnie – aby go zirytować – kazał podać śniadanie w kuchni. Uważał zresztą, że kuchnia byłaby raczej ostatnim miejscem, w którym zakładano by podsłuch.

Wyprawił kucharza na rynek, pokojówkę posłał do sprzątnięcia. Śniadaniem zajął się sam, parząc kawę, smażąc jajka, opiekając grzanki. Postawił na stole radio

nastawione na stację z reggae, włączył deszczownicę w ogrodzie i dopiero wtedy, usatysfakcjonowany poziomem hałasów, które zagłuszą rozmowę, zasiadł z Torresem do stołu.

–Ludzie są tacy naiwni, Pedro – zaczął chichocząc jak zwykle. – Czy opowiadałem ci, jak to dzięki niewielkiemu wzrostowi udawało mi się przez całe cztery lata uchodzić za prawiczkę, choć co tydzień sprzedawałem się na prawo i lewo? Nawiasem mówiąc, tak właśnie zarobiłem pierwsze pieniądze. A w branży, mój drogi Pedro, tkwię od początku i nigdy, ale to nigdy nie miałem do czynienia z policją. Podkreślam to, abys zapamiętał, że jestem zawodowcem. Obawiam się natomiast, że w tobie jest coś z amatora, żeby nie powiedzieć dyletanta.

Siedział lekko zgarbiony, wpatrując się we własne dłonie złożone na stole. W pewnej chwili podniósł wzrok. Czarne oczy niczego specjalnego nie wyrażały, ale słowa, choć wypowiedane miękkim, łagodnym tonem, mogły zmrozić.

–Twoi ludzie zachowali się jak głupcy. Wiem od chłopca, że spóźnili się na miejsce, a później spieprzyli sprawę porwania. Kim jest ten człowiek, który pośpieszył mu na ratunek?

Torres zakrztusił się jak skarcony sztubak i zanim odpowiedział, musiał najpierw wytrzeć usta.

–Brytyjczyk, zajmuje się sprawami ubezpieczeniowymi. Pracuje dla jakiejś japońskiej agencji. Mieszka chyba na jachcie. Nie ma żadnego związku z nami. Ojciec chłopca...

–Bzdura – przerwał Dribbi. – Ojciec chłopca zwyczajnie uciekł, porzucił rodzinę. Ktoś szykuje operację przeciwko tobie, a niewykluczone, że także przeciwko mnie. Trzeba to wszystko wyczyścić – postukał znacząco w blat stołu. – Chłopiec zamierza dobyć pojemniki z ukrycia i zostawić je na wysepce, żeby ktoś je znalazł. Niech twoi ludzie idą jego tropem, ale nie ruszajcie go, dopóki nie wydobędzie towaru z kryjówki, a potem – kompletna czystka.

–Jesus Antonio? – Kubańczyk głęboko westchnął.

–Nie tylko on. Wszyscy – rzekł Dribbi. – Sprowadź nowych ludzi z zewnątrz.

Pedro Torres połączył się z telefonu komórkowego z Jesusem Antonio.

–Chłopiec sam robi to, na czym nam zależy. Miejcie go tylko na oku i nic więcej.

Pan Dribbi był bardzo ostrożnym człowiekiem. Wyjął z szafy i położył na łóżku wszystko, co zamierzał wziąć ze sobą, usiadł i czekał, aż pokojówka spakuje walizki, następnie posłał ją po taksówkę. Samolot American Airlines rejs numer 5718 wylądował na lotnisku Dallas Fort Worth w Teksasie o 12.12. Tam czekał już specjalnie wyznaczony urzędnik linii lotniczej, który przeprowadził pana Dribbiego przez cło i kontrolę paszportową, a następnie odprowadził do ekskluzywnego Klubu Admiralskiego, dla szczególnie ważnych pasażerów. O 14.20 odlatywał samolot do Frankfurtu...

Pedro Torres tymczasem poleciał do Miami. Do Nassau miał wrócić późnym wieczorem.

–Szczury uciekają z okrętu – zameldował O'Brien.

Charity dostała od pielęgniarki koc i poduszkę. Na kanapce w poczekalni przespalała całe sześć godzin. Obudził ją dopiero hałas przesuwanych kubłów przy porannym sprzątanu. Woń środków odkażających i tandetnej pasty do podłogi skojarzyła jej się z uniwersytetem i przez dobrą chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Pielęgniarka zaprosiła ją na filiżankę kawy do swego pomieszczenia za przeszkloną ścianką. Charity popijała napój, przyglądając się, jak dyżurni z nocy przygotowują się do przekazania obowiązków rannej zmianie.

Tam znalazł ją młody Amerykanin, który w nocy pilnował Trenta.

–Jeśli pani chce zobaczyć narzeczonego, to mogę to załatwić z moim zmiennikiem. Niech mi pani da pół godziny – zaproponował. Powiedział, że zmiennik zjawi się za jakieś dwadzieścia minut. Bahamski policjant, który miał po nim przejąć posterunek, zadzwonił, że się spóźni. Amerykanin zgodził się tymczasem go zastąpić.

Charity uśmiechnęła się z wdzięcznością. Oswoila się już z faktem, że wszyscy traktują ją jako kochankę Trenta. Wyjaśnianie, że jest inaczej, nie miało sensu. Szkoda czasu, a Amerykanin i tak nie dałby temu wiary.

Ten zaś, co przybył na zmianę, był czarny, młody i bardzo zmęczony. Uśmiechnął się do Charity. Wyglądał raczej jak któryś z jej studentów, aniżeli tajniak.

Trent leżał dokładnie w tej samej pozycji co poprzedniego wieczoru. Charity domyśliła się jednak, że nocą zaglądali do niego lekarze, czuwały pielęgniarki i że coś tam z nim robiono. Koraliki, które miał na szyi, leżały teraz na nocnym stoliku. Do naszyjnika doczepiona była niewielka, skórzana pochwa, której wcześniej nie zauważyła. Pewnie zasłaniały ją długie włosy na karku. Obejrzała ją dokładnie. Wyjęła nóż, ku jej zaskoczeniu dość ciężki, z czubkiem ostrym jak igła, ze zwykłą rękojeścią.

Pokropiła Trenta wodą z karafki, która stała na stoliku. Bardziej wyczuła, niż zaobserwowała, że przychodzi do siebie. Trwało to dobrą chwilę. Budził się do życia jak stary komputer 8086 z wyłączonym monitorem. Wreszcie otworzył oczy.

–Ach, to ty – brzmiały jego pierwsze słowa.

Chciał ją wziąć za rękę, kiedy zobaczył nóż. Wyjął jej go z dłoni i schował pod poduszkę.

–Jestem jeszcze trochę skołowany – rzekł, co chyba miało usprawiedliwić fakt, że dotknął jej dłoń, i podkreślić, że nic ich przecież nie łączy. Podniósł rękę i wymacał bandaż na głowie. – Jakie szkody?

Zirytowała się, że nie pyta, czy Jacket zdołał zbiec.

–Podejrzewają wstrząśnienie. Będą cię jeszcze prześwietlać.

Nawymyślałam chirurgowi – dodała, wiedząc, że i tak tego przed nim nie ukryje.

Trent miał spore doświadczenie szpitalne. Nie ruszał głową szukając ręką zegarka.

–Sobota rano, dziesięć po szóstej – pośpieszyła uprzedzająco. –

Przed drzwiami stoi dwóch strażników. Zamierzają cię

deportować.

Wiadomość go jakby nie zaskoczyła.

–O'Brien? – upewnił się.

Przytaknęła.

–Nic mu nie powiedziałam. Uprzedzałeś co prawda, że jeśli coś ci się stanie...

–Ale pomyślałaś, że chodzi o coś poważniejszego niż guz na łbie?

–Trzy guzy. A Jacket uciekł, jeśli chcesz wiedzieć. – Milczał przez chwilę, która Charity wydawała się wiecznością. – Nie mogę tu siedzieć w nieskończoność. Jeden z ludzi O'Briena pozwolił mi wejść sądząc, że jesteśmy kochankami.

–A chłopiec zabierze się pewnie statkiem pocztowym... – Trent dodałby coś jeszcze, ale młody Amerykanin wsunął głowę zza drzwi.

–Niech się pani schowa. Zaczyna się obchód lekarski.

Zawahała się, nie wiedząc, co czynić.

–Na litość boską, niech pani rusza – powtórzył Amerykanin wyraźnie wystraszony. – Jaja mi urwą, a ja mam żonę i dzieci.

Zrazu pomyślała, żeby schować się pod łóżkiem, ale zdała sobie sprawę, że znajdą ją, gdy tylko zechcą sprawdzić zawartość naczynia, do którego spływały krople z cewnika. Pozostawała więc szafa. Skulona, w ciemności, nie wiedziała, śmiać się czy płakać. Usłyszała, jak przenoszą Trenta na wózek i gdzieś zabierają. Odczekała pięć minut i wymknęła się z kryjówki. Na korytarzu nie było nikogo. Pobiegła przez park i Shirley Street w stronę przystani statków pocztowych na Potters Cay.

Trent nieraz lądował w szpitalu, więc nie czuł się tu obco. Prześwietlili go, poświecili w oczy, obejrżeli dno oka, sprawdzili odruchy, zmienili opatrunek. Lekarze, którzy się przy nim krzątali, a było ich trzech, przypominali mu trenerów amerykańskich drużyn futbolowych i ich asystentów, co to w ciasnych objęciach szepczą sobie coś do ucha, aby tylko, broń Boże, przeciwnik nic nie usłyszał.

Chciał zaprotestować, oznajmić, że należy do tej samej drużyny, nie wolno go więc wyłączać z narady, ale nie zwracali nań żadnej uwagi. Wreszcie wezwali pielęgniarkę i kazali odwieźć go z powrotem. Niski, czarny Amerykanin i wielki Bahamczyk nie odstępowali wózka ani na krok.

Wreszcie zabrał głos najważniejszy z trójki medyków.

–Miał pan w przeszłości wiele szczęścia, panie Trent, ale niech pan nie przeciąga struny. Tymczasem zatrzymamy pana kilka dni. Zalecam jak najmniej ruchu. – Doktor zatarł dłonie, jakby zachwycony, że są takie gładkie. Byłoby to bardziej na miejscu, gdyby był sprzedawcą pończoch i rajstop w modnym sklepie, a nie chirurgiem. – Tak – ciągnął – proszę wypoczywać. A ta pańska narzeczona niech się lepiej opanuje. Mamy takie powiedzenie

na Bahamach, które, być może, miał pan okazję słyszeć, że ktoś się najadł os. Oznacza to dość ostry język, panie Trent.

Ta pańska młoda dama jada chyba wyłącznie osy, i to te najbardziej jadowite.

Na niewyraźny uśmiech Trenta doktor wyszczerzył zęby z wyraźnym zadowoleniem z siebie – raz na zawsze dał przecież do zrozumienia, gdzie jest czyje miejsce.

–Dam panu coś, co pomoże panu zasnąć, panie Trent.

Pielęgniarka wbiła igłę w ramię pacjenta.

Gdy Trent się ocknął, ręce i nogi ciążyły mu jak ołów. W ustach miał taki smak, jakby żuł stare skarpetki. Cewnik palił żywym ogniem. W czaszce, od karku po prawe oko, czuł tępy ból. Instynkt mu podpowiedział, że ktoś jest w pokoju. Zaczął się przeciągać na łóżku, podniósł prawą rękę niby bezwiednie, dotknął bandażu na głowie, a potem wsunął dłoń pod poduszkę, odszukując palcami nóż. Uchylił nieznacznie powieki, by nie oślepiło go światło dnia.

Przy oknie stał O'Brien. Patrzył na kanał oddzielający Rajską Wyspę. Potężną sylwetką zasłaniał niemal całe okno. Trent westchnął i nacisnął dzwonek.

Gdy zjawiała się pielęgniarka, kazał jej usunąć cewnik, a kiedy zaprotestowała, argumentując, że musi najpierw zapytać lekarza, powiedział, że albo ona to zrobi, albo sam sobie wyjmie.

O'Brien wyszedł na korytarz na czas wstydlwego zabiegu.

–To, co zrobili z tym chłopcem na Bleak Cay, było znacznie gorsze – rzekł Trent, gdy Amerykanin wrócił już do pokoju. –

Póki nie złapiecie zabójcy, daj ochronę Jacketowi.

O'Brien znów zajął miejsce przy oknie. Niewykluczone, że mając na co patrzeć, bądź udając, że patrzy na coś za oknem, czuł się mniej skrępowany.

–Przyniosłem ci trochę winogron – powiedział, wskazując głową nocny stolik.

Trent przymknął oczy. Powinien się z nim wyklócić albo przynajmniej mu nawymyślać. Nie miał jednak siły. Ciekawe, czy to skutek leków, czy też po prostu zaczyna się starzeć. Ból w czaszce wybuchł nagle z większą mocą i doszedł niemal do źrenicy prawego oka. Trent przekręcił się na łóżku, sięgając po wodę z cytryną na nocnym stoliku.

–A co on zrobił? – spytał O'Brien, mając oczywiście na myśli Jacketa.

–Ukrył kokę. Tak przypuszczam. Był przy Cay, łowił homary, gdy samolot się rozbił.

–Odbiorcy albo się spóźnili, albo coś im się popsuło – przytaknął O'Brien, ale powiedział to zupełnie obojętnym tonem.

Trent próbował zebrać myśli. Potarł palcami bandaż na głowie, jakby w ten sposób można było usunąć piekący ból. Bez skutku. Czuł zmęczenie i właściwie nie był pewien, czy chce jeszcze coś z tego zrozumieć czy nie.

–Przyszło ci kiedyś do głowy, że podwójny agent może być podwójnie podwójny albo że podwójny idzie na ekstra-

współpracę za naszymi plecami, jak wasz słynny Philby, który w istocie okazał się agentem Moskwy? – spytał O'Brien.

–Bo nasze MI6 i wasze CIA okazały się za głupie, żeby go złapać?

–Wierzę w głupotę – rzekł O'Brien z niewyraźnym uśmiechem – ale nie potrafię uwierzyć, że ktoś może być zdrajcą – stuknął palcami w szybę wybijając jakiś rytm. – Problem polega na tym, że mamy do czynienia z wieloma warstwami. Niby wszystko wiadomo, a w gruncie rzeczy gówno wiemy. A to za mało, żeby wyrobić sobie własny pogląd, chyba że w kategoriach urzędowych, ale na takiej podstawie trudno przekonać kogoś, kogo darzy się szacunkiem.

–Czy chcesz przez to powiedzieć, że wasz człowiek w Miami, który załatwił samolot Kolumbijczykowi, maczał w tym palce?

–Tego nie wiem. Są różne źródła. Jest ten facet z Nowego Jorku. On właśnie miał odebrać towar, a nam zależy, żeby tak się stało. To amator, lubi dobre życie. Zdolny, potrafi kalkulować. Zaproponujemy mu układ, pewnie się złamie.

–To morderca – rzekł Trent.

–Nie był nim, gdy to wszystko zaczęli przygotowywać.

Zaczęli, oni. Zawsze są jacyś oni. Trent chciał ostrzec O'Briena, że oto zrobił pierwszy krok ku przepaści. O'Brien zdjął okulary i zaczął czyścić szkła. Nie miał ze sobą aktówki. Może nie była potrzebna, bo w pokoju już był podsłuch? To też stanowiło część scenariusza – nagrywać wszystko, co się mówi, i w ten sposób zabezpieczać sobie tyły.

–Skelley wie?

O'Brien nie odpowiedział.

–Jesteście przecież przyjaciółmi, czy to już się nie liczy?

–Stosuję się do rozkazów.

Był czas, kiedy O'Brien był dość wybredny pod tym względem. Sam decydował, które rozkazy są ważne, a które nie. Okulary nosił wtedy w metalowym futerale w kieszeni, a nie na nosie. Ale cóż, jeszcze trzy, cztery lata i emerytura. Tymczasem założył szkła.

–Przeciągniemy amatora, a ten wystawi nam prawdziwego zawodowca. Człowieka, którego mamy na oku od dobrych paru lat. Pracuje nie tylko w narkotykach. Robi w nafcie. Łamie embargo. Departament Skarbu i Departament Stanu wywierają silny nacisk w tej sprawie.

Trent był pewien, że O'Brien coś jeszcze ukrywa, nie mówi wszystkiego. Pracował z nim w przeszłości i doskonale znał przewrotność

Amerikanina. O'Brien najpewniej namierza kogoś innego, potężniejszego i ważniejszego niż ów facet od nafty, który łamie embargo. Trent wyczuwał to instynktownie, rozumiał, o co naprawdę chodzi, do czego O'Brien w istocie zmierza.

Chce się zasłużyć i na koniec kariery wylądować na jakiejś prestiżowej posiadłości w Waszyngtonie. Marzy mu się, żeby dzieciaki mogły szeptać sobie po kątach, że tata jest tym legendarnym agentem, co to rozbił wielką siatkę przemytników i w ogóle. Kiedyś Waszyngton po prostu go brzydził. Trent przypomniał sobie scenę z Andersonem, kiedy tamten walczył z własnym sumieniem.

–I co, spuścisz ze smyczy Andersona? – spytał Trent.

–Anderson żyje w innym świecie – odparł O'Brien. Znów zdjął okulary i nie bardzo wiedział, co z nimi zrobić. Szkła już przecież przetał.

Trenta zastanowiło, jak O'Brien widzi bez okularów.

–Ty też żyjesz w innym świecie – ciągnął O'Brien. – Powiedzmy, że ratujesz chłopca, i co? Co z tego wnosi przeciwnik?

Tylko tyle, że mamy go na oku albo że już go namierzyliśmy.

Albo ta twoja dziewczyna. Chciała dziś popłynąć z chłopakiem na statku pocztowym – mówił to niemal z obrzydzeniem. –

Mamy do czynienia z groźnym przeciwnikiem, a ty, Trent, wystawiasz przeciwko nim nauczycielkę, ty, zawodowiec. Na litość boską, przecież byłeś zawodowcem! – Odwrócił się do okna. Pół

twary w cieniu, pół w pełnym świetle. Stał bez ruchu, obserwując Trenta, potężny, barczysty. – Zejdź mi z drogi. Trzymaj się

z daleka. Do zakończenia sprawy. Rozumiesz? I przestań mnie

straszyć jakimś tam Japończykiem, boja go pierdolę. To, że kupił

tu to i owo, daje mu tylko prawo do płacenia podatków, a nie do wywierania nacisku na rząd Stanów Zjednoczonych lub jego agendy.

–Jeszcze nic nie wiadomo – odrzekł Trent. Znów ból doszedł aż do oka. Bolało mniej, gdy zamykał oczy. – Idź już – dokończył.

Zasnął. Obudził się, gdy pielęgniarka zmieniała kroplówkę. Miejsce O'Briena przy łóżku zajęła Charity. Dłonie zacisnęła w pięści, niecierpliwiła się, widać to było po sztywności ramion i barków. Trent miał wrażenie, że dziewczyna zaraz wyrzuci pielęgniarkę na zbity łeb, ale opanowała się, odczekała, aż siostra zamknęła za sobą drzwi. Dopiero wtedy się odezwała.

–Policja nie wpuściła mnie na Potters Cay, to znaczy na przystań dla statków pocztowych.

Wycofała się i klucząc dostała się na most tuż nad przystanią.

–Był Jacket z łóżkiem. Załadowali je na dach sterówki. Wołałam do niego, ale nie słyszał, bo bardzo wiało.

Zaraz potem policja przepędziła ją z mostu.

–Że niby muszą sprawdzić moje papiery i takie różne gówna.

Trzymali mnie, aż statek odpłynął.

–Nie chcą, żeby coś ci się stało – rzekł Trent.

Nie uwierzyła.

–Powiedzieli, że śpisz. Czekalam dwie godziny. I co mówią lekarze? Jesteś chory czy zwyczajnie kładziesz lachę na to wszystko? – Ze złości parę razy kopnęła ścianę. – No powiedz, żebym wiedziała, co jest grane! – wreszcie krzyknęła pełnym głosem. – Nie ma sensu, żebym tu sterczała, jeśli chcesz zrezygnować. Żeby tak sam wiedział, czego naprawdę chce.

–Wszystko jest ważne, tylko nie Jacket – ciągnęła tym samym tonem – bo co kogo obchodzi murzyńskie dziecko. Wykorzystają go jako przynętę, dobrze mówię, no powiedz, ty sukinsynie?!

–Biały sukinsynie – uzupełnił Trent.

–Co za błazen! O Boże! – Z irytacją rozczesała włosy palcami.

Trent patrzył, jak skręcone loki najpierw prostują się pod jej palcami, a zaraz potem opadają na swoje miejsce. Chciał, żeby wyszła i dała mu wreszcie spokój. Nic przecież nie mógł zrobić. Był sam. Jak palec. W obliczu operacji na tak wielką skalę, że każdy, kto stanie na drodze, zostanie zmieciony.

–Bładym świtem odlatuje samolot do Congo Town, ale nie mam pieniędzy – wykrztusiła z wyraźną niechęcią, że musi prosić o pomoc, a przez to niejako przyznać, że jest utrzymanką. –

Banki są nieczynne w soboty i niedziele, jeśli raczysz sobie przypomnieć – dodała – a ja nie mam kart kredytowych.

Gdy Kapitan Moxey dobijał do nabrzeża w Kemps Bay, Steve z Jesusem Antonio stali w cieniu baru tuż przy przystani.

Plastikowe opakowanie nie było w stanie przysłonić wspaniałości Jacketowego łoża. Wieść o dzieciaku, który kupił łóżko dla swojej rodzicielki, rozeszła się już szeroko i na przystani zebrał się spory tłumek ciekawskich, którzy chcieli na własne oczy zobaczyć moment wyładunku.

Dummy przygadał sobie kumpla, starszego rybaka imieniem Glasgow, który miał łódź taką jak Jezebel. Połączyli je belkami, tworząc coś na kształt katamarana. Łóżko miało spocząć na platformie między obu kadłubami.

Wyładunek był zbyt ważną sprawą, żeby zostawić ją w gestii bosmana. Kapitan osobiście objął komendę. Dwóch majtków uniosło nieco mebel, podkładając pod spód specjalną sieć, zwaną swing, używaną do wyładunku drobnicy.

Główny mechanik zajął miejsce przy kabestanie, okrętowej windzie, która obsługiwała bom ładunkowy. Motor zakaszłał, z rury wydechowej buchnęło spalinami, jednocylindrowy silnik odpalił dudniąc rytmicznie.

Kapitan stanął tuż przy łóżku. Podniósł rękę, wyciągając w górę palec wskazujący. Gdy nim zakręcił dając znak mechanikowi, tłum na przystani wstrzymał oddech.

Mechanik włączył sprzęgło. Lina na bomie naprężyła się, a za nią sieć.

Kapitan sprawdził, czy wszystko jest w porządku, czy łóżko spoczywa w sieci jak należy, i znów podniósł rękę.

Jacket przygryzł palce, gdy łóżko z wolna uniosło się w górę nad dach sterówki. Kapitan zsunął czapkę z czoła, by lepiej widzieć łoże kołyszące się wysoko na tle błękitu nieba. Błysnęła

mosiężna rama, w tłumie gapiów zaszumiało, gdy w zwierciadłach wezłowia odbiły się promienie zachodzącego słońca.

Mechanik wolno obrócił bom na lewą burtę. Łóżko zakołysało się na linach nad otchłanią. Dwóch majtków skoczyło do wody i wspięło się na pokład zaimprovizowanego katamarana.

Sprzęgło znów zapiszczało. Mechanik zwolnił hamulce na windzie i wolno, ostrożnie, zaczął opuszczać łóżko w dół. Dummy, Glasgow i dwóch majtków chwycili sieć, ustawiając ładunek jak należy, na platformie między dwiema łodziami, za jarzmami masztów. Tłum na przystani wiwatował. Majtkowie i dwójka rybaków wyciągnęła sieć ostrożnie, unosząc po kolei wszystkie cztery nogi mebla.

Mechanik przeciągnął bom z powrotem nad pokład statku. Kapitan dał znak Jacketowi, żeby stanął na haku zwisającym z liny dźwigu.

–Trzymaj się, chłopcze! – zawołał kapitan. Mechanik włączył windę, unosząc chłopca do góry.

Jacket spojrzał w dół na tłum na przystani. W promieniach zachodzącego słońca zabłyszczały okulary białego mężczyzny, który wychynął z cienia przy barze na przystani. Rysy były znajome. Wysokie czoło, nieodłączna chusteczka. Tak, tego

samego człowieka widział przecież w parku przy Szpitalu im. Księżniczki Małgorzaty, gdy próbowano go uprowadzić. Struchlał, a z przerażenia niemal puścił linę i byłby spadł, ale w ostatniej chwili, co gapie na przystani skwitowali westchnieniem ulgi, złapał się drugą ręką i podciągnął do góry.

Tłum zaszemrał radośnie, gdy mechanik pchnął bom za burtę i opuścił Jacketa prosto na jego drogocenne łóżko. Jacket skwitował to nieśmiałym uśmiechem i – jakby ze wstydem – pozdrowił tłum ręką. Dummy i Glasgow kończyli już przywiązywać łóżko, żeby się nie zsunęło w czasie transportu. Ustawili maszty. Rzucili cumy. Postawili żagle. Bawełniane płótna załopotwały na wieczornej bryzie, a po chwili wypełniły się wiatrem. Dummy z rybakiem zamontowali na zaimprovizowanej średniówce ster z wiosła i gdy katamaran ruszył z przystani, Dummy dał znak Jacketowi, żeby ten osobiście pokierował statkiem.

Jacket spojrzął za siebie usiłując dojrzeć, co dzieje się w cieniu przy barze. Uspokoił się, gdy wypłynęli na otwarte morze. Poczuli się wreszcie u siebie. Plusk wody między kadłubami, powiew wiatru na plecach, to był jego żywioł i jego świat, w którym Nassau jawiło się jako przypadek, a człowiek z chusteczką jako jedno z jego wyobrażeń.

Towarzyszyła im honorowa eskorta tuzina co najmniej miejscowych łodzi z przyczepnymi silnikami, parę motorówek, skuterów wodnych i ze trzech żeglarzy na deskach. Orszak zamykała duża motorówka typu Bertram do sportowego połowu ryb. Ktoś na brzegu zatrąbił na muszli. Kapitan osiemnastometrowego jachtu motorowego pod amerykańską banderą włączył syrenę. Szyper statku pocztowego też, wygrywając trzy kropki i kreskę – literę V w alfabecie Morse'a. V jak Victory, zwycięstwo.

Dummy i Glasgow machali rękami, poklepywali Jacketa po plecach. Był wreszcie bezpieczny. Świtem staną w zatoce przy Green Creek, a wtedy wystarczy tylko popłynąć na Bleak Cay i odgrzebać pojemniki.

Cudaczny katamaran płynął niespiesznie, trzy mile na godzinę wzdłuż wybrzeża. Zapadał już zmrok. Zachodzące słońce malowało czerwienią i różem niebo po drugiej stronie wyspy, a od wschodu dochodziło dudnienie fal bijących o rafy.

Jacket spał na łóżku, śniąc, że jest na Bleak Cay. Odkopywał pojemniki, ale im więcej piasku odgarniał, tym głębiej zapadały się pudełka. Nad otworem w ziemi stała mama z rękami wspartymi na biodrach, a obok niej mężczyzna w okularach z nieodłączną chusteczką. Patrzyli obojętnie, ich twarze niczego nie wyrażały, śmiali się tylko szeroko, od ucha do ucha. Naprzeciwko nich stanął ojciec. Jacket chciał krzyknąć, ostrzec go, ale nie zdążył. Piasek osunął się, ojciec wpadł w dziurę i zniknął zasypany miąką ziemią. Mężczyzna z chusteczką wyciągnął długą rękę, złapał Jacketa za ramię i zaczął nim potrząsać. Jacket obudził się krzycząc, bijąc Dummy'ego w rękę. Glasgow też się obudził.

Stary rybak zobaczył, że Jacket sływa potem. Uśmiechnął się łagodnie.

–Nic ci nie jest, chłopcze? – spytał, głaszcząc go po barku.

Jacket potrząsnął tylko głową.

Stary zachichotał przypominając sobie, co przyszło mu do głowy w nocy, gdy

trzymał wachnię.

–Wiesz, że będą cię teraz nazywać Jacket-Łóżko?

Jacket uśmiechnął się krzywo. Spojrzał na wschód. Blady róż pokrył chmury nad głębią Tongue.

–Zbiera się na burzę – oznajmił Glasgow. Pokazał Dummy'emu ciężkie chmury na horyzoncie, a Dummy kiwnął głową na potwierdzenie i wskazał palcem niebo nad Andros, dając do zrozumienia, że sztorm zacznie się, gdy słońce znajdzie się w tym właśnie miejscu.

Kiedy zbliżyli się do cypla oddzielającego Green Creek od działki Wintertona, słońce wzniosło się nad horyzont, oblewając złotem morze, aż po brzeg, za którym wyrastała biała, betonowa ściana, z rozpalonymi ogniami okiennych szyb domu Wintertona.

Gromadka śnieżnobiałych mew-siewek wzbiła się w powietrze nad bagnami za cyplem. Krzyk ptaków mieszał się z szumem fal. Między drzewami na brzegu błysnęła żółtawy pancerz morskiego żółwia, para fregat stała przy plaży Green Creek czekając, aż rybacy wrócą z pełnymi sieciami.

Dummy ustąpił miejsca Jacketowi przy sterze, a sam z rybakim zajął się żaglami, gdy Jacket pchnął rumpel szykując zwrot. Wschodzące słońce oświetliło wezglowie łóżka, a odbite promienie rozświetliły twarz chłopca.

Gruby Charlie pierwszy spostrzegł zaimprovizowany katamaran. W chwilę potem cała gromadka łodzi ruszyła z brzegu na powitanie, a na plaży zebrał się tłumek wyspiarzy. Patrząc na północ Jacket dostrzegł na zboczu wzgórza mamę w niebieskiej sukni. Jak co dzień zmierzała do domu pana Wintertona.

Dummy i Glasgow zrzucili żagle. Jacket skierował katamaran prosto na plażę, gdzie już dziesiątki rąk chwyciły burty obu łodzi, wyciągając je głęboko na plażę. Padały dziesiątki pytań – gdzie kupił łóżko, za ile, jak przewiózł je z Nassau. Jacket nie był w stanie dobrać słowa. Glasgow odpowiadał w jego imieniu.

Przez tłum przedarł się policjant. Jacket zadrżał na jego widok. Tymczasem, kto żyw chciał go poklepać po plecach, popisać się znajomością nowego przezwiska – Jacket-Łóżko. Wszyscy chcieli na własne oczy zobaczyć wspaniały mebel w całej okazałości i wziąć udział w wydarzeniu, które przejdzie do historii.

Ze dwa tuziny rąk uniosły łóżko, tyleż ust wykrzykiwało sprzeczne ze sobą instrukcje i rady. Łóżko przestało właściwie należeć do Jacketa. Stało się własnością pospólną. Cała wieś niosła je przez zagajnik i dalej przez osadę, ku sosnom, za którymi stała chata Jacketa, improwizując pieśń na jego cześć.

–Jacket-Łóżko, Jacket-Łóżko – skandowały dzieci, a gdy wreszcie orszak dotarł do chaty i mężczyźni postawili łoże na piasku przed schodkami, zapadła cisza.

–Kurczę – rzekł ktoś -jest większe niż ta cała marna chata.

Pete-Kwakier, wioskowy cieśla, przedarł się przez tłum, wszedł na schodki.

–Jacket, masz klucz? – zapytał.

Jacket pobiegł na tył domu i dostał się do środka drzwiami od podwórka na zapleczu. Przykucnął na podłodze. Promienie słońca wdzierające się przez szczeliny w ścianach ukazały całą nędzę jego rodzinnego domu. Nie chciał, żeby ludzie to widzieli, a już złośliwy rechot dobiegał zza ściany. Przypomniawszy sobie dom pana Dribbiego.

Na drewnianych schodkach wiodących do drzwi od podwórka rozległo się stąpanie bosych nóg. Były wielkie, z płaskimi paluchami.

–Popłacz sobie. Nie ma się co wstydzić – rzekł Pete-Kwakier.

Był wysokim, szerokim w ramionach mężczyzną. Podniósł Jacketa z podłogi i ułożył na pryczy.

–Pan Jezus też urodził się w stajence – powiedział łagodnie. –

Zrobiłeś wielką rzecz. Przez całe lata ludzie o niczym nie

będą mówić, tylko o tym, jak przywiozłeś łóżko aż z Nassau.

Ojciec w Stanach też się o tym dowie i będzie z ciebie dumny i przyjedzie do domu, a mama też będzie dumna i na pewno cię

ucałuje, gdy wróci od Wintertona. I po raz pierwszy w życiu

naprawdę się wyśpi. Tak będzie, mój chłopcze – mówił, kiwając

głową na potwierdzenie. – Ja tymczasem zawołam Christiana,

wyjmemy drzwi, wyniesiemy to stare wyrko i wstawimy nowe.

O nic się nie martw. Wszystko zrobimy, zanim nadejdzie matka.

A ty posiedź sobie i wypocznij.

Jacket nie miał czasu na wypoczynek. Czekwały nań pojemniki na Bleak Cay. Pete-Kwakier przekomarzał się z tłumem na dworze, wołał Christiana, żeby ten kopnął się do warsztatu po narzędzia.

Przez szczelinę w ścianie Jacket zobaczył policjanta, który stał niby to obojętnie pod drzewem. Nie powinno go tu być, nie był jednym z gapiów, skoro więc jest, to na pewno w jakiejś konkretnej sprawie. Victor pewnie z kimś rozmawiał, komuś wyjawiał, że Jacket był świadkiem katastrofy samolotu.

Wymknął się więc z domu drzwiami od podwórza, zanurzył między sosny i łukiem pobiegł na plażę. Dummy i Glasgow rozmontowali już platformę spinającą obie łodzie. Jacket zepchnął Jezebel na wodę, obrócił dziobem w stronę otwartego morza, podniósł żagiel i skierował łódź na południe, tam gdzie urywała się linia raf.

Znów ogarnął go lęk. Starał się z nim walczyć, powtarzając sobie w myślach to, co Pete-Kwakier mówił o ojcu – że dotrze

=brak str. 242-244

mniej sprzyjający współpracy i nie tak życzliwy, jak oczekiwano, to Japończycy zawsze mogą przenieść się na Bermudy, Holenderskie Antyle czy na Kajmany, gdzie obowiązują równie korzystne dla ich interesów przepisy podatkowe i majątkowe.

–Jak widzisz, nie trwało to długo – zaśmiała się kończąc opowieść.

Trentowi coś w tym czasie przyszło do głowy, ale myśl umknęła, zanim zdążył ją zapamiętać. Usiłował się skoncentrować, przypomnieć ją sobie, ale daremnie.

–A co mówią lekarze? – dopytywała się Lois.

Na nowo założyli cewnik.

–Wiemy, że nie jest panu z tym wygodnie – powiedział doktor – ale zależy nam, żeby pan się nie ruszał i poleżał jeszcze trochę.

Lois tymczasem zajęła się garderobą Trenta. Zabrała do prania jego rzeczy. Przygotowała czystą koszulę i spodnie. Sprawdziła portfel. W środku były tylko drobne banknoty.

–Brakuje karty kredytowej Amex – stwierdziła.

–Chyba Charity ją wzięła.

Charity złapała poranny samolot do Congo Town, a stamtąd autobusem dostała się do Green Creek. Wieś była wyludniona. Wszyscy zgromadzili się przy chacie Jacketa. Pete-Kwakier i Christian wymontowali już drzwi, a teraz rozbierali ościeżnicę. Jacketa nie było. Pobieгла na plażę. Jezebel też zniknęła. Spojrzała na morze. Za rafami gęstniały chmury. Na łodzi należącej do Charleya Tłuściocha wisiał dziesięciokonny przyczepny silnik. Sprawdziła, czy zbiornik paliwa jest pełny.

Trent przyglądał się pielęgniarce, która przyszła wymienić pojemnik z płynem do kroplówki. Była młodą, przystojną kobietą, uśmiechnął się do niej, gdy wilgotnym tamponem przecierała mu czoło i wygładzała włosy. Nagle przypomniał sobie. To była pielęgniarka z nocnej zmiany i gdy nocą zmieniała pojemnik, życzyła mu „słodkich snów”.

Czuł, że świat znów zaczyna gdzieś odpywać. Musi wytrwać, ale też musi działać niezwykle ostrożnie. Zamknął oczy. Wbił paznokcie głęboko w mięśnie na udach. Gdy tylko usłyszał, że pielęgniarka zamknęła za sobą drzwi, odrzucił koc i wyrwał igłę z żyły, po czym wetknął ją w bandaże na przedramieniu tak, by wszystko wyglądało jak gdyby nigdy nic.

W czasie lotu z Dallas Fort Worth do Frankfurtu personel American Airlines otoczył pana Dribbiego staranną opieką, na miejscu zaś – we Frankfurcie – czekał już specjalny przedstawiciel linii, który odebrał go z samolotu i przeprowadził do podstawionej limuzyny. Żadna jednak, nawet najlepsza opieka nie mogła ująć lat, które ciężkim brzemieniem kładły się na barkach starca. Zmęczony zasnął, gdy tylko umieszczono go w mercedesie otulając pledem. Szofer ominął miasto i wjechał na autostradę 46 w kierunku na Zurych.

Na tym etapie podróży panu Dribbiemu towarzyszył jeden z jego osiemnastu wnuków – czterdziestosześcioletni absolwent prestiżowej francuskiej Fxole de Mathematique, piastujący urząd głównego inspektora do spraw kredytów w Dribbi Agriculture Fund and Produce Bank – Banku Rolnym i Fundacji imienia Dribbiego, należącej oczywiście do rodziny.

Do granicy szwajcarskiej mieli jeszcze dwieście pięćdziesiąt kilometrów, gdy wnuk zastukał w szybę oddzielającą miejsca pasażerskie od kierowcy, każąc zatrzymać się przy najbliższym zajeździe. Pan Dribbi poczuł się gorzej. Stanęli więc w hotelu. Pana Dribbiego umieszczono w apartamencie i wezwano lekarza z pobliskiego szpitala.

–Wyczerpanie organizmu – brzmiała diagnoza, a w ogóle to nonsens, aby osiemdziesięcioletni starzec najpierw okrążał pół świata samolotem, a potem

jeszcze przemierzał sześćset kilometrów samochodem. Doktor nie ukrywał, co myśli o wnuku, jego bezmyślności i braku troski o starego, steranego człowieka.

Zostawił receptę na łagodny środek pobudzający pracę serca i dość słony rachunek. Pół godziny później z pokoju na pięterku wychynał mężczyzna, z wyglądu sądząc Brytyjczyk, komiwojażer nie najwyższego chyba lotu albo wręcz pechowiec. Przekroczył już sześćdziesiątkę, miał na sobie znoszone ubranie z błękitnego diagonalu, wyświecone na kolanach i łokciach, wystrzępione przy mankietach. Równie biednie prezentował się jego krawat i koszula. Jednocześnie był wyjątkowo schludny – włosy i wąsy starannie przystrzyżone, obuwie wyczyszczone do połysku, ubranie, choć znoszone, odprasowane jak należy.

Wnuk spostrzegł go na schodach, dał znak, żeby zaszedł do pokoju pana Dribbiego.

–Pan Brown, dziadku – zaanonsował.

Pan Dribbi skinął i przybysz zbliżył się do łóżka.

–To bardzo uprzejme z pańskiej strony, że zgodził się pan, panie Dribbi, na kogoś w moim wieku – rzekł Brown.

–Mam nadzieję, że jeszcze mnie pan przeżyje – zachichotał Dribbi, jak to miał w zwyczaju, podając Brownowi fotografię i szarą kopertę z aktami.

Brown studiował zdjęcie przez pół minuty, a następnie otworzył kopertę, wewnątrz której znajdowały się dwie kartki papieru. Na pierwszej narysowano plan rezydencji – domu i otaczającego terenu, na drugiej zamieszczono szczegółowe dane dotyczące zabezpieczenia, służby oraz opis zawartości poszczególnych pomieszczeń.

–Zależy mi na szybkim i dokładnym wykonaniu zlecenia, panie Brown – rzekł pan Dribbi.

–Tak też rozumiem – odparł Brown, oddając zdjęcie i akta panu Dribbiemu.

Wrócił do siebie, spakował niewielką tekturową walizkę, zapłacił rachunek, wsiadł do mocno zużytego, czarnego volkswagena golfa i ruszył autostradą w stronę Frankfurtu.

Z kroplówki wyciekła połowa zawartości, wsiąkając w bandażę i pościel. Trent ocknął się na mokrych prześcieradłach. Nie ruszając się z miejsca zrobił przegląd własnego ciała. Skupił wzrok na framudze drzwi. Powiódł oczami w górę, potem w lewo i w dół. Wzrok w porządku. Ból w głowie zelżał, dokuczał nie bardziej niż zwykła migrena. Charity zarzuciła mu kapitulację, ale przecież sprawa nie była ani łatwa, ani prosta. Choćby tych dwóch strażników przy drzwiach. Niby drobnostka, ale jednak. Tego Charity nie zechciała wziąć pod uwagę. O tej porze była już pewnie na South Andros, podobnie jak Jacket. Niewiele by wskórał, gdyby miał przystąpić do akcji na wpół przytomny. Najpierw trzeba przeanalizować sytuację.

Zaczął od nieudanego porwania. Starał się myśleć tak jak ów ktoś, kto stał za tym wszystkim. Odbiorca nie przejmuje towaru. Katastrofa samolotu. Morderstwo. Nieudane porwanie.

Z kolei zajął się strukturą sił przeciwnika. Na samym dole są „żołnierze” – ci, co schrzanili porwanie. Wyżej – ów amator z Nowego Jorku, jeszcze wyżej – człowiek, który łamie embargo, no i oczywiście ktoś, o kogo chodzi O'Brienowi. Do tego trzeba dodać dostawców i ostatecznych odbiorców towaru, załogę motorówki lub motorówek. Nic w tym obrazie nie jest proste.

Rozumiał, o co zabiegają ci z DEA. Zależało im na spektakularnym sukcesie, aby zatuszować skandal. Zastanawiał się, dlaczego nie zabrano mu noża. Sięgnął pod poduszkę, wymacał chłodną stal.

Przeoczenie, czy też nie skojarzono, że ten kawałek stali stanowi jednak śmiercionośną broń. To niepodobne do O'Briena. Ten nie popełniłby takiego błędu.

A na kim właściwie O'Brienowi zależy? Kto ma być „przepustką” do Waszyngtonu? Jakaś ważna figura, ktoś niedotykalny? To byłoby zbyt ryzykowne dla O'Briena w jego nowym wcieleniu. A więc celem jest raczej ktoś inny. Ktoś, na kogo od dawna, ale bezskutecznie zastawiał sidła. Na tyle bezskutecznie, że chciał już zrezygnować. Ktoś na tyle sprytny i ostrożny, że stał się legendą w tym świecie. Kogoś tak ostrożnego musi jednak zaniepokoić cały ten bałagan, a więc rozpocznie czystkę.

Przez sekundę Trent bawił się myślą, że w O'Brienie odezwało się sumienie i dlatego zostawił mu nóż, by w razie czego miał się czym bronić. Zresztą to nieważne. Sięgnął po zegarek, 14.10 – stwierdził ku swemu zaskoczeniu. Pochmurna aura sprawiała, że pora wydawała się znacznie późniejsza.

Usiadł na łóżku. Spojrzał na ołowiane chmury za oknem. Powietrze stało nieruchomo. Nawet najmniejszy powiew nie poruszał liśćmi drzew. Za godzinę najdalej zacznie się tropikalna burza. Potrzebne mu było ubranie, pieniądze i środek lokomocji na lotnisko. Na to zejdzie co najmniej pół godziny. Znalezienie samolotu, a zwłaszcza pilota, który zechciałby polecieć na South Andros, trwałoby kolejne pół godziny. Przelot – co najmniej godzinę, jeśli w ogóle ktoś zechciałby wystartować przy tej pogodzie.

Wdział koszulę i spodnie, które przyniosła Lois. Na nogi wsunął żeglarskie pantofle. W pokoju było krzesło, jedno jedyne zresztą. Ujął je oburącz, stając pod

ścianą przy drzwiach. Cisnął krzesłem w okno.

Na dźwięk rozbijanej szyby do pokoju wpadło dwóch policjantów po cywilnemu, biali i czarnoskóry. Zobaczyli roztrzaskane okno, zaklęli i rzucili się do przodu, żeby wyrzeć na zewnątrz, w dół, gdzie rozciągał się przyspitalny park.

Zanim spostrzegli się, że wyprowadzono ich w pole, Trent zdążył wybiec z pokoju na korytarz. Przebiegł klusem parking, a po drugiej stronie wzgórza zatrzymał taksówkę. Wsiadł w centrum handlowym i z automatu zadzwonił do Lois. Nic nie powiedział. Zanucił tylko „Yellow Submarine” Beatlesów, a gdy upewnił się, że Lois usłyszała, zanucił jeszcze kilka taktów „Mostu na rzece Kwai”. Lois bez słowa przerwała połączenie.

Wyszedł na ulicę. Złapał taksówkę. Przejechał mniej więcej milę w kierunku przeciwnym do wybrzeża. Wsiadł. Przeszedł parę

ulic. Wsiadł do autobusu, którym dojechał do mostu na Rajską Wyspę. Wszedł na most. Zatrzymał się w połowie drogi i oparty o balustradę przyglądał się z góry ruchowi jachtów i łodzi rybackich uciekających do przystani. Za trzy kwadransy zacznie się ulewa. Liczył, że uda mu się wyprzedzić burzę.

Lois zajechała swoim fordem fiestą. Od sąsiadki pożyczyła psa jako wytłumaczenie, dlaczego całe tylne siedzenie i podłogę pokrywa koc, pod którym ukrył się Trent.

Tak dojechali na przystań, gdzie, na samym końcu kei, stała motorówka Tanaki Kazuko Yellow Submarine – pomalowana oczywiście na żółto, typu Sunseeker 45 Apache z trzema silnikami Mercruiser 500. Na spokojnej wodzie bez trudu wyciągała siedemdziesiąt węzłów. Japończyk korzystał z niej rzadko, trzy, góra cztery razy w roku, głównie zresztą po to, żeby zrobić wrażenie na klientach firmy. Trent występował wtedy w roli sternika.

Lois pamiętała, żeby zabrać kluczyki do łodzi z sejfów w biurze.

–Ale beretty nie znalazłam – powiedziała ze smutkiem.

–Ja ją wziąłem.

–Jesteś pewien, że wiesz, co robisz?

Trent niczego nie był pewien.

–Myślę, że będzie nieliche zamieszanie. Spróbuj dotrzeć do O'Briena. Powiedz mu, że trzeba pilnie wysłać silny oddział na Bleak Cay.

Z domku klubowego przybiegł stary bosman-przystaniowy.

–Jest zatankowana do pełna – zameldował. Spojrzał wymownie na ołowiane niebo. – Pan z Japonii nie będzie zadowolony, jeśli coś się stanie z jego „łodzią podwodną”.

Trent skoczył na pokład. Zszedł do kokpitu, w którym zamontowano potrójne fotele na hydraulicznych amortyzatorach, jak w rasowych łodziach regatowych. Włączył najpierw wentylatory, aby usunąć z zeny niebezpieczne gazy. Następnie włożył kluczyk do stacyjki i uruchomił wszystkie trzy silniki. Bosman oddał cumę rufową, wskoczył na pokład i przeszedł do szpringu dziobowego.

Trent rozgrzewał silniki przez parę minut, po czym dał znak bosmanowi. Ten

zwolnił cumę dziobową, sam zaś przeskoczył na pokład sąsiedniego jachtu.

–Stopy wody pod kilem – rzucił na pożegnanie, gdy Trent wyprowadzał potężną motorówkę z przystani.

Za falochronem Trent zasiadł na fotelu sternika, zapiął pasy

i dopiero wtedy otworzył przepustnicę. Potrójny silnik zawył wchodząc na obroty, dziób sunseekera wznosił się wysoko w górę, rufa zapadała się pod pchnięciem potężnych śrub. Po chwili dziób opadł, by za moment znów wzniesć się w górę. Trent wyrównał trymerami i skierował łódź do wyjścia z kanału.

Sam kadłub Yellow Submarine waży dobre pięć ton. Potrójne silniki – blisko dwie tony. W pełnych zbiornikach mieszczą się trzy tony benzyny i dwieście pięćdziesiąt litrów słodkiej wody. Przy trzech tysiącach obrotów na minutę czternastometrowa łódź rozwija pięćdziesiąt pięć mil na godzinę. Przy tej prędkości idzie w ślizgu i tylko rufowa część kadłuba nurza się w wodzie. W kanale nie było innych jednostek, Trent dodał gazu, silniki weszły na cztery tysiące obrotów, łódź szła teraz z prędkością sześćdziesięciu węzłów.

Zerkając na chmury Trent oceniał, że pogoda utrzyma się co najwyżej pół godziny, potem zacznie się sztorm. Zostało więc trzydzieści minut. Mało. Dodał gazu. Log wskazywał siedemdziesiąt mil na godzinę. Przy tej prędkości jakakolwiek przeszkoda – kawałek belki pływającej na falach, pułapka na homary wymyta z dna – stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Tam gdzie nabrzmiewały ołowiane chmury, rozciągał się mrok. Reszta niebosłonu była jeszcze jasna. Trent niemal fizycznie czuł wzbierającą burzę. Wiszący w powietrzu sztorm zdawał się spychać Yellow Submarine na prawą burtę. Tuż za główkami wejścia do kanału zaczynała się martwa fala. Trent jeszcze mocniej zacisnął pasy. Łódź wyskakiwała w powietrze na szczytach i nurzała się w wodzie, gdy trafiała na dolinę między falami. Ciężki kadłub wibrował od uderzeń, a silnych drgań nie tłumili ani amortyzatory, ani gruba wykładzina foteli. Drżenie plastikowego kadłuba wnikało głęboko w ciało sternika, atakowało kręgosłup, rozdzierało bólem czaszkę. Zaczął głośno liczyć, aby nie myśleć o bólu. Doliczył do stu i zaczął rachunek na nowo. Całą uwagę musiał teraz skupić na morzu i łodzi. Głośne wyliczanie stwarzało jakby tarczę chroniącą przed bólem i żywiołem. Jedną ręką trzymał ster, drugą manipulował gazem, dodając lub ujmując obrotów, dostosowując prędkość do układu nadbiegających fal. Ojciec uczył go, że sternik musi wyczuć łódź, tak jak jeździec wyczuwa wierzchowca. Sztuka polega na tym, aby zespolić się z maszyną w jedną całość. Najmniejszy bowiem błąd grozi nieuchronną katastrofą. Każde drgnienie kadłuba, każda zmiana rytmu silników i uderzeń o fale są sygnałem, na który trzeba umieć błyskawicznie reagować, instynktownie, bez zastanowienia, bo nie ma czasu na angażowanie umysłu. Do Bleak Cay może dotrze w półtorej godziny. Ale tylko wtedy, jeśli okaże się szybszy niż wzbierający sztorm.

Bleak Cay kąpało się w promieniach słońca, aczkolwiek to, co dało się widzieć na skrawku popołudniowego nieba, gdzie jeszcze nie sięgała ołowiana warstwa chmur, z trudem dawało się nazwać słońcem. Wilgotne powietrze jak pryzmat rozszczepiało złocistą kulę na miriady koncentrycznych, coraz bledszych pierścieni. Na horyzoncie

widać było zbliżającą się nawałnicę. Z daleka wyglądała jak czarna, półprzeźroczysta kurtyna na tle szarych, ciężkich chmur. Powietrze stało nieruchomo. Dopiero za chwilę wiatr przyniesie zapach deszczu. Tymczasem wezbrana wilgocia cisza rozciągała się nad całą Wielką Ławicą Bahamską, a narastająca na północnym horyzoncie fala jakby nie miała jeszcze zamiaru zakłócać leniwego spokoju wód wokół Cay. Nawet grzywacze na głębi Tongue of the Ocean zdawały się kapitulować pod brzemieniem nadchodzącej nawałnicy.

Mewy, siewki i albatrosy dawno już uleciały na Andros, szukając bezpiecznej kryjówki między sosnami i wśród mokradeł porośniętych mangrowcami. Jedna tylko, czarna łódka zakłócała obraz bezruchu. Jacket pracował wiosłami.

Na szczęście wzbierający właśnie przyływ też toczył się ku Bleak Cay. Jacket nawigował wedle znanych sobie znaków. W miejscu, skąd widać było szarą skałę na brzegu, a za nią gęstą kępę traw, zaczynał się wąski przesmyk wśród raf. Najpierw trzeba skręcić ostro w lewo, na dwa uderzenia wiosła, potem prosto, potem znów w lewo jakieś dziesięć stopni i mocno na prawą burtę, znów prosto między koralowcami i już wypływało się na lagunę, spokojną teraz i wygładzoną dopalającym się słońcem.

Ciszę, która spowijała wszystko wokół, rozdzierało tylko skrzypienie dulek, plusk wody zmaczonej piórami wiosła i coraz szybszy oddech wiosłarza.

Jacket skierował łódź na plażę. Przez chwilę stał nieruchomo na brzegu, próbując się zorientować w położeniu. Była noc, gdy zagrzebywał pojemniki w piasku. Teraz przedziwna poświata

dogorywającego słońca i żar zakłócały obraz. Czuł obecność Vica i drżał zaleknieiony wspinając się na wydmxę. Od północy dobiegał warkot motorówki, spojrzal więc w tamtą stronę. Żar rozpalil powierzchnię morza, zamazując horyzont, przez chwilę nie widział nic prócz czegoś, co jak biała strzala mknęło nad falami, kursem na wschód od Bleak Cay.

Wtedy to pierwsza błyskawica rozdarła ołowiane chmury. Jacket zaczął odliczać sekundy. Cztery, pięć, sześć. Tyle ich upłynęło, nim dobiegł go głuchy odgłos grzmotu. Sekunda to mila, piorun więc uderzył sześć mil stąd. Odwrócił się, by spojrzeć na białą strzałę, co wtapiała się już w rozgrzane powietrze. W świetle błyskawicy przez chwilę widać było wyraźnie: sportowa łódź z niewielkim pontonem na rufie. Dwóch ludzi na mostku jawiło się z daleka jak dwie zapalki.

Pierwszy powiew wiatru targnął kępami traw i omiółł chłodem rozpalone ciało Jacketa. Niósł ze sobą zapach deszczu. Jacket podniósł wzrok patrząc na blednące w wilgotnej mgle słońce. Kolejna błyskawica rozerwała ołowiane chmury, za nią jeszcze jedna. Podwójny grzmot rozlał się potężnym hukiem nad Cay.

Jacket zadrżał, gdy tężejący wiatr wcisnął mu się pod koszulę. Pchane wiatrem drobiny piasku na kształt suchych potoków opływały korzenie ledwie wegetujących roślin na Cay.

Co za głupcy, pomyślał Jacket patrząc na białą motorówkę. Łódź cięła stojącą jeszcze wodę z prędkością dwudziestu węzłów, odkładając za sobą dwie bielejące bruzdy kilwateru. Słysząc było głęboki pomruk potężnego silnika, ale sportowa

motorówka była stanowczo za mała, by mogła stawić czoło nadchodzącej burzy. Chciał wstać, krzyknąć, ostrzec sternika, że najwyższy czas poszukać schronienia za Andros. Motorówka tymczasem zawróciła, kierując się na południowo-wschodni brzeg Bleak Cay.

Z tamtej strony nie było wejścia na lagunę, a sama wysepka była zbyt mizerna, aby osłonić łódź przed sztormem, chyba że kotwica wytrzyma. Jacket leżał na wydmie i patrzył, co się dzieje.

Był dzieckiem, miał ledwie trzynaście lat, ale znał się na morskim rzemiośle i potrafił ocenić umiejętności sternika. Kotwicę trzeba rzucić dokładnie w połowie południowej linii raf, bo tylko tam będzie można schronić się przed naporem fal, które napłyną z obu stron laguny. Było tam piaszczyste i w miarę głębokie dno. Cay da osłonę na niewielkim obszarze, do trzystu metrów średnicy.

Wyraźnie widział sternika na mostku. Spodziewał się ujrzeć białego człowieka, tymczasem na mostku stał potężny Murzyn. Rozpoznał łódź. Była to jednostka typu Bertram 36.

Hen, daleko za nią pojawiła się inna motorówka – łódź typu Cigarette z drużyną „sanitarną” na pokładzie. Za sterem stał jeden z byłych marines. Trzej pozostali Kubańczycy sprawdzali broń w kabinie.

Jeszcze dalej, godzinę jazdy od Cay, mknęła Yellow Submarine. Trent nie miał czasu, żeby się rozglądać, ale czuł na barkach wzbierający sztorm i chłodny, nabrzmiały deszczem powiew wiatru.

Burza nadciągała z północnego wschodu. Charity widziała, jak bertram kryje się za wysepką. Sama nie miała już czasu, żeby szukać schronienia. Wyłączyła silnik, przechyliła go na pawęży, żeby unieść śrubę nad wodę, chwyciła za wiosła, kierując łódź wąskim kanałem na lagunę. Jezebel leżała na piasku, na brzegu. Charity krzyknęła nawołując Jacketa.

Pierwsze, ciężkie krople deszczu uderzyły w plecy Jacketa i zaczęły wybijać ciemne plamy na piasku. Zerknął przez ramię na ścianę ołowianych chmur, gdy błyskawica znów rozerwała mrok. Tylko sekunda upłynęła między błyskiem a grzmotem. Ziemia zadrżała z jękiem.

Chmura zasłoniła słońce. Ulewa uderzyła w lagunę. Jacket podciągnął nogi pod brodę, kuląc się z zimna. Otoczyła go deszczowa kurtyna, przysłaniając bertrama.

Właśnie! Gdy motorówka zniknęła za ścianą deszczu, Jacket przypomniał sobie człowieka z chusteczką, który obserwował go z cienia przy barze w Kemps Bay, kiedy to wisiał na dźwigu. Przypomniał też sobie, że taka motorówka zamykała orszak łódek, który towarzyszył im, gdy wypływali z Dummym i Glasgow z przystani pocztowej.

Leżał dygocąc w mroku. Dłońmi osłaniał usta i nos, aby ułatwić sobie oddychanie w ulewie. Widoczność skurczyła się do paru ledwie metrów. Tylko pioruny rozrywały ciemność. Grzmiało nieustannie. Zboczem wydmy płynęły strumienie wody.

Jacket poczołgał się w stronę wydmy, gdzie zagrzebał był pojemniki. Gdy wylądował na wyspie, żar i dziwna poświata zdezorientowały go, a teraz oślepiła ulewa. Deszcz przygniatał trawy do ziemi i chłopiec nie odnajdywał żadnych

znajomych sobie znaków. Walcząc z wiatrem, wycofał się na sam brzeg. Odszukał skałę, przy której cumował łódź tamtej pamiętnej nocy, i stamtąd ruszył w stronę miejsca, gdzie nocą zaciągnął zwłoki pilota, a potem jeszcze dalej, licząc kroki, jak tamtej nocy. Sto dwadzieścia dwa kroki wzdłuż wydmy.

Potknął się o wystający korzeń i wylądował nosem w piasku. Z desperacją zaczął odgarniać piasek oburącz, kopiąc jak pies. Niczego nie znalazł. Grzmot zagłuszał kroki niemieckiej grupy pościgowej. Wiatr tłumiał krzyki, gdy żołnierze rozsypali się tyralierą, szukając jego kryjówki. Zdradził go błysk pioruna. Był tylko jeden człowiek, który mógł mu przyjść z pomocą, i to jego przywołał Jacket. Stał ledwie widoczny w ciemności, w mundurze spadochroniarza. Dystynkcje pułkownika połyskiwały na pagonach, a na piersiach – trzy rzędy baretek. – Zaczynaj jeszcze raz – polecił ojciec szeptem. – Nie podnoś się. Poszukaj najpierw śladów ogniska.

Jacket posłusznie wykonał rozkaz. Raz jeszcze przemierzył wyliczone kroki. Zatrzymał się i pilnie szukał śladów węgla. Szary strumień wskazywał miejsce. Zaczął pośpiesznie kopać. Tak, to było to miejsce, gdzie ukrył ładunki wybuchowe. Wieka były przylutowane. Wiele godzin zabrałoby ich otwarcie i nie zdążyłby wypuścić z nich gazu trującego, którego Rosjanie chcieli użyć w operacji. Jedyna nadzieja to ułożyć rzędem miny na całej wysepce. Prześladowcy ominą pierwszy ładunek, potem drugi, a kiedy dotrą do zasadniczego magazynu, wtedy wystarczy włączyć detonator i zadać im śmierć.

Dźwignął pierwszą minę na szczyt wydmy i sturlał ją w dół ku plaży. Wiatr mu sprzyjał. W sumie przeniósł cały tuzin ładunków. Kolejnych siedem ułożył między szczytem wydmy a miejscem, gdzie spoczywała cała reszta. Pięć następnych rozłożył szeregiem w poprzek wysepki. Desant musi na nie natrafić niezależnie od miejsca lądowania. Jego zaś zadanie polegało teraz na tym, aby zbiec i ostrzec dowództwo.

Przemknął się na plażę, tam gdzie zostawił łódź. Czołgał się, jak kazał ojciec. Wśród grzmotów wylawiał huk fal napierających na rafę. Fale miały już pewnie z półtora metra. Wiatr w porywach – ze sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Wyjście z laguny znanym mu przesmykiem było tak samo prawdopodobne jak to, że nagle uniesie się w powietrze.

Czołgał się po piasku, szukając wzrokiem znanych sobie znaków, które powiedziałyby o wysokości fali przyływu. Do kulminacji została jeszcze godzina. Huragan napędzał morze na lagunę. Woda podniosła się o pół metra ponad poranny szczytowy punkt. Woda z laguny wylewać się będzie na zachód, gdy przyływ ustanie, a wiatr zelżeje. To była jedyna jego szansa. Przepląnąć nad rafą pod ogniem nieprzyjacielskiej floty. Odwrócił się, osłonił oczy rękami, wypatrując nieprzyjacielskiego desantu.

Było ich siedmiu na pokładzie bertrama: Steve, Jesus Antonio, sternik i czwórka, która nieudolnie próbowała uprowadzić Jacketa. Ruszyli zaraz po telefonicznym sygnale od policjanta z Green Creek, że Jacket wypłynął na Bleak Cay. Przesmykiem Middle Passage przepłynęli na zachodnią stronę Andros, a stamtąd wzięli kurs na południe.

Sporo czasu zabrało im manewrowanie wśród płycizn przy zachodnim brzegu Andros, ale gdy tylko wypłynęli za cypel, dostrzegli sylwetkę łodzi na tle mroczniejącego przed burzą horyzontu. Chłopak pożyczzył chyba od kogoś motor, bo przez lornetkę widać było, że na pawęży wisi niewielki, przyczepny silnik.

Steve chciał przechwycić chłopca na otwartym morzu, ale na to nie zgodził się sternik, który w obawie przed szybko zbliżającym się sztormem chciał przede wszystkim doprowadzić bertrama na osłonięte wody za Bleak Cay i tam rzucić kotwice. Stanęli więc za wyspą. Ściana deszczu spowiła najpierw Cay, a w sekundę później spadła na nich. W mroku widać było jedynie skotłowane fale na skraju laguny i sternik wedle nich orientował się w położeniu, obserwując, czy kotwice trzymają. Targana wichrem łódź miotła się, jakby za wszelką cenę chciała wyzwolić się z uwięzi.

Woń rozgrzanego oleju silnikowego przyprawiała Steve'a o mdłości, co najwidoczniej bawiło czwórkę Kubańczyków, bo zerkali na siebie porozumiewawczo i chichotali między sobą. Czarne małpy, Steve rzucił im w myślach obelgę, przeklinając ich i cały świat, że znów wszystko idzie na opak. Ale być może już niedługo. Smarkacz był przecież niedaleko, a Steve nie pozwoli mu się wymknąć.

–Trzeba dostać się na brzeg i załatwić tę jego łódź – powiedział.

–No to spróbuj – odrzekł jeden z Kubańczyków, a reszta zachichotała do wtóru.

Nie mieli zamiaru go słuchać, nie miał władzy ani autorytetu. Pomyślał, czy nie odwołać się o pomoc do Jesusa Antonio. Ten jednak wyglądał tak, jakby zaraz miał zejść z tego świata. Siedział w kącie z nieodłączną chusteczką przy ustach, blady jak papier. Są przecież jakieś lekarstwa na gruźlicę. Antybiotyki, i w ogóle. Chyba że to coś poważniejszego. Aids, pomyślał Steve. Niewykluczone, że Jesus Antonio i Kubańczyk to pedalska para. Jesus był chyba skrajnie wyczerpany, a przynajmniej na to wyglądał – wychudzony, zżarty chorobą – potwierdzałyby to słuszność diagnozy Steve'a.

Zastanawiał się, czy Torres też już nosi w sobie wirusa. Jeśli tak, to on, Steve, będzie miał mniej czasu, niż zakładał, na opanowanie struktur finansowych organizacji. Wyobraził sobie, jak to będzie, gdy obaj – Torres z Jesusem Antonio – przeniosą się na łono Abrahama, co przecież musi nastąpić, i to niebawem. Poczuł się pewniej rozmyślając, jak to będzie, kiedy weźmie władzę w swoje ręce. Nic mu w tym nie przeszkodzi. Spojrzał wyzywająco na najroślejszego z Kubańczyków.

–Ty, umiesz pływać? No to chodź. Przeprowadzimy się we dwóch

na lagunę.

Wielki mężczyzna wzruszył ramionami. Nie miał wyjścia. Musiał podjąć wyzwanie. Reszta siedziała na miejscu patrząc, jak Steve pakuje do plastikowej torby ruggera i pudełko amunicji.

–Taki gnat, na dziecko? – zakpił wielki Kubańczyk, ku rozbawieniu reszty. Widać było jednak, że zdecydowanie Steve'a zrobiło na nich wrażenie. On tymczasem wyszedł z kajuty i krzyknął do sternika, żeby spuścił bączka na wodę.

–Oszalesiście, czy co? – odezwał się sternik, ale zrobił, co mu kazano. Steve bał się tylko raf otaczających lagunę. Dalej nie będzie już problemów. Jeśli tylko przepłyną przez rafy...

Wielkiemu Kubańczykowi kazał zająć miejsce na dziobie łódki, myśląc, że taki balast powinien ich zabezpieczyć przed wywrotką przy nagłym uderzeniu wiatru albo fali. Uruchomił dwudziestokonny silnik i dał znak sternikowi, żeby odepchnął ich od motorówki. Szkwiał uderzył, gdy tylko wychynęli zza łodzi. W strugach deszczu Steve niczego praktycznie nie widział i nieomal stracił kontrolę nad sterem. Pomógł im hit szczęścia albo przypadkowa fala, która sprawiła, że łódka stanęła dziobem pod wiatr.

Sterował prosto na rafę, w miejsce, gdzie spienione fale wylewały się z laguny. Najważniejsza była prędkość. Trzeba rozpędzić łódkę, aby prześlizgnęła się na spokojniejsze wody laguny, a tam dadzą już sobie radę. Obciążony cielskiem Kubańczyka dziób nurzał się głęboko w spienione fale nad rafami. Rozległ się trzask łamanego poszycia, gdy łódka uderzyła dnem o koralowce. Silnik podskoczył na pawęży. Steve poderwał się i skoczył w wodę jak ze słupka startowego do basenu. Prawą stopą o coś uderzył. Trudno. Najważniejsze, że znalazł się na lagunie. Nawet nie obejrzał się za Kubańczykiem. Niech sam sobie radzi.

Do brzegu miał ze sto metrów, trzy długości basenu o klasycznych, olimpijskich wymiarach. Płynął wedle zasad, jakie wpojono mu w prywatnej szkole, do której uczęszczał. Równy oddech, sześć uderzeń nogami na jeden ruch rękami. Dotarł do brzegu, przyklęknął i usiłując przebić wzrokiem ścianę deszczu, wypatrywał wydm.

Charity walczyła z wiatrem, który spychał łódź od brzegu w głąb laguny. Założyła wiosła i wykrzykując imię Jacketa, kierowała ciężką, drewnianą krypę ku plaży. Dobiła tuż obok Jezebel.

Wyskoczyła na brzeg. Oślepiąca deszczem, z wysiłkiem wciągnęła łódkę wyżej. Przysłoniła oczy ramieniem i bez przerwy nawoływała Jacketa, ale głos tonął w huku piorunów. Pomyślała, żeby przeszukać wysepkę, deszcz jednak rozmył wszelkie ślady, wszelkie wskazówki, gdzie szukać chłopca, a poza tym, gdyby tymczasem Jacket wrócił na plażę, to na widok obcej łódki mógłby rzucić się do ucieczki i mimo sztormu wypłynąć na Jezebel. Lepiej więc poczekać. W strugach deszczu przykucnęła przy burcie łódki Charleya Tłuściocha. Myślała o Trencie, który bezpiecznie leży sobie w szpitalnej separacie.

Wiatr, fale i czternastometrowa motorówka walczyły o prymat na głębi Tongue of the Ocean. Yellow Submarine była znakomicie przystosowana do krótkich wypadów przy pięknej pogodzie na osłonięte plaże okolicznych wysepek. Owszem, miała

mocny kadłub i potężne silniki, ale brak było takich urządzeń, jak na przykład zwykłe wycieraczki, które odgarniałyby deszcz i bryzgi fal z przedniej szyby. Trent dawno już opuścił miejsce na fotelu. Stał teraz z nosem przy szybie, próbując wzrokiem przeniknąć wodną

kurtynę. Ugięte w kolanach nogi amortyzowały gwałtowne ruchy łodzi. Płynął na wycucie, po omacku niemal, na tyle szybko, na ile pozwalały warunki. Jedną ręką trzymał szturwał – koło sterowe – drugą bez przerwy dodawał i ujmował gaz, prowadząc motorówkę pod kątem trzydziestu stopni do fali. Przyśpieszał, gdy łódź ześlizgiwała się z fali, w dole zaś zwalniał, aby fala sama uniosła łódź w górę. Moment nieuwagi, a ściana wody może zwalić się na pokład przygniatając dziób, następna fala wypchnie rufę w górę. Łódź straci sterowność, reszty dopełni wiatr, stawiając łódź bokiem do fali, a to już będzie koniec. Morze upomni się o swoją własność.

Po zachodniej stronie widział w strugach deszczu białą ścianę przyboju atakującego rafę, za którą leżała Bleak Cay. Musi więc przejść przez rafę, a tymczasem nie widział przesmyków. Na szczęście jednak przyływ był wyjątkowo wysoki, wiatr parł wody w stronę Wielkiej Ławicy Bahamskiej, i wszędzie robiło się głębiej. Jeśli tylko uda mu się trafić na przerwę w rafie nie opodal Congo Town, będzie mógł przejść i dalej na południe popłynie już po tamtej stronie raf, gdzie fala będzie mniej niebezpieczna. Im szybciej pędzi łódź, tym mniejsze jest jej zanurzenie. Przy pełnej szybkości, gdy wchodzi w ślizg, praktycznie tylko śruby potrójnych silników nurzają się w wodzie, i to dość płytko, niespełna pół metra.

Coś uderzyło w łódź. Charity wyjrzała nad burtę. Jakiś cień? Nie, z niskiej wydmy tuż nad brzegiem spoglądał na nią człowiek.

–Jacket? – zawołała niepewnie.

Cień jednak był zbyt duży jak na chłopca.

Biały człowiek podniósł się z piasku i walcząc z wiatrem zaczął iść w jej stronę. Poznała go, gdy zszedł z wydmy. To był ten mniejszy z dwóch Amerykanów, którzy mieszkali w domu Wintertona. Nawet w mroku widać było, że i on jest ogromnie zaskoczony.

–Panna Johnston... nauczycielka?

Nie pojmowała, co też ów człowiek może robić na Bleak Cay. Wtedy zobaczyła broń. W życiu nie widziała tak wielkiego pistoletu. Ale nie wszystko stracone. Pogoda była po jej stronie. Odwróciła się, chcąc uciec, i wtedy silna czarna ręka chwyciła ją za gardło unosząc z ziemi. Krzyknęła z przerażeniem i zaczęła się wyrwać, kopiąc zapamiętale gołymi stopami. Prześladowca przydusił ją i potrząsnął jak szczeniakiem.

–Uspokój się, kobieto, bo ci łeb urwę.

–Zabierz ją stąd, zanim chłopak wróci – warknął Amerykanin.

Przeszukał jej łódź. Znalazł spory kawał linki i latarkę. Latarkę schował do kieszeni i poszedł w ślad za Bahamczykiem i Charity za wydme. Bahamczyk przytrzymał Charity. Amerykanin związał jej ręce na plecach i przerzucił pętlę przez szyję. Musiała cały czas trzymać ręce w górze, bo inaczej pętla by ją udusiła.

Amerykaninowi wszystko to sprawiało widoczną przyjemność. Zrozumiała, że

Steve, bo tak się nazywał, zamierza ją zabić. Może nie teraz, nie od razu, ale później. Najpierw się z nią zabawi jak z Vikiem. Ogarnęło ją przerażenie. Starła się nie drzeć. Musiała się zastanowić. Dla niej nie było już ratunku, ale trzeba ostrzec Jacketa.

Jacket leżał na wydmie biegnącej wzdłuż całej Cay. Wypatrywał w mroku w stronę, gdzie na kotwicy targala się motorówka typu Bertram. Wyobraźnia podsuwała mu różne obrazy. Motorówka w istocie była wrogim kutrem patrolowym albo nieprzyjacielskim okrętem podwodnym – niemieckim, rosyjskim, wietnamskim. Przypomnił sobie, że na rufie widział bączka. Będą go musieli spuścić, aby przewieźć pojemniki. Ale przy tym wietrze nie zdołają dobić do brzegu. Sztorm może wyrzucić łódkę, więc nie będą ryzykować, co znaczy, że desant jeszcze nie nastąpił.

Przedostał się chyłkiem na plażę i zaczął skradać się w stronę Jezebel. Brodził w morzu, aby nie zostawiać śladów na piasku. Morze rozgrzewało stopy, reszta ciała drżała z zimna na wietrze.

Był zwiadowcą. Badał teren przed nadejściem głównych sił. Jeśli dostanie się w ręce wroga, zabiją go jako szpiega. Ojciec był oficerem, przełożonym czterdziestu rangersów – żołnierzy sił specjalnych – więzionych na wyspie. Jacket odkrył prawdę. Ustalił miejsce, gdzie jest obóz. Teraz musi jak najszybciej dotrzeć z wiadomością do swoich, do bazy. Będzie więc musiał przepłynąć pod ostrzałem z fortu i przełamać blokadę. Jedyna szansa to wyruszyć natychmiast, pod osłoną burzy.

Morze podniosło się już znacznie ponad swój zwykły poziom, był więc pewien, że uda mu się przepłynąć nad rafą. Położy się na dnie łodzi, a wiatr przepchnie ją przez rafę. Potem wystawi wiosło za rufę i będzie się starał ustawić łódkę pod kątem trzydziestu

stopni do wiatru, który zepchnie go na zawietrzną poza Andros.

Łatwe, pomyślał.

Potem wróci do wsi i opowie wszystkim, że widział pojemniki na Bleak Cay. Zacznie od sklepu, potem pójdzie z wiadomością do warsztatu Pete-Kwakra do baru pana Jacka, a na koniec opowie jeszcze wszystko policjantowi i pannie Charity.

Myślał o matce. Z uwagi na burzę zostanie chyba na noc w domu pana Wintertona, a gdy wróci, Jacket będzie już w domu. Raz jeszcze spróbował wyobrazić sobie, jak to będzie, gdy matka zobaczy łóżko. Ale taśma wyobraźni nie chciała się przesuwac. Zacięła się, zamazując obraz. Przełączył więc wyobraźnię na ojca. Ostatnio widział go siedzącego w kucki tuż przy drutach otaczających obóz jeniecki. Ojciec trochę wychudł, ale nie był chyba chory. Miał na głowie czapkę polową. Pogwizdywał na papugę, która przysiadła na drutach. Białe zęby połyskiwały w mroku, kontrastując z czarnym obliczem. Bawił się patykiem. Podrzucał go w górę i łapał nie przestając gwizdać. Strażnik na wieży patrzył pilnie. Od płotu do krzaków, w których przycupnął Jacket, było ledwie dwadzieścia metrów. Ale wokół leżały miny, a druty otaczające obóz były pod napięciem.

Jedyna nadzieja w tym, że uda mu się zawładnąć łodzią patrolową. Podpłynie tak blisko brzegu jak tylko się da. Rzuci kotwicę na druty i rozerwie je.

Dotarł do wydmy, za którą zostawił Jezebel. Okrążył wzniesienie, zobaczył, że obok jego łodzi stoi jeszcze jedna, a nad nią majaczy jakaś ludzka postać. Przez

chwilę wydawało mu się, że ów cień pochodzi z jego wyobraźni. Ale wtedy usłyszał trzask łamanych desek. Ktoś kamieniem wybijał dziurę w dnie łodzi.

Jacket zakrzyknął z przerażenia. Obrócił się na pięcie i rzucił przed siebie, biegnąc zygzakiem, kryjąc się w chaszczach. Zaraz zaczną go szukać. Przyłgnał do ziemi. Myślał gorączkowo, co można zrobić. Po pierwsze, ilu ich może być? Na pokładzie bertrama mieści się niewielu ludzi, za mało, aby tyralierą przeczesali całą wyspę. Będą więc szukać odcinkami, przepatrując wszystkie krzaki i zarośla.

Uciekał na południe od miejsca, gdzie stała Jezebel. Przystanął tam, gdzie ułożył szeregiem pojemniki. Deszcz rozmył wszystkie znajome znaki orientacyjne. Szukał schronienia, kryjąc się w wątlých kępach traw. Znalazł solidniejszą kryjówkę na zachodnim brzegu. Wyszukał dwa płaskie kamienie. Ułożył je, urządzając coś na kształt schodów na plażę. Teraz mógł już tylko czekać, czekać i mieć nadzieję, że prześladowcy, gdy natrafią na pojemniki, przestaną go szukać.

Wysmukła motorówka Cigarette niepostrzeżenie wyłoniła się z mroku. Prowadzący ją sternik znał swoje rzemiosło. Uderzył w burtę bertrama, zwalając wszystkich w środku na kolana. Trójka Kubańczyków przeskoczyła na pokład. Jeden z nich zastrzelił sternika bertrama, dwóch omiotło serią kajutę. Uratował się tylko Jesus Antonio. Był właśnie w toalecie.

Liczył się z tym, że zjawią się „sanitariusze”. Tak dyktowała logika. Dużo by dał, aby wiedzieć, czy rozkaz wydał Torres, czy ktoś stojący jeszcze wyżej. To, że czekała go śmierć, nie miało dlań większego znaczenia. Tu i teraz czy za pół roku w szpitalu, pod kroplówką i tlenem – wszystko jedno. Pieniądze zdążył zabezpieczyć i odłożył ich tyle, że matka może spokojnie mieszkać we własnym mieszkaniu, które jej kupił w Naples na Florydzie. Wystarczy też, żeby brat i dwie siostry skończyli college i mieli dobry start, na pewno lepszy, niż miał on, no i lepsze życie – pomyślał.

Fakt, że należał do tej samej rasy, dał mu kilka dodatkowych chwil. Kubańczyk nawet kiwnął głową, jakby pozdrawiając rodaka, na co Jesus Antonio odpowiedział bladym uśmiechem. Powitanie i wzajemna prezentacja, jak zawodowca z zawodowcem. – Nie trzeba zabijać chłopca. On nic nie wie – rzekł Jesus Antonio. Późno, ale była to jedna jedyna rzecz, jaką mógł jeszcze zrobić, by zbawić duszę. Zobaczył, że palec Kubańczyka zaciska się na spuście automatu. Chciał kaszlnąć, przeżegnać się, ale już nie zdążył.

wpław na brzeg, więc co im szkodzi deszcz? Zwyczajne lenie. Nienawidził ich. Brzydziło go w nich wszystko: czerń skóry, wielkie wargi, płaskie nosy, przekonanie, że są sprawniejsi fizycznie, i arogancja. O Boże, jakże ich nienawidził. Przeklęci Negrzy. Wydaje im się, że są Bóg wie czym, tylko dlatego, że odziedziczyli po swych panach Brytyjczykach garść wysepek, które zresztą byłyby gównem warte, gdyby nie biali Amerykanie. To oni zbudowali tu domy, hotele, pola golfowe, banki i w ogóle wszystko, co się liczy.

Charity czuła, jak w Amerykaninie wzbiera złość. Nie szczędził jej kopniaków. Cały czas miała przed oczami obraz Trenta, jak rzuca się między pędzące samochody na Shirley Street. Zwykli ludzie w ten sposób biegną co najwyżej do autobusu. Chciała, żeby tu był. Pragnęła jego obecności, a zarazem nienawidziła go za to, że myśli o nim

dawała jej nadzieję, fałszywą przecież, bo nie mogło już być żadnych nadziei.

Nie chciała umierać. Bała się śmierci, bała się bólu, który ją poprzedzi. Trzeba więc coś zrobić, żeby koniec nastąpił szybko. Może jakoś sprowokować Steve'a, aby ten zadał jej szybką śmierć? Ale przecież był jeszcze Jacket. Jej uczeń. Nie przestała się bać, ale upór, duma i gniew, silniejsze niż strach, kazały jej myśleć o tym, jak uratować chłopca. Przyłynęła na Bleak Cay w jego sprawie, żeby go uratować, i dopnie swego. Nie pozwoli, aby Amerykanin pozbawił ją zwycięstwa. Przyszła jej na myśl księga ryb, nad którą pracowała i która zawsze jej towarzyszyła, jak Jacketowi marzenie o łóżku. Wspomniała starannie opisane i skatalogowane fotografie w pokoiku za szkołą. Zastanawiała się, czy ktoś z nich kiedyś skorzysta. Wyobraziła sobie, jak Trent przegląda zdjęcia i notatki i jak dźwiga ciężkie poczucie winy.

Steve chciał zaraz ruszać na poszukiwania Jacketa. Wielki Bahamczyk był zdania, że lepiej poczekać, aż wszyscy z motorówki przeprawią się na brzeg.

–Łódka załatwiona, więc szczeniak nie ucieknie.

Steve nie miał nad nim władzy, nie mógł więc przeforsować własnego zdania. Ze złości pchnął Charity na ziemię, wrzucił ją w zagłębienie wśród wydm, nawprost od miejsca, gdzie kotwiczyła motorówka. Ulewa bębniła o burty. Bahamczycy nie znoszą deszczu. Przeklęci głupcy! I tak przecież będą musieli przedostać się

=brak str. 263

Burzowy front przesunął się na południe, gęsta kurtyna deszczu zrzędła, odsłaniając South Andros. Na brzegu połyskiwały nieliczne światła. Górą pędziły ciężkie jak ołów, wciąż brzemienne deszczem chmury. Ulewa atakowała teraz górzysty grzbiet na Andros, który z daleka wyglądał jak garb na tle jaśniejszego od zachodu nieba.

Trent przywołał w pamięci obraz przesmyku wśród raf na wysokości Congo Town. O tej porze i w tych warunkach, przy

wielkich falach, przesmyk będzie wyglądał zupełnie inaczej, a co gorsza, przy fali idącej od północy wejście do cieśniny będzie skrajnie niebezpieczne. Trzeba będzie iść bokiem do wiatru.

Lepiej odwrócić motorówkę o sto osiemdziesiąt stopni, aby płynąć pod falę, a nie z nią. Łatwiej będzie sterować. Nigdy jeszcze nie wypływał na Yellow Submarine przy takiej pogodzie, nie wiedział więc, jak łódka zareaguje na niebezpieczny manewr, gdy w pewnej chwili stanie bokiem do fali. Trzeba odczekać, wybrać stosowny moment na zwrot, a tymczasem w zapadającym mroku coraz trudniej było orientować się w sytuacji, oceniać wysokość i siłę fali. Przy najmniejszym błędzie góra wody zwali się na motorówkę.

Starał się wyczuć i zapamiętać rytm fal. Pędził teraz na wysokości wsi. Przegnał myśli o Charity i o chłopcu. Całą uwagę koncentrował na sterze i łodzi. Zmniejszył obroty, pozwalając, aby fala go wyprzedzała. Czekał na właściwy moment. Dwukrotnie przegapił falę, na której można by spróbować manewru, ale już wiedział, jak powinna wyglądać. Gdy więc zobaczył przed sobą wodny zwał, jakby nieco wolniejszy i mniej stromy od innych, zdecydował się. Kiedy kadłub się uniósł, zakręcił mocno kołem sterowym, a jednocześnie dodał gazu, aby śruby zacieśniły

wiraż. Fala przeszła, motorówka opadła w dolinę, nad którą wyrosła następna ściana wody. Wysoka na pięć metrów, zmierzwiona na szczycie, gotowa załamać się i spaść z całą siłą na jacht. Nie było mowy, żeby wspiąć się na jej szczyt. Dał pełny gaz, mocno chwycił koło sterowe, a plecami zaparł się o oparcie fotela. Tysiąc pięćset koni mechanicznych pchnęło motorówkę prosto w wodną ścianę. Kadłub zadygotał, gdy góra wody spadła na otwarty kokpit. Łódź zawisła w żywiole. Górą trzy metry wody, dołem trzy tysiące metrów morskiej głębi. Jeśli w tej chwili zawiodą silniki, będzie koniec. Trent całą siłą trzymał ster. Bardziej poczuł, niż zobaczył, że dziób wyłania się z wodnej pułapki. Sekundę później cała łódź wyszła na powierzchnię.

Yellow Submarine strząsała z siebie tony wody lejącej się po pokładzie i chlupoczącej w kokpicie. Miarowy szum oznaczał, że włączyły się automatyczne pompy zenzowe. Ale oto nadbiegła nowa fala. Nieco mniej stroma, bez pierzastego grzebienia na szczycie. Nie było czasu na zastanowienie, ocenę sytuacji i szkód. Najważniejsze, że nie zawiodły silniki. Odciągnął potrójną manet-kę zmniejszając obroty, gdy fala wypchnęła w górę dziób. Trochę za późno, bo woda znów załapała pokład, ale uniosła łódź. Ze

szczytu fali widać było światła na brzegu. Sparował sterem, kładąc łódź dziesięć stopni w prawo i zaraz potem wyrównał, szykując się na spotkanie z następną falą.

Bliżej raf fale biły gwałtowniej, mniej rytmicznie. Powierzchnia morza kotłowała się groźnie. Jeszcze dwa razy spadały góry wody, gdy fale łamały się nad pokładem, ale Trent poznał już reakcje łodzi, panował nad sytuacją. Wiatr zniósł krople wody z przedniej szyby i Trent mógł normalnie zasiąść w fotelu sternika.

Spojrzał na linię przyboju nad rafami. Sam nie da rady. Nie ma mowy. Odsunął wodoszczelną pokrywę zabezpieczającą nadajnik radiowy. Włączył mikrofon i wywołał stację brzegową w Nassau. Dłuższą chwilę trwało, nim przekazał wiadomość i prośbę, raz po raz musiał bowiem odrzucać mikrofon, aby chwycić ster obu rękami, ale udało się. Poprosił, aby zadzwoniono na posterunek policji w Congo Town i poproszono, aby ktoś zszedł na plażę i dał znak latarką albo światłami samochodu, gdzie jest przejście przez rafy.

–Idę kursem dwieście dwadzieścia stopni – dodał.

–Człowieku, czyś ty oszalał?! Wejście do przesmyku jest niebezpieczne, a przy tej pogodzie w ogóle nie do pokonania – zawołał dyżurny radiowy.

–Dzięki za słowa zachęty – skwitował Trent i wypuścił mikrofon z rąk, bo oto przed dziobem wyrosła kolejna ściana wody. Stroma jak ta pierwsza. Wziął ją pod kątem prostym. Fala załamała mu się nad głową. Gdy po chwili łódź wypłynęła na powierzchnię, Trent był jak oślepiiony i na wpół uduszony. Chwycił mikrofon, ale na próżno. Woda przerwała kable, wyrrywając je z gniazd. Spojrzał na brzeg, na kompas, zmienił kurs o dziesięć stopni, aby dać czas policji.

Szkwał zdarł pianę ze szczytu następnej fali. Trent przetarł ramieniem oczy. Od napięcia i wysiłku zdrętwiały mu mięśnie. Jeszcze dwa stopnie i będzie za późno.

Bahamczycy słyną z powolności. Nigdy im się nie śpieszy. Ale na całym świecie nie ma lepszych od nich sterników, zwłaszcza na małych łodziach, więc dyżurny policjant powinien zrozumieć, że stawką w tej grze jest życie. Powinien, jeśli ze stacji radiowej dodzwoniono się na posterunek, jeśli policjant odebrał wiadomość, jeśli był na miejscu, a nie gdzieś w jakimś zaciszu, gdzie rozgrywał nie kończące się partie domina ze znajomymi. Trent zaklął. Zapomniał, że to niedziela, a więc prawdopodobieństwo, że policjant jest na posterunku, było diablo małe.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że chłopiec popłynął na Bleak Cay, i był niemal pewien, że Charity udała się w ślad za nim. Zabójca też. Nie było więc wyboru. Trzeba jak najszybciej dotrzeć na wyspę. Przedtem jednak musi pokonać rafę. Zdawał sobie sprawę, co się stanie, jeśli nie trafi w przesmyk, ale wołał o tym nie myśleć.

Dodał obrotów. Bliżej raf morze było jeszcze bardziej wzburzone, a huk fal rozbijających się o nie mieszał się z rykiem silników. Trent zaczął krzyczeć na cały głos. Ryczał, wołał, krzyczał, aby tylko o niczym nie myśleć. Wiedział, co się stanie. Miał świadomość, że w istocie nie ma żadnej szansy. Sześciometrowa góra wody zwała się z boku, a następnie uniosła łódź

i przerzuciła na drugą stronę, bawiąc się dziesięciotonowym kadłubem jak piłką. Trent stracił widoczność, co i tak nie miało już najmniejszego znaczenia, bo koniec był nieunikniony. Pomyślał, żeby odpiąć pasy i niech morze dopełni reszty, ale w tej właśnie chwili Yellow Submarine targnęła do przodu i wyszła na powierzchnię. Leżała w sześćdziesięciostopniowym przechyle, gdy uderzyła kolejna fala. Trent zredukował obroty do zera, kiedy łódź zapadła się pod naporem wody. W chwilę później otworzył przepustnicę, aby silniki nie zgasły. Następna fala była krągła, bez spienionego grzbietu, uniosła łódź, która pomknęła w górę, jakby niesiona potężną windą. Ze szczytu Trent dojrzał reflektory samochodu na brzegu. Oceniał, że znajduje się nieco na północ od przesmyku. Pchnął ster, aby zawrócić. Łódź ustawiła się rufą do fal.

Płynął minutę, może dwie i znów zmiana kursu, prosto na brzeg, przez fale przyboju. Spowił go spieniony odmęt, góry wody spadały na motorówkę. Jak błyskawica przeszła mu przez głowę myśl, że policjant ustawił auto w niewłaściwym miejscu, ale właśnie wtedy poczuł, że łódź zaczyna się uspokajać, że fale zostały z tyłu, za rufą, a otaczająca woda, choć lekko spieniona, jest jednak spokojna, a więc przedostał się przez rafy.

Zmienił kurs, otworzył pełny gaz, aby jak najszybciej oderwać się od linii koralowców. Pięćdziesiąt węzłów, sześćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć... Nie miał jak ani czym dać znać policjantowi, że dziękuje za pomoc. Uznał, że coraz wyższy ton silników będzie wystarczającym świadectwem, że pokonał przeszkodę i wyszedł na bezpieczniejsze wody.

„Sanitariusze” przeszukali bertrama. Całą broń, jaką znaleźli na pokładzie,

wyrzucili za burtę. Rozważali, czy nie przeciąć lin kotwicznych i pozwolić, żeby motorówka zdryfowała na pełne morze, ale uznali, że lepiej będzie załatwić najpierw ludzi na brzegu. Zwłoki wrzuci się na bertrama i dopiero wtedy puści się łódź na fale Wielkiej Ławicy, Zdryfuje pewnie na Florydę albo w przeciwnym kierunku, na Kubę. Tak czy inaczej nikt jej nie znajdzie, zanim wrócą bezpiecznie do domu, do Miami.

Unieruchomili silniki na bertrama, a następnie ze swej łodzi spuścili na wodę niewielki ponton. Załadowali nań broń, sami zaś nałożyli płetwy i pchając ponton przed sobą, skierowali się w stronę laguny. Nie wybrali najkrótszej drogi, popłynęli najpierw w bok. Przy rafach wsiedli na ponton, aby nie pokaleczyć się o koralowce. Trwał przypyływ, morze wlewało się do laguny i przejście przez rafy nie nastąpiło żadnej trudności. Dobili do południowego krańca Cay, wyciągnęli ponton na brzeg i ruszyli tyralierą.

Minęła już dobra godzina, od kiedy nieznamy człowiek rozbił dno w obu łódkach. Deszcz nadal padał. Zbliżał się zmierzch. Robiło się coraz mroczniej. Milę od wyspy zaczynała się głębia Tongue of the Ocean. Biegły od niej spienione fale, nabierały mocy, nabrzmiwały i z impetem atakowały koralową barierę laguny. Wiatr słabł już, ale niósł jeszcze dźwięki bitwy rozgrywającej się na Wielkiej Ławicy, skąd też płynęły nieprzyjacielskie patrole. Pokonywały rafę i parły dalej, oblegając wyspę.

Nieprzyjaciel zaszedł od północy. Jacket usłyszał najpierw kasłanie, potem ktoś splunął, a po chwili rozległ się okrzyk, co oznaczało, że któryś z prześladowców natrafił na pojemnik. Jacket podniósł się i pobiegł w kierunku plaży. Stąpając po dwóch płaskich kamieniach zszedł do wody, nie zostawiając śladów. Przycupnął i na czworakach zaczął posuwać się wzdłuż brzegu, aby wydostać się z okrążenia.

Zaczynał się już odpływ. Jacket wyraźnie czuł prąd wody, która teraz wylewała się z laguny. Nie wychodząc z wody, przeszedł sto metrów i dopiero wtedy poszukał wzrokiem miejsca, gdzie będzie mógł wyjść na brzeg nie zostawiając śladów. Znalazł wreszcie obalony pień palmy, która jakiś czas temu padła ofiarą huraganu.

Wspiął się na pień i zgięty tak nisko, jak tylko to było możliwe, przeszedł na brzeg, skoczył na kępę traw, a potem na następną,

aż trafił na płaski, oszlifowany wiatrem kawał koralowej skały. Ktoś wykrzyknął jego imię, cicho, ale natarczywie. Jacket przylgnął do ziemi. Nadśluchiwał, zastanawiał się, czy to nie pułapka. Znow ktoś zawołał: – Jacket! – Kobieta. Tak, to był kobiecy głos. Po chwili zaś odezwał się Amerykanin, szepcząc niecierpliwie:

–Jack, gdzie jesteś, do cholery?

Rozbłysła latarka. W jej świetle Jacket ujrzał dwie twarze – panny Charity i pana Steve'a.

Ogarnęło go uczucie ulgi. Nie spodziewał się tego. Opuściły go siły i omal nie upadł. Nie mógł wydobyć głosu, struny głosowe odmówiły mu posłuszeństwa. Nie był w stanie się poruszyć. Wreszcie zdołał wykrzyknąć:

–Tutaj!

Zapomniał, że w mroku nie mogą go widzieć. Więc „tutaj” nie miało sensu. Tak go to rozbawiło, że zaśmiał się głośno. Ten śmiech słyszała panna Charity.

–Uciekaj! – krzyknęła.

Jacket pomyślał, że ktoś zamierza się na niego z tyłu. Rzucił się więc do przodu, bosymi nogami bijąc w nierówną ziemię. Dwadzieścia kroków i będzie bezpieczny. Tylko dwadzieścia kroków. Nie miał czasu ani odwagi, żeby spojrzeć do tyłu, ale słyszał, że prześladowcy depczą mu po piętach.

–Panie Steve, na pomoc! – krzyknął i rzucił się w ramiona Amerykanina.

–Uciekaj! – krzyknęła Charity.

Liczyła, że Jacket zacznie biec, a ona osłoni go własnym ciałem, rzucając się na rewolwer. W sekundę wszystko się skończy. Także lęk i strach.

Zamarła widząc Jacketa wpadającego prosto w objęcia Steve'a. Ten zaś pchnął ją w bok. Upadła przyduszona pętlą na szyi.

–Witaj! – zaśmiał się Steve jakimś sztucznym, szalonym śmiechem. Złapał Jacketa za włosy, rzucił na kolana. – Masz szczeniaku, żryj! – Znow zaśmiał się, wciskając lufę pistoletu w usta chłopca.

–Chybaś oszalał – odezwał się wielki Bahamczyk.

Steve podniósł wzrok. Bahamczyk odszedł, nie chcąc być świadkiem tego, co się zaraz stanie. Na wydmie zamajaczył jakiś cień. Bahamczyk zawołał coś i zamachał ręką. Błysnęło i rozległ się głuchy trzask. Na twarzy Bahamczyka wykwitła straszna rana. Wielki człowiek osunął się na ziemię.

Charity wyrzuciła przed siebie nogi. Dotarła do Steve'a pod kolanami. Steve stracił równowagę i odruchowo wyrwał lufę z ust chłopca. Jacket zbiegł w dół wydmy. W tej samej chwili zza wydmy wychynął kolejny cień. Steve padł na ziemię, błyskawicznie przekręcił się w bok, gdy tuż obok strzeliły w górę fontanny piasku, którym towarzyszył głuchy dźwięk serii z automatu zaopatrzonego w tłumik. Za deszczową kurtyną zamajaczył następny cień. Steve opanował drżenie ręki. Mocno trzymał pistolet. Wystrzelił. Tylko raz. Wielkokalibrowy pocisk zwałił napastnika z nóg. Człowiek, który przed chwilą zabił Bahamczyka, zaklął i ukrył się za wydumą. Steve znow strzelił. Już nie celował. Chciał tylko przygwoździć napastników do ziemi i rzucić się do ucieczki w stronę plaży.

Charity pomyślała, że to chyba policjanci, a skoro byli biali, to pewnie ludzie O'Briena. Zawołała. Dwóch poderwało się na nogi. Szczupli, w średnim wieku, z błyszczącymi od deszczu i morza włosami. Zbliżali się ostrożnie, niosąc coś w plastikowych, przezroczystych opakowaniach.

–O kurwa, baba – odezwał się pierwszy. – A kim pani właściwie jest? – pytanie zaadresował do Charity.

–Biologiem. Złapała mnie burza.

–Taak? – Odparł z wahaniem. Albo nie uwierzył, albo uznał, że odpowiedź i tak nie ma znaczenia.

Drugi z przybyszów pochylił się nad postrzelonym przez Steve'a towarzyszem.

–Magnum, cholera jasna – mruknął, widząc skutek wielkokalibrowego pocisku.

W plastikowych torbach nieśli automaty. Nie byli z policji, nawet amerykańskiej. Zachowywali się cicho, inaczej niż Amerykanie, mówili zresztą z wyraźnym latynoskim akcentem. Przywódca, ten który zjawił się pierwszy, wyjął z plastikowej torby rolkę taśmy klejącej. Spętał nogi Charity. W tej samej chwili ciszę rozerwał huk potężnych motorów.

Trent zredukował gaz do minimum. Sterował na kotwicowisko na wysokości wschodniego brzegu Bleak Cay. Na niskich obrotach potężne silniki były niemal

nieślyszalne, a łódź ledwie widoczna w zapadających ciemnościach. Zobaczył dwie motorówki stojące na kotwicy jedna przy drugiej. Włączył wsteczny i wycofał Yellow Submarine, kryjąc się za zasłoną deszczu.

Założył, że jedną motorówką przypląnął zabójca ze swoimi ludźmi, a drugą ekipa, którą wysłano, żeby zrobiła porządek. Ci drudzy byli bardziej niebezpieczni, zawodowi mordercy. Tymczasem zaś Trent znalazł się jakby w pułapce, musiał działać szybko, a zarazem ostrożnie.

Jeśli Charity z chłopcem mają przeżyć, to jedyną szansą jest odwrócenie uwagi napastników. Trent położył łódź w wiraż i dał pełny gaz. Huk potrójnych silników rozerwał ciszę. Trent uśmiechnął się do siebie myśląc o Tanace Kazuko. Yellow Submarine szarpnęła do przodu.

Miał pięćdziesiąt węzłów na logu, gdy wyskoczył z ciemności prosto na dwie zakotwiczone motorówki. Liczył się z tym, że otworzą doń ogień. Powinien zobaczyć strzały. Huku nie usłyszy,

bo wszystko tłumi donośny warkot potrójnych motorów. Tymczasem na obu pokładach nie było nikogo. W ostatniej chwili dał ster na burtę i wyłączył gaz.

Yellow Submarine osiadła głęboko, wzbudzając potężną falę, która uderzyła w burtę bertrama. W ciszy, która zaległa po wyłączeniu silników, Trent usłyszał trzask łamanego poszycia, to fala cisnęła bertramem o drugą łódkę. Skoczył na dziób. Rzucił kotwicę, wydając osiemdziesiąt metrów liny. Dodał odrobinę gazu, dobił do bertrama, przeskoczył i błyskawicznie padł na

pokład.

W sterówce leżały zwłoki mężczyzny. Cztery następne trupy w kabinie. Zaświszczały pociski, rozłamując plastikowe ściany sterówki tuż nad głową Trenta. Strzelano z brzegu. Serią z automatu. Z odsłoniętych silników bertrama wyzierały zmiażdżone przewody paliwowe. Trent przeturlał się po pokładzie i zsunął do kokpitu sąsiedniej łódki. Szukał broni, ale bezskutecznie, miał do czynienia z zawodowcami. Nie było czasu na drobiazgową rewizję. Trafił na skrzynkę z narzędziami. Chwycił młotek.

Kolejna seria przeszła przez przednią szybę. Posypało się szkło, gdy Trent uderzył młotkiem w tablicę rozdzielczą, aby dostać się do kabli zapłonowych. Połączył na krótko. Gorący jeszcze silnik odpalił. Trent dał wsteczny licząc, że uda się wyrwać kotwicę. Trzymała mocno. Widać łapy zablokowały się pod koralowcami. Musiał dostać się na dziób. Nad laguną gęsto leciały pociski. Dwa automaty z tłumikami, ocenił. Jeśli trafią, trudno, pech! – pomyślał, tnąc nożem linę kotwiczną.

Przeturlał się z powrotem do kokpitu. Obrócił ster i dał pełny gaz. Silnik pchnął łódkę poza zasięg automatów. Znów obrót sterem. Łódź wyszła z wirażu. Trent skoczył do kabiny. Otworzył butle z butanem w kambuzie. Wrócił do kokpitu. Zasiadł w fotelu

sternika. Zapiął pasy.

Motorówka skoczyła na fali, gdy za boją oznaczającą kraniec linii raf wyszła na nie osłoniętą wodę. Trent był pewien, że ludzie na brzegu pilnie obserwują jego ruchy i biegną teraz na drugą stronę. Znów położył łódź w wiraż. Fala przeszła górą

nad niskim, rasowym kadłubem regatowej jednostki. Sto metrów przed rafami otworzył gaz do końca. Sterował prosto na białą linię przyboju na skraju laguny. Zaparł się nogami o tablicę rozdzielczą. Łódź dwukrotnie uderzyła o skały, przelatując nad rafami. Urwała się jedna ze śrub. Silnik nie napotykając oporu zawył. Drugi jeszcze pracował. Trent uwolnił się z pasów i, gdy łódź znalazła się pięćdziesiąt metrów od brzegu, skoczył za burtę. Obrócił się w wodzie, patrząc w stronę horyzontu. Chronił wzrok. Motorówka wpadła na brzeg. Od iskry eksplodował gaz w kajucie, a od gazu – zbiorniki paliwa. Jasny płomień strzelił w niebo, rozświetlając plażę i wszystko wokół.

Trent nie patrzył. Miał dwie, może trzy minuty, nim oślepieni eksplozją ludzie na brzegu odzyskają wzrok. Popłynął więc co sił na brzeg, przyłgnął za wydumą. Potrzebował tylko broni. Jakiegokolwiek. I wtedy usłyszał krzyk Charity.

Zorientował się, że dziewczyna jest niedaleko. W połowie drogi między wydumą pośrodku Cay a miejscem, gdzie wylądował. Zaczął się czołgać w jej kierunku. Charity znów krzyknęła głosem pełnym trwogi. Odpowiedział. Krzyknął, że idzie.

–Jeśli mnie zabijecie, nie wydestaniecie się stąd! – zawołał.

Za nim dopalała się motorówka. Wstał. Podniósł ręce w górę.

Na tle płomieni stanowił łatwy cel.

–Chodź no tu bliżej! – krzyknął ktoś.

Skierował się w stronę głosu. Nie opuszczał rąk. Trzymał je wysoko nad głową, jednocześnie pilnie baczył, gdzie stąpa. Przypadkowe potknięcie może skończyć się śmiercią, jeśli przeciwnicy uznaliby to za manewr. Nagle spostrzegł niewyraźny cień, drobną ludzką postać. Czarnoskóry malec krył się w zapadlinie między wydumami drżąc ze strachu.

–Mam na szyi nóż – szepnął Trent – gdy mnie zwiążą, podejdziesz i przetniesz sznury.

Nie wiedział, czy chłopiec usłyszał, czy zrozumiał, a jeśli pojął, to czy nie będzie się bał, a może przerażenie zamuruje go w miejscu. Nie mógł jednak powtórzyć polecenia. Zbyt duże ryzyko.

Jeden z przeciwników klęczał, trzymając nóż na gardle Charity. Dwóch innych zajęło miejsca na skrzydłach, czterdzieści metrów dalej. Zawodowcy spodziewali się Latynosów. Nie dadzą się zaskoczyć.

–Cześć! – zawołał. – Co to za dziewczyna?

–Klękaj! – usłyszał w odpowiedzi. – Mamy tu wariata z prawdziwą armatą.

Spętali mu ręce i nogi taśmą przylepłą. Ręce na plecach.

–Detektyw?

–Zgadłeś – odparł Trent. – Wasza łódka załatwiona. Bertram też. Zostaje tylko moja, a klucze dobrze ukryłem. Jak tylko wiatr zelżeje i śmigłowiec będzie mógł wystartować, zjawią się tu faceci z DEA. Jeśli wydaje wam się, że blefuję, to jesteście w błędzie.

Wystarczy spojrzeć na tę pochodnię na brzegu – ruchem głowy wskazał dopalające się szczątki motorówki Cigarette. – Już choćby dlatego tu się zjawia.

Chcecie się wydostać, to musicie się ze mną ułożyć. – Trzeba ich jeszcze dobitniej przekonać. – Forsa forszą – dodał Trent – ale co trupowi po forsie.

–On tu przyleciał z powodu tej baby – odezwał się po hiszpańsku człowiek, który stał na prawym skrzydle. Akcent zdradzał Kubańczyka.

–Pewnie tak. Trzeba sprawdzić. Przejeżdż ją nożem – odezwał się lewy.

–Tak, a potem zabieramy wszystkich na jego motorówkę – dodał pierwszy. Z całej trójki ten był najbardziej zaciekły. Natomiast szef myślał chłodno, jak agent sprzedający ubezpieczenia na życie.

–Ale najpierw trzeba załatwić tego gringo z armatą, bo inaczej on pierwszy dobierze się do motorówki i da nam popalić, gdy spróbujemy wejść na pokład.

–Jest jeszcze szczeniak – dorzucił lewy. – Trzeba załatwić szczeniaka. Pierwszy, ten zaciekły, chciał coś jeszcze powiedzieć, ale szef poderwał się z miejsca.

–Ruszamy – rozkazał, podnosząc automat owinięty w plastikową torbę, żeby drobiny piasku nie dostały się do zamka.

Dwaj pozostali byli podobnie uzbrojeni w stirlingi. Zawodowa przezorność, pomyślał Trent z uznaniem.

Ruszyli tyralierą, wedle wszelkich prawideł sztuki operacyjnej. Doświadczeni fachowcy. Takich nie ogląda się w telewizji.

Charity leżała na boku twarzą do Trenta. Drżała, spocona ze strachu i przerażenia. Pot mieszał się z kroplami deszczu, spływając obficie z twarzy.

–Przepraszam za spóźnienie – odezwał się Trent najspokojniej jak potrafił. Pamiętał o chłopcu, który jest gdzieś w pobliżu.

Manifestując spokój chciał mu dodać odwagi. – Wziąłem motorówkę mojego szefa – mówił dalej tym samym tonem – przeszedłem przez rafę w pobliżu Congo Town. Było nieciekawie.

Wywrotka. Trzysta sześćdziesiąt stopni.

I wtedy zobaczył Jacketa. Stał dwadzieścia metrów dalej, półnagi, drobny.

–Weź się w garść, Charity. To nie koniec. Czeka nas jeszcze prawdziwa klasówka, mówiąc po twojemu, pani profesor.

W tej chwili chłopiec wysunął się z cienia. Trent chciał krzyknąć, żeby się pośpieszył. Ale chłopiec stał jak słup soli, a za nim zazgrzytały spieszne kroki na piasku.

Jacket zamarł z przerażenia. Z mroku wyłonił się mężczyzna. Nie był to pan Steve, ale jeden z tych, co zjawili się z bronią owiniętą w takie same plastikowe folie jak ta, której rulon kupił w Nassau, żeby opakować łóżko. Kiedy to było? Strasznie dawno. Chciał, żeby to wszystko wreszcie się skończyło, a skończy się, gdy zaczną płakać. Wszystko się skończy. Człowiek, który wyłonił się z mroku, powinien go w końcu zauważyć. Tymczasem zachowywał się tak, jakby go nie widział. Jacket przypomniał

sobie słowa ojca, że obaj mają „naturalny kamuflaż”.

Ale to nie był ojciec. Ojciec uciekł. Wyjechał do Ameryki i nigdy już nie wróci. Jacket poczuł łyzy na policzkach. Nie mógł powstrzymać się od płaczu, ale to nieważne. Mamy naturalny kamuflaż, powtórzył w myślach. Tak, to prawda. W mroku był po prostu niewidzialny. Rozpoznał człowieka z brodą. Tak, to był ten sam człowiek, który rzucił się przez samochody pod bankiem, aby uratować go przed ludźmi z furgonetki. Ten drugi tymczasem wyjął nóż i kucnął plecami do Jacketa.

–Daję ci pięć sekund, żebyś powiedział, gdzie ukryłeś klucze.

Jeśli nie powiesz, załatwię babę – powiedział do brodacza i przyłożył nóż do piersi panny Charity. – No? – ponaglił. Mówił cicho, tak że jego towarzysze nie mogli go słyszeć.

–Gównu mnie ona obchodzi – rzekł brodacz.

To nie była prawda. Gdyby panna Charity zupełnie go nie obchodziła, to przecież nie zjawiłby się tu, nie stanąłby w świetle płonącej łodzi i nie próbował coś zrobić. Jacket postąpił krok do przodu. Setki razy wymyślał się z rąk Vica i jego bandy. Jedyna trudność polegała teraz na tym, że musi działać sam, że nie ma taty, który by mu doradził. Trzeba zachować absolutną ciszę. Nie wolno nawet przełknąć śliny.

Brodacz był bardzo spokojny, a przynajmniej tak wyglądał. Patrzył na niego, na Jacketa. Nie wprost, ale patrzył. Jacket czuł, że brodacz wierzy w jego umiejętności. To dodało mu odwagi. Zrobił jeszcze jeden krok do przodu. To tak, jakby czatował na rybę. Trzeba poruszać się niezwykle wolno, ale nieustannie, jakby dryfować, a jednak zachować pełną kontrolę.

Wrócił ten najbardziej zapalczywy z całej trójki. Trent czuł przez skórę jego niechęć, typową niechęć, jaką Latynosi żywią wobec gringo, białych Amerykanów. Teraz trzeba natchnąć chłopca odwagą. Trent obserwował go kątem oka, ponaglał siłą woli.

–Pracowałem osiemnaście lat dla rządu brytyjskiego – rzekł do Kubańczyka. – Przenikałem do takich organizacji terrorystycznych, wobec których wy, chłopcy, jesteście jak dzieci. Wiem, co jest grane. Załatwisz nas, gdy tylko się dowiesz, gdzie są kluczyki.

Chłopiec był coraz bliżej. Jeszcze dziesięć metrów. Trent zaśmiał się Kubańczykowi w nos i splunął mu prosto pod nogi.

–Ale najpierw ty walniesz w kalendarz, kowboju.

Kubańczyk zamachnął się kolbą automatu.

Trent znów zaśmiał się szyderczo.

–Zajmij się lepiej dziewczyną, karzełku. Bo mnie nie dasz rady.

Kubańczyk zaklął. Obrócił się do Charity. Chciał, żeby Trent dokładnie widział, co robi. Charity zadrżała, gdy przeciął nożem bluzkę, ale nie zareagowała słowem.

Jacket wyczuł szansę. Pięć kroków i był już przy Trencie. Znalazł nóż w pochwie na karku. Przeciął taśmę. Trent chwycił za ostrze. Teraz Kubańczyk powinien odwrócić się do niego twarzą.

–Słuchaj, ty skarlały skurwysynie! – zawołał po hiszpańsku. – Pierdołę twoją matkę, żonę i siostrę. Wszystkie naraz.

Kubańczyk nie zdzierzył obelgi. Zwinął się jak sprężyna. Odstłonił gardło. Trent poczuł jednak, że drętwieje mu prawy kciuk. Spętano go zbyt mocno. Krew nie dopływała do palców. Przeturlał się ku Kubańczykowi, kopiąc spętanymi jeszcze nogami. Jednocześnie próbował rozruszać kciuk. Nóż wypadł mu z rąk.

Kubańczyk wymierzył straszny cios w kolana. W tym też momencie zobaczył chłopca i zaśmiał się złowrogo. Zapomniał o Charity. Była tylko kobietą. Na jego łasce. Ale to właśnie ona wymierzyła mu teraz kopniaka, celując w kręgosłup. Kubańczyk się zachwiał. Trent podciągnął nogi i szczupakiem rzucił się na Kubańczyka, chwytając go palcami za gardło. Miał przewagę zaskoczenia i był cięższy od Kubańczyka, ale nie miał broni, a nogi nadal spętane. Kubańczyk uderzył pięściami w ramiona Trenta, wyzwalając się z uścisku. Potoczyli się po piasku. Kubańczyk był góram. Walił Trenta po oczach, a kolanami między nogi. Był szybki, piekielnie szybki. Mógłby wygrać, gdyby wyszedł ze zwarcia. Trent rozpaczliwie trzymał go wpół i starał się przewrócić, żeby wykorzystać przewagę ciężaru ciała. Nie było w tej walce niczego porywającego, żadnych zmagania taktycznych, tylko siła przeciwko sile. Brutalnie, ostro, na śmierć i życie. Na koniec Kubańczyk zdołał oderwać się od Trenta. Sięgnął do pasa po pistolet.

–Bardzo mi przykro, Charity – Trent zdał sobie sprawę, że słyszy swój głos.

I wtedy Kubańczyk zwałił się. Padł na ziemię. Nikt nie pamiętał o Jackecie.

A chłopak tymczasem znalazł kamień i uderzył Kubańczyka w tył czaszki. Trent usłyszał trzask łamanych kości. Odepchnął trupa. Z nawyku rozejrzał się najpierw za nożem. Przeciął taśmę na nogach, uwolnił Charity.

–Dasz radę iść – stwierdził i wziął ją za łokieć.

Odepchnęła go z obrzydzeniem. Czowała jeszcze na sobie łapy Steve'a i Kubańczyka.

Trent obrócił się do Jacketa. Trzeba zachować spokój, bo inaczej chłopiec przeżyje szok. Nie dotknął go. Uśmiechnął się tylko do niego.

–Zaraz zabierzemy cię do domu, chłopcze. Moja łódka stoi tuż za rafami. Tylko jeszcze tu załatwię, co trzeba, i razem popłyniemy do motorówki. Wszyscy troje. Burza już przeszła.

Chłopiec kiwnął głową.

–Ilu ich jest? – spytał Trent cicho.

–Tylko pan Steve i tych dwóch – rzekł chłopiec.

–Dobra! – Trent znów się uśmiechnął. – A teraz wchodźcie do wody. Oboje. I nie ruszajcie się, aż dam znak. Zagwiżdżę.

Wziął stirlinga Kubańczyka, sprawdził magazynek, zabrał też zapasowy z plastikowej torby. Kubańczycy skierowali się na północ. Poszedł więc ich tropem. Zapewne nie zakładali, że będzie ich ścigał. Nie sądził, by należeli do tego typu ludzi, którzy zechcą się poddać, ale trzeba dać im szansę. Inaczej sprawa byłaby prosta. Szkolono go przecież do załatwiania takich spraw.

Rozległ się strzał. Magnum 45, ocenił Trent. Potem jeszcze jeden. Pięć sekund między pierwszym a drugim. To peVnie ten, którego chłopiec nazwał Steve'em. Amator, o którym mówił O'Brien, którego DEA chce złamać, a Skelley gotów poświęcić wszystko, żeby doprowadzić go na szubienicę. A może zostawić go „sanitariuszom”? W końcu za to im zapłacono. Za to, żeby

go zlikwidowali. Można by też poczekać na policję, ale wtedy O'Brien już go nie wypuści z rąk. Skelley miał rację. O'Brien i jego ludzie wejdą w układ, który dla Charity będzie niczym innym jak zdradą, to zaś może przechylić szalę.

Jeden z Kubańczyków krzyknął coś do swego towarzysza. Obaj zaczęli nawoływać tego, którego zabił Jacket. Zaklęli, nie słysząc odpowiedzi. Zabrakło im czasu, żeby sprawdzić, co się stało. Szli jakieś sto metrów jeden od drugiego północnym brzegiem wysepki. A zabójca kryje się pewnie w wodzie. Wystraszony, przerażony i cholernie niebezpieczny.

Steve zobaczył jakiś ruch i wystrzelił dwa razy. Chciał powstrzymać pogoń i przekraść się w stronę laguny. Stał zanurzony po szyję. Nie znajdą go, nie zobaczą, chyba że sami wejdą do wody. Widział ich na tle piasków. Miał jeszcze pięć naboí w magazynku i zapas w pudełku. To nic, że pudełko jest w wodzie. Woda nie uszkodzi naboí. Nie wiedział, kim są prześladowcy, i właściwie wcale go to nie obchodziło. Zamierzał ich po prostu zabić.

Woda sięgała mu prawie do ust. Myślał o tym, którego już załatwił. O tym, jak wielka kula zwała roślego mężczyznę z nóg. Taka myśl nie dopuszczała strachu, a ten otaczał go dookoła. Trzeba mocno trzymać ruggera i zacisnąć zęby. Nie pojmował, co się właściwie stało. Skąd nagle ten płomień? Niczego nie ogarniał. Wydawało mu się, że wygrał. Jesus Antonio i Torres byli już w drodze na cmentarz. Wyobrażał sobie, jak się pochyla nad grobem Torresa. Powtarzał sobie w myślach, co powie i jaką zrobi minę.

Nie dali mu żadnej szansy, żeby pokazał, ile naprawdę jest wart. To nie jest sprawiedliwe. Wspomnił ojca. Ojciec był księgowym na państwowej posiadzie. Najbardziej cenił lojalność i to był jego ulubiony temat. Lojalność, służba i dług, jaki się ma wobec społeczeństwa, a gdyby wziął prywatną posadę, to zarabiałby trzy razy tyle. Steve mógłby wtedy pójść do prywatnej szkoły, później do Yale albo na jakiś inny, ale równie prestiżowy uniwersytet. Później do Oxfordu na parę semestrów, jak ten skurwiel Xavier de Fonterra. Z taką biografią żaden bank by go nie wyrzucił. Byłby zbyt cenny. A tak, co? Za sprawą jakiegoś cholernego Negra wdepnął w gówno.

Był na równi wściekły i przerażony, gdy wypatrywał na brzegu jakiegokolwiek ruchu. Musi ich załatwić. I jeszcze szczeniaka i tę czarną kurwę ze szkółki. Wielka szkoła! Blaszyne szalas. A w ogóle, to jakim prawem taka kurwa wtyka nos w jego sprawy?

Był mądrzejszy, inteligentniejszy od nich wszystkich. Radził sobie nawet pod presją w banku. A oni co zrobią? Pewnie zmyją się z Cay. Trzeba więc zająć pozycję między nimi a łódkami, przechwycić ich na drodze do rafy. Już widział, jak brodzą w

wodzie, a wtedy – pach, pach...

Trent obserwował pozostałą dwójkę Kubańczyków z niewielkiego zagłębienia gruntu nieco z tyłu od ich stanowisk. Leżeli oddaleni od siebie o jakieś sto metrów na zboczu ostatniej wydmy na północnym skraju wysepki. Wiatr rozproszył chmury, mokry, wygładzony odpływem piasek połyskiwał w mroku. Kubańczycy nie mieli łatwego zadania, bo też nie należy do przyjemności dobrać się do człowieka uzbrojonego w magnum 45, który na dodatek kryje się w morzu, a szum fal zagłusza wszelkie jego ruchy. Trent nie zamierzał im współczuć, choć z drugiej strony poczuwał się do pewnej solidarności. Niewątpliwie Kubańczykom zapłacono więcej, niż wynosiła jego gaża, gdy jeszcze służył w wywiadzie wojskowym, ale też niepowodzenie w ich przypadku równało się śmierci, podczas gdy jego można było co najwyżej wywalić ze służby. Nigdy zresztą nie zależało mu na niej, nie zabiegał o to, dostał się do wywiadu za sprawą wuja-opiekuna, który go zwerbował.

A teraz leżał nie dalej niż dwadzieścia metrów od pierwszego Kubańczyka.

–Gringo jest mój – odezwał się cicho po hiszpańsku. –

Położ automat na piasku i czołgaj się tyłem w moją stronę – polecił.

Kubańczyk nie zareagował. Leżał bez ruchu, ważył szanse.

–No, ruszaj – ponaglił Trent. – Nie masz do czynienia z amatorem. Byłem agentem, mordercą w służbie państwowej.

–A ja byłem w Angoli. Całe trzy lata – odwarknął Kubańczyk.

Śmierć od kuli to było coś, co traktował jako naturalne, zwłaszcza że alternatywą mogła być szubienica. Obrócił się w miejscu, zwinnie jak wąż, nie po to, aby się bronić, ale żeby zakończyć sprawę możliwie szybko i bezboleśnie.

Głuchy dźwięk wystrzału z opatrzonego tłumikiem stirlinga Trenta zaalarmował tego drugiego i zorientował go w sytuacji. Puścił serię w stronę wydmy.

Trent przyłgnął do ziemi. Patrzył na morze. Pociski ze świstem przeszły obok. Spodziewał się, że Steve też otworzy ogień, mierząc w miejsce, skąd padła seria. Nic jednak takiego nie nastąpiło. A więc nie docenił Amerykanina, który wcale nie był taką ofermą, jak mu się zdawało. Nie miał już czasu na rokowania z ostatnim Kubańczykiem. Wystrzelił raz tylko i zbiegł z wydmy.

Burza wzmocniła prąd płynący od północy. Brodząc przy brzegu Trent czuł napór wody. Stawiając czoło „sanitariuszom” podejmował świadomie pewne ryzyko, ale liczył na to, że zechcą ująć z życiem. Steve nie analizował sytuacji w sposób racjonalny. Trent wyobrażał sobie, jak to było, gdy Steve wybierał pistolet w sklepie z bronią. Zdecydował się na magnum, bo urzekł go kaliber, gabaryty broni, nie zastanawiał się, że na takiej broni trzeba się znać i mieć do niej sporo siły.

Stirling zaczął mu ciążyć, więc Trent odrzucił automat i popłynął z prądem.

Pogoda na Karaibach zmienia się znacznie szybciej niż na północnych szerokościach geograficznych. Jeszcze godzinę temu wiał huragan, a teraz już tylko niewielkie szkwały dogorywały nad laguną. Steve liczył się z tym, że będzie musiał czekać, aż się rozwidni, tymczasem obie ofiary widział wyraźnie jak na dłoni. Dwie

głowy sterczały w wodzie, jakieś czterdzieści metrów od brzegu, na wysokości kotwicowiska. Szczeniak był stosunkowo mały, jeśli więc oboje tkwili po szyje w wodzie, to znaczy, że czarna kurwa musiała kucnąć albo przykłęknąć.

Postanowił zająć ich od strony morza. Musiał przesunąć się jakieś trzydzieści metrów dalej od brzegu. Szum fal i prądu doskonale zagłuszał ruch. Nie czuł już chłodu, który dokuczał mu jeszcze przed chwilą. Ogarniało go miłe ciepło, wręcz radość, i uśmiechał się do siebie z zadowoleniem. Chciał dojść możliwie blisko, chciał zobaczyć ich twarze. Już wyobrażał sobie ów wyraz przerażenia. Jeszcze dwadzieścia metrów. Ruggera trzymał przed sobą, płasko na powierzchni wody. Szedł ostrożnie, badając nogami grunt, by nie nastąpić na przypadkowy kamień czy koral. Wygrywa ten, co potrafi myśleć. Mózg, tylko to się liczy. Także na korcie, myślał sobie wspominając, jak to ganiał przeciwników,

precyzyjnie plasując piłki, obmyślając każde kolejne uderzenie. Zawsze analizował każdy krok, kalkulował, teraz też dokładnie przemyślał atak. Przez całe życie usiłował przekonać ojca do takiego sposobu postępowania, ale ojciec oburzał się na niego i zarzucał mu intryganctwo i nieuczciwość.

Podniósł broń. Odczekał, aż ostatnia kropla spłynęła z lufy, i wymierzył w głowę nauczycielki. Ją załatwi najpierw. Zależało mu, żeby szczeniak widział, jak czarny łeb eksploduje.

Trzymał ruggera oburącz. Dwoma palcami odciągnął sprężynę. Z tak bliskiej odległości nie sposób spudłować.

–Bang, jesteś trupem. – Nie musiał wołać, była tak blisko, że usłyszałyby nawet szept.

Chce zobaczyć, jak umieram, pomyślała Charity. Chce się zabawić jak kot z myszą. Ale ona nie da mu tej satysfakcji. Nie chciała. Pomyślała jednak o Jackecie. Pozostawała przecież szansa, wąta, ale jednak, że Jacket zdoła zbiec, gdy Steve zacznie strzelać do niej. Zaczęła się więc obracać, powoli, bardzo powoli. Starła się zapanować nad strachem, żeby przynajmniej tej satysfakcji nie dać temu białemu wieprzowi. I wtedy usłyszała Trenta.

–Jesteś psychiczny, Steve! – zawołał Trent. – Ale może będziesz miał szczęście i nie pójdziesz na szubienicę.

Prąd oddalił go nieco w głąb morza od całej trójki. Dzieliło ich jakieś czterdzieści metrów. Pięć sekund między dwoma strzałami, które Steve oddał w stronę Kubańczyków, dało mu pojęcie o umiejętnościach i szybkostrzelności Steve'a. Nie powinien podchodzić zbyt blisko, z drugiej jednak strony trzeba przez cały czas napierać, iść do przodu, absorbować uwagę jankesa, a nade wszystko – rozwścieczyć go.

–Jesteś szaleńcem! Przekonałem się o tym, gdy tylko zobaczyłem zwłoki chłopca w kostnicy – zawołał.

Lufa wielkiego magnum ziała czernią. Trent zmrużył oczy, by nie oślepił go blask wystrzału. Nieprzerwanie parł do przodu, po szyję w wodzie.

–Tak – zawołał -jesteś chory, psychicznie chory! Do końca życia nie wyjdiesz ze szpitala dla wariatów!

Eksplozja targnęła nim, ale odrzut potężnej broni sprawił, że kula chybiła, przeszła metr nad jego głową. Trent obliczał w myślach, czy Steve zdążył uzupełnić magazynek. Jeśli nie, to zostały mu jeszcze trzy pociski, a jeśli tak, to co najmniej cztery. Tak

przynajmniej opisywano colta magnum w powieściach z Dzikiego Zachodu i tak pokazywano w westernach – „W samo południe”, w „Jeźdźcu znikąd” i jeszcze innych.

Nie odrywał oczu od Steve'a, gdy ten znów wymierzył broń. Drugi pocisk też przeszedł górami, podobnie jak pierwszy. Trent był coraz bliżej. Dwadzieścia metrów. Zagarnął dłonią jak wiosłem i posłał strumień wody w stronę Steve'a.

–Ty karle. Wezmę cię żywcem! – zawołał.

Amerikanin strzelił po raz trzeci.

Charity z miejsca zrozumiała grę Trenta. Chwyliła Jacketa i przytuliła do siebie. Nie chciała nic widzieć, ale też nie potrafiła zmusić się, żeby nie patrzeć. Widziała więc wszystko. Jak lufa wielkiego rewolweru podrywa się przy wystrzale, jak padają cztery strzały, a Trent uparcie brnie naprzód. Był już dziesięć metrów od Steve'a. Ciągle po szyję w wodzie. Na powierzchni unosiła się tylko brodata głowa i zmierzwiona czupryna. Przypomniała się jej głowa Jana Chrzciciela na tacy. Chciała krzyknąć, żeby Trent dał nurka, skoczył w bok czy coś takiego, on jednak wciąż parł na Steve'a, zbliżał się wolno, ale nieubłaganie, patrząc mu prosto w oczy.

Cztery strzały, a więc tamten załadował jednak świeży magazynek. Był już o kilka kroków od Steve'a. Z tej odległości nie sposób chybić. Trent widział, jak Steve oblizuje wargi biorąc go na cel. I wtedy usłyszał głuchy trzask iglicy trafiającej w próżnię.

Amerikanin nie zdzierzył tego. Fizycznie. Opuściła go wszelka wola walki, stracił resztkę nadziei. Trent wyjął mu ruggera z dłoni i kazał obrócić się twarzą do wyspy. Sam też już nie panował nad sobą. Zgiął się w pół i zwymiotował. Treść żołądka paliła w przelyku. Splunął, przepłukał usta morską wodą. Prąd poniósł plwocinę w stronę Charity i chłopca.

–Przepraszam – szepnął Trent.

Odszukali ponton Kubańczyków i nim przedostali się na Yellow Submarine. Rufa motorówki nosiła ślady zmagania z burzą: antena radaru wyrwana, kokpit kompletnie zniszczony.

Steve siedział skulony w kącie sterówki. Charity tuliła Jacketa.

Trent rzucił kotwicę przy Green Creek. Mimo deszczu witała ich liczna gromadka osób, które zgromadziły się na plaży zaintrygowane eksplozją i płomieniami na Bleak Cay. Patrzyli podejrzliwie na przybyszów i ruszyli za nimi do wsi, trzymając stosowny dystans. Mężczyźni, którzy jak zwykle popijali w barze Jacka, też obrzucali orszak ciekawym spojrzeniem.

W szkole paliły się światła, przed budynkiem stał policyjny dżip. Trzymając Steve'a za łokieć, Trent kazał mu wejść do środka. Cała szkoła składała się z jednej izby, czterech rzędów ławek, trochę miejsca dla Charity i niewielkiego podium, na którym stawali politycy, którzy od wielkiego dzwonu zjeżdżali do Green Creek,

zwykle przed kolejnymi wyborami. Na nim to przysiadł Skelley. Wyglądał godnie i nader oficjalnie w mundurze, który ktoś dostarczył mu z Nassau. Twarzy nie było widać, bo padał na nią cień od daszka mundurowej czapki.

Trent pchnął Steve'a na środek izby.

Skelley w milczeniu obrzucił Amerykanina wzrokiem. Być może powtarzał w myślach oficjalną formułkę, bo kiedy się wreszcie odezwał, padły te słowa:

–Stephenie Johnie Radford, aresztuję cię w imieniu prawa za zabójstwo Victora Horatio Nelsona. Masz prawo odmówić zeznań, a wszystko, co powiesz, może być użyte przeciwko tobie.

Wiejski teatr, pomyślał Trent zastanawiając się, skąd Skelley tak dokładnie zna nazwisko i oba imiona Steve'a. Albo podał mu je O'Brien, albo Skelley od początku brał udział w grze. Tymczasem położył ruggera i pudełko z amunicją na podium obok Skelleya.

–Na Bleak Cay zostało szambo. O'Brien powinien tam posłać swoich ludzi.

–Są już w drodze – skinął głową Skelley. – Czekali na zmianę pogody. A więc to ty jesteś Jacket Bride... – zwrócił się do chłopca.

–Daj mu spokój – wtrąciła się Charity. Nie wypuszczała chłopca z rąk od ostatniej sceny ze Steve'em. Teraz też otaczała go ramieniem, tuląc do siebie, chroniąc przed nocnym chłodem. Stała mocno, pewna swego. To była przecież jej szkoła, jej teren, a chłopiec był jej uczniem. – Rzygać mi się chce i nie damy się wciągnąć w wasze gówniane interesy. – „Wasze” oznaczało, że ma na myśli także Trenta.

Z daleka dobiegł szum nadlatujących śmigłowców. Dwa poleciały na Bleak Cay, trzeci usiadł na plaży za wsią. Skelley wyjął chusteczkę i strącił niewidoczne drobiny piasku

z wyczyszczonych do glansu butów. Szykuje się do ataku, pomyślał Trent. Coś wisiało w powietrzu i Trent czuł to przez skórę. Wiedziałby więcej, gdyby mógł zobaczyć minę Skelleya. Przesunął się nawet bliżej podium, ale Skelley odwrócił się w stronę Amerykanina.

–Niech pan tu podejdzie, panie Radford – rozkazał, wskazując miejsce tuż przed sobą. Steve posłusznie wykonał polecenie.

–Czy pan wie, że na Bahamach morderców posyłamy na szubienicę, panie Radford? – spytał. Wyjął z futerału pistolet i położył na podium. Miało się wrażenie, że czyni to z rozmysłem. – Którego z nas najbardziej pan nienawidzi, panie Radford? Którego przeklnie pan w ostatniej sekundzie życia, gdy już pętla zaciśnie się na pańskiej szyi? A wie pan, że wisielec żegnając się z życiem sra w spodnie? Co za ohyda! I pana też to spotka, panie bankierze z Nowego Jorku.

Trent chciał mu przerwać.

–Jak ci się nie podoba, to się wynoś! – warknął Skelley. –

Te wszystkie wielkie przyjęcia w Nowym Jorku, drogie trunki, kokaina, piękne kobiety na zawołanie. Czy miał pan już tego dość, panie Radford? Potrzebował pan czegoś nowego, tak? Podniecały pana tortury? Zabijanie dzieci? Jak Victora na Bleak Cay? Tylko coś takiego jest w stanie podniecić wielkiego bankiera z Nowego Jorku?

Steve, który od czasu gdy oddał ruggera Trentowi, był jak martwy, drgnął. Zbudziła się w nim iskra życia. Nienawiść. Oblizął wyschnięte wargi. Różowy język błysnął wilgocią w świetle żarówki.

–To nie tak – powiedział cicho. – Pan tego nie rozumie.

–Nie rozumiem, na czym polega przyjemność, gdy zadaje się dzieciom tortury. O to panu chodzi, panie Radford? No, niechże nas pan oświeci!

Skelley założył nogę na nogę. Ręce wsparł na kolanach. Odchylił się nieco do tyłu. Czekał.

–A więc, panie Radford...

Zachowywał się jak nauczyciel-sadyśta, który znęca się nad dziećmi w klasie.

–Dość tego, Skelley! – zawołała rozwścieczona Charity.

Policjant podniósł wzrok. Twarz miał czarną, błyszczącą, bez żadnego wyrazu. Ale w oczach kryła się śmierć. Trent zrozumiał, że Skelley zabije Amerykanina. Bez względu na wszystko. Poświęci lata kariery, stanowisko, resztkę wiary w sprawiedliwość. W otwartych drzwiach stanął O'Brien w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy bahamskiej policji. Przeciąg wzniósł w górę drobiny kurzu – złocistego piasku, który zawirował pod lampą. O'Brien w jednej ręce trzymał nieodłączną aktówkę, a w drugiej jakieś papiery. Mrużył oczy oślepiiony ostrym światłem gołej żarówki.

–Dobry wieczór, panno Johnston – rzekł z lekkim skłonem głowy. Trenta pominął jak powietrze. Machnął papierami w stronę Skelleya. – Przybywam po aresztanta – rzucił i nie czekając na odpowiedź zwrócił się do Steve'a. – Panie Radford – oznajmił – władze bahamskie powierzają pańską osobę mojej pieczy w celu przewiezienia do Stanów Zjednoczonych Ameryki, gdzie zostanie pan formalnie oskarżony o naruszenie prawa w ten sposób, że spiskował pan w celu wwiezienia do kraju zabronionych substancji, a konkretnie – kokainy. Może się pan odwołać od decyzji o ekstradycji, bądź nie. Jeśli nie chce pan składać odwołania, wystarczy po prostu to oznajmić, oświadczyć, że wyraża pan zgodę na przekazanie pańskiej sprawy pod jurysdykcję amerykańskiego sądu federalnego i że przyjmuje pan do wiadomości, iż po przybyciu na terytorium Stanów Zjednoczonych zostanie pan postawiony w stan oskarżenia. Domyślam się, że komendant wyjaśnił już panu, jaka jest alternatywa.

–W amerykańskich pierdlach jest strasznie dużo czarnych – wtrącił Skelley – a my, czarni, pasjami lubimy białe tyłki, panie Radford. Pewnie pan o tym słyszał, panie Radford – zachichotał.

Obrócił się w stronę O'Briena, strącając łokciem swój pistolet.

Broń spadła na podłogę prosto pod nogi Steve'a. – Nie ruszaj tego, ty chuju – powiedział ze spokojem.

Być może obelga była tą ostatnią kroplą, która przeważyla szalę. Steve chwycił broń. Nikt się nie ruszył. Steve zawahał się na mgnienie, tocząc wzrokiem po obecnych.

–Ty będziesz pierwszy – warknął, wlepiając oczy w Jacketa.

Trent podniósł ręce do góry, jakby kapitulował. Palcami sięgnął na kark. Gdy Steve wymierzył pistolet, prawa ręka Trenta jak błyskawica śmignęła do przodu. Nóż trafił w szyję, prosto w gardło. Steve wypuścił pistolet. Jego twarz przybrała zdziwiony wyraz, gdy palcami dotknął rękojeści noża. Zachwiał się i padł na ziemię.

Tylko Charity dostrzegła w oczach Trenta wyraz cierpienia, a zarazem obrzydzenia do samego siebie, gdy się schylił, aby wyjąć nóż z szyi Steve'a. Wytarł ostrze o jego koszulę i wsunął do

pochwy. Brał na siebie odpowiedzialność. Niczego innego nie czynił od czterech dni. Z rozmysłem, świadomie, bo tylko tak bierze się na barki wielki ciężar.

Podniósł pistolet Skelleya. Nacisnął spust mierząc w podłogę. Dwa pierwsze naboje były ślepe. Trzeci strzaskał podłogową deskę. Trent wrzucił tylko ramionami i rzucił broń Skelleyowi.

–Złota Dziewczyna stoi w Coakley Town – rzekł Skelley.

–Dzięki – odparł Trent.

Charity nie wiedziała, co powinna zrobić. Amerykanin nic ją nie obchodził, a jego rola była zbyt skomplikowana. I nie miało znaczenia, czy był tylko pionkiem w tej grze, czy tym, który pociąga za sznurki. Podeszła do Skelleya.

–Powiedziałam ci kiedyś, że nie masz jaj. – Uderzyła go na odlew w twarz. – To za Trenta, który jest za głupi, by samemu to zrobić.

Odwracała się na pięcie, gdy właśnie do izby wpadła pani Bride. Zawahała się na widok Steve'a na podłodze, ale tylko na chwilę. Chwyciła syna za rękę, pociągnęła do wyjścia, pokrzykując jednocześnie na wszystkich dookoła. Nie miała pojęcia, co się właściwie stało, ale też nie próbowała pojąć. Nie zależało jej na tym. Później stworzy sobie własną wersję wydarzeń, taką, jaką uzna za wygodną dla siebie.

Trent chciał ochronić chłopca. Nie taka była jednak jego rola i nie tak obsadził go Skelley na samym początku. Mimo to nie miał pretensji do Skelleya, że ten po prostu go użył, wykorzystał. W końcu właśnie na tym polegało całe jego życie. Istniał wyłącznie po to, aby zeń korzystano.

–Chodźmy – odezwała się Charity stając u jego boku.

–Mordercy cię podniecają? – spytał.

Charity chciała mu powiedzieć, że to wszystko jest takie bolesne: Skelley, O'Brien, policjanci, plotki i w ogóle.

–Przepraszam – szepnął.

Ona jednak widziała to wszystko inaczej. Jego wstyd był też przeciwko niej.

–Pierdol się – rzekła, a jakby tego było mało, dodała: –

Jezus Maria, skąd się w tobie bierze tyle poczucia winy? Ktoś musiał zwichnąć ci kręgosłup w dzieciństwie. – Wzięła go za rękę. Palce miała mocne, pełne blizn-pamiętek z raf. Nie oponował, gdy objęła go ramieniem. – Nie wolno ci mnie tak zostawić – dodała.

Pani Bride prowadziła Jacketa przez wieś. Był bohaterem, więc tuliła go do siebie, zwłaszcza gdy przechodzili pod barem Jacka.

Chciał coś powiedzieć, ale kazała mu milczeć. Wolą, żeby wszystko odbyło się w zaciszu ich domu. Tam dowie się, co naprawdę zrobił. Nie dawała wiary temu, co ludzie mówili, gdy biegła do szkoły. Jednego tylko była pewna, że w całej sprawie brała udział nauczycielka, a to groźne, bo to jej może przypaść cała zasługa.

Pchnęła chłopca do domu drzwiami od kuchni. Zapaliła światło. Łóżko połyskiwało w miękkim płomieniu lampy naftowej, pyszniły się koronki i puchowe poduszki. Łoże zajmowało większą część izby i pani Bride z trudem precyzyjnie przycisnęła się do stołu.

–Siadaj – odezwała się do chłopca. Był przecież JEJ chłopcem. – Zrobię herbaty.

Jacket siedział czekając, co będzie dalej. Wciąż jeszcze dygotał ze strachu.

Dreszcze raz po raz się nasilały, gdy tylko napływała fala przerażenia. Chciał wyrzucić z pamięci to wszystko, co zdarzyło się na Cay, ale obraz pana Steve'a z wielkim rewolwerem ustawicznie wracał. Dotknął rąbka białego jak śnieg prześcieradła. Gdy przez szpary zawiąło słoną bryzą i deszczem, zacisnęła palce na delikatnej materii. Pan Steve zawołał, a on, Jacket, rzucił mu się w ramiona, nie mogąc się powstrzymać. Pan Steve chwycił go i przycisnął do siebie, i Jacket poczuł gorącą, lepka krew, która buchnęła z szyi pana Steve'a. Zajęczał i skulił się na łóżku, oburącz zasłaniając prześcieradłem usta, aby nie krzyczeć.

Sam na wielkim łożu wyglądał jak chore pisklę w gnieździe, przemoczone od deszczu, skulone ze strachu. Pani Bride zatrzymała się w drzwiach i widziała, jaki jest biedny. Chciała podejść, utulić go. Doskonale знаła uczucie, jakie nim teraz targало. Ile to już lat? Dziewięć. Od dziewięciu długich lat przeżywała takie chwile pełne wątpliwości i lęków, a zarazem marzeń, że znajdzie się silne ramię, które otoczy ją i ukoi. Przed tymi chwilami, gdy czuła się biedna i zagubiona, broniła się tym, na co było ją stać: złością, zrzędzeniem, złorzeczeniem.

Zmusiła się, żeby jednak wejść do chaty. Para niosła się z kubków herbaty. Próbowiła usiąść na łóżku obok chłopca, ale nogi nie pozwalały. Dotknęła jego ramienia. Chłopiec zadrżał. Chciała wypowiedzieć jego imię, ale nie potrafiła dobyć z gardła ani słowa. Zawsze przypominał jej o mężczyźnie, który ją porzucił.

Wspomnienie pierwszych lat po odejściu męża ukłuło ją jak nóż. Jej mały chłopiec w wielkiej marynarce ojca. Ślepa miłość

dziecka do ojca tylko pogłębiała w niej uczucie klęski, oskarżała się o to, że nie potrafiła utrzymać mężczyzny przy sobie. Pamiętała własną hańbę, wstyd wobec całej wsi. Kobiety ją wyśmiewały, a mężczyźni czując łatwą zdobycz napastowali przy lada okazji. Nie poddawała się. Miłość jest zbyt groźna i niebezpieczna, jest jak pułapka. Nędzna chata tylko potęgowała jej opór. Za mała, aby nastał tu mężczyzna.

A teraz przerażało ją wielkie łóżko, wygodne i wspaniałe, ale też groźne.

Potrząsnęła chłopcem. Obróciła go na plecy. Leżał z kolanami pod brodą.

–To dobre łóżko, a ty jesteś cały mokry i utyłany. Ubrudzisz pościel.

Jacket podniósł oczy. Cień oblewał twarz mamy. Wyglądała niekształtnie w luźnej sukni. Czuł, że cierpi. Cierpienie otaczało ją jak tarcza, przez którą nie potrafił przeniknąć. Myślał, że za sprawą łóżka wszystko się zmieni. Zapłakał cicho. Nic więcej nie mógł zrobić.

Na podwórku rozległy się kroki. Jacket zdążył tylko powiedzieć mamie, że nic mu nie jest, gdy do chaty wkroczył policjant.

–Chłopcu może grozić niebezpieczeństwo, pani Bride. Lepiej będzie, jeśli go zabierzemy tam, gdzie będzie można go obronić. Tylko na parę dni.

Brown dysponował licznymi kontaktami, wielce użytecznymi w jego zawodzie. I tak, gdy tylko wylądował na Florydzie, ktoś wręczył mu wodoszczelną walizeczkę, w której znajdowały się materiały niezbędne do wykonania zadania. Ktoś inny załatwił prywatny samolot, którym Brown udał się z Fort Lauderdale na jedną z wysep na Bahamach, gdzie czekała wynajęta łódź. Istniał cień podejrzenia, że jej sternik doniósł policji o operacji przemytniczej.

Łódź nie była duża, wszystkiego siedem i pół metra, ale wygodnie wyposażona. W kajucie był nawet prysznic z gorącą wodą. Dla Browna było to niezwykle ważne, lubił bowiem zażywać kąpeli po pracy. Łódź wynajęto na całą dobę, umawiając się, że rejs zakończy się przy Rajskiej Wyspie. Tymczasem Brown bez targów dał sternikowi zaliczkę w wysokości połowy umówionej kwoty.

Całe popołudnie i wieczór łódź stała na kotwicy w pobliżu odludnej wysepki. Sternik zabijał czas łowiąc ryby, a Brown drzemał nad książką. Przekroczył już sześćdziesiątkę i nie najlepiej znosił podróże samolotem.

Ruszyli nocą. Brown przebrał się w granatowy, bawełniany kombinezon, usiadł w kokpicie obok sternika i dopiero wtedy podał mu dokładne dane celu podróży. Zażyczył sobie, aby go wysadzono pół mili od brzegu. Sternik pomógł mu zająć miejsce w niewielkim, czarnym pontonie.

Brown kazał mu powtórzyć umówione znaki.

–Najpierw trzy błyski, a potem dwa. Ty odpowiadasz najpierw dwoma błyskami, a następnie trzema.

Sto metrów od brzegu Brown rzucił kotwicę i zsunął się do wody. Wodoszczelną walizeczką posłużył się jak deską do

pływania. W niewielkim, uczniowskim plecaku z granatowej tkaniny nylonowej miał pistolet-wiatrówkę, rewolwer zabawkę wyrzucający strumień wody i chirurgiczny skalpel. Dotarł do brzegu niedaleko niewielkiej, prywatnej przystani. Halogenowe lampy rozświetlały ogród. Brown przystanął na chwilę, podziwiając wspaniałą roślinność.

Jeden z jego bliskich przyjaciół pracował przez całe lata jako chemik w zakładach perfumeryjnych w Grasse, nim przeniósł się do pewnego laboratorium pod Marsylią, gdzie zajął się rafinacją heroiny. Na prośbę Browna, jeszcze na początku ich znajomości, skomponował substancję rozcieńczającą woń suki w czasie rui.

Nie wychodząc z wody Brown ujął rewolwer zabawkę i spryskał obficie kępy trawy na brzegu. Zaraz potem nadbiegły węsząc niecierpliwie dwa potężne rottweilery. Brown załatwił je z wiatrówki. Strzelał bolcami zawierającymi substancję usypiającą. Lubiał zwierzęta i nie chciał ich zabijać. A poza tym ceniał sobie psy. Z doświadczenia wiedział, że tam gdzie są psy, strażnicy nie są zbyt czujni.

Zlikwidował sekretarza, który zasiedział się w bibliotece, i cztery osoby służby na zapleczu, a następnie na stole w holu rozłożył swoją walizeczkę. Wyjął z niej detektor metali, pewną ilość semtexu i dziesięć małych pojemników z fosforem i zapalnikami czasowymi.

Za pomocą detektora znalazł to, na czym mu zależało, a mianowicie kasy pancerne. Pierwsza znajdowała się w ścianie sypialni Torresa. Wystarczyło pięć uncji semtexu. Drugi sejf, w bibliotece, był większy i solidniejszy, więc trzeba było użyć nieco więcej materiału wybuchowego. Na koniec Brown porozstawiał pojemniki z fosforem w różnych miejscach domu i nastawił zapalniki na trzecią nad ranem.

Przedostał się wpływ do pontonu. Płynął wolno, miał przecież swoje lata. Zanim na pontonie chwycił za wiosła, starannie wytarł ręcznikiem twarz i ręce. Pomyślał, że dom, w którym przed chwilą gościł, był naprawdę ładny, i żałował nawet, że trzeba było go zniszczyć. Ale cóż, pan Dribbi był po pierwsze starym klientem, a co ważniejsze, bardzo dobrym i nader częstym.

Przeprosił sternika, że mokry wchodzi do kajuty. Wziął gorący prysznic. Przebrał się w stosowne spodnie i koszulę. Zaszedł do kokpitu. Sternik patrzył na niego ciekawie.

–Dobrze poszło? – Nie potrafił powstrzymać się od pytania.

–Wspaniale, wspaniale.

Gdy dobili do Rajskiej Wyspy, Brown wręczył sternikowi resztę należności. Pod drzewami oddzielającymi plażę, przy której wylądowali, od podmiejskiej ulicy było raczej mroczno. Brown poprosił sternika o odprowadzenie.

–Tylko do drogi. Wie pan, w moim wieku nie zawadzi trochę ostrożności. Kto wie, co może kryć się w mroku.

Przydomowy ogródek wymagał dużo pracy, przez co Brown, mimo wieku, mięśnie miał jak ze stali. Bez specjalnego wysiłku podciął gardło sternikowi. Trupa rzucił pod palmę, sam zaś wyszedł na szosę. Krocząc trawiastym poboczem dotarł na pobliski parking. Dobra robota. Pan Dribbi będzie zadowolony.

Trent zgodził się rzucić okiem na pogorzelnisko tylko dlatego, że O'Brien przekonał go, iż sprawa może mieć związek z bezpieczeństwem Jacketa. Nad ruinami domu Torresa unosił się jeszcze dym. Nie znaleziono żadnych papierów ani dokumentów. Wszystko spłonęło, a ogień miał wyjątkowo wysoką temperaturę. Fosfor, domyślił się Trent. Dwie kasy pancerne otworzono za pomocą ładunków wybuchowych. Żadnych śladów rabunku. A więc była to raczej operacja „sanitarna”. Czysta, dokładna, na najwyższym poziomie zawodowym. Trent z O'Brienem przeszli na trawnik. Na powierzchni wody w basenie unosiła się warstwa sadzy.

–Sprowadźcie psa – polecił Trent. – Wszystko jedno jakiego, byle nie sukę.

Policjant przyprowadził młodego owczarka. Pies niemalże oszalał węsząc w trawie.

–DEA namierzała Torresa? – spytał Trent.

O'Brien przytaknął.

–A powiesz mi wreszcie, na kim ci naprawdę zależy?

–Na Dribbim.

Służąc w wywiadzie wojskowym Trent działał przez dłuższy czas w Irlandii, a pod koniec służby w Ameryce Środkowej, niemniej jednak nazwisko Dribbiego nie było mu obce. Przypomniał sobie – Bliski Wschód, Bejrut. Dribbi – Libańczyk, który

kontroluje większość przerzutów narkotyków z Doliny Bekaa. Korzystał z ochrony islamskich fundamentalistów, w zamian finansował ich operacje przeciwko wrogom zewnętrznym.

–Taki drobny facet, bankier?

O'Brien znów przytaknął.

–Na Boga, ależ on ma już pewnie dziewięćdziesiąt lat!

–I nigdy nie miał styczności z żadną policją – rzekł O'Brien jakby ze wstydem. – Był bankierem Torresa. Przeniósł się na starość tu, na Bahamy. Kupił sobie wyposażenie luksusowego burdelu, którego właściciel nie zdążył otworzyć. To od niego Jacket nabył łóżko. Przypadek. Zbieg okoliczności.

–Dribbi urodził się w burdelu w Bejrucie. – Trent przypominał sobie coraz więcej szczegółów. – Bank Rozwoju i Fundacja Rolna Dribbiego w Zurychu. Tak, kiedyś usiłowaliśmy do niego dotrzeć za pośrednictwem znajomego bankiera. Z podobnym skutkiem – dodał, wskazując ruchem głowy pogorzelnisko. – Taka sama robota. Sprawca, „sanitariusz”, był wedle Amerykanów wolnym strzelcem. Pochodził z

Rosji, był zbiegiem z KGB. W latach sześćdziesiątych pracował w pewnej firmie związanej z CIA; podobnych wiele funkcjonowało za administracji Kennedy'ego.

–Wydawało mu się, że jest jednym z nas – rzekł Trent. –

A ten zbieg okoliczności z łóżkiem sprawił, że chłopiec mógł zginąć.

–Nadal grozi mu niebezpieczeństwo – rzekł O'Brien. –

Z tego co wiemy, chłopiec nocował u Dribbiego. Rano przyszedł tam Torres.

Trent spojrzał na morze. Złota Dziewczyna została w Green Creek. Powiedział Charity, że wróci przed nocą. Wszystko byłoby znacznie prostsze i łatwiejsze, gdyby Dribbi wycofał się wreszcie z interesów.

–A gdzie on teraz jest?

–W Zurychu – odparł Trent. – Skelley dał chłopcu ochronę.

Trent nie żywił zaufania do ochrony policyjnej, a zresztą policja miała za mało ludzi, aby strzec Jacketa w nieskończoność. Czuł, że O'Brien wyraźnie czeka na jego decyzję. Zgniewało go to. Najpierw Skelley go wykorzystał, a teraz chce to zrobić agent DEA.

–Matka jest straszna, ale chłopiec, jak mówi Charity, jest inteligentny. Załatwcie mu gdzieś stypendium.

–Nie ma sprawy.

Trent miał ochotę go uderzyć.

–Sprawa? Sprawa to wy.

–Dribbi – poprawił go O'Brien. Podniósł z ziemi garść kamyków i bawił się nimi.

Trent patrzył na parę kolibrów spijających nektar z kwiatów chińskiej róży przy basenie. Pod powiewem wiatru tłuste płyty na powierzchni

basenu układały się w egzotyczne wzory. Wyobrażał sobie, jak Charity prowadzi lekcje w szkole. Po odejściu ze służby starał się żyć zwyczajnie, ale nie udawało mu się to. Zbyt wiele wiedział, znał zbyt wiele tajemnic. A teraz, gdy pojawiała się szansa na normalne życie, znów wciągano go w różne sprawy. Miał tego dość, chciał powiedzieć O'Brienowi, żeby sam sobie czyścił to szambo, ale przecież był jeszcze Jacket. Przypomniawszy sobie lata w prywatnej szkole. Skandal finansowy związany z ojcem. Wszyscy o tym wiedzieli. Ciężko było. Zirykował go chrząst kamyków, którymi bawił się O'Brien.

–Poślij swojego człowieka, żeby miał oko na Jacketa. A po wszystkim załatw mu odpowiednią szkołę.

–W Kalifornii. Tam wszystkie szkoły są stosowne – przytaknął O'Brien.

Gdy wyszli ze szkoły i ruszyli na plażę, Charity wzięła Trenta pod rękę. Nie tyle z sympatii, ile żeby pokazać całej wsi, że ma gdzieś plotki, że nie dba, co ludzie powiedzą. Przeprowadzili się na Złotą Dziewczynę. Przy piwie Trent opowiedział jej o Dribbim.

–A więc trzeba go powstrzymać – powiedziała Charity, gdy Trent skończył opowieść.

–Od siedemdziesięciu lat nikomu to się nie udało – odparł Trent. Wyjął grill ze schowka, zamontował na burcie, rozpałił węgiel. Czekając aż osiągnie właściwą temperaturę, zszedł do kambuza, przygotował sałatkę z jarzyn kupionych w Nassau. Wziął sztucę, wrócił do kokpitu. Na grillu ułożył dwa apetyczne kawałki ryby. Zręcznie i sprawnie, a zarazem uważnie. Wszystko tak robi, pomyślała Charity, patrząc, jak Trent rozkłada stół, nakrywa serwetą, układa sztucę. Nawet w łóżku był taki uważny i skupiony, jakby się pilnował.

–Czymś takim się zajmowałeś, powstrzymywaniem ludzi takich jak Dribbi? – spytała.

–Coś w tym rodzaju. – Ułożył rybę na talerzu. Otworzył butelkę argentyńskiego caberneta.

–Dziwny jesteś, Trent. Nie chcesz, abym ci pomogła w kuchni, a jednocześnie oczekujesz, że powiem: idź i zabij.

–Chcę, żebyś mnie poznała do końca...

–...i osądziła – poprawiła go. Całe życie wyrażała sądy o ludziach. – Nie, Trent, sam musisz się osądzić.

Zamieszał sos, wlał do sałatki, podał, żeby sobie nabrała na talerz.

–A dlaczego nikomu nie udało się go powstrzymać?

–Dribbiego? – wzruszył ramionami. – Tak to już jest, że nie likwiduje się ludzi na pewnym szczeblu. Gdyby było inaczej, to ci, co pociągają za sznurki, narażaliby się na takie samo niebezpieczeństwo jak cała reszta.

–Nie dasz rady ochronić Jacketa?

–Przez jakiś czas tak, ale nie w nieskończoność. – Zebrał

talerze, zaniósł do kambuza, wrócił niosąc dzbanek z kawą. Siedzieli w milczeniu, patrząc na fale.

–Chyba już pójdę – powiedziała Charity po chwili.

Skoczyła do wody. Patrzył za nią, a może tylko śledził pas

wzburzonej przez pływaczkę wody. Czekał, aż wyjdzie na brzeg, dopiero wtedy wziął kubki po kawie i zszedł do kambuza, aby wszystko pozmywać.

Tylko decyzja była trudna. Reszta była prosta. Najpierw poleciał do Londynu, gdzie spotkał się z pewnym człowiekiem, który byłby jego prowadzącym, gdyby Trent pozostał w wywiadzie wojskowym. Chodziło mu o niewielką w końcu ilość pewnej trującej substancji, której skład opracowali bułgarscy specjaliści jeszcze w czasach zimnej wojny. Była niezwykle silna. Bułgarzy aplikowali ją najchętniej poprzez ukłucie igłą ukrytą w parasolu. Trent wybrał coś innego.

Odczekał w Londynie dwadzieścia cztery godziny i wrócił na Bahamy. Korzystał tym razem z australijskiego paszportu na nazwisko Richarda O'Neila, prawnika mającego kancelarię w Liechtensteinie, i na tę okoliczność zmienił wygląd. Zgolił brodę, przystrzygł krótko włosy, założył niebieskie szkła kontaktowe, kupił stosowny granatowy garnitur odpowiedniej marki i zawiązał krawat w barwach klubu krykietowego z Melbourne. Z lotniska w Nassau odebrał go O'Brien i podwiózł w pobliże rezydencji Dribbiego. Trent zadzwonił i ogrodnikowi, który zjawił się przy bramie, podał bilet wizytowy. Na odwrocie napisał drukowanymi literami:

Z POLECENIA PANA PATRICKA MAHONEYA

Czekał pod bramą dwadzieścia minut, nim wpuszczono go do środka. Pokojówka zaprowadziła go do biblioteki. Pan Dribbi

siedział za biurkiem z drzewa wiśniowego, otulony kaszmirowym pledem. Obok fotela warował Hakim, wierny doberman. Dribbi był wyraźnie zmęczony po podróży. Ledwie poprzedniego dnia przyleciał z Zurychu. Wskazał Trent to wi krzesło.

–Może byłoby lepiej, panie Dribbi – uprzedził Trent –
gdybyśmy rozmawiali przy włączonym radiu.

Stary, mały człowieczek uśmiechnął się nieznacznie, włączając bez słowa odbiornik. Skojarzył się Trentowi z karykaturami w brytyjskim „Punchu”, słynnym tygodniku satyrycznym, który celuje w zabawnych brutalnościach.

–Polecono mi – rzekł Trent – poinformować pana, iż był pan przedmiotem pewnej konferencji zwołanej w ubiegłym tygodniu pod przewodnictwem mojego klienta. Liczne grono uczestników wypowiedziało się za likwidacją pańskiej osoby, ale przeważył inny pogląd, liberalniejszy, że tak powiem. Ten dom, panie Dribbi, będzie pańskim więzieniem. Co prawda niektórzy twierdzą, że to zbyt łagodne rozwiązanie, ale cóż, majątek i pieniądze w każdym systemie dają określone przywileje. Jeśli opuści pan progi tego domu, zostanie pan zlikwidowany, panie Dribbi. To samo spotka pana, gdyby jakieś nieszczęście przydarzyło się młodzieńcowi nazwiskiem Jacket Bride. Wyrok zostanie również wykonany, jeśli zaistnieją najmniejsze choćby podejrzenia, że pański bank nadal finansuje handel narkotykami.

Trent dobył z kieszeni markowy, kosztowny długopis. Odkręcił czubek, ze środka wytoczyła się niewielka kapsułka zawierająca „bułgarską” truciznę. Pchnął ją w stronę pana Dribbiego.

–Oto dowód na poparcie oświadczenia mojego klienta. Pragnę dodać, że mój klient odnosi treść swojej deklaracji także do pańskich dzieci i wnuków. Osobiście radzę zachować daleko posunięte środki ostrożności w trakcie analizy chemicznej zawartości tej oto kapsułki.

–Myślę, że chłopakowi nic nie grozi – powiedział Trent do O'Briena po powrocie z wizyty.

–Załatwiliśmy mu stypendium i szkołę w Kalifornii. Spora placówka. Pięciuset uczniów, dużo sportowych zajęć – rzekł O'Brien i nerwowo postukał w kierownicę. – Nauczycielka jest zdania, że powinienem dostarczyć chłopca na twój katamaran.

–Charity?

O'Brien przytaknął. Unikał wzroku Trenta. Pilnie obserwował ruch na skrzyżowaniu.

–Szkoła jest prywatna, o taką ci chodziło.

Na koi w kajucie Złotej Dziewczyny leżała kartka z wiadomością: „Jadę do Woods Hole. Możliwe, że dostanę stypendium. Trzymaj się”. Bez podpisu. W Woods Hole w Massachusetts znajduje się jeden z najsłynniejszych instytutów oceanograficznych.

A tymczasem zjawiała się Lois z przesyłką od Tanaki Kazuko. W elegancko opakowanym pudełku znajdował się najnowocześniejszy model telefonu satelitarnego i notka: „Nawet Brytyjczyk może nauczyć się, że trzeba odezwać się od czasu do czasu”.

Trent roześmiał się i z miejsca wystukał prywatny numer swego chlebodawcy. Odezwała się automatyczna sekretarka.

–Tu Trent – nagrał wiadomość po sygnale. – Nie będzie mnie przez kilka tygodni. Muszę odhodować brodę.

Zszedł do kambuza zaparzyć kawę. Jacht zakołysał się podejrzanie. Ktoś wszedł na pokład.

Na przystani, przycumowany rufą do nabrzeża, katamaran robił jeszcze większe wrażenie niż wtedy, kiedy stał na kotwicy przy Green Creek. I sam kokpit był znacznie obszerniejszy niż cała chata mamy Jacketa.

W zejściówce prowadzącej do salonu pojawił się mężczyzna, w ręce trzymał nóż, ten sam, którym cisnął w pana Steve'a, ale teraz wyglądał obco, zupełnie inaczej, niż Jacket pamiętał. Z brodą i długimi włosami wydawał się swojski. Był podobny do setek żeglarzy-włóczęgów, którzy krążą po Bahamach, żyjąc Bóg wie z czego. Czasem złowią trochę homarów, ustrzelą z kuszy jakąś rybę, sprzedadzą zdobycz bogatszym od siebie trutniom na wytwornych jachtach, palą, piją, koczują na plażach. Ostrzyżony i bez brody, właściciel katamarana przypominał obecnie owych białych mężczyzn w garniturach, którzy przemierzają ulice Nassau dźwigając nieodłączne aktówki.

–To ja, panie T. Człowiek przy bramie powiedział, że tak mam pana nazywać.

–W porządku – odparł Trent. Miał nadzieję, że chłopiec nie przeraził się widokiem noża. Pomyślał, że może dobrze byłoby obrać nim pomarańczę. Z drugiej jednak strony, skąd może wiedzieć, czy chłopiec ma apetyt na pomarańczę. Zje ze strachu, a potem go zemdli, gdy skojarzy, do czego nóż posłużył wcześniej.

–Przysłała mnie panna Charity. Powiedziała, że zawiezie mnie pan do szkoły w Stanach. Tu mam moje rzeczy – pokazał plastikową reklamówkę.

–W porządku – powtórzył Trent. Nie bardzo wiedział, jak się zachować. Przywitać się, uściskać dzieciaka czy dać mu spokój.

–Przepraszam, panie T. – odezwał się Jacket niepewnie.

–Nie ma za co... – Szum gotującej się kawy wybawił Trenta z kłopotu. Gdy wyciskał świeży sok z pomarańczy, wróciły wspomnienia z dzieciństwa. Wuj, który go zaadoptował po śmierci ojca, zawsze brał taksówkę odprowadzając go na pociąg, którym Trent wracał do internatu. Niewiele ze sobą rozmawiali. Na

peronie milczeli, a jedyną formą komunikacji między nimi były pięciofuntowe banknoty, które wuj wciskał mu w garść na odjeźdźnym.

Trent postanowił, że z chłopcem postąpi inaczej.

Najważniejsze, żeby Jacket oswoił się z otoczeniem i jego osobą. Trzeba dać mu czas i nie narzucać swojej obecności. Trent usiadł w kokpicie, jak się dało najdalej od chłopca, i patrzył, jak ten pije sok.

–Byłem czymś w rodzaju szpiega – przedstawił się. Mówił jakby obok chłopca. Nie zwracał się bezpośrednio do niego, nie patrzył nań. Jego urywane zdania dawały Jacketowi czas na przyswojenie sobie informacji. – Działalem w ukryciu, to znaczy w przebraniu. Jak aktor na scenie czy coś takiego. Z tym jednak, że aktor przebiera się tylko na czas przedstawienia, a ja musiałem to robić bez przerwy. W dzień i w nocy. Gdy byłem z kimś i gdy byłem sam. W szkole, w Stanach, czeka cię podobne zadanie. To będzie twoja tajna misja, a człowiek, który cię do tego przygotowuje, to twój oficer prowadzący.

Spojrzał na Jacketa i uśmiechnął się.

–To właśnie ja, twój prowadzący. Będziemy cały czas w kontakcie. Krótkie meldunki co godzina, dłuższe, powiedzmy, raz w tygodniu. Jakoś sobie to urządzimy. I nie trzeba radia, bo w trakcie tej misji można równie dobrze korzystać ze zwykłego telefonu. Gdyby coś było, gdybyś czegoś potrzebował, dzwoń. Po to właśnie są prowadzący, aby pomagać.

Oficerem prowadzącym Trenta był przez całe lata jego wuj, a zarazem prawny opiekun, i on to zdradził Trenta, wciągnął go w zasadzkę w południowym Armagh w Irlandii. Pierwsza kula trafiła Trenta w udo. Siedząc w kokpicie Złotej Dziewczyny dotknął palcami wielkiej blizny.

Z przystani wychodził właśnie dwupokładowy statek turystyczny w barwach firmy Camper and Nicholson oferującej czartery. Z daleka dobiegł dźwięk syreny wielkiego wycieczkowca, wprowadzanego do portowego kanału.

–Wybrałem cię do wykonania tego zadania, bo wiem, że jesteś dzielny i dasz sobie radę – rzekł Trent, patrząc chłopcu prosto w oczy.

Na zakupy zatrzymali się w Miami. Trent dołożył starań, żeby Jacket nie różnił się wyglądem od innych uczniów w nowej szkole. Kazał nawet dwukrotnie przeprać w hotelowej pralni świeżo kupione ubrania, by nie razily nowością. Zadbął, aby do pralki wrzucono także sznurowadła adidasów. Dbałości o najdrobniejsze nawet szczegóły nauczył się w czasie służby w wywiadzie wojskowym. W sklepie ze sprzętem fotograficznym kupił używanego canona 36 mm, z wymiennymi obiektywami, i sprawił chłopcu także szwajcarski scyzoryk z całym mnóstwem ostrzy i narzędzi, dokładnie taki, jaki zwykle dostają w prezencie chłopcy w szkole z internatem. Nie zapomniał o porządnych płetwach i masce do nurkowania.

Do San Francisco polecili nocnym rejsiem. Trent dopłacił do biletów i podróżowali pierwszą klasą. Na miejscu, u Hertza, wynajął zwykłego, nie rzucającego się w oczy buicka, uznając, że mercedes wyglądałby pretensjonalnie, a tanie chevy – zbyt ubogo.

Trent z doświadczenia wiedział, że beczynność jest wrogiem wszelkich operacji, a najłatwiej zająć chłopców jedzeniem. Zadzwoił więc z lotniska do szkoły, upewnił się, o której rozpoczyna się lunch. Prowadził buicka niespiesznie, siedemdziesiąt kilometrów na godzinę, tak aby przybyć na miejsce niewiele przed posiłkiem.

Jacket milczał przez cały ostatni etap podróży. Trent też nic nie mówił, gdy po raz pierwszy odwożono go w dzieciństwie do internatu.

A teraz chciał rozładować atmosferę, zagadnąć chłopca, jakoś przełamać krępującą go ciszę. Może powinni wspólnie wypatrywać drogowskazu do szkoły, liczyć przebytą odległość, oceniać, o której dotrą na miejsce? Przymknął sobie, że coś powie, cokolwiek, już zaraz, od następnych świateł, od najbliższego wiaduktu czy czegoś w tym rodzaju, ale słowa nie przechodziły mu przez gardło. Nawet nie mruknął.

I tak dojechali na miejsce. Skręcili z szosy na drogę dojazdową do szkoły, minęli boisko piłkarskie, basen o regulaminowych, olimpijskich wymiarach z porządnymi, betonowymi trybunami, kort tenisowy. O'Brien zapewniał, że szkoła kładzie nacisk na sport.

Budynki uczelni w stylu lat pięćdziesiątych – beton i okna w metalowych ramach – rozmieszczono łukiem u stóp zalesionego wzgórza. Do głównego bloku wiodły szerokie schody kończące się dużym tarasem, na którym zgromadziła się już grupka ciekawych przybysza chłopców. Większość miała europejskie rysy, ale byli też smagli Latynosi. I ani jednego czarnoskórego.

Trent wysiadł, sięgnął do bagażnika po dwie torby z rzeczami Jacketa. Przedłużył tę czynność, bo mając zajęcie czuł się mniej skrępowany. Tymczasem ze schodów zszedł im na spotkanie wychowawca.

–Pan Trent?

–Tak. – Trent postawił torby na ziemi, a potem wymienił uścisk dłoni z gospodarzem.

Jacket ani drgnął.

Nauczyciel zawołał jednego z uczniów stojących na tarasie, tego, który bawił się

piłką. Nieco wyższy od Jacketa, był chyba w tym samym wieku. Dał całe przedstawienie, manifestując niechęć do przybysza. Ze schodów schodził noga za nogą i w ogóle zachowywał się tak, żeby nie było najmniejszych wątpliwości co do jego poglądów. Nie był to pomyślny prognostyk i Trent miał już ochotę zawrócić na pięcie, zabrać Jacketa i odjechać stąd albo przynajmniej posiedzieć z nim chwilę w samochodzie, dodając otuchy. Ale oba te pomysły mogłyby tylko skompromitować chłopca, więc Trent po prostu wsunął głowę do środka i powiedział jedno zdanie:

–No cóż, trzeba zaczynać.

Jacket nawykł do milczenia. Milczał przecież w czasie wypraw z Dummym i wcale mu to nie przeszkadzało, ale z Dummym był u siebie, na swoim terenie i przy nim mógł spokojnie zagłębiać się w świecie własnych fantazji. W samolocie i później w aucie było jednak inaczej. Wszystko było obce i nie skłaniało do marzeń. No i ogarniał go najzwyczajniejszy strach.

U siebie, w Green Creek, dawał sobie radę z Vikiem i jego bandą. Wiedział, jak i dokąd umknąć. Znał wszystkie kryjówki w całej okolicy, każde drzewo, każdą piędź ziemi. A zresztą banda Vica to ledwie czterech osiłków. Tu zaś czyhało na niego pięciuset chłopców, więcej, niż był w stanie ogarnąć wyobraźnią, a to znacznie większa gromada niż psia sfora, którą mieszkańcy Green Creek szczuli zdziczałe świnię w lesie. Wymyślił sobie, że jeśli nic nie będzie mówił i postara się zapomnieć o szkole, to nigdy do niej nie dojadą. Ot, będą bez końca w drodze. Tymczasem dojechali. Byli na miejscu. I co dalej? Uznał, że najlepiej będzie milczeć nadal. Zamknąć się w sobie, bo jak się tak skuli wewnątrz, to po prostu zniknie. Z tym jednak, że musi działać ostrożnie, nie zwracać na siebie uwagi, bo jeszcze ktoś się spostrzeże, rozszyfruje grę i nie pozwoli zrealizować planu.

Właśnie zagłębiał się w sobie i wszystko byłoby w porządku, gdyby nie pan T., który wsadził głowę do auta i powiedział: „No cóż, trzeba zaczynać”.

Jacket wyczuł, że pan T. też się boi. Był to ten sam rodzaj strachu, jaki płynął od Dummy'ego, gdy zdarzało się, że wyprawiali się gdzieś daleko na Jezebel i nagle wzmagał się wiatr albo gwałtownie zmieniała się pogoda. Dummy'emu trudno było dodawać otuchy, bo nie słyszał. Z panem T. sprawa będzie łatwiejsza. Jacket spał się w sobie.

–Wszystko będzie O.K. Niech pan się nie martwi – rzekł.

Wysiadł z auta, przywitał się z nauczycielem, potrząsnął ręką chłopca z piłką.

Pan T. przytrzymał go za ramię. I po co? Przecież już mu powiedział, że wszystko będzie O.K. Głupio powtarzać, bo jak by to wyglądało. Trzeba wymyślić coś innego.

–Niech pan da znać pannie Charity. Niech pan powie, że wszystko jest w porządku.

Biały chłopiec, właściciel piłki, zajął się jedną z toreb Jacketa, on sam chwycił drugą i ruszył w ślad za tamtym. Nie obejrzał się nawet. Czuł, że tak będzie lepiej.

Z piłkarzem-przewodnikiem przeszli przez taras, hol, wspięli się schodami w górę, skręcili w długi korytarz, wreszcie chłopiec otworzył jakieś drzwi i rzucił bagaż Jacketa na podłogę. W pokoju było pojedyncze łóżko nakryte niebieskim kocem,

niewielka szafa, komoda i biurko.

Biały kolega oparł się o ścianę bawiąc się piłką. Podrzucał, odbijał o ścianę, to ręką, to nogą, to głową. Prowokował i chyba

groził. Jacket widział kiedyś taki film o szkole wojskowej w Stanach Zjednoczonych, w którym pokazano, co kaprale robią z kadetami. Podeszedł do okna. Patrzył, jak pan T. wsiada do auta. Był jednak pewien, że tak naprawdę, to pan T. wcale nie odjedzie, ruszy tylko na niby, ale zaraz zawróci, przyjdzie tu, na górę, i zabierze go.

Usiadł więc na łóżku, aby poczekać. Nie słyszał kroków pana T. na korytarzu, ale przecież pan T. potrafił chodzić cicho, cichutko jak zwierzę w dżungli. Przypomniał sobie, jak pan Steve wyłonił się z ciemności z wielkim pistoletem w ręku. Jacket zrozumiał wtedy, że to koniec, że Steve zamorduje i jego, i pannę Charity, pragnął tylko jednego, aby nastąpiło to szybko, żeby wreszcie przestał się bać. I właśnie wtedy zjawił się pan T. Nieubłaganie szedł w stronę Steve'a, choć ten zaczął do niego strzelać. I nagle Jacket przestał się bać. Strach opuścił go, jak zniknął zawsze wtedy, gdy nocą latarnia wyławiała w ciemności homary wędrujące gęsiego po piaszczystym dnie laguny.

–Właśnie – powiedział ni stąd, ni zowąd – umiem łowić homary.

–Ach tak? To znaczy co? – rzucił biały chłopak na odczepnego.

Tym razem Jacket uciekł w świat prawdziwych wspomnień, choć uczynił to w taki sposób, jakiego używał chroniąc się w świecie fantazji, kreślił coraz więcej szczegółów. A więc najpierw lampa rozświetlająca ciemności, potem homary na piasku, Jezebel, śpiąca mama i nocna wyprawa, wejście do laguny, przesmyk, który tylko on z całej wsi potrafił przepłynąć. Nie patrzył na białego chłopca, bo ten mógł rozwiązać czary.

A chłopak tymczasem przestał podrzucać piłkę.

–A jak daleko jest Cay? – zapytał.

–Będzie z sześć mil.

–O rany. Daleko. W nocy? I nie boisz się?

Dopiero teraz Jacket spojrzał na niego. Niewiele wyczytał w błękitnych oczach, bo rzadko takie widywał, podobnie jak blond włosy, niby krótko przycięte, ale i tak dłuższe niż Vica. Ale podobnie jak Vic, chłopiec wyglądał na osiłka. Ubrany zaś był w dokładnie taki sam strój, jaki pan T. kupił Jacketowi: dżinsy, podkoszulek, adidas. Nie bawił się już piłką. Stał pod ścianą, patrząc ciekawie na Jacketa.

Jacket skubnął bliznę na prawej ręce – pamiątkę z rafy.

–Zwykle wyobrażam sobie, że jest wojna, a ja jestem w Zielonych Beretach. To pomaga. – Spojrzał chłopcu w oczy.

–Tak?! – skwitował krótko chłopiec i znów zaczął podrzucać piłkę. – Ja też – dodał po chwili, nie patrząc na Jacketa.

Podrzucił piłkę pod sam sufit, złapał jedną ręką, za plecami przerzucił do drugiej, przytrzymał i zerknął na Jacketa.

–A tu, w szkole, to sobie wyobrażam, że jestem na obozie

piłkarskim i trenuję z reprezentacją!

–A ja jestem szpiegiem, wiesz? – Przypominał sobie przydomek, który skandowały wszystkie dzieci, gdy wrócił z Nassau. –

Hasło: Jacket-Łóżko.

–Odzew: Maradona – rzekł chłopak podając piłkę Jacketowi. –

Chodź, idziemy jeść.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-12

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/